

Leonard Goldberg

MORDERCZE ŻNIWO

Deadly Harvest

Tłumaczył
Jerzy Łoziński



*Pamięci ojca
i Donny Sue*

W chorobach

Gwałtownych ulgę dają tylko leki

Równie gwałtowne albo żadne

Szekspir, *Hamlet* (akt IV, scena 3),

tłum. M. Słomczyński

PROLOG

2 sierpnia 1986

Los Angeles

Wychodząc z Kobiecej Kliniki Reprodukcyjnej, Karen Kessler spojrzała w wylot lufy karabinu o wielkiej mocy. W odległych zaroślach zobaczyła jakiś błysk, ten jednak tylko się pokazał i zaraz zniknął. Klinikę otaczały łagodne pagórki i Karen przyzwyczaiła się już do tego, że promienie słońca nierzadko trafiały tam na coś, w czym mogły się odbić. Zapewne tak było i tym razem, chyba że chodziło o jakieś złudzenie wzrokowe. Wzruszyła ramieniem i nie myśląc ani chwili dłużej o nagłym błysku, poszła w kierunku parkowej ławki.

Tymczasem leżący nieopodal w gęstych krzakach, odziany w panterkę mężczyzna w średnim wieku poprowadził za kobietą zamontowany na lufie celownik optyczny. Usiadła na ławce, założyła nogę na nogę i zapaliła papierosa. Widział dokładnie jej ostre rysy, duże, sarnie oczy. Miała jakieś trzydzieści pięć lat, ocenił, nie więcej niż czterdzieści. Powoli naprowadził siatkę krzyżakową na miejsce pośrodku sukienki, gdzie między piersiami widniała okrągła plama od potu. Znakomity cel. Leciutko przycisnął spoczywający na spuście palec, wyobrażając sobie, co stałoby się, gdyby kontynuował ruch. Klatka piersiowa eksploduje, serce i aorta rozerwana, śmierć niemal natychmiastowa.

Ale to nie ją chciał zabić. To pewnie pielęgniarka, która tylko wykonuje polecenia. Nie, do niej nie można było mieć pretensji. Wina spoczywała tylko i wyłącznie na barkach lekarza. Skurwysyński morderca! Szczęki skrytobójcy zacisnęły się na samą myśl o doktorze, zabójcy jego siostry, którego jednak nigdy nie skarże żaden sąd. Żaden, do jasnej cholery! Ostatecznie, nie złamał prawa, nie naruszył żadnego przepisu. On tylko spowodował śmierć pięknej, młodej kobiety.

Mężczyzna poprawił kolbę w dołku strzeleckim i dalej czekał cierpliwie, bez ruchu, chociaż pot spływał mu już po czole i co pewien czas kropelka ściekała na broń. Dzień był słoneczny i gorący, a zamachowcy było już bardzo duszno w panterce. Starał się jednak nie myśleć o tym, koncentrując się na perspektywie strzału w głowę, którym chciał uśmiercić lekarza. A potem odwrót starannie obmyśloną drogą. Na drugą stronę pagórka, dalej przez zarośla do motocykla ukrytego przy alejce spacerowej, a następnie do odległej o niecałą milę

autostrady do San Diego. Gdyby jednak nie udało się uciec i schwytano by go, to trudno. Gotów był umrzeć, jeśli będzie trzeba.

Drzwi kliniki otworzyły się i stanął w nich wyczekiwany lekarz: wysoki, szczupły, w średnim wieku, ubrany w długi fartuch laboratoryjny. Zamachowiec naprowadził celownik, a gdy głowa doktora znalazła się między nitkami, zaczął naciskać spust, kiedy lekarz zniechęca pochylił się, aby podnieść coś z ziemi. Strzelec czekał, kiedy jego ofiara się wyprostuje, ale w tej samej chwili z kliniki wyszedł inny lekarz, także w białym kitlu, ale niższy i starszy, i wdał się w rozmowę z kolegą. Teraz trudno już było o czystą pozycję.

„Żeby cię jasna cholera! Wynocha!”

Co gorsza, kobieta wstała z ławki i przyłączyła się do obu mężczyzn; skrytobójca widział teraz tylko górną część głowy swej ofiary. Strzał mógł ją uśmiercić, ale mógł się również nie powieść. Zbyt ryzykowne. Lepiej czekać, aż tamtych dwoje się odłączy.

Krążący w górze jastrząb wydał z siebie przenikliwy pisk, a kobieta wskazała go podniesioną w górę ręką. Lekarz, który miał zginąć, przesunął się, jakby sam chciał się Wystawić na strzał. Kiedy opadnie podniesiona ręka, pocisk znajdzie drogę do mózgu, który już nigdy więcej nie obmyśli żadnego morderstwa. A przed jego właścicielem otworzą się bramy do piekła, gdzie będzie się smażył bez końca.

Pielęgniarka opuściła rękę, ale dokładnie w tej samej chwili pod schodami prowadzącymi do kliniki zatrzymała się długa, czarna limuzyna i całkowicie zasłoniła całą trójkę. Ze środka wyskoczyli kierowca i jeszcze jeden mężczyzna, by ignorując trójkę personelu, uważnym wzrokiem obrzucić teren wokół schodów. Po chwili otworzyły się drzwiczki limuzyny, z której wysiadła kobieta, a za nią mężczyzna. Zamachowiec skierował na nich celownik. Kobieta była młoda i piękna; miała bujne brązowe włosy i olśniewającą figurę. Skrytobójca naprowadził celownik na jej piersi; miał obiektyw tak dobry, iż mógł dostrzec - a przynajmniej tak mu się wydawało - zarys sutków. Teraz przyjrzał się jej towarzyszowi: po pięćdziesiątce, z włosami bardzo szpakowatymi i brzuszkiem, którego zarysu nie był w stanie ukryć drogi garnitur.

Dopiero po chwili dojrzał twarz. William Arthur Warren! Zamachowiec nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nieprawdopodobne! Nie mógł to być William Arthur Warren, a jednak był! Multimilioner, nieprzejednany konserwatysta, główna postać ruchu Pro Life. Widział go wiele razy w telewizji, gdy grzmiał na liberałów i obiecywał, że całe swe bogactwo gotów jest poświęcić, aby ich zmiażdżyć. I teraz oto stary sukinsyn zjawia się pod kobiecą kliniką z dziewczyną, która śmiało mogłaby być jego córką. Nie trzeba było geniusza, żeby się zorientować, jaki był cel wizyty. Teraz w nitkach celownika pojawiła się

twarz Warrena. Najpierw uśmiechał się, potem głośno zaśmiał, a ta dziwka mu zawtórowała.

Ach, gdyby miał teraz kamerę wideo z teleobiektywem! Z pewnością znalazłaby się gazeta albo stacja telewizyjna, która gotowa byłaby hojnie zapłacić za taki film. Ile? Sto tysięcy dolarów? Dwieście? Może nawet więcej? Chryste! Serce mu załomotało na myśl o takiej forsie. Ale zaraz przypomniał sobie o zmarłej siostrze i przegnał chciwą wyobraźnię. Jedyny obraz, który chce zobaczyć, to odstrzelony łeb tego łapiducha!

Za sobą usłyszał jakiś szelest. Spojrzał przez ramię i zlustrował teren za sobą. Nikogo ani niczego. Wsłuchał się uważnie, ale żaden dźwięk się nie powtórzył. Pewnie jakaś wiewiórka albo kojot, ale na wszelki wypadek nasłuchiwał jeszcze jakieś ćwierć minuty, zanim znowu przyłożył oko do celownika.

Grupa rozciągnęła się teraz na schodach do kliniki. Przesuwał obiektyw: na końcu pielęgniarka z tym drugim lekarzem, potem Warren ze swą dziwką, na samym szczycie ten, o którego mu chodziło. Metodycznie naprowadzał nitki celownika na głowę ofiary.

Gałazka trzasnęła tak głośno, że zamachowiec przekręcił się na plecy, ale było już za późno. Wielka dłoń w rękawicze ciosem karate ugodziła go w bok szyi; głowa uderzyła o pień drzewa. Poczł jeszcze, jak palce chwytają go za włosy, potem straszliwy ból. I więcej już nic.

Rozdział 1

8 stycznia 1996

W górach oddzielających zachodnie Los Angeles od San Fernando Valley padał ulewny deszcz, bębniący o płócienny dach, który rozpięto nad mogiłą. Porucznik Jake Sinclair szukał pod nim schronienia przed zacinającymi z ukosa strugami. Świeżo rozkopana ziemia zamieniała się w błoto.

- Lepiej pospieszcie się - krzyknął Jake, przekrzykując wichurę - bo inaczej szkielet spłynie razem z wodą.

Stał w płytkim rowie razem z dwoma lekarzami sądowymi. Nad nim tłoczyli się urzędnicy z biura koronera, policjanci z drogówki, a także kilkunastu funkcjonariuszy z dochodzeniówki, którzy szukali w okolicy jakichś śladów. Nagły powiew wiatru szarpnął płótnem i Jake musiał przytrzymać jeden z palików, aby targnięcie nie wyrwało go z ziemi. Deszcz potężniał z każdą chwilą i Jake odwrócił się, aby uchronić przed nim twarz.

- Jeszcze dziesięć minut, panie poruczniku - odezwał się Girish Gupta, ze swym brytyjsko-hinduskim akcentem. W średnim wieku, puciołowaty, urodził się w New Delhi, a studiował w Londynie. - No, może piętnaście.

- Góra pięć - mruknął Jake, czując, że buty zaczynają ślizgać się po błocie. - Nie można by jakoś powstrzymać tej wody?

- Może ekran - zasugerowała Lori McKay.

Jake zmrużył oczy.

- Co takiego?

- Cokolwiek, na przykład jakaś deska - powiedziała Lori, która na klęczkach badała teraz pod lupą jakiś metalowy przedmiot. - Żeby podziałała jak tama.

- Nic z tego - skrzywił się Jake. - Jeśli zacznę wciskać tutaj w ziemię deskę, w dół spłynie lawina błotna, która zakryje miejsce zbrodni.

- Nie musi pan niczego wciskać. Chodzi tylko o to, żeby nie pozwolić wodzie spływać. - Lori raz jeszcze przyjrzała się metalowemu dyskowi i umieściła go w plastikowej torebce. - Dzięki temu może zdążymy wszystko zrobić, zanim nas zaleje.

- Nie da rady.

- Niechżeż pan chociaż spróbuje, poruczniku.

Gupta spojrział niespokojnie na swą koleżankę, usiłując pochwycić jej spojrzenie. „Nie komenderuj tak”, chciał jej powiedzieć. Odrobina więcej uprzejmości, a znacznie łatwiej będzie o życzliwą pomoc. Szczególnie kiedy ma się do czynienia z kimś tak twardym i surowym jak detektyw Jake Sinclair.

Wyciągnął rękę, aby zwrócić na siebie uwagę Lori, ale ta właśnie na czworakach ruszyła ku przegniłemu konarowi.

- To będzie dobre - powiedziała, usiłując wyciągnąć drewno z błota, to jednak ani drgnęło. - Może by pan tak pomógł?

Jake podszedł, nachylił się i z niejakim wysiłkiem oswobodził konar, który z pomocą Lori przeniósł na skraj płytkiego grobu, a potem patrzył, jak kobieta upycha ręczniki między gałąź i ziemię. Za młoda i niedoświadczona, pomyślał. A to będzie cholerna sprawa. Jedna z tych najgorszych. Mężczyzna zginął tak wiele lat temu, że pozostały po nim tylko kości i strzępy ubrania. Oraz karabin. Płeć można było rozpoznać po kształcie miednicy, ale trudno było stwierdzić cokolwiek innego, włącznie z datą śmierci. Jasne było jedno: śmierć nastąpiła dawno temu. I trudno było oczekiwać, żeby do dziś dnia przetrwało wiele śladów.

- I proszę - powiedziała Lori, wciskając następny ręcznik. - Teraz już nie spływa.

- Świetnie - mruknął z roztargnieniem Jake, który teraz uwagę skupił na twarzy Lori. Była ładna, z długimi orzechowymi włosami, zielonymi oczyma i skórą gładką jak aksamit, jeśli nie liczyć kilku piegów na nosie i policzkach. Pewnie jest przemądrzała, myślał Jake, pełna książkowych mądrości, z czego jednak wcale nie wynikało, że da sobie radę w warunkach polowych. Jak na razie nie wykazała się niczym, a jej maniery zaczynały go denerwować. Za wiele gadała, a języczek miała odrobinę za ostry. Był ciekaw, czy to z racji niepewności, czy też dlatego, że była jedną z tych cholernych feministek.

- Żadnych wgnieceń na czaszce, które wskazywałyby na użycie siły - oznajmił Gupta.

- Może zmarł śmiercią naturalną - zasugerowała poważnym głosem Lori.

- Jasne - mruknął z przekąsem Jake. - Umarł na atak serca, a potem sam się pogrzebał.

Lori spojrzała na Jake'a zimno. Nie podobało jej się, że jakiś gliniarz odzywał się do niej tak protekcjonalnie.

- Możliwe są jeszcze inne niż morderstwo przyczyny - oznajmiła.

- Słucham uważnie.

- Powiedzmy, że był myśliwym. Pośliznął się tam na górze i zleciał do rowu, silnie uderzając głową. Na tyle silnie, aby powstał wielki wylew, ale nie na tyle, by uszkodzić czaszkę. To częsty przypadek wśród bokserów.

- Ślicznie - pokiwał głową Jake. - A jak się zakopał?

Lori zastanawiała się przez chwilę.

- Potem mogli przyjść ulewy, które zwały na niego błoto.

- Całe trzy stopy?

- Niewykluczone.

- Bardzo to wszystko dziurawe - powiedział Jake rzeczowo. - A największy kłopot z tym, że to nie był myśliwy.

- Miał karabin - zauważyła Lori.

- Z celownikiem optycznym i tłumikiem. To nie jest ekwipunek myśliwego.

Lori spojrzała na broń i jej do połowy uwięziony w błocie tłumik; że też sama tego wcześniej nie zauważyła! Ma ten cholerny tłumik tuż pod nosem - a nie zauważyła! Wyszła na idiotkę. Zmrużyła oczy i spojrzała na Jake'a.

- Jakiś najemnik? Czy któryś z tych zwariowanych paramilitarystów?

Jake wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Wiele było możliwości, ale tylko jedna wydawała się naprawdę sensowna. To powinien być zawodowiec. Teleskop, tłumik. I rodzaj broni. Ruger Mini-14, karabin chętnie używany przez snajperów. Co jednak robił tutaj, w górach na zachód od Los Angeles?

Potoczył wzrokiem po zboczach porośniętych gęstymi krzakami. Odludzie, daleko do najbliższej miejscowości. Nikt nie mieszkał w pobliżu. Usiłował sobie przypomnieć rozkład miejscowości. O dobrą milę na wschód autostrada, za nią warte wiele milionów wille Bel Air. Na południe kawał do Brentwood, jeszcze dalej na zachód do Pacific Palisades. A na północ? Też nic, chyba że coś ostatnio pobudowano.

Pomachał na funkcjonariusza z drogówki.

- Na północy są jakieś zabudowania?

- Dopiero w Encino - odkrzyknął tamten.

- Nic?

- Tylko duża klinika o jakąś milę.

- Można tam się dostać stąd?

- Nie. Jedyne dojazd jest od Mulholland Drive.

- A poza tym nic?

- Krzaki i kojoty.

- Na wszelki wypadek sprawdźcie raz jeszcze, dobra?

- OK! - zawołał tamten poprzez deszcz. Był pierwszym policjantem, który dotarł na miejsce. Dwóch studentów z University of California wypuściło się w góry i natknęli się na

szkielet, którego fragmenty odsłoniły się spod ziemi splukiwanej przez trwające od kilku dni deszcze. Skontaktowali się z centralą California Highway Patrol, podając wskazówki, gdzie się znajdują. Funkcjonariusze drogówki zatrzymali ich, aż do chwili przybycia detektywów, ale studenci nic więcej nie wiedzieli.

- Błoto się obsuwa! - zawołała Lori.

Rozmoczona ziemia napierała na konar, który pod jej ciężarem przesunął się w kierunku krawędzi dołu, a pod jego naciskiem kilka grud błota oderwało się i poleciało na szkielet.

Lori poderwała się i próbowała umocować gałąź, w czym pomagali jej Gupta i Jake, coraz częściej ślizgający się w mazi. Jake chwycił szpadel i wbił go w ziemię, blokując ruch konara, ale woda znowu zaczęła ściekać po ściankach dołu.

- Musicie się pospieszyć, bo inaczej szkielet znowu się skryje pod ziemią - zauważył kwaśno Jake.

- Dajcie tu wózek transportowy - krzyknęła Lori w kierunku ludzi z jej ekipy.

- Lepiej nosze, będzie wygodniej - odkrzyknął jeden z nich.

- Mało mnie obchodzi, co będzie wygodniejsze! - prychnęła Lori. - Wózek, ale szybko!

- Słusznie - pokiwał głową Gupta.

Na sztywnym wózku można było ułożyć szkielet tak, aby pozostał w tej samej pozycji, w jakiej spoczywał w ziemi, co było prawie niemożliwe na płóciennych noszach.

Lori zerknęła na Jake'a.

- Ekran był dobry, tylko że błoto zaczęło się przelewać górą.

- I górą, i dołem. Ten pani ekran sprawił, że woda zaczęła się gromadzić i rozluźniła ziemię także pod gałęzią.

- Nie po...

- Na drugi raz lepiej słuchać innych. - Nie dał jej dokończyć Jake.

Lori posłała mu wściekłe spojrzenie. Od pierwszej chwili zaczęło między nimi iskrzyć, gdyż natychmiast zaczął ją traktować jak uczennicę czy praktykantkę, a nie specjalistkę patologii. A ona na pewno nie będzie się na to potulnie zgadzać.

Odetchnęła głęboko, żeby się trochę uspokoić. Tak jak Jake Sinclair zachowywali się wszyscy mężczyźni, z którymi zdarzyło się jej pracować. Zawsze zakładali, że skoro jest ładna i kobieca, to nie może być inteligentna. Właściwie przez całe życie zawsze na początku jej nie doceniano, tak było nawet w przypadku jej rodziców. Kiedy w wieku dwóch lat mówiła pełnymi zdaniami, uznali to za ciekawostkę. Dopiero kiedy w wieku czterech lat nauczyła się czytać i po jednej lekturze była w stanie powtórzyć z pamięci treść niedzielного komiksu, uznali, że mają niezwykłą córkę.

Posłali ją do szkoły dla dzieci wybitnie uzdolnionych, gdzie szło jej znakomicie, zwłaszcza w przedmiotach ścisłych. Szkołę średnią skończyła jako czternastolatka, college - jako siedemnastolatka, medycynę - w wieku dwudziestu jeden lat. Ale dziewczęcy wygląd stał się jej zmorą. Podczas praktyki pacjenci uważali ją za początkującą studentkę albo nastoletnią wolontariuszkę; bardzo trudno było jej zyskać ich zaufanie i szacunek. W dużej mierze właśnie dlatego zdecydowała się na patologię: tutaj przynajmniej nie musiała się męczyć z nawiązywaniem i podtrzymywaniem kontaktów. Sama jednak patologia wydawała jej się zbyt pasywna, dlatego postanowiła specjalizować się w medycynie sądowej, także i tutaj brylując i przodując.

Została skierowana do biura koronera hrabstwa Los Angeles i to był jej pierwszy dzień pracy. Pierwszy dzień i pierwsza sprawa. Po drodze ledwie potrafiła stłumić podniecenie. Pierwsza sprawa! I oto musiała trafić na takiego Jake'a Sinclaira.

Głośny huk pioruna przywołał ją do rzeczywistości.

- Pospieszcie się z tym wózkiem - warknęła przez ramię, podczas gdy dwójka asystentów ostrożnie podchodziła na brzeg zagłębienia. Znowu zaczęła uszczelniać zrobioną z konara przegrodę; Jake pomagał jej, usiłując przynajmniej zabezpieczyć przed osuwaniem się następnych brył błota na szkielec.

Zerknęła spod oka, jak prostuje się i ociera ręce z brudu. Był wysokim, szerokim w ramionach mężczyzną po czterdziestce, z wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi i jasnoniebieskimi oczyma. Gęste, brązowe włosy zaczesywał do tyłu tak, że zakrywały czubki uszu. Na brodzie miał poszarpaną, ale gładką już i wyblakłą bliznę. Zaciekawilo ją, jak jej się nabawił.

- Dobrze, pani doktor, jak to mamy zrobić? - spytał jeden z pomocników, kiedy ustawili wózek na brzegu rowu.

- Bardzo ostrożnie i dokładnie - powiedziała Lori, która na klęczkach wybierała grudki gliny spomiędzy kości, których nic razem nie trzymało, nie pozostało bowiem nic z miękkich tkanek. W tym momencie nagły podmuch wiatru tak chlasnął jej w twarz strugami deszczu, że zamknęła oczy, a potem przetarła twarz rękawem.

- Może przełożyć te resztki na materiał i podnieść tu, do wózka - zasugerował jeden z pomocników.

- Nie, nie - zaprotestowała Lori - wszystko się pomiesza. - Kolejny podmuch wiatru smagnął deszczem, Lori odwróciła głowę, a kiedy znów spojrzała na ludzkie szczątki, zobaczyła, że spod błota wynurzył się kawałek drewna. Szybko przykucnęła i odgarnęła resztki gliny. - To jakaś deska, czy może sklejka - zawołała, a potem dorzuciła ze

zdziwieniem: - Dlaczego ktoś miałby podkładać deskę pod zwłoki.

Gupta obejrzał się na Sinclaira.

- Ma pan jakiś pomysł, poruczniku.

Jake przytaknął.

- Teraz przynajmniej wiemy, że w morderstwo były zamieszane co najmniej dwie osoby.

Lori popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- A skąd niby pan to wie?

- Na desce, czy co to jest, przeniesiono tutaj zwłoki. Posłużyła za swego rodzaju nosze, jak przypuszczam.

Lori zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

- A gdyby zwłoki przyciągnęła na desce odpowiednio silna jedna osoba?

- Mało prawdopodobne w tak nierównym terenie. - Jake rozejrzał się po okolicy pełnej wądołów i stromizm. - A jeśli użyto deski do niesienia, znaczy to, że ofiara nie została zabita tutaj czy w pobliżu, lecz przetransportowana z dalszej odległości.

- O Boże! - Lori nie potrafiła ukryć podziwu dla zdolności Sinclaira do wyciągania tak wielu wniosków z jednego drobiazgu. Przyjrzała się desce. - Jest przegniła. Kiedy ją ruszymy, rozsypie się.

- Trzeba więc coś podłożyć pod spód - rzekł Gupta.

- Już raz mieliśmy podobną sprawę w Culver City - oznajmił jeden z pomocników. Był czarnoskóry i miał dwadzieścia kilka lat.

- I jak sobie poradziliście? - spytał Jake.

- Wszyscy podłożyli ręce pod deskę, a potem szybko unieśli ją razem.

- I co? Udało się?

- Tak.

Jake, oboje patologów i obu pomocników uklękli i wsunęli przedramiona pod zbutwiałe drewno.

- Na trzy! - zakomenderował Jake. - Raz, dwa, trzy!

Unieśli się jednocześnie, a chociaż deska zatrzeszczała, to pękła wzdłuż dopiero w chwili, gdy wraz z resztkami szkieletu umieszczona została na wózku. Dłonią chronioną przez rękawiczkę Gupta wziął zardzewiały karabin i umieścił go w dużej plastikowej torbie.

- Kto weźmie tę sprawę? - spytał go Jake.

- Ja - spiesznie oznajmiła Lori.

Jake popatrzył na nią przeciągle.

- To naprawdę trudna sprawa.

- Miałam już do czynienia z trudnymi sprawami - odrzekła chłodno Lori.

- Miała już pani do czynienia ze szkieletami? - upewnił się Jake.

- Tak.

- Ile razy?

Lori na chwilę zawahała się.

- Raz.

Jake odwrócił się do Gupty.

- Tutaj potrzebny jest jakiś ekspert.

- Na pewno.

Po latach współpracy nie potrafiliby już zliczyć, iloma sprawami zajmowali się wspólnie.

- Zaraz, chwileczkę! - podniesionym głosem odezwała się Lori. - To jest moja... to znaczy, nasza sprawa. Nie potrzeba nam żadnych ekspertów z zewnątrz.

- Potrzeba nam bardzo - spokojnie sprzeciwił się Jake. - Potrzebna jest wszelka pomoc, jaką będzie można uzyskać.

Lori wrzała z gniewu.

- Nie wiem, czy muszę panu przypominać, że to sprawa koronera i że decyzje może podejmować tylko...

- Tylko ja - przerwał jej Gupta. - Ja przyjąłem zgłoszenie i mnie sprawa została zlecona.

- To nie jest w porządku, do cholery!

Jake dotknął ramienia Lori.

- Proszę nie traktować tego tak osobiście.

- Tak? - zaperzyła się Lori. - Od pierwszej chwili jest pan źle do mnie nastawiony.

- Doktor McKay - oficjalnym tonem powiedział Gupta - my wręcz musimy zwrócić się do eksperta i zaraz pani wyjaśnię dlaczego. Po pierwsze, nasze laboratorium jest zacofane o co najmniej pięć lat i nie ma żadnych szans na rychłe otrzymanie nowego sprzętu. Po drugie, nie mamy specjalistów osteologów. Po trzecie, jesteśmy tak zawałeni zwłokami, że nie wiem, kiedy uporamy się ze wszystkim. Przypuszczam, że jeśli przewieziemy ten szkielet do miejskiej kostnicy, zostanie odłożony gdzieś w kącie i nikt się nim nie zajmie. Takie są fakty i nic na to nie można poradzić. - Gupta odwrócił się do Jake'a. - Proponuję doktor Blalock.

Jake przyjrzał mu się w zamyśleniu.

- W porządku, jeśli tylko się zgodzi.

- Zgodzi się, zgodzi - zapewnił Gupta i dodał konfidencjonalnie: - Jest teraz zatrudniona w biurze miejskiego koronera jako konsultantka.

- To już nie pracuje w Memorial?

- Pracuje, ale tylko na część etatu. Poza tym udziela konsultacji i jak słyszę, dobrze sobie radzi.

- Rozumiem - pokiwał głową Jake. Nie widzieli się z Joanną od czasu rozstania, co miało miejsce przed sześcioma miesiącami. Przez ostatnie pięć lat ich związek z pięknych i euforycznych momentów przerodził się w stosunki chłodne i z dystansu, bez żadnych stanów pośrednich. W końcu uznali, że nawzajem przysporzyli już sobie tyle bólu, iż najlepiej będzie rozstać się raz na zawsze.

- Kto to jest doktor Blalock? - spytała Lori, która najchętniej powiedziała by tym obu gburom, żeby się wypchali, pozbierała swoje rzeczy i wyjechała do Baltimore, gdzie miała zapewnioną miłą posadkę.

- Bardzo dobry lekarz sądowy - poinformował ją Gupta.

- Jest ordynatorem oddziału w Memorial Hospital i ma najlepsze laboratorium w całym mieście.

- Więc rozumiem, że ja na nic się tu nie przydam? - spytała Lori i przygryzła wargi.

- Niczego takiego nie powiedziałem - sprzeciwił się Gupta. - Chciałbym, żeby współpracowała pani z doktor Blalock i pomogła jej rozwiązać tę zagadkę.

- I co, będę musiała dojeżdżać do Memorial?

Gupta uśmiechnął się przymilnie.

- Jestem pewien, że taka energiczna osoba jak pani da sobie z tym bez trudu radę.

Jack oderwał wzrok od szkieletu i spojrzał na Gupta.

- Kiedy będziesz rozmawiał z Joanną, spytaj, czy jest jakiś sposób, żeby określić, ile czasu te kości spoczywały w ziemi.

- Jasne, pierwsza rzecz, o którą spytam.

Jake wpatrywał się w prostą obrączkę na serdecznym palcu. Ciekawe, czy facet miał dzieci.

- Interesuje mnie, czy to bardziej pięć, dziesięć czy dwadzieścia lat.

Gupta skrzywił się sceptycznie.

- Spytam, ale naprawdę nie wiem, czy będzie potrafiła na to odpowiedzieć.

- Ciało nie leżało w ziemi dłużej niż dziesięć lat - rzeczowym tonem zauważyła Lori.

- Taka pani pewna? - uśmiechnął się Jake.

- Całkowicie. - Jake skrzywił się lekceważąco. Tylko zgadywała. - Zakład o dwadzieścia dolarów? - zaczepnie spytała Lori.

- Stoi - powiedział Jake i wzruszył ramieniem.

- Wypłata w gotówce - ze złośliwym uśmiechem stwierdziła Lori. Sięgnęła do kieszeni i

wyjęła z niej plastikową kopertkę. - Znalazłam to w ziemi między kośćmi.

Jake nachylił się, wpatrując w plastik.

- Co to takiego?

- Dziesięć centów z datą 1986. Ciało nie mogło zostać pochowane wcześniej.

Lori dwoma zręcznymi ruchami wspięła się na krawędź dołu, a Jake patrzył za nią i myślał, że to osoba, której nie wolno lekceważyć.

Rozdział 2

Joanna Blalock przeszła się kilka razy po rampie na tyłach Memorial Hospital. Na podjeździe żadnych samochodów, wszędzie pusto, paki ze sprzętem schludnie poukładane pod ścianami. Za ogrodzeniem widać było strażników. W promieniu stu stóp od rampy mogły przebywać tylko osoby upoważnione.

Słyszając syreny nadjeżdżającego ambulansu, poszła na skraj rampy i usiłowała wypatrzeć nadjeżdżający samochód, ale nie zobaczyła nic prócz delikatnej popołudniowej mgiełki.

Syrena stała się bardziej basowa i całkiem ucichła. Karetka, jak widać, musiała się zatrzymać przed głównym wejściem, co znaczyło, że nie mogła wieść jej siostry, która miała dziś przylecieć z Gwatemali, zarażona jakąś straszliwą chorobą, która zabiła już dziesiątki ludzi. Najprawdopodobniej wywoływał ją jakiś wirus, ale nikt nie był tego zupełnie pewien. Wiedzano tylko tyle, iż czynnik chorobotwórczy jest bardzo zaraźliwy i zabójczy. Bardzo zabójczy. Joanna znowu podjęła niespokojny marsz.

Otworzyły się drzwi na rampę i stanął w nich dr J. Mack Brown, ordynator oddziału zakaźnego w Memorial Hospital. Miał czepek chirurgiczny, fartuch, rękawiczki i maskę zsuniętą na szyję.

- Nałóż - powiedział, podając jej parę lateksowych rękawiczek i torebkę z talkiem. - I pamiętaj, żeby mankiety rękawów włożyć pod rękawiczki.

Joanna pokryła dłonie talkiem i naciągnęła rękawiczki, ona także miała na sobie fartuch i czepek.

- Samolot już wylądował?

- Dwadzieścia minut temu. Zaraz będziemy mieli pacjentów.

- Czy coś się zmieniło w jej stanie? - spytała cicho.

- Nie mam żadnych nowych wiadomości - odrzekł Mack Brown. Był wysokim, szczupłym, zbliżającym się do pięćdziesiątki Teksaszczykiem o przystojnej twarzy i silnie zarysowanej szczęce. Szpitalny przydomek zawdzięczał Johnniemu Mack Brownowi, gwiazdzie westernów. - Wszyscy są bardzo poważnie chorzy.

- Wiem.

Mack Brown podrapał się w roztargnieniu za uchem. Żałował teraz, że pozwolił Joannie być na rampie, gdyż w ten sposób narażała się na prawdziwe niebezpieczeństwo, tak jednak

nalegała... A na dodatek była piękna i zgrabna, on zaś był bardzo czuły na prośby efektywnych kobiet. I jeszcze na dodatek miał wobec niej dług wdzięczności. Przestrzegł ją jednak bardzo stanowczo. „Pamiętaj Joanno, żadnego ściskania się z siostrą, żadnych pocałunków. A gdyby się zdarzyło, że któryś z pacjentów na ciebie zwymiotuje, spryska śliną czy jakimkolwiek innym z płynów ciała, natychmiast, na nic nie czekając, biegniesz na oddział odkażania”.

Joanna pamiętała o tym, kiedy teraz zerknęła w głąb oświetlonego korytarza, na którego końcu czekała otwarta winda, gotowa zjechać dwa piętra w dół do podziemnego Centrum Badań Wirusologicznych.

- Wszystko pamiętasz, jeśli chodzi o procedurę odkażania? - upewnił się Mack Brown.

- Tak - odparła Joanna. Przecwiczyła ją krok po kroku kilkanaście razy. - A co z identyfikacją wirusa?

- Nic pewnego. Naukowcy z Gwatemali mieli wrażenie, że widzą w elektronowym mikroskopie jakieś niezwykle cząstki wirusa, ale niczego konkretnego nie udało im się ustalić. Przesłali próbki do USA, jak zwykle, kiedy nie wiadomo, co począć.

- Kto się tym u nas zajmuje?

- CDC i USAMRID - mruknął Mack Brown.

Center for Diseases Control (Centrum Kontroli nad Chorobami), mieściło się w Atlancie, a United States Army Medical Research Institute (Instytut Badań Medycznych nad Chorobami Zakaźnymi Wojsk Lądowych USA) w Fort Detrick w Marylandzie. Mack Brown nie wspominał o tym, że zamrożone próbki zostały także dostarczone do Los Angeles i teraz były intensywnie badane w Centrum Wirusologicznym Memorial Hospital. Uznał, że lepiej, by nie wiadomo, że zarazki śmiertelnej choroby znajdują się w podziemiach największego szpitala w Los Angeles.

Mack w głębi duszy był przekonany, że chodzi o jakiś zupełnie nowy wirus, a jego laboratorium miało sprzęt nie gorszy niż CDC czy USAMRID. Wirus zostanie potem nazwany od miejsca, gdzie został odkryty, ale i tak każdy będzie wiedział, kto go zidentyfikował. Każdy wirusolog marzył o tym, ale niewielu trafiła się taka gratka.

- Myślę, że za tydzień będziemy już wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

- A jakie wirusy spotyka się w Gwatemali?

- Takie, jak gdzie indziej. Żółta febra, dengue, HIV, grypa. Ale grupa, w której była twoja siostra, prowadziła badania w puszczy nietkniętej przez setki lat. Niepodobna przewidzieć, co tam można spotkać.

Joanna potarła czoło końcem palców, myśląc o siostrze, Kate, młodej archeolog, która

prowadziła wykopaliska w Gwatemali, kiedy wybuchła epidemia. Bardzo szybko uczestnicy wyprawy jeden po drugim dostawali gorączki, dreszczy, biegunki, które przechodziły w żółtaczkę i delirium. Z całej szesnastki, dwanaście osób już nie żyło, a cztery były w bardzo poważnym stanie.

- Czy zorientowali się, jak wirus się przenosi?

- Prawdopodobnie przez płyny ustrojowe. Silnie sugeruje to przypadek dwudziestu krajowców gwatemalskich, którzy zmarli na tę chorobę i zostali pochowani przez rodziny. Zaraziły się tylko te osoby, które obejmowały i całowały zwłoki. Z personelu szpitalnego nie zachorował nikt, kto przestrzegał przepisów sanitarnych, wiesz, rękawice, maski, wszystkie środki izolujące.

- To dlaczego nie można mojej siostry umieścić na normalnym oddziale zakaźnym przy zachowaniu wszystkich środków zabezpieczających? Dlaczego Centrum Wirusologiczne?

- Ponieważ nie wiem, co to za wirus, a jak długo nie wiem, nie mogę ryzykować. - Mack potarł kark. - To jakieś strasznie złośliwe bydle; zabija niemal każdego.

- Ktoś jednak wyzdrowiał.

- Tak, ale to raptem kilka osób.

Znowu z daleka dobiegła ich syrena i wpatrzyli się w teren za ogrodzeniem. Dźwięk był coraz głośniejszy, po chwili Joanna mogła już rozpoznać migające światelka. Powoli otworzyła się brama, na której prętach rozpięta była druciana siatka i na dziedziniec wjechały dwie karetki, eskortowane z przodu przez wóz policyjny, a z boku przez dwóch motocyklistów.

- Maski! - przypomniał Mack i wyjął z papierowej torby dwie pary okularów, z których jedną podał Joannie. - Także to.

Nałożyła maskę i okulary, które natychmiast zaparowały. Spróbowała je otrzeć rękawem. Zrobiło się jeszcze bardziej duszno: otulone tkaniną i plastikiem ciało nie miało czym oddychać i pokrywało się potem.

Karetki zahamowały pod rampą i otworzyły się ich tylne drzwi, a ze środka wyskoczyły pielęgniarki - także w fartuchach, maskach i okularach - wyciągając za sobą wózki transportowe. Były tylko dwa.

Joanna spojrzała zaskoczona na Macka Browna.

- Myślałam, że będzie ich czworo?

- Dwoje zostało skierowanych do innego szpitala.

- A moja siostra?

- Jest tutaj. Zadbalem o to.

Pierwszy wózek przejechał obok Joanny. Leżał na nim młody mężczyzna z bezwładnie otwartymi ustami i wywróconymi gałkami ocznymi. W świetle dnia miał zielonożółtą skórę.

Nadjeżdżał następny wózek; Joanna wstrzymała oddech. Kiedy spojrzała na Kate, poczuła, jak serce w niej zamiera. Siostra wyglądała na umierającą. Oczy miała zamknięte, a skórę tak żółtą, jakby ją pomalowano. Wokół nozdrzy i ust widać było zakrzepniętą krew. Chciała powiedzieć coś do Kate, ale nie zdążyła, gdyż wózek przemknął koło niej, nie zatrzymując się nawet na chwilę.

Chwilę później wszyscy zjeżdżali na dół windą dostatecznie dużą, aby pomieścić całą grupę. Pielęgniarki wcisnęły się między wózki, Joanna i Mack przywarli do ścian, w ścisłości trudno było się nie dotykać. W powietrzu unosił się odór chorych ciał. Jak wszystkie windy towarowe, także i ta poruszała się bardzo wolno.

Młody mężczyzna zaczął coś bełkotać, niewyraźne słowa stanowiły mieszankę angielskiego i włoskiego.

- Oboje co jakiś czas zaczynają się poruszać, czasami coś mówią, ale potem z powrotem zapadają w śpiączkę - odezwała się jedna z pielęgniarek.

- Objawy czynności stabilne? - spytał Mack.

- W miarę. Dziewczyna ma bradykardię, puls pięćdziesiąt cztery, ale ciśnienie w normie.

- To normalne przy zakażeniu wirusowym - rzekł Mack, myśląc zarazem, że namnożony w krwi mężczyzny wirus mógł spowodować zapalenie mózgu, co już samo wystarczyłoby do śmierci.

Joanna patrzyła na swą straszliwie chorą siostrę i ze wszystkich sił musiała się powstrzymać od tego, by jej nie dotknąć i powiedzieć, że jest już w domu i teraz wszystko będzie dobrze.

„O Boże! Pomóż jej! Jest taka młoda! Nie daj jej umrzeć!”

Kabina stanęła z szarpnięciem i otworzyły się drzwi. Grupa spieszenie podążyła korytarzem, na którego końcu znajdowało się Centrum Badań Wirusologicznych, stworzone przed dziesięciu laty i bez przerwy unowocześniane. Dublowało ono USAMRID, główny krajowy ośrodek wirusologiczny. Podobnie jak tam, także w Memorial prowadzono badania nad najbardziej zabójczymi zarazkami, jakie udało się zaobserwować. Memorial wybrano do tej roli, gdyż Mack Brown, który pracował wcześniej i dla CDC, i dla USAMRID, uważany był za jednego z najlepszych specjalistów w tej dziedzinie. Był bez wątpienia najlepszym znawcą wirusa powodującego gorączkę Lassa. W samym centrum przebywać mogli tylko pracownicy i pacjenci. Wstęp miały tu tylko osoby, które zostały zaszczepione przeciwko żółtej febrze, gorączce Rift Valley, febrze Q oraz wirusowi Zachodniego Nilu.

Nagle młody pacjent napał na mocujące go do wózka paski i usiłował się podnieść, jednocześnie bełkocząc coś niezrozumiale.

- Spokojnie, spokojnie, Tommy - przemówiła łagodnie pielęgniarka. - Już za chwilę będziesz leżał na łóżku.

- *Mal di testa!* - krzyknął Tommy.

- Co to znaczy?

Tommy poderwał głowę, zakrztusił się, a potem w powietrze trysnął czarny strumień wymiotów. Wszyscy odskoczyli, rękami ochraniając twarze. Tommym znowu szarpnął skurcz, ale tym razem na ustach pojawiło się tylko trochę piany.

- Cholera! - syknęła wyższa z pielęgniarek. Miała obryzganą przód fartucha.

- Ma pani też trochę na masce - powiedział Mack. - Godzina trzecia.

Siostra zerwała maskę z twarzy, modląc się, żeby wymiocina nie nasączyła tkaniny.

- Na mnie także jest trochę - odezwała się słabym głosem Joanna. Rękawiczki miała w czarnych kropkach. Mack przyjrzał się jej uważnie.

- Masz także trochę na brzegu okularów.

Joanna poczuła, jak zalewa ją fala trwogi. Była pewna, że czuje coś wilgotnego na brwi i podniosła rękę, ale jedna z pielęgniarek chwyciła ją za przegub i z okrzykiem: „Nie dotykać!!!” pociągnęła w boczny korytarz do strefy odkażania. Przez metalowe drzwi z grubymi iluminatorami weszły do niewielkiego pomieszczenia, skąpanego w ciemnoniebieskim ultrafiolecie. Światło było zupełnie zimne, natomiast niszczyło wirusy, rozbijając ich materiał genetyczny i nie pozwalając na rozmnażanie. Joanna usiłowała zachować spokój, z przerażeniem jednak myślała, że jeśli odrobina wymiocin pod okularami przedostała się do oka, to przez spojówkę będzie miała otwartą drogę do wnętrza ciała.

- Tam!

Pielęgniarka popchnęła Joannę do małego przyległego pokoju, z pozbawionymi okien metalowymi ścianami, z których sterczały srebrne końcówki natrysków. Kobieta obejrzała dokładnie maskę, z radością stwierdzając, że nic nie przedostało się do wnętrza, kiedy poleciał silny strumień.

Z początku była to woda, która miała zmyć krew, wymiociny i wszelkie zakaźne substancje, potem - Eviro Chem, środek w zetknięciu z którym wirusy ginęły. Joanna przypomniała sobie słowa pielęgniarki, która ćwiczyła z nią procedurę odkażającą. „A potem tylko trzeba się modlić, żeby żaden wirus nie schował się w jakiejś zmarszczce czy fałdce skóry przed ultrafioletem i Eviro Chemem”. Wtedy te słowa nie zrobiły na niej żadnego wrażenia, ale dzisiaj napęłniły ją lękiem.

Przeszły do następnego pomieszczenia, gdzie zrzuciły wszystko, co miały na sobie, zostawiając to na podłodze.

- Niech pani sprawdzi, czy okulary są szczelne - poleciła pielęgniarka.

- A jak? - spytała Joanna.

- Trzeba je podstawić pod silny strumień wody. Było kilka kropel na górnej lewej części oprawki.

Joanna sprawdziła okulary pod zlewem. Głęboko odetchnęła z ulgą.

- Szczelne.

- To dobrze.

Nałożyły nowe fartuchy, czepki, okulary i rękawiczki, a potem wróciły na opustoszały teraz korytarz. W powietrzu unosił się zapach przywodzący na myśl zatęchły dezodorant.

Po prawej znajdowały się szczelnie zamknięte metalowe drzwi, a napis na nich głosił:

UWAGA!
BEZPOŚREDNIE ZAGROŻENIE ŻYCIA
NIE WCHODZIĆ
MATERIAŁY SILNIE SKAŻONE

Na drzwiach po lewej, z grubym iluminatorem, widniał napis:

UWAGA!
PACJENCI ODIZOLOWANI
WSTĘP TYLKO DLA UPOWAŻNIONEGO PERSONELU

Pielęgniarka nacisnęła pedał w podłodze i drzwi prowadzące do części dla pacjentów otworzyły się. Weszły do małego pokoju z wielkim oknem, przez które widać było teren odizolowany. Znajdowały się tam w tej chwili tylko dwa łóżka, otoczone skomplikowanym sprzętem monitorującym. Jedna z pielęgniarek zakładała kroplówkę, ale Joanna nie mogła rozpoznać, czy chodzi o jej siostrę czy o mężczyznę, widziała bowiem tylko fragment stóp wynurzających się spod prześcieradła.

- Wszystko hermetycznie oddzielone? - spytała Joanna.

- Całkowicie. Nawet powietrze nie może się stamtąd wydostać bezpośrednio. W środku jest podciśnienie, tak że nawet kiedy powstaje jakiś otwór, powietrze jest zasysane.

- Rozumiem, że byli już tutaj pacjenci?

Pielęgniarka zawahała się, ale potem kiwnęła głową.

- Kilka nieostrożnych osób z personelu zaraziło się.

- Czym?

I znowu pielęgniarka zawahała się.

- Nie wiem, czy powinna pani wiedzieć.

Drzwi do izolatki otworzyły się i Joanna poczuła pęd wciąganego powietrza. Mack Brown wszedł i ściągnął maskę.

- Czy coś się przedostało? - spytał.

- Nie - odrzekła pielęgniarka. - Jesteśmy w porządku.

- To dobrze. Ma w sobie całe tony wirusów.

- Dlaczego tak mówisz? - spytała Joanna.

- Bo jest bardzo chory. Wirus rozmnaża się w nieprawdopodobnym tempie, dosłownie w każdej komórce ciała.

I będzie to robił, dodał w myśli, aż całkowicie zniszczy organizm. A potem, nie mogąc już się rozmnażać, całymi dniami, tygodniami, latami, a może i stuleciami będzie czekał na następnego nosiciela, aby w nim zamieszkać. I znowu zacznie się mnożyć.

- Czy można mu jakoś pomóc? - cicho spytała Joanna.

Mack ponuro pokręcił głową.

- Nie.

- Nawet na zasadzie eksperymentu?

- Kiedy już go zidentyfikujemy, wtedy w plazmie pobranej od tych krajowców, którzy przeżyli zakażenie, poszukamy przeciwciał. A jeśli znajdziemy, wtedy będziemy mogli podać pacjentom.

Joanna poczuła przyływ nadziei.

- Sądysz, że to się uda?

Mack Brown zrobił niezobowiązujący gest, myśląc, że do tego czasu najprawdopodobniej wszyscy pacjenci nie będą już żyć.

Telefon na ścianie ożył. Nie dzwonił, tylko buczał i pulsował czerwonym światłem.

Pielęgniarka wzięła słuchawkę, zamieniła kilka słów i spojrzała na Browna.

- Do pana. Wally.

Mack przyłożył słuchawkę do ucha.

- Tak, Wally. - Przez chwilę słuchał uważnie ze zmarszczonymi brwiami. - Jesteś pewien? Sprawdź jeszcze raz!

Brown odwiesił słuchawkę i wpatrzył się przez szybę w pacjentów.

- Wally Orenstein, szef laboratorium. Powiedział, że z krwi, którą otrzymaliśmy z

Gwatemali, udało mu się wyhodować wirusa. Wczesne stadium, ale jednak. - Odetchnął głęboko. - Ma nitkowatą postać, podobnie jak ebola i marburg.

- O, cholera! - zawołała pielęgniarka z wyraźnym strachem w głosie.

Joanna nie mogła przełknąć śliny.

- Ale to tylko podobieństwo, nie ebola, prawda?

- Módlmy się o to!

Mack sięgnął po telefon i wystukał numer CDC w Atlancie.

Rozdział 3

W bibliotece wszędzie stały kwiaty, czyniąc pomieszczenie przyjemnym, jednak Pamela Warren wcale tego nie odczuwała. Popijała z kieliszka brandy i patrzyła, jak jej mąż, William Arthur Warren, przechadza się wzdłuż mahoniowego biurka. Rozmawiał ze swym prawnikiem przez telefon komórkowy.

- Nie wciskaj mi tego prawniczego gówna, ja chcę prostą odpowiedź, tak albo nie! Czy z punktu widzenia umowy przedślubnej wszystko jest w porządku? Jasne, fajnie. I tego pilnuj. Jutro złóż pozew rozwodowy. - Odłożył telefon i spojrzał na żonę. - Umowa przedślubna nie pozostawia żadnych wątpliwości. Podpisałaś ją i teraz musisz się tego trzymać.

- Mój prawnik twierdzi, że mogę dostać więcej - powiedziała Pamela bezbarwnym głosem.

- Jak chcesz, to próbuj, a w efekcie nie dostaniesz nic. - Warren był szczupłym mężczyzną o rzadkich szpakowatych włosach i twarzy pokrytej głębokimi zmarszczkami. - Próbuj.

- Adwokat mówi, że musisz dalej mnie utrzymywać na poziomie, do którego zdążyłam...

- Nic o tym nie ma w umowie - przerwał jej Warren. - I pamiętaj, że w sądzie będziesz musiała pokryć koszty, a ja już się postaram, żeby proces długo się ciągnął.

- Ty sukinsynu! - syknęła, nienawidząc go i władzy, jaką miał nad nią. - Po dziesięciu latach małżeństwa dostaję marne dwieście tysięcy dolarów!

- Zgodnie z umową, po dwadzieścia tysięcy za każdy rok. Wtedy to wydawało się OK, tak?

- Tak.

- A teraz chcesz więcej?

Pamela wolno pokiwała głową, myśląc, jaką była naiwniaczką, kiedy zgadzała się zostać żoną Williama Arthura Warrena. Miał wtedy pięćdziesiąt dwa lata, niemal dwukrotnie więcej od niej, i początki zapalenia wątroby. Poznali się w Memorial Hospital, gdzie była jedną z pielęgniarek wynajętych do opieki nad nim. Zobaczyła dynamicznego, z pasją realizującego swą wolę mężczyznę, który bardzo wcześnie zorientował się, jakie możliwości niesie ze sobą autostrada informatyczna, a jego inwestycje w łączności i komputerach sięgały setek milionów dolarów. Pamelę zaczął zdobywać z takim zdecydowaniem i stanowczością, jak

każdy inny cel, który sobie upatryzył. Obsypywał ją kosztownymi upominkami i zabierał swym prywatnym samolotem na egzotyczne wycieczki.

Zrazu myślała, że kryje się za tym tylko pragnienie chorego człowieka, aby zawsze mieć na podorędziu wykwalifikowaną opiekę. Wraz z tym, jak zastosowano leki obniżające barierę immunologiczną, stan jego wątroby ustabilizował się, a ogólny stan zdrowia poprawił, tymczasem intensywność jego zalotów nie zmniejszała się, aż wreszcie zgodziła się go poślubić. Wcześniej jednak musiała poddać się testom.

Przeklęte testy. Było ich wiele, łącznie z magnetycznym rezonansem całego ciała, analizami krwi, DNA i chromosomów, aby wykluczyć wszelkie prawdopodobieństwo, że jest nosicielem jakichś dziedzicznych chorób. William Arthur Warren chciał dzieci i miały to być dzieci bez żadnej skazy.

Pamela westchnęła głęboko i głośno, obrzucając wzrokiem bibliotekę. Obszerna, z lśniącem parkietem, ceglany kominek z meblami obciągniętymi ciemnobrązową skórą. Chociaż wystrój był bogaty, pomieszczeniu brakowało ciepła, gościnności. Dobrze odzwierciedlało ono charakter Williama Arthura Warrena. Po chwili milczenia spytała:

- Masz jakąś inną kobietę?

- Jeszcze nie.

- Ale planujesz.

- Oczywiście.

- No to musisz dobrze się rozejrzeć, bo niełatwo znajdziesz inną kandydatkę, która równie łatwo jak ja zgodzi się na wszystkie te testy.

Warren uśmiechnął się krzywo.

- Pieniądze wszystko załatwią.

Pamela obróciła w palcach kieliszek, wpatrując się w brandy. Za nią cicho tykał starodawny zegar z wahadłem.

- Czy rozwodzisz się ze mną dlatego, że nie mogłam zająć w ciążę?

- Nie wykonałaś swoich obowiązków.

- Więc to moja wina? - syknęła. - A może gdybyś ty sprawiał się lepiej, to...

- Dostarczałem spermę - przerwał jej ostro.

- Tak, którą moja pochwa mogła przyjmować w najlepszym razie raz na dwa tygodnie.

- Dlaczego jeśli kobieta chce urazić mężczyznę, zaraz musi się zająć jego kutasem?

Powiedz mi.

- Tak się składa, że w twoim przypadku to istotny problem.

- Świetnie, porozmawiajmy o twoich urządzeniach. - Warren wyjął z pudełka cygaro

Davidoffa, obejrzał je i odłożył na biurko. - Twoja macica nie była zdolna przyjąć doskonale zapłodnionego jajeczka.

- To procedura skuteczna w trzech przypadkach na dziesięć - broniła się Pamela.

- No więc miałaś swoje trzy razy.

Na te słowa Pamela poczuła w sobie pustkę. Niemożność poczęcia bardzo jej doskwierała. W sławnej na cały świat klinice w Los Angeles poddała się zapłodnieniu in vitro. Najpierw otrzymała serię zastrzyków powodujących wzmożone jajczkowanie, a przy okazji nudności i nasilone krwawienie. Potem pobrano jej jajeczka, które poza organizmem zapłodniono spermą jej męża i na powrót umieszczono w macicy. Trzykrotnie poddawała się tej procedurze, a wszystko na nic.

- Wszystko na nic - powtórzyła pod nosem.

- Co?

- Nic. - Dopiła brandy i uniosła kieliszek. - Jeszcze bym się napiła.

Warren nacisnął w ścianie guzik przyzywający kamerdynera.

- Jest wtorek, Charles ma wychodne - przypomniała mężowi.

- No to musisz sobie nalać sama.

- Do jasnej cholery! - nie wytrzymała Pamela. - Dotknięcie butelki brandy w niczym nie zagrozi twojej nowej wątrobie!

Warren poklepał się po prawym boku.

- Mam nowiutką przeszczepioną wątrobę, która funkcjonuje znakomicie. Nie będę jej narażał na żadne niebezpieczeństwa. Chyba w ogóle wywalę z domu cały alkohol.

- Najpierw trzeba go wchłonąć, żeby mógł zagrozić wątrobie.

- Żadnego ryzyka! - stanowczo oznajmił Warren. - Mam ją już od roku i sprawuje się bez zarzutu. Świetna zgodność tkanek z dawcą. Zdajesz sobie sprawę, jakie miałem szczęście?

- Szczęście! - prychnęła Pamela. - Ciekawe komu i ile zapłaciłeś?

- O nie, ci ludzie od przeszczepów nie biorą żadnych łapówek. Wszystko jest zresztą obwarowane przepisami.

- Gówna prawda! - stwierdziła Pamela. - Przez cały czas przekupujesz ludzi. Zapłaciłeś za kilka dalszych lat życia, i co dalej? Może jakaś transplantacja, która uczni cię dwudziestoletnim, jurnym ogierem?

Warren spojrzał z nienawiścią na swoją piękną żonę; z jakąż uciechą wypominała mu jego wiek.

- Jutro rano nie chcę już cię tu widzieć. Możesz zabrać tylko to, co na siebie włożysz. Nic więcej.

Pamela obróciła w palcach diament z naszyjnika; ciekawe, czy zerwie go jej z szyi?

- Mam prawo do samochodu - sprzeciwiła się.

- Możesz sobie zamówić taksówkę - oznajmił Warren. - Samochód jest na mnie, nie na ciebie.

- Przyznasz chyba, że niezły z ciebie kawał skurwysyna.

- O nie, moja droga. Przez dziesięć lat dostawałaś, co tylko chciałaś.

Na zewnątrz jakiś metalowy przedmiot spadł na cement i potoczył się po nim. Gdzieś daleko krótko szczeknął pies. Warren spojrzał w okno.

- Co to takiego?

- Pies szuka czegoś w kubie na śmieci - powiedziała obojętnie Pamela.

- Nie, to było bliżej. Jakby ktoś się kręcił przy garażu.

- Zareagowałby system alarmowy.

Warren podszedł szybko do okna i wpatrzył się w trawnik. Spokój, żadnego śladu intruza. Wyciągając szyję, spojrzał w bok, w kierunku garażu; poczuł na skroni chłodny dotyk szyby. Drzwi były spuszczone, kubły stały prosto. Odezwał się pies sąsiada. Poczuł, że Pamela staje obok.

- Widzisz coś?

- Nic.

Raz jeszcze ogarnął wzrokiem trawnik przed piętrową posiadłością w kolonialnym stylu. W domu po drugiej stronie ulicy paliły się światła. Na chodniku pusto. Cisza i spokój, jak zwykle w bogatej okolicy Brentwood. Znowu szczeknięcie psa, tym razem dłuższe i głośniejsze.

- Sprawdzę system alarmowy.

Warren z hallu obwieszzonego litografiami i akwarelami przeszedł do wyłożonej białymi kafelkami kuchni, z obudowaną lodówką, zamrażarką i zmywarką po czym otworzył drzwi do pralni. Tablica na ścianie połyskiwała zielonymi światełkami, co oznaczało, że alarm był włączony.

Postanowił sprawdzić garaż, w którym stał jego packard rocznik 1939. Chciał otworzyć drzwi kluczem, ale zorientował się, że już są otwarte. Wyciągnął rękę w kierunku telefonu na ścianie, ale w tej samej chwili poczuł zimny dotyk metalu na szyi.

- Nie ruszaj się i nie podnoś wrzasku, bo odstrzelę ci pieprzony łeb! - warknął głos za plecami.

Warrena ogarnęła panika; pomyślał, że zaraz zginie, a wraz z nim jego wspianiała nowa wątroba. Życie, na które przedłużono mu umowę, ktoś inny chciał teraz odebrać.

- Bierz, co chcesz, i idź sobie - powiedział cicho.

- Chcę forsy. Musisz mieć jej tu kupę.

- Dziesięć tysięcy. Wszystko, co mam pod ręką - oznajmił drżącym głosem.

- Gdzie?

- W schowku ściennym.

- Idziemy. - Włamywacz lufą pchnął w kark Warrena. - Jeśli uruchomisz jakiś cichy alarm, jak tylko usłyszysz syreny, rozwalę cię. Zrozumiałeś?

- Tak.

- No to rusz się.

Ponowne szturchnięcie.

Przeszli przez kuchnię i hall; Warren przez cały czas czuł dotyk metalu. Serce łomotało jak oszalałe, ale usiłował myśleć logicznie. W kasie pancерnej był rewolwer Smith&Wesson kaliber 38, ale nie strzelał z niego od lat i nie był nawet pewien, czy jest nabit.

- W po... w pokoju ze schowkiem jest moja żona.

- Powiedz jej, żeby zachowywała się spokojnie, jeśli chce mieć męża z całą mózgowicą.

Na progu biblioteki Warren powiedział głośniej, niż zamierzał.

- Pamela, on celuje mi w głowę. Rób wszystko, co każe.

Pamela szeroko rozwartymi oczyma wpatrywała się w zamaskowanego mężczyznę. Wypuszczony kieliszek z brzękiem rozbił się o podłogę.

Włamywacz popchnął Warrena.

- Jazda, otwieraj ten schowek.

Warren ze ściany za biurkiem zdjął olejny obraz, a potem zaczął obracać tarczę w centrum odsłoniętych metalowych drzwi. Pierwsza próba się nie powiodła.

- Przepraszam, jestem zdenerwowany - oznajmił przerażonym głosem.

- Otwieraj, do kurwy nędzy! - warknął bandyta.

Warren powoli i starannie znowu zaczął wykonywać obroty tarczą. Kątem oka widział włamywacza. Wysoki, dobrze zbudowany facet, w masce w stylu Lone Ranger, długie czarne włosy spięte w kucyk.

Pot spływał mu po szyi, kiedy rozległo się wreszcie uległe kliknięcie zamka. Otworzył schowek i zobaczył w środku stosiki banknotów studolarowych, a obok nich rewolwer. Przez chwilę czuł pokusę, by chwycić za broń, ale zaraz ją odegnał.

- Forsa na biurko! - polecił napastnik.

Warren ułożył pieniądze na blacie i cofnął się o krok.

- Bierz i zostaw nas w spokoju.

Zamaskowany mężczyzna nacisnął guzik i włączył aparaturę stereo. Z głośników popłynęły dźwięki uwertury *Rok 1812* Czajkowskiego, włamywacz pogłośnił. Muzyka naśladowała kanonadę.

Warren z niedowierzaniem i przerażeniem patrzył na mężczyznę.

- Przecież...

Tamten strzelił raz za razem, kule rozerwały tchawicę i aortę Warrena, który chwycił się za gardło, a krew natychmiast zalała mu dłonie. Zatoczył się do tyłu, usiłował podeprzeć ręką, która pozostawiła długi, czerwony ślad, kiedy wolno osuwał się na ziemię.

Pamela podskoczyła do męża i uklękła przy nim, badając puls.

- Nie żyje? - upewnił się włamywacz.

- Nie żyje - odparła, wstała i lekko musnęła wargami usta mordercy. - Teraz będę miała ciebie i całą jego fortunę. Wszystkie te miliony.

- Jezu - powiedział cicho. - Jak w raju!

- Jak w raju - powtórzyła za nim Pamela i pogładziła go po policzku. Przyciszyła muzykę i podeszła do okna. Na zewnątrz cisza i spokój. Żadnych krzyków, żadnych psów. Zasunęła kotary i odwróciła się do Tony'ego Boyette'a, który próbował właśnie przepuścić między palcami jeden z plików studolarówek, ale przeszkadzały mu w tym gumowe rękawiczki.

Tony miał trochę ponad trzydzieści lat, był przystojny, miał szeroki uśmiech i wyraziste rysy, od czasu do czasu dostawał jakieś podrzędne rólki filmowe. Pamela poznała go na kursie aktorskim i romansowała z nim od trzech miesięcy. Kiedy podsłuchiwała rozmowę Warrena, z której wynikało, że ten zamierza się z nią rozwieść, namówiła Tony'ego, by zamordował jej męża, po czym żyć będzie w szczęściu i bogactwie.

- Schowaj pieniądze - poleciła - i ściągnij tę maskę.

Mrucząc *Łatwa forsą*, upchnął dolary w kieszeniach dżinsów, a potem wziął cygaro z blatu, wypluł odgryziony koniec i rozejrzał się za zapalniczką.

- Nie ma na to czasu - sucho zauważyła Pamela.

- Cholera, masz rację - mruknął Tony i rzucił cygaro na biurko.

- Weź teraz spluwę ze skrytki i zobacz, czy jest naładowana.

- Tak - potwierdził morderca, sprawdzwszy komory.

- Świetnie. Teraz połóż koło jego prawej ręki.

- We krwi?

- To bez znaczenia - obruszyła się. - Szybciej!

Tony ułożył broń w kałuży krwi, potem zdjął Warrenowi z przegubu rolexa i wyjął portfel z marynarki. W środku były dwa banknoty pięciodolarowe. „Chryste, pomyślał, facet

siedział na milionach, a przy sobie miał marną dychę”.

- Teraz rewolwer, zegarek i portfel włóż do plastikowej torebki, a potem wyrzuć do oceanu.

- Przy brzegu czy daleko?

- Daleko. Wtedy wszystko skończy się happy endem.

- Ja i ty - powiedział Tony i mocno ucałował Pamelę.

- Ty i ja - zawtórowała Pamela i lekko odepchnęła mężczyznę. Głęboko odetchnęła. - Jeszcze tylko ostatni krok.

- Cholera - mruknął Tony. - Nie wiem, czy będę potrafił...

- Zróbże to! - prychnęła z irytacją.

Zacisnął dłoń w pięść i uderzył Pamelę w policzek. Padła na kolana. Twarz natychmiast zaczęła puchnąć, na wargach pojawiła się krew. Z trudem podniosła się z ziemi.

Dotknął zakłopotany jej ramienia.

- Bardzo bolało?

Strąciła jego rękę.

- Kończ do cholery!

- Jesteś pewna?

- Przestań się certolić!

Kolbą rewolweru wyrznął ją w głowę i padła na podłogę jak pień.

Rozdział 4

- Jak on się mógł tu dostać? - spytał po raz któryś Jake Sinclair.

Sierżant Lou Farelli wzruszył ramieniem.

- Nie wiem. Okna i drzwi były zamknięte, żadnych śladów włamania.

- Może miał klucz.

- Albo użył wytrycha. Tylne drzwi nie stanowiłyby problemu dla zawodowca.

- Jakies ślady wokół zamka?

- Nie, ale dziurka w drzwiach jest tak duża, że zmieściłby się ołówek. Mówię, specjalista nie miałby żadnych trudności.

Znajdowali się w kuchni domu Warrenów. W słonecznym świetle kafelki lśniły bielą. Na zewnątrz Jake widział policjantów, którzy dokładnie badali przystrzyżony trawnik w poszukiwaniu śladów. Na przeciwległy chodnik wylegli zainteresowani sąsiedzi. Przyjrzał się tablicy systemu alarmowego z jej zielonymi światełkami.

- Sprawdziłeś w firmie, która to zakładała, czy był wczoraj jakiś sygnał?

- Spokój przez całą noc.

- Więc nasz specjalista znalazł się także na urządzeniach alarmowych.

Farelli przytaknął z posępną miną.

- Tak, naprawdę dobry koleś. Wiedział nawet, kiedy kamerdyner ma wychodne.

Jake zerknął spod oka na kamerdynera, Charlesa Hortona, który siedział sztywno za kuchennym stołem i raz za razem zaciągał się papierosem.

- Jak wiele osób wiedziało, że we wtorki ma pan wolne?

- Trochę. - Był nienagannie ubrany, wysoki i chudy, mówił z brytyjskim akcentem. - Oczywiście, państwo Warrenowie, a także niektórzy z ich przyjaciół. Również wszyscy ze służby: sprzątaczkę, kucharkę, ogrodnik. A ci strasznie pytlują ze służbą z sąsiedztwa, wie pan, jak to jest.

- Tak - mruknął Jake, myśląc, że zawodowiec nie musiałby nawet obserwować domu, żeby się zorientować, kiedy nie będzie Hortona. Wystarczyło porozmawiać z którąś ze sprzątaczek albo z ogrodnikiem. - A kto znał kod wyłączający urządzenie alarmowe?

- Tylko kilka osób - stanowczo powiedział kamerdyner.

- Państwo Warrenowie, najbliżsi współpracownicy pana, no i ja. Tylko że to urządzenie

często się psuło.

- Często?

- Za mojej pamięci dwa razy. - Horton pospiesznym ruchem zgarnął do popielniczki popiół, który spadł na blat. - W zeszłym roku ktoś próbował się włamać do garażu pana Warrena, usłyszeliśmy hałasy i spłoszyliśmy go, ale alarm nie zadziałał.

- Powiadomiliście firmę?

- Oczywiście, ale oni upierali się, że źle go nastaviliśmy, co było jawną głupotą.

- Zatem nie wyklucza pan, że system mógł zawieść także wczoraj wieczorem.

- Mógł.

Albo włamywacz po prostu go wyłączył. Niektórzy z profesjonalistów potrafili wyczyniać prawdziwe cuda z systemami alarmowymi, a większość domowych instalacji nie była nazbyt skomplikowana.

- A czy potem zdarzały się jeszcze próby włamań?

- Nie, sir.

- Mogłoby się zdarzyć, że doszło do takich prób, ale pan Warren nie poinformował o nich pana?

- Absolutnie nie - zdecydowanie zaprzeczył Horton. - W takich sprawach pan Warren zdawał się całkowicie na mnie. Pracowałem u niego od dwudziestu lat.

- W pana opinii był nerwowy, może przygnębiony?

- Wprost przeciwnie. Już dawno nie był w tak dobrej formie jak ostatnio.

- Kiedy widział go pan ostatni raz?

- Wczoraj przed szóstą. Jechałem do opery w San Diego, a on życzył mi dobrej podróży i udanego spektaklu.

- I to pan znalazł go dziś rano, tak?

- Tak. - W głosie Hortona pojawił się żałobny ton. - Przyszedłem tuż przed siódmą i znalazłem ich oboje w bibliotece.

- Dziękuję, to wszystko - powiedział Jake i odwrócił się, ale natychmiast znowu spojrzął na kamerdynera. - Nie, jeszcze jedno pytanie. Czy pan Warren nie miał jakichś zatargów z osobami ze służby?

- O, nie - pospiesznie zapewnił Horton. - Wszyscy są wierni i lojalni, a on zawsze traktował nas dobrze.

- Proszę na razie nie opuszczać terenu posiadłości. Może będą nam potrzebne jakieś wyjaśnienia.

- Tak jest, sir.

Jake i Lou wyszli do hallu pokrytego grubym dywanem. Detektyw z grupy technicznej klęczał i zabezpieczał błotniste odciski, które przypominały podeszwy sportowych butów.

- Jaki typ? - spytał Jake.

- Chyba jakiś adidas - odparł zapytany. - Rozmiar i model będę mógł podać niedługo.

Poszli dalej, mijając wiszące na ścianach malowidła. Jedno wyglądało na Picassa, ale Jake nie potrafiłby powiedzieć, czy to oryginał.

Sporządź listę wszystkich, którzy byli tu zatrudnieni, i sprawdź ich rachunki bankowe - polecił Farellemu. - Pilnować wszystkich, czy w ciągu najbliższych kilku tygodni nie będą mieli jakichś poważniejszych wydatków, jakieś samochody, aparatura stereo, te rzeczy.

Lou uśmiechnął się lekko.

- Horton powiedział, że są wierni i lojalni. Zdaje się, że mu nie ufasz?

- Nie płacą mi za zaufanie - odrzekł Jake. - Hortona, oczywiście, też sprawdzić.

Weszli do biblioteki. Kotary nadal były zaciągnięte, światła zapalone, w powietrzu unosił się zapach stęchłej krwi. Jake i Lou odsunęli się, robiąc miejsce ekipie techników śledczych.

Po drugiej stronie biurka młoda kobieta klęczała, wpatrując się w krwawy ślad ręki na ścianie. Zmrużył oczy i przysunął się bliżej.

- A to kto znowu? - mruknął do Jake'a.

Lori McKay, nasz nowy ekspert medyczny - odrzekł zapytany.

- Cholera - skrzywił się Farelli. - Można by pomyśleć, że jest młodsza od mojej córki.

- Bo chyba i jest.

- Taka dobra? - spytał konfidenckim szeptem Lou.

- Niezła, chociaż nie taka dobra, za jaką się uważa.

Nachylili się nad biurkiem. Na dywanie leżały zwłoki Williama Arthura Warrena z otwartymi oczyma i opadłą szczęką. Krew pokrywała szyję i pierś, ciemną kałużą zastygłą obok ciała. Przy ręce Warrena leżał Smith&Wesson kaliber .38.

- No i co pani stwierdziła, Lori?

- Nie lubię, gdy ktoś zwraca się do mnie po imieniu - odpowiedziała surowo. - Pani McKay czy doktor McKay brzmi znacznie lepiej.

- Jasne - powiedział Jake, zastanawiając się, czy młode osoby zawsze muszą być tak drażliwe na swoim punkcie. - Co pani stwierdziła, pani McKay?

- Stwierdziłam tyle, ile dało się zobaczyć - odrzekła Lori, ściągając lateksowe rękawiczki.

- Morderca zjawił się trochę po ósmej...

- A skąd pani wie? - przerwał jej Farelli.

Lori zmierzyła go uważnym spojrzeniem.

- A pan kim jest?

- Sierżant Farelli, do usług.

- Doktor McKay - odrzekła i wskazała na błotnisty ślad na małym perskim dywaniku. - Nie ma błota na butach denata, więc musiał je wnieść morderca. Dopiero o ósmej włączyły się zraszacze trawników, dlatego przypuszczam, że musiał wejść do domu po tej godzinie.

- A skąd wiadomo, że dywanik był wcześniej czysty? - zainteresował się Jake.

- Był czysty, kiedy kamerdyner o szóstej opuszczał dom.

- Słusznie - powiedział detektyw i z uznaniem pokiwał głową. Może i drażliwa na swoim punkcie, ale nie bez powodu.

- Morderca zaskoczył Warrenów - ciągnęła Lori. - Pani Warren siedzi w fotelu i pije brandy. W przerażeniu wypuszcza kieliszek, który rozbija się na podłodze. Bandyta każe Warrenowi otworzyć sejf, a sterroryzowany mężczyzna wykonuje polecenie, ale bierze rewolwer ze schowka i odwraca się do napastnika. Z powodu tego idiotycznego zachowania zostaje zastrzelony na miejscu. Żona rzuca mu się na ratunek i zostaje ogłuszona ciosem w głowę. Nad skronią ma guza wielkości pomarańczy. Morderca zabiera pieniądze i ucieka.

Jake'owi coś w tym wszystkim nie pasowało. Jeśli Warren rzeczywiście troszczył się o żonę, to nie powinien podnosić broni na celującego do nich napastnika. Głupie zachowanie człowieka, który uchodził za wielkiego spryciarza. To bez sensu.

Dostrzegł na podłodze mały skrawek brązowego papieru. Ukląkł na czworakach i ostrożnie powąchał.

- Pachnie tytoniem.

Lori wskazała palcem na biurko.

- Niezapalone cygaro z odgryzionym końcem. Paczkę takich samych Davidoffów Warren miał w marynarce. Pewnie nie zdążył zapalić.

- Może - powiedział Jake i odwrócił się do Farellego. - Niech chłopaki z technicznego sprawdzą, czy ten fragment pasuje do cygara. No i, rzecz jasna, odciski palców.

Farelli natychmiast zapisał w notatniku.

Do pokoju wszedł młody policjant i podszedł do Jake'a.

- Panie poruczniku, lekarz pani Warren chciałby z panem rozmawiać.

- Proszę wprowadzić.

Policjant cofnął się na próg i dał znak czekającemu na zewnątrz doktorowi Stevenowi Kaye'owi. Kiedy wszedł, zobaczyli wysokiego mężczyznę w średnim wieku, o uważnych brązowych oczach i przedwcześnie posiwiałych włosach. Leczył rodzinę Warrenów przez ostatnie dziesięć lat.

- Przepraszam, że przeszkadzam, poruczniku - powiedział z bostońskim akcentem.

- Nic nie szkodzi. W czym problem?

- Panią Warren trzeba przewieźć do szpitala - powiedział Kaye, bawiąc się zawieszonym na szyi stetoskopem. - Odniosła poważne obrażenia. Nie można wykluczyć pęknięcia czaszki.

- Czy jest jakaś szansa, żebyśmy z nią porozmawiali?

Kaye pokręcił głową.

- Odzyskuje świadomość i znowu ją traci. Wątpię, by jej odpowiedzi można było traktować jako wiarygodne.

- Proszę nas zawiadomić, jak tylko nastąpi jakaś poprawa.

Kaye spojrział na ciało Williama Arthura Warrena i ze smutkiem pokręcił głową.

- Jakaż to tragedia w sytuacji, kiedy przeszczep tak dobrze się przyjął.

Jake zmarszczył czoło.

- Przeszczep?

- Wątroby - wyjaśnił Kaye. - Pan Warren cierpiał na postępujące zapalenie wątroby, która w zeszłym roku zaczęła bardzo gwałtownie niedomagać. Miał już przed sobą tylko kilka tygodni życia, gdy znaleziono mu dawcę i zrobiono przeszczep. Niemal doskonała zgodność tkanek z nastolatkiem, który zginął w wypadku drogowym. - Kaye zdjął stetoskop i schował do kieszeni. - Może dobrze byłoby skontaktować się z Memorial, gdzie robiono mu przeszczep. Mogą chcieć pobrać próbki tkanek, aby zbadać, jak funkcjonowała transplantowana wątroba.

Lori McKay zrobiła krok w jego kierunku.

- Nie wolno ruszać ciała, to sprawa koronera.

Kaye odczytał jej nazwisko z plakietki.

- Oczywiście, że takie decyzje należą do pani jako patologa. W każdym razie zwracam uwagę, że takie badania, o jakich wspomniałem, mogą być bardzo ważne z punktu widzenia dalszych przeszczepów.

- Mogę zaprosić kogoś od nich, aby asystował przy sekcji zwłok, którą będę przeprowadzać.

- To pewnie dobry pomysł - powiedział Kaye, ale w głosie nie skrywał sceptycyzmu - tyle że jak pani dobrze wie, zwłoki czasami leżą kilka tygodni w kostnicy, zanim dojdzie do sekcji. Nie można też wykluczyć, że tam gdzie chodzi o przeszczep, potrzebna jest jakaś swoista procedura w trakcie sekcji.

Lori przygryzła wargi.

- Istotnie, nie mogę przewidzieć, kiedy odbędzie się sekcja.

- Więc może dlatego lepiej byłoby wezwać tutaj patologa z Memorial, żeby pobrał odpowiednie próbki.

Lori w milczeniu zastanawiała się nad propozycją a Jake z aprobatą przyglądał się doktorowi Kaye. Mówił spokojnie, bez żadnej zaczepności w głosie, bardzo umiejętnie dawał sobie radę z tak drażliwą osobą jak Lori McKay.

- Tylko tego mi brakuje, żeby, zanim ja cokolwiek stwierdzę, oni pakowali w ciało swoje próbki.

- Nawet nie wyobrażałem sobie, że mogłoby się to odbyć inaczej niż pod pani nadzorem.

- W porządku - z ociąganiem zgodziła się Lori. - Tylko niech pan dopilnuje, żeby przysłali kogoś, kto naprawdę zna się na rzeczy i niczego nie zawali.

- Oczywiście - powiedział Kaye. - To musi być prawdziwy specjalista.

*

Joanna Blalock przedzierała się przez tłum gapiów, dziennikarzy i kamerzystów, którzy zgromadzili się przed domem Warrenów. Zanurkowała pod taśmą odgradzącą teren zbrodni i koło krzewu różanego ruszyła ku wejściu. Stojący na straży policjant poznał ją i podniósł rękę, niedbale salutując.

- W bibliotece po lewej, pani doktor - poinformował.

Weszła do foyer lśniącego białym marmurem. Przed sobą miała wielki salon z kremowym dywanem i meblami o granatowej tapicerce. Na przeciwległej ścianie wisiały dwa obrazy autorstwa Juana Miró. Pokój był piękny, uderzyło jednak Joannę jego zimno i niegościnnosc.

Poszła w lewo korytarzem, omijając zaznaczone kredą miejsca na dywanie, gdzie zabłocone buty zostawiły ślady. Biblioteka była utrzymana w tonacji ciemnego brązu. Jakoś nie bardzo pasowała do całej reszty obfitosc kwiatów. Przy zwłokach stał Jake i rozmawiał z jakąś dziewczyną.

Zupełnie się nie zmienił, pomyślała. Może tylko odrobinę przytył, ale nadal był bardzo atrakcyjny, bez trudu mógł zainteresować każdą kobietę. Tak, tak, miał wiele zalet - ale wiele też bardzo poważnych wad, musiała natychmiast upomnieć samą siebie. Jak chociażby kompletna nieczulość! Boże, jaki potrafił być bezmyślny, kompletnie głuchy na potrzeby innych osób. Właśnie wtedy, kiedy potrzebowała go najbardziej, on sobie w najlepsze zniknął. No, ale przynajmniej miała to już za sobą. Ani myślała zapominać tej trudnej lekcji, którą odebrała: nigdy i w niczym nie być zależną od Jake'a Sinclaira.

- Witaj Jake - powiedziała obojętnym tonem.

- O, Joanna, witaj! - odpowiedział, pokazując w uśmiechu biel zębów. - Co u ciebie?

- Wszystko w porządku? A jak z tobą?

- Jak dawniej. Ciągłe uganiem się za złymi facetami. - Zrobił gest w kierunku Lori. -
Pozwól, że przedstawię ci doktor McKay z biura koronera. Panno McKay - doktor Joanna Blalock.

Obie kobiety lekko pochyliły głowy i powiedziały niemal jednocześnie:

- Miło panią poznać.

Joanna szybkim spojrzeniem zlustrowała Lori, która wydawała się taka młodziutka. A może to po prostu Joanna była coraz starsza.

- Jak długo pracuje pani w biurze koronera? - spytała.

- To mój pierwszy tydzień.

- Ale z pewnością wydaje się pani, że trwa to znacznie dłużej. Pamiętam, że moje początki były straszne.

Lori wzruszyła ramieniem, nie chciała bowiem tracić czasu na towarzyskie pogawędki. Już i tak była poważnie spóźniona. Czekają na nią jeszcze morderstwo popełnione gdzieś w hrabstwie Wilshire, a także dwie sekcje zwłok w kostnicy miejskiej.

- Co pani skończyła? - dociekała Joanna.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - zniecierpliwiała się Lori.

- Niektóre uczelnie są szczególnie dobre w wybranych zagadnieniach patologii. Nawet jeśli nie teraz, może to być ważne w przyszłości - wyjaśniła Joanna.

- John Hopkins - powiedziała Lori z głośnym westchnieniem.

- A czy miała pani okazję zetknąć się z profesorem Kidderinanem?

Lori pokręciła głową.

- Niestety, zmarł, zanim zaczęłam studia.

- To był wspaniały człowiek - powiedziała Joanna, myśląc, ile mu zawdzięczała. - Jego śmierć, to była wielka strata.

- No cóż, czas płynie i wszystko się zmienia.

„Tyle w niej ciepła, co w stole laboratoryjnym”, pomyślała Joanna i uznała, że czas kończyć uprzejmości. Spojrzała na zwłoki.

- Może zechce mnie pani wprowadzić w sprawę.

Lori uniosła brwi z niedowierzaniem.

- Wprowadzić? Proszę wziąć swoją próbkę wątroby, a resztą ja już się zajmę.

Teraz z kolei brwi Joanny się uniosły.

- A to co znowu za maniery? Jestem ordynatorem medycyny sądowej w Memorial, a pani

mnie traktuje jak jakąś laborantkę!

Lori z płomieniem w oczach obróciła się do Jake'a.

- To pana sprawka, tak?

Jake wzruszył ramionami.

- Zrobiłem tyle, że zadzwoniłem do Memorial, wyjaśniłem w czym rzecz i powiedziałem, żeby przysłali kogoś z doświadczeniem w patologii.

- I trzeba trafu, że przyjechała sama ordynator? - Głos Lori był na pograniczu krzyku. Detektyw stojący przy drzwiach z wielkim zainteresowaniem zaczął się wpatrywać w okno.

Jake bezradnie rozłożył ręce.

- No cóż...

Twarz Lori była purpurowa.

- To sprawa koronera. Nikt nie ma prawa dotykać ciała ani manipulować przy nim bez mojego zezwolenia. Czy to jasne?

- Jasne jest to, że nie mam czasu ani cierpliwości na takie głupoty - powiedziała Joanna, patrząc na Jake'a, i odwróciła się. - Tyle w tej sprawie, żegnam wszystkich.

- Zaraz, chwilkę - zawołał Jake. - Przyjrzyj się ciału, a ja w tym czasie chciałbym zamienić na osobności kilka słów z doktor McKay.

- Nie bardzo rozumiem, jaki pożytek z zewnętrznych oględzin - mruknęła Joanna.

- Dosłownie parę chwil - zapewnił Jake, wziął za łokieć Lori i pociągnął ją na korytarz, gdzie dał znak wartującemu policjantowi, aby odszedł trochę dalej.

- Nie, nie, panie poruczniku, niech pan mnie nie usiłuje straszyć - z irytacją zwróciła się do detektywa Lori. - Znam swoje obowiązki jako medycznego eksperta koronera i wypełnię je co do joty.

- Właśnie tego od pani oczekuję - oznajmił Jake.

- Wiem także, jakie mi przysługują prawne narzędzia, których nikt nie może mi odebrać, a już najmniej pan. - Mówiła wprawdzie spokojnie, ale widać było, że jest na niego wściekła za ściągnięcie Joanny Blalock. - Tylko ja mogę podejmować jakiegokolwiek decyzje w związku z ciałem. Panu nic do tego.

Jake ze wszystkich sił starał się zapanować nad sobą, co nie bardzo mu się udało.

- A teraz niech pani mnie dokładnie posłucha. Daję pani szansę, żeby wyjść z tej historii z twarzą, i dowiedzie pani tylko swej głupoty, jeśli z tego nie skorzysta.

- Co takiego? Jak pan śmie?

Jake rozejrzał się, aby być pewnym, że istotnie nikt ich nie słyszy, a potem kciukiem wskazał bibliotekę.

- To nie jakiś stary kościotrup, który nikogo nie obchodzi. To ciało multimilionera, który miał więcej władzy i znajomości, niż może pani to sobie wyobrazić. Ze względu na osobę, media będą się przy tym kręcić jak muchy przy psim gównie.

- No i co z tego?

- Jeśli szybko nie rozwiążemy tej sprawy - co jest możliwe - zaraz pojawią się pytania, dlaczego tak się stało. Szybko wyjdzie na jaw, że to pani była medycznym ekspertem, a jak stwierdzą, że wygląda pani na szesnaście lat i jest w biurze koronera dopiero od tygodnia, rozerwą panią na strzepy. Zjedzą żywcem, może ochrzczą jako Shirley Tempie McKay. A jeśli jeszcze się zdarzy, że ktoś z fachowców wynajdzie jakiegoś pani zaniedbanie, jest pani skończona. Może się pani raz na zawsze pożegnać z nadziejami na dobrą pracę. Do końca kariery będzie pani w jakiejś podrzędnej kostnicy kroić zwłoki leżące tam od miesiąca..

- Ale może wcale niczego nie zaniedbam - sprzeciwiła się Lori, ale w jej głosie było odrobinę mniej pewności.

- Oby, ale nie podobna tego wykluczyć - ciągnął Jake, ścisząc głos, gdyż akurat przechodził obok nich jeden z policjantów. - Mnie też może się to przydarzyć i dlatego zawsze jestem zadowolony, jeśli jeszcze ktoś przyjrzy się sprawie.

Lori spoglądała w bok i rozważała słowa Jake'a. Znowu jej wygląd stawał się przyczyną kłopotów, ale niezależnie od tego, musiała przyznać, że detektyw ma rację. Gdyby pomimo wszystko zdarzyło się jakieś przeoczenie, będzie mogła się powołać na Joannę Blalock jako swoją konsultantkę.

- Tak czy owak, to moja sprawa. Ja nią kieruję.

- Oczywiście.

- Niezależnie od tego, co stwierdzi szanowna pani ordynator.

- Niezależnie.

Zrobili krok w kierunku biblioteki, ale Lori zdążyła jeszcze mruknąć:

- Wie pan chyba, że nie przepadam za panem.

- Spróbuję z tym jakoś żyć.

W bibliotece było już jaśniej, gdyż rozsunięto kotary. Joanna na klęczkach uważnie przypatrywała się dłoni Warren'a i rewolwerowi. Rzuciła okiem w kierunku wchodzących, ale zaraz wróciła do swego szkła powiększającego.

Patrząc na nią, Jake myślał, że nadal jest piękna, kto wie nawet, czy nie piękniejsza niż wtedy, kiedy sześć lat temu zobaczył ją po raz pierwszy. Miała regularne arystokratyczne rysy, ciemnobrązowe oczy i płowe włosy zebrane z tyłu i spięte klamrą, gładką, jedwabistą skórę i tylko wokół oczu bardzo szybko zaczęły się pojawiać zmarszczki, widoczne jednak

tylko wtedy, gdy się serdecznie uśmiechała. Ten uśmiech niezmiennie zapierał mu dech, gdyż zawsze miał wrażenie, iż jest przeznaczony właśnie dla niego. Tak, to ten rodzaj urody, który nie przemija z wiekiem, uznał Jake.

- Bardzo nam zależy na pani opinii - powiedziała Lori jak gdyby nigdy nic. - Jeśli pani chce, to wprowadzę panią w szczegóły.

- Świetnie - powiedziała Joanna i powstała, zastanawiając się zarazem, jak też Jake'owi udało się tak szybko nakłonić tę małą arogantkę do zmiany zdania.

Słuchała w milczeniu, gdy Lori opisywała ciąg wypadków, które doprowadziły do śmierci Williama Arthura Warrena. Dramatycznie została przedstawiona chwila, gdy broń wypada Warrenowi z ręki, a on sam zatacza się na ścianę i osuwa po niej, zostawiając widoczny krwawy ślad.

- Kałuże krwi na dywanie są niewielkie - zauważyła Lori - przypuszczam więc, że doszło do znacznego wylewu wewnętrznego.

- Ciekawe, że pomiędzy kałużami a ranami w szyi nie ma połączenia - zauważyła Joanna. Lori wzruszyła ramionami, najwyraźniej wcale nie uważając tej okoliczności za ciekawą.

- Mnóstwo krwi było na koszuli. Zresztą trochę mogło spłynąć na podłogę, zanim upadł. Przypuszczam, że rewolwer wysunął mu się z dłoni, a on przez chwilę chwiał się, zanim poleciał na ścianę, i wtedy krew mogła skapnąć na dywan. To dlatego broń jest zakrwawiona.

Joanna wolno pokiwała głową.

- A zatem sądzi pani, że Warren został postrzelony, upuścił broń i ją zakrwawił, zanim zwałił się na podłogę.

- Przecież o tym świadczą ślady - powiedziała Lori.

- To dlaczego nie ma krwi na wierzchu?

Lori spojrzała na rewolwer; istotnie metalowa powierzchnia była gładka. Przy użyciu długopisu podniosła Smitha&Wessona, pod którym ukazała się zakrzepnięta krew.

- Może krwawiąc, upadł na kolana i dopiero potem wypuścił broń - zaryzykowała Lori.

- Żeby potem wstać i osunąć się po ścianie? Nie, to się nie zgadza.

- To co, sugeruje pani, że to ktoś inny umieścił krew na rewolwerze?

- Jest taka możliwość - powiedziała w zamyśleniu Joanna, zastanawiając się jednocześnie, czy Warren próbował oddać strzał, ale napastnik wyrwał mu rewolwer i sam strzelił. Potem mógł rzucić odebraną broń w dowolnej chwili. Raz jeszcze spojrzała na Smitha&Wessona, w którym nie brakowało ani jednego naboju. - Mógł to zrobić morderca. Uważajcie na odciski palców.

Joanna rozważała jednak także i inne możliwości. Zabójca mógł przypadkowo kopnąć

rewolwer, opuszczając miejsce przestępstwa. Mógł go podnieść, a potem bezwiednie odłożyć kamerdyner, kiedy zorientował się, że ma do czynienia z morderstwem. Tak, możliwych rozwiązań było wiele, ale wszystkie równie problematyczne. A najważniejsze: gdyby to Warren upuścił rewolwer, krew powinna być na całym rewolwerze, a tymczasem jej nie było.

Podeszła do biurka i przyjrzała się cygaru z napoczętym końcem.

- Odgryziony fragment znaleźliśmy na podłodze - oznajmiła Lori. - Zapewne pan Warren miał je właśnie zapalić, kiedy zjawił się bandyta.

Joanna zbadała koniec pod szkłem powiększającym.

- Skąd wiadomo, że odgryzł je Warren?

- Warren miał w kieszeni pudełko takich samych Davidoffów - odparła Lori.

- To jeszcze o niczym nie świadczy. Morderca mógł sobie wziąć jedno jako łup.

Jake pokiwał głową.

- Sprawdzimy ślady.

- Także niech stomatolog zbada cygaro, czy w śladzie po ugryzieniu nie ma jakichś szczególnych cech.

Lori poczerwieniała. Cholera, w ogóle o tym nie pomyślała. Miała tyle czasu, a tymczasem zachowała się jak kompletna amatorka.

Za oknem odezwała się syrena, Jake podniósł wzrok na ambulans parkujący na podjeździe. Dziennikarze próbowali podążyć za nim, ale zostali zatrzymani przez dwóch policjantów.

- Gdzie odbędzie się sekcja? - spytał.

- W kostnicy miejskiej - natychmiast oznajmiła Lori. - Tutaj nie może być żadnych wątpliwości.

- A ja jednak sugerowałabym, żeby się pani nad tym zastanowiła - powiedziała Joanna. - Specjaliści od przeszczepów mogliby wiele skorzystać.

- Mogą obserwować sekcję, którą przeprowadzę.

- To nie to samo i dobrze pani o tym wie - rzekła Joanna z odcieniem irytacji w głosie. Zaraz się opanowała, ale czuła, że niełatwo będzie uporać się z kimś, kto ma takie wygórowane ambicje. - Naprawdę nie można by tego zrobić w Memorial?

- Ale wtedy to przestaje być moja sprawa.

- Mogę wszystko załatwić.

- Ja przeprowadzam, nikt mi nie przeszkadza i cały personel wykonuje moje polecenia? - To zabrzmiało dla Lori bardzo atrakcyjnie. Przeprowadzać samodzielną sekcję w Memorial Hospital, mając do dyspozycji cały jego personel... W życiorysie całkiem niebagatelna

informacja.

- Tak.

- A wszystkie pobrane tkanki idą do koronera do dalszych analiz?

- Z wyjątkiem tych, które będzie chciała zachować transplantologia.

Lori szukała, gdzie jeszcze może kryć się pułapka, ale potem kiwnęła głową.

- W porządku.

Joanna uśmiechnęła się.

- W ten sposób wszyscy będą zadowoleni.

Lori odniosła wrażenie, że pułapka oto się odsłoniła.

- A pani w ten sposób będzie mogła mieć na mnie oko. To o to chodzi, prawda?

- Także i o to - powiedziała kpiąco Joanna.

W drzwiach stanął doktor Steven Kaye i zwrócił się do Jake'a:

- Poruczniku, zabieramy panią Warren do szpitala.

- A czy mógłbym jej zadać kilka pytań? To naprawdę bardzo ważne.

Kaye zawahał się i widać było, że zgodę wyraża z największą niechęcią.

- Ale nie więcej niż trzydzieści sekund.

Jake szybkim krokiem opuścił bibliotekę, a za nim podążyły Lori i Joanna. Pamela Warren leżała na wózku, przymocowana, aby nie mogła spać. Jej uroda była uderzająca, nawet kiedy na jej głowie widniał ogromny guz. Włosy miała potargane, oczy zapuchnięte i niemal zupełnie zamknięte, jeśli nie liczyć wąskich szparek. Na szyi połyskiwał naszyjnik z diamentami i perłami.

Jake nachylił się nad poszkodowaną.

- Pani Warren, czy potrafiłaby pani opisać człowieka, który zastrzelił pani męża?

Pamela leciutko pokręciła głową i odpowiedziała szeptem:

- Miał maskę.

Jake zaklął w duchu.

- A czy pani mąż chciał do niego strzelić?

- Nie... nie jestem pewna. - Powieki zaczęły jej opadać.

- Było... tak... szybko.

- Dobrze, jedziemy - powiedział Kaye i zrobił gest pod adresem załogi karetki.

Jake odprowadził ich wzrokiem.

- Dziwny jakiś ten włamywacz - powiedział w zamyśleniu.

- Albo głupi - zawtórowała mu Joanna.

Lori przenosiła wzrok z jednej twarzy na drugą, najwyraźniej musiała czegoś nie

dosłyszeć.

- O czym mówicie? - nie wytrzymała.

- Diamenty i perły - mruknął Jake.

- Jakie diamenty, jakie perły?

- Naszyjnik. Włamywacz go zostawił. Facet opróżnia schowek, zabiera ofierze portfel i zegarek, ale zostawia naszyjnik wart minimum dziesięć tysięcy. Bardzo to dziwne.

- Może po zastrzeleniu Warrena tak się spłoszył, że chwycił to, co było pod ręką, i uciekł.

- Może - zgodził się Jake, ale zupełnie w to nie wierzył, gdyż poza tym nie było żadnych śladów paniki i pośpiechu. Niewiele śladów: kilka odcisków na dywanie, może odgryziony koniec cygara.

Nagle coś przyszło mu do głowy i rzuciwszy przez ramię: „Zaraz, gdzie kamerdyner”, ruszył korytarzem.

Horton nadal siedział za kuchennym stołem, teraz napoczynając drugą już dzisiaj paczkę papierosów. Obok niego Farelli przygotowywał raport.

- Panie Horton - spytał Jake - czy pan Warren palił cygara w bibliotece?

- Tak, panie poruczniku. Najczęściej palił je w bibliotece.

- A czy odgryzał koniec cygara?

- Nie, zawsze obcinał.

- Więc mało prawdopodobne, żeby wypluł koniec na dywan.

Horton był wyraźnie poruszony samym tym przypuszczeniem.

- Zupełnie nieprawdopodobne. Pan Warren był bardzo przywiązany do porządku.

- No proszę - powiedział Jake. - Wychodzi na to, że nasz człowiek specjalnie się nie spieszył. Zainteresował się cygarem. Miał zatem czas, żeby zobaczyć naszyjnik.

- Pani Warren ma długie włosy - myślała na głos Joanna.

- Mogły zakryć naszyjnik, a jemu nie przyszło na myśl, żeby ją odwrócić, kiedy upadła.

Jake spojrzał na Farellego.

- W jakiej pozycji znaleziono panią Warren?

- Leżała na plecach, twarzą do góry.

Joanna kiwnęła głową.

- Zatem widział naszyjnik.

- To dlaczego go nie wziął? - spytał Jake.

Joanna bezradnie wzruszyła ramionami.

- To trochę bez sensu, prawda? - mruknął Jake i wyszedł z kuchni.

Rozdział 5

- Twoja siostra jest bardzo poważnie chora - stwierdził Mack Brown. - Ma już bardzo wysoki poziom enzymów wątrobowych, i nadal wzrasta.

- Czy można na to coś poradzić? - spytała Joanna, a jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

- Ja nie znam żadnych środków. Pozostaje nam tylko obserwować i czekać w nadziei, że ten proces sam się zatrzyma, a potem zacznie cofać - powiedział Mack, zarazem zastanawiając się, czy to dobry moment, aby wyraźnie oznajmić Joannie, że jej siostry najpewniej nie uda się już uratować. Wszystkie organy zostały zaatakowane przez wirus; fakt jej śmierci należało właściwie uznać za przesądzony. Najgorzej było z wątrobą, która już niebawem zaprzestanie wszelkich funkcji. Jej niewydolność oznaczała śmierć.

Oczy Joanny wpatrzonyj w grubą szybę, oddzielającą ich od hermetycznie izolowanego oddziału, zaszyły łzami. Siostra leżała bez ruchu. Zmieniająca kroplówkę pielęgniarka miała osłonięty każdy skrawek ciała.

- A gdyby - odezwała się Joanna drżącym głosem - podać jej plazmę tych krajowców gwatemalskich, którzy przeżyli zakażenie?

- W każdej chwili powinna do nas dotrzeć, ale i tak nie będę mógł jej podać, a przynajmniej na razie.

- Dlaczego? Siostra leży umierająca, więc jakie...

- Posłuchaj mnie, Joanno! - Mack Brown położył delikatnie rękę na ramieniu koleżanki. - Ciągłe nie wiemy, dzięki czemu udało im się pokonać wirusa, czy to za sprawą przeciwciał, czy też może dzięki jakiejś innej formie naturalnej odporności. A co najważniejsze, wcale nie możemy być pewni, że w ich krwi nie ma całych ton wirusów, chociaż czują się dobrze. To najgorsze, co moglibyśmy zrobić: do wirusów już obecnych w ciele twojej siostry dodać jeszcze nowe.

- Nie można zbadać tej plazmy na obecność wirusa?

- Jeszcze go nie zidentyfikowaliśmy. Dojrzewa, przybiera określoną postać i szybko umiera.

Joanna pokiwała głową; wiedziała teraz, na czym polega problem. Zanim nie wyizoluje się wirusa i go nie zidentyfikuje, nie można było stwierdzić, czy czyjaś krew bądź plazma

zawiera antyciała czy nie, podobnie jak nie można było opracować metod pozwalających ustalić, czy ktoś ma wirusa we krwi. Podobnie rzecz przedstawiała się z AIDS. Do czasu wyizolowania wirusa HIV, nikt nie wiedział, jak i dlaczego choroba się przenosi i rozprzestrzenia. Zanim jednak zidentyfikuje się wirusa, którym zarazona była Kate, mogą upłynąć całe tygodnie, a nawet miesiące. Długo, o wiele za długo.

- Jeśli jej stan będzie się pogarszał - powiedziała Joanna - chyba trzeba jej podać tę plazmę, nawet jeśli nie jesteśmy pewni, że nie ma w niej wirusów.

- To bardzo ryzykowne.

Joanna zacisnęła szczęki.

- Ale nie mogę tutaj stać bezczynnie i przypatrywać się, jak ona umiera.

Mack pomyślał, że jeśli nie wydarzy się cud, będą skazani na taką bezczynność.

- Trzeba czekać; może jej stan samoczynnie zacznie się poprawiać.

- Więc jest jakaś szansa, że da sobie z tym radę.

- Jakaś jest - odparł, nienawidząc sam siebie za podsycanie płonnej nadziei.

- Czy mogę ją zobaczyć?

- Oczywiście.

Mack wcisnął pedał w podłodze i ciężkie metalowe drzwi otworzyły się z sykiem. Przeszli przez nie, czując, jak działa podciśnienie. W sali nie było okien, w powietrzu unosił się słodkawy zapach środków dezynfekujących. Na monitorach rozmieszczonych nad łóżkiem Kate Blalock widać było diagramy pulsu i ciśnienia krwi.

- Pamiętaj - upomniał Mack - że możesz ją dotknąć, ale nie możesz jej całować.

Spojrząwszy na siostrę, Joanna z największym trudem oparła się chęci, żeby chwycić ją w ramiona i powtarzać, że teraz wszystko już będzie dobrze. Straszliwie ciążyła jej niemoc. Jako starsza siostra powinna była opiekować się Kate i chronić ją, a tymczasem mogła tylko stać tutaj i bezczynnie patrzeć.

Okulary Joanny zaparowały i przetała je rękawem fartucha. Nachyliła się nad siostrą.

- Jak się czujesz?

Powieki Kate leciutko drgnęły i uniosły się. Skórę miała silnie zażółconą, wargi popękane i pokryte zaschlą krwią.

- Czy coś cię boli?

Kate wpatrzyła się w twarz, która się nad nią nachylała, widziała jednak tylko czepek, maskę i gogle.

- Co?

- To ja, Joanna.

- Ej. - Głos Kate był niski i chrapliwy. Usiłowała się uśmiechnąć, ale sama próba rozciągnięcia warg sprawiła jej ból.

- Czuję się okropnie.

- Dopadł cię bardzo zjadliwy wirus.

Kate lekko przytaknęła.

- Zarazili się wszyscy, którzy weszli do jaskini.

- Jakiej jaskini?

- Taka stara jaskinia w dżungli - wyjaśniła Kate głosem tak słabym, że ledwie słyszalnym. - Pełno w niej było pajęczyn, robaków i nietoperzy.

Mack przysunął się bliżej.

- Coś cię ugryzło?

- Nie zauważyłam niczego takiego.

Mackowi przypomniał się podobny wypadek, który miał miejsce w dżungli w Afryce Centralnej. Grupa krajowców weszła do nie odwiedzanej jaskini i w ciągu kilku dni wszyscy dostali silnych krwotoków połączonych z bardzo wysoką gorączką. Wszyscy zmarli. Przypuszczano, że wybuchła tam zaraza eboli, ale nigdy tego nie dowiedziono.

- Ile minęło czasu od wejścia do jaskini do pojawienia się pierwszych objawów choroby?
- spytał.

- Coś... koło tygodnia - wykrztusiła Kate, a powieki zaczęły jej opadać.

Mack potrzebował dokładniejszych informacji.

- Po ilu dniach?

- Czterech albo pięciu.

To by się zgadzało, myślał Mack. Nitkowe wirusy w rodzaju eboli miały taki właśnie krótki okres inkubacji.

Kate jęknęła.

- Trzymaj się - powiedziała Joanna. - Wszystko będzie dobrze.

Kate głęboko odetchnęła, zamknęła powieki i zapadła w sen.

Joanna patrzyła na siostrę, przerażona tym, co zobaczyła. Skóra wyglądała bardzo niezdrowo, a teraz jeszcze na dodatek z nozdrzy zaczęła się sączyć krew.

- Dlaczego krwawi?

- Spada liczba płytek krwi.

- Dlaczego?

- Nasila się krzepnięcie wewnątrz naczyń.

- O Boże!

Joanna z desperacją pokręciła głową. Kiedy wirus uaktywniał system krzepnięcia krwi, skrzepy tworzyły się wewnątrz naczyń, wiążąc płytki krwi i inne czynniki koagulacyjne, co powodowało krwotoki. Ten paradoksalny proces, gdy tworzeniu się skrzepin towarzyszył upływ krwi, stanowił złowieszczy objaw.

- Jak poważnie zaawansowane? - spytała.

- W umiarkowanym stopniu. Krwotoki nie są poważne. - Mack przebiegł wzrokiem monitory, zauważając, iż puls spadł z 98 do 88 uderzeń na minutę. - Samo to nie pogarsza sytuacji.

- Ale i nie poprawia.

Poczucie bezsilności wprawiało Joannę w rozpacz.

Dotknęła delikatnie ramienia Kate, a kiedy cofnęła się, dopiero teraz wzrok jej padł na sąsiednie łóżko. Było puste, materace bez pościeli.

- A gdzie drugi pacjent?

- Zmarł dziś rano.

Joanna popatrzyła na Macka, a potem wymierzyła palec w jego pierś.

- Jak tylko dotrze do nas ta plazma z Gwatemali, domagam się, żebyś podał ją mojej siostrze.

Rozsądniej będzie poczekać.

- Na co? Aż umrze i zwolni się kolejne łóżko?

Mack nie chciał się z nią spierać w tej kwestii.

- Musimy zbadać ją na obecność wirusów HIV, zapalenia wątroby i syfilisu.

- Na to starczy kilka godzin.

- Pamiętaj, że ta plazma może w ogóle nie mieć żadnego wpływu na chorobę twojej siostry.

- W jakiegokolwiek to będzie porze dnia czy nocy, daj mi znać, jak tylko się tu znajdziesz.

Joanna odwróciła się i wyszła z odizolowanego oddziału, przechodząc przez pomieszczenie z ultrafioletem, gdzie zostawiła czepek i okulary i zmieniła resztę stroju.

Drzwi windy towarowej były otwarte, kabina pusta. Nacisnęła poziom B, a kiedy winda powoli ruszyła, oparta o jej ścianę Joanna powtarzała sobie, że to dobra decyzja. Wirus był tak zabójczy, że do tej chwili zabił trzynaścioro z szesnastu zarażonych nim osób rasy kaukaskiej. Śmiertelność powyżej osiemdziesięciu procent, zupełnie jak ebola. W głębi duszy wiedziała, że bez plazmy Kate umrze. Po prostu to wiedziała.

Głęboko odetchnęła, próbując nie uciekać od myśli, iż prawdopodobnie Kate umrze pomimo podania jej plazmy. Jakieś śmiertelne fatum czyhało na rodzinę Blalocków. Ich

jedyny wuj zmarł w wieku trzydziestu trzech lat na rozległy zawał serca, ojciec miał czterdzieści cztery lata, kiedy zginął w katastrofie samolotowej. Matka cierpiała na silne dolegliwości neurologiczne i zmarła po pięćdziesiątce. Kate była jedyną osobą z rodziny, która została Joannie, przerażonej wizją, że lada chwila może na świecie zostać sama.

„Boże! Ona jest taka młoda! Zlituj się nad nią!”

Winda stanęła z lekkim szarpnięciem; Joanna wyszła na korytarz i skierowała się do swojego gabinetu. Jej sekretarka, Virginia Hand, rozmawiała przez telefon, pospiesznie zapisując wiadomość. Joanna sięgnęła do szuflady biurka i wyjęła z niej batonik, który pochłonęła w kilku kęsach. Spojrzała na zegarek; prawie trzecia, a przed nią dwie sekcje... Będzie miała szczęście, jeśli skończy do ósmej.

Virginia odłożyła słuchawkę.

- Jak siostra?

- Bez zmian.

- Modliłam się dziś za nią w kościele.

- Dziękuję.

Jej sekretarka zawsze znajdowała czas, żeby myśleć o innych, chociaż sama miała straszliwe problemy w domu: mąż alkoholik, kilkunastoletni syn z upodobaniem sięgający po narkotyki.

- Czy wszystko gotowe do sekcji Warrena?

- Wszystko gotowe, ale właśnie dzwonił chirurg, który dokonywał przeszczepu, że odrobinę się spóźni. Jest już doktor McKay - bardzo ambitna młoda osóbka, prawda? - a Harry Crowe zamęcza każdego, kto tylko zechce z nim rozmawiać.

Joanna machnęła ze zniecierpliwieniem ręką. Harry Crowe, od trzydziestu lat wykonujący na patologii wszystkie prace fizyczne, był znany ze swej obcesowości.

- O co mu tym razem chodzi?

- Ach, lista jest długa - odrzekła Victioria i zaczęła wyliczać, zginając kolejne palce. - Po pierwsze, za późno zaczynasz sekcje. Po drugie, pozwalasz na uczestniczenie w sekcji komuś spoza Memorial. Po trzecie, on nie dowierza nikomu od koronera, bo zawsze to jacyś obcokrajowcy, którzy nie traktują go z odpowiednim szacunkiem, na co on nie może pozwolić.

- No to istotnie kiepsko - powiedziała Joanna i zlizwała z palca resztkę czekolady. - Zadzwoń na przeszczepy i powiedz, że nie możemy zwlekać z rozpoczęciem sekcji. Na wszelki wypadek zapytaj, czy musimy jakoś specjalnie podchodzić do wątroby.

- Dobrze.

Virginia sięgnęła po telefon.

Joanna przeszła na drugą stronę korytarza i minawszy dwie pary wahadłowych drzwi, znalazła się w sali sekcyjnej. Zdjęła biały fartuch laboratoryjny i sięgnęła po czarny, ale w jednej chwili zmieniła zamiar. „Niech pani McKay sama przeprowadzi autopsję”, pomyślała. Dzięki temu sprawdzą, jaki jest poziom jej kwalifikacji, a gdyby okazał się niedostateczny, wtedy już bez niej przeprowadzą dodatkowe badania.

Wszystkie stoły prosektoryjne były puste, z wyjątkiem jednego, na którym spoczywały zwłoki Williama Arthura Warrena. Obok oparty o ścianę stał Harry Crowe, a jego oczy świdrowały Joannę. Na jej widok oderwał się od ściany, trzymając w ręku elektryczną piłę i dłuto.

- Po co zaczynać tak późno? - burknął. - Nie mogło to poczekać do jutra rana?

- To ważna sprawa - odrzekła Joanna, czując do Crowe'a niechęć większą niż kiedykolwiek.

- A czemu niby ważna? - obruszył się Harry. - Bo to forsiasty facet?

- Ponieważ został zamordowany.

- Ach rozumiem - mruknął Harry, na poły do siebie, i pokiwał głową. - I to dlatego do sekcji biorą się uczennice. Ona nie ma chyba więcej niż piętnaście lat, do jasnej cholery!

- Ukończyła studia i ma specjalizację - odrzekła chłodno Joanna. - Masz się do niej odnosić tak samo jak do wizytującego nas profesora Harvardu.

- Nie ma jej na liście naszego personelu.

- Dzisiaj to ona będzie kierowała sekcją.

- Nigdy jeszcze nie pozwoliliśmy, żeby kto od koronera przeprowadzał tu u nas autopsję. Nigdy. - Harry Crowe zaczynał sześćdziesiątkę, był niski i korpulentny, miał okrągłą twarz oraz oczka niewielkie jak śruciny. - I nie powinno się teraz tego zmieniać.

- To ja decyduję o tym, jak ma przebiegać sekcja, a nie pan! - powiedziała ostro Joanna. - Zrozumiano?

Harry mruknął coś pod nosem; nie znosił Joanny i tego, że musi słuchać jej rozkazów. Z goryczą wspominał czasy, kiedy patologią zarządzali szanowni mężczyźni, a nie jakieś baby.

W wahadłowych drzwiach stanęła Lori McKay. Wydawało się, że ma na sobie strój ze starszej siostry; marynarka sięgała jej niemal do kolan, nogawki w spodniach trzeba było podwinąć. Z haka na ścianie zdjęła czarny fartuch i zawiązała go z tyłu, dolny skraj niemal dotykał jej butów. Zupełnie jakby bawiła się w przebierańców, pomyślała Joanna.

- Niechaj Bóg ma nas w swojej opiece - mruknął pod nosem Harry i przygryzł wargi, aby nie parsknąć śmiechem.

- Powinnam była zabrać ze sobą własny strój i fartuch - powiedziała nieco zakłopotana Lori. - W tym czuję się trochę niewygodnie.

- To nasza wina - powiedziała Joanna. - Powinniśmy mieć bardziej zróżnicowane rozmiary.

- Jasne - bąknął Harry. - Właśnie tego nam potrzeba: więcej rozmiarów.

Lori spojrzała twardo na Harry'ego.

- Czy głowa otwarta? - spytała.

- Tak jest, pani doktor - odparł Harry, ironicznie akcentując ostatnie słowo.

- To nie będzie pan już do niczego więcej potrzebny.

Harry'emu opadła szczeka.

- Co takiego? - spytał, kompletnie zaskoczony tak bezceremonialną obcesowością.

Joanna z trudem powstrzymała uśmiech.

- Tak, Harry, możesz już odejść. Jeśli będziemy cię potrzebować, zawołamy.

Lori przypatrywała się, jak Harry z gniewem owija przewód wokół piły, a potem dumnie kroczy ku drzwiom.

- Nie lubi mnie, prawda?

- Nie lubi kobiet, które mają wyższą od niego pozycję.

- Dlaczego?

- Bo uważa, że ich miejsce jest w kuchni lub sypialni.

- Może jednak któregoś dnia zbudzi się i zobaczy, że żyjemy pod koniec XX wieku.

- Nie liczyłabym na to.

Harry nie zdążył otworzyć wahadłowych drzwi, gdyż w chwili gdy ku nim sięgał, stanął w nich niski, barczysty mężczyzna w fartuchu chirurgicznym. Był niewiele po czterdziestce, miał ciemną, cerę, szpakowate włosy i przystojną twarz pokrytą kropelkami potu.

Harry Crowe spiesznie usunął mu się z drogi.

Chirurg zatrzymał się przy stole prosektoryjnym.

- Która z pań jest Blalock?

- Ja - odpowiedziała Joanna, mierząc pytającego badawczym spojrzeniem.

- David Dellacorte - przedstawił się. - Przepraszam za spóźnienie, ale na oddziale pacjent nagle potrzebował mojej pomocy.

- Rozumiem, właśnie zamierzałyśmy zaczynać - powiedziała Joanna i gestem wskazała

Lori. - To Lori McKay z biura koronera.

Dellacorte zatrzymał chwilę wzrok na Lori, a potem się uśmiechnął.

- Czy coś nie w porządku? - spytała napastliwie McKay.

- Chyba nie, ale... - wyciągnął rękę i zdjął nitkę gazy z nosa młodej lekarki - ...nie jestem pewien, czy na pewno to pani potrzebne.

Lori nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Nie.

Dellacorte spojrział na zwłoki Williama Arthura Warrena i ciężko westchnął.

- Cóż za szkoda! Znaleźliśmy mu znakomitą wątrobę, zgodność niemal absolutna, a jakiś dureń go zastrzelił!

- To pan przeprowadzał operację? - spytała Joanna.

Dellacorte przytaknął.

- W zeszłym tygodniu minął rok. Przesłał mi w dowód uznania pudełko Davidoffów.

- Wątroba działała dobrze?

- Znakomicie. - Dellacorte podrapał się po karku. - Przynajmniej dostał dodatkowy rok sprawnego życia. Ze starą wątrobą nie pociągnąłby już nawet miesiąca. Niszczył ją jakiś cholerny wirus.

Joanna przygryzła wargi, gdyż natychmiast przypomniała jej się siostra, której wątroba także była atakowana przez wirusa. Może plazma z Gwatemali dotrze jeszcze tej nocy, a może już dotarła? Jak tylko skończy sekcję, zajrzy do Kate.

- Można zaczynać? - spytała Lori.

- Tak, tak - odrzekła z roztargnieniem Joanna, zaprzątnięta myślą o Kate i nadziei na cud. Z wysiłkiem skoncentrowała uwagę na leżących na stole zwłokach. - Ale na początek dokładne oględziny zewnętrzne.

- Proszę bardzo - mruknęła bez entuzjazmu Lori, gdyż dla niej patologia zajmowała się wnętrzem ciała, a nie jego powierzchnią.

Joanna zaczęła od stóp i przesuwiała się w górę ciała, skrupulatnie je oglądając. Szczególną uwagę zwróciła na ręce, rany postrzałowe, twarz i plecy. Potem raz jeszcze powtórzyła badanie, a następnie przyjrzała się rozwieszonym na ścianie na podświetlaczach zdjęciom rentgenowskim.

- Zna pan dobrze jego historię chorobową? - spytała Dellacorte'a.

- Raczej tak.

- Był chyba niezłym bokserem amatorskim.

Chirurg uśmiechnął się powściągliwie.

- A jak się pani domyśliła?

Joanna wskazała kostki dłoni Warrena.

- Hipertrofia śródreżca, a na zdjęciach widać liczne zwapnienia miękkich tkanek. To

częste u bokserów.

- No dobrze, ale skąd pani wie, że był amatorem, i to niezłym?

- Za mało blizn na twarzy, jak na zawodowca, ba nie ma ich właściwie wcale, co w połączeniu ze zniekształceniami dłoni sugeruje, że częściej uderzał, niż dostawał.

Dellacorte pokiwał głową z uznaniem. Słyszał o Blalock pochlebne opinie, ale nie przypuszczał, że jest aż tak dobra.

Lori przysunęła się, teraz bardzo zainteresowana. Przegapiła te dłonie boksera. Ciekawe, co jeszcze mogło umknąć jej uwagi.

- Długo się pani przyglądała wlotom ran. Jest tam coś niezwykłego?

- Tak - odparła Joanna i przewróciła ciało na bok. - Dwa kanały wejściowe, a tylko jeden wyjściowy.

Lori wzruszyła ramionami.

- To znaczy, że jedna kula została w ciele.

Joanna wskazała na zdjęcia rentgenowskie.

- Ciekawe, że promienie X jej nie wykazały.

Lori skonfundowana wpatrywała się w fotografie. Następna rzecz, która jej umknęła. Co za dzień?

- Jest jedno wyjaśnienie.

- Jakie?

- Że obydwa pociski wyszły w tym samym miejscu.

- Słusznie - pochwaliła Joanna. - Ale czy wie pani, jak często to się zdarza?

- Przypuszczam, że dosyć rzadko.

- Raz na osiemset przypadków - poinformowała Joanna - jeśli wierzyć opinii znakomitego włoskiego eksperta patologii, który dokonywał eksperymentów na ciałach zwierząt.

Lori przyjrzała się purpurowym sińcom na plecach. Nacisnęła, ale pod dotykiem nie pojaśniały.

- Wiemy przynajmniej, że zmarł tam, gdzie go znaleziono.

- Najpewniej - zgodziła się Joanna.

- Skąd to można wiedzieć? - zainteresował się Dellacorte.

- Krew gromadzi się w najniższych partiach zwłok - wyjaśniła Lori. - Zasinienia mamy na plecach i ciało w takiej właśnie pozycji znaleziono.

- Czy to ważne?

- Oczywiście - powiedziała Lori, patrząc w jasnoniebieskie oczy Dellacorte'a i myśląc, że

są niemal błękitne. Kiedy zorientowała się, że mężczyzna nie zamierza spuścić wzroku, zaczerwieniła się i obróciła w kierunku zwłok. - Powiedzmy, że znajdujemy denata leżącego na plecach, podczas gdy wybroczyny są w dolnych kończynach. To znaczyłoby, że umarł w pozycji siedzącej i trwał tak przez jakiś czas, a dopiero później ułożono go na wznak.

- Na przykład, żeby zatrzeć okoliczności zbrodni - zasugerował Dellacorte.

- Na przykład.

Chirurg raz jeszcze spojrzął na sine plamy, myśląc, że sam by na to nie zwrócił uwagi, z drugiej jednak strony, nie była to wszak jego specjalność. Nie znał się na patologii, mnóstwo natomiast wiedział o wątrobie i o tym, jak chorą zastępować zdrową.

Obie kobiety raz jeszcze starannie oglądały zwłoki. Kiedy jedna robiła jakąś uwagę, druga natychmiast ją rozszerzała, dorzucając inne elementy medycznej wiedzy. Z jakąś spostrzegawczością i dociekliwością potrafiły rejestrować fakty, które przez innych zostałyby zlekceważone. Nie ulegało wątpliwości, że Blalock jest bardziej doświadczona, ale w oczy rzucała się też biegłość Lori McKay. Dellacorte zastanawiał się, ile w tym jest wrodzonego talentu, a ile ciężkiej pracy, którą sam znał tak dobrze.

Chirurg z prawdziwą przyjemnością wpatrywał się w jej profil; długie orzechowe włosy związane były na karku wstążką, aby nie spadały na oczy, kilka pasemek, które zwisało na czoło, przydawało twarzy seksowności. Odruchowo zerknął na jej serdeczny palec; lateksowe rękawice nie pozwalały stwierdzić, czy ma obrączkę czy nie.

- Zaczynamy - powiedziała Lori i jednym ruchem skalpela zrobiła głębokie nacięcie od mostka do pępka. Potem metalowym narzędziem przecięła mostek, aby rozchylić klatkę piersiową, pełną niezakrzepłej krwi. Przytknęła grubą tubę do jamy klatki piersiowej i włączyła ssanie.

- O Boże - westchnęła, kiedy odsłoniły się rozerwane końce aorty. - Musiał się wykrwawić, zanim upłynęła minuta.

- Musiał już nie żyć w chwili, kiedy się zwałił na podłogę - powiedziała Joanna, dobrze pamiętając widok miejsca zbrodni, a przede wszystkim rewolwer spoczywający w kałuży krwi z niezaplamiionym wierzchem. Nie było czasu na to, by z Warrena najpierw utoczyła się kałuża krwi, a dopiero potem wylądowała w niej broń. - Upuściwszy broń, musiałby zalać ją krwią - wypowiedziała na głos uwagę, którą przede wszystkim skierowała do samej siebie.

- Co takiego? - spytała Lori.

- Nic, nic - w roztargnieniu odparła Joanna, mając teraz w pamięci krwawy ślad na ścianie. Czegoś w tym wszystkim brakowało, ale nie potrafiła sobie uświadomić czego. Może potem to się nasunie. Skupiła się na obecnej chwili. - Doktor Dellacorte ma napięty rozkład

zająć, może zatem przejdźmy od razu do wątroby.

- W porządku - powiedziała Lori i kilkoma sprawnymi ruchami wycięła wątrobę i uniosła ją w górę ze zwisającymi naczyniami krwionośnymi i przewodem żółciowym.

- Dość mała - zauważyła Joanna.

- To dlatego - wyjaśnił Dellacorte - że pochodzi od czternastoletniego chłopca.

- Wygląda na zdrową - dodała Lori, która zbadała pod naciskiem miąższ wątroby, a następnie umieściła ją na wadze. - Osiemset gramów. Niewielka.

- Sprawowała się bardzo dobrze - powiedział Dellacorte, a w jego głosie zabrzmiała defensywna nutka. - Testy funkcjonowania wątroby pana Warrena wypadły bardzo dobrze.

Lori znowu uniosła wątrobę, wpatrując się w miejsce, gdzie kończył się przewód wspólny.

- Chwileczkę - ożywiła się Joanna i błyskawicznie naciągnęła lateksowe rękawice, by delikatnie ucisnąć nimi obszar sąsiadujący z żyłą wątrobową. - To wygląda na torbiele. Czy były tutaj w momencie transplantacji?

Dellacorte nachylił się nad stołem.

- Absolutnie nie. Musiałbym je zauważyć, szczególnie że wiele czasu poświęciłem na anastomozę.

Joanna nacięła skalpelem jedną z torbieli; pociekła krew. Nacięła następną, krwi pokazało się jeszcze więcej.

- To torbiel krwotoczna i jest ich wiele.

Dellacorte nagle pobladł.

- O, cholera!

- Co takiego?

Chirurg głęboko odetchnął i powoli wypuścił powietrze.

- Na górze mamy pacjenta po przeszczepie, u którego także pojawiły się torbiele pogarszające funkcjonowanie wątroby.

- Czy zdarzało się to już wcześniej przy przeszczepach? - spytała Joanna.

- Nie.

- Ma pan jakieś podejrzenia co do przyczyny?

- Najmniejszych.

Rozdział 6

- Ty durniu! - syknęła Pamela Warren. - Co tutaj robisz?

- Chciałem się upewnić, że z tobą wszystko w porządku. - Tony Boyette stał na progu pokoju szpitalnego z bukietem kwiatów w rękach.

- No to wchodź dalej - prychnęła niecierpliwie Pamela i wolno poprawiła się na poduszkach. W głowie nadal pulsowało i każdy ruch sprawiał jej trudność.

Tony zamknął za sobą drzwi i podszedł do łóżka.

- Gdzie wstawić te kwiaty?

- Połóż je na stoliku.

Odłożył bukiet i nachylił się nad Pamelą, wpatrzony w siniak na skroni.

- O Jezu! Nie chciałem tak mocno!

- Ciii! - Pamela położyła palec na wargach, a potem wskazała na drzwi, które nie zamknęły się dokładnie i były teraz leciutko uchylone.

Tony podskoczył, starannie domknął drzwi i wrócił do łóżka.

- Bardzo boli?

- Jakby mi ktoś walił młotem pneumatycznym w głowie.

- Cholera, nie przypuszczałem, że biję tak mocno.

- Jakoś przeżyję.

- Strasznie mnie zdenerwowała wiadomość telewizyjna.

I istotnie tak było. Reporter przedstawił wypadek w taki sposób, jakby Pamela znalazła się na krawędzi życia i śmierci, a przecież wraz z nią umarłaby jedyna nadzieja Tony'ego na wielką forszę. Perspektywa jej utraty przerażała go.

- Tak się cieszę, że już ci lepiej.

- Dzięki - mruknęła zdawkowo Pamela. - Czy wykonałeś szczegółowo wszystkie moje polecenia?

- Jasne.

- Rękawiczki, broń, zegarek, portfel w oceanie?

- Tak - zapewnił Tony i powiedział niemal prawdę. Wyjątek zrobił dla zegarka. Rolex President kosztował co najmniej czternaście tysięcy dolarów. Po prostu nie mógł cisnąć w morze takich pieniędzy. Spuścił zegarek za dwa tysiące. - Ale czy nie powinienem pozbyć się

też butów?

- Dlaczego?

- Na wypadek gdybym zostawił jakieś ślady na zewnątrz domu.

- Dobry pomysł - mruknęła Pamela, myśląc, że może jednak ten Tony nie jest aż tak kompletnie pozbawiony sprytu, jak jej się wydawało. Jedno nie ulegało wątpliwości, że nie był też przesadnie błyskotliwy, a na dodatek za dużo gadał. - I pamiętaj! Żadnych wielkich zakupów. I żebyś czasami nie popisывał się przed znajomymi rulonem banknotów.

- Za kogo ty mnie uważasz? Za kompletnego matoła?

- Oczywiście, że nie. - Pamela czułym gestem dotknęła Tony'ego. - Ja się nigdy nie zadaję z głupcami.

- Ani ja. - Tony nachylił się i ucałował Pamelę, zerkając przy okazji na paskudnego krwiaka na głowie. - Jak długo zostaniesz jeszcze w szpitalu?

- Dzień lub dwa. Nie dłużej, gdyż chcę być na pogrzebie męża.

- Tak, tak, to bardzo ważne - stanowczo przyznał Tony.

- Pograżona w żałobie wdowa.

- Cała na czarno.

Pamela przygryzła wargi w uśmiechu. Wystąpi bez welonu, żeby wszyscy widzieli jej ranę. Przed ceremonią przemyje oczy lekko osoloną wodą, aby były naprawdę zaczerwienione i zażawione. Tricku tego nauczyła się na kursach aktorskich.

- Kiedy znowu zaczniemy się spotykać? - spytał Tony.

„Za jakieś pięćdziesiąt lat”, pomyślała Pamela, ale głośno odpowiedziała:

- Wkrótce.

- To znaczy kiedy?

- Trzeba będzie odczekać kilka miesięcy.

- Tak długo?

- Bo nie chcę, żeby ktoś zaczął coś podejrzewać.

Tony popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Ale przecież wszyscy myślą, że twój mąż zginął, gdyż napadnięto na wasz dom.

- I niech nikt i nic nie pozbawi ich tego przekonania.

Tony potarł brodę w zamyśleniu. Chciał się spotykać regularnie, no a przede wszystkim sypiać regularnie, bo inaczej gotowa się od niego oddalić razem z tą forsą.

- Moglibyśmy przecież załatwiać to tak jak wcześniej. No wiesz, ukradkiem, w motelach.

- Zobaczymy - powiedziała Pamela.

- Ale przecież nie chodzi ci o to, żebyśmy się już w ogóle nie widywali.

- To byłoby całkiem rozsądne posunięcie - rzekła Pamela, ale widząc chmurę na twarzy Tony'ego, natychmiast mocniej ścisnęła jego dłoń. Nieopatrznie miało to posmak przyszłości.

- Tyle że jakoś nie mogę się obyć bez ciebie. Chciałabym być z tobą blisko, tak naprawdę blisko.

Twarz mężczyzny natychmiast się rozpuściła.

- Jasne, na pewno coś wymyślimy. Możemy przecież znowu się spotykać na kursach, a ludziom powiesz, że chcesz zająć czymś myśli. Jakaś wymówka zawsze się znajdzie.

Pamela ucałowała jego dłoń i na chwilę przycisnęła do piersi.

- Świetny pomysł! Odczekam jakiś miesiąc, a potem znowu zacznę się zjawiać na kursach.

- I wtedy będziemy się mogli spotykać co tydzień.

- A nawet częściej - rzuciła Pamela, jednocześnie zastanawiając się, jak ma właściwie załatwić sprawę z Tonym. Nie uda się go po prostu spłacić. Ciągłe będzie wracał i się naprzykrzał. Bez końca.

- Zawsze można też wyjechać do Meksyku. Znam tam takie jedno miejsce...

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Tony natychmiast odskoczył od łóżka, wygładził ubranie i poprawił czuprynę.

- Proszę - zawołała Pamela.

Wszedł Jake Sinclair, a tuż za nim Lou Farelli. Jake stanął przy łóżku.

- Czy poznaje mnie pani, pani Warren?

- Chyba... nie - odrzekła Pamela, która kompletnie nie potrafiła umiejscowić tej twarzy jakby mimo wszystko znajomej.

- Porucznik Sinclair z wydziału zabójstw, a to sierżant Farelli. Zajmujemy się sprawą morderstwa pani męża. Mam nadzieję, że wydobrzała pani na tyle, aby odpowiedzieć na kilka pytań.

- Spróbuję - odrzekła Pamela słabym głosem. Z trudem kiwnęła głową w kierunku Tony'ego. - To pan Tony Boyette, z którym razem chodzimy na kursy aktorskie. W imieniu reszty kolegów przyniósł mi kwiaty.

Jake starannie zlustrował wzrokiem gościa. Przystojny i starannie ubrany, miał jednak w sobie coś nie budzącego zaufania: kosztowny strój źle na nim leżał i robił wrażenie, jakby został nabyty na wyprzedazy.

- Czy znał pan pana Warrena?

- Nie. Znam tylko Pamelę, z kursu - odpowiedział Tony, ale na plecach poczuł strużkę potu. Smutno pokręcił głową. - To okropne, że człowiek nie może się czuć bezpieczny nawet

we własnym domu.

- Tak, to prawda - odparł Jake, który jednocześnie spoglądał na Pamelę i myślał, że nawet wielki guz na głowie nie był w stanie odebrać jej urody. Miała czarne włosy, ciemnoniebieskie oczy, gładką jak aksamit skórę i pięknie skrojone usta. Uderzające było podobieństwo do Avy Gardner. Z trudem oderwał od niej oczy.

- Proszę mi powiedzieć, panie Boyette, ile jest osób na kursie?

- Różnie, niektórzy muszą w tym czasie pracować, od dziesięciu do dwudziestu na jednych zajęciach.

Pamela usiłowała nawiązać kontakt wzrokowy z Tonym. Chciała, żeby wyszedł jak najprędzej, zanim zdąży palnąć jakieś głupstwo, które niepotrzebnie zainteresuje tego gliniarza.

- Pracować? Są może pośród was profesjonalni aktorzy?

- Niektórzy się załapali.

- A jak panu idzie?

- Czy ja wiem? Pojawiła się możliwość na rolę w operze mydlanej. Mają oddzwonić w przyszłym tygodniu.

Ach, ten wieczny optymizm niespełnionych gwiazd Hollywoodu, pomyślał Jake. W końcu najczęściej lądują na stacji benzynowej albo w sklepiku na przedmieściu. A czasami na nie napadają.

- Jak się nazywa ta szkoła?

Tony zawahał się, nie będąc pewien, czy czegoś nie palnął.

- Nie... nie chciałbym im sprawiać żadnych kłopotów.

- Nie będzie żadnych kłopotów, natomiast musimy sprawdzić wszystko, co może się wiązać z morderstwem. Więc jak się nazywa szkoła?

- First Act.

Kątem oka Tony dojrzał surową minę Pameli.

- Gdzie się mieści?

- Vine Street, West Hollywood.

Jake zapisał w notatniku tę informację, a kiedy znowu spojrzął na Boyette'a, ten wydawał się zdenerwowany.

- Jak się z panem kontaktować w razie potrzeby?

Tony wytrzeszczył oczy.

- Jakiej potrzeby?

- Nigdy nie wiadomo - odrzekł Jake i wzruszył ramieniem.

- Mój numer jest w książce telefonicznej.

Pamela jęknęła i potarła grzbiet nosa, a potem powiedziała, przymykając oczy:

- Głowa bardziej mnie boli.

- Zawołać pielęgniarkę? - zaoferował się Tony, zadowolony, że będzie miał pretekst, by się uwolnić od tego przeklętego gliniarza.

Pamela pokiwała głową, nie otwierając oczu.

- Tak i podziękuj całej reszcie naszej paczki.

Jake przyjrzał jej się, skórę miała bladą, szczęki zaciśnięte; nie grała, naprawdę ją bolało.

- Na razie nie będziemy pani męczyć, zjawimy się innym razem.

Pamela westchnęła i uniosła powieki.

- Nie, spróbujmy, ile teraz da się zrobić.

- Świetnie - powiedział Jake i przysunął się do łóżka, - W domu powiedziała pani, że morderca miał na twarzy maskę. Czy to była maska narciarska?

- Nie - szepnęła Pamela. - Taka tylko na oczy.

Jake musiał się nachylić, aby ją rozumieć.

- Miał wąsy, brodę albo jakieś szczególne cechy twarzy?

- Nie.

Zza pleców Sinclaira odezwał się Farelli.

- Czy pani mąż strzelił do bandyty?

Pamela zawahała się.

- Nie jestem pewna. Wszystko stało się tak szybko.

- Zacznijmy od początku - powiedział Jake. - Od tej chwili, kiedy się pani zorientowała, że coś jest nie w porządku.

Pamela spojrzała w okno i zmrużyła oczy przed światłem słonecznym. Głowa bolała ją umiarkowanie, ale skrzywiła się, aby zasugerować znacznie większą dolegliwość. To powinno tłumaczyć powolność, z jaką formułowała i wypowiadała zdania.

- Usłyszeliśmy jakiś hałas na zewnątrz, jakby ktoś przewrócił kubek na śmiecie. Potem zaszczeakał pies. Mąż poszedł sprawdzić system alarmowy, a kiedy wrócił, za nim szedł zamaskowany mężczyzna i celował mu w głowę.

- To wtedy upuściła pani kieliszek z brandy? - spytał Farelli.

Pamela zamknęła oczy, zastanawiając się, jakie to może mieć znaczenie. Na wszelki wypadek odrzekła:

- Nie pamiętam.

- Czy bandyta podszedł do pani?

Przytaknęła.

- Zatrzymał się kilka stóp ode mnie i powiedział, żebym się nie ruszała.

Jake uśmiechnął się do siebie, wiedział bowiem, o co chodzi Farellemu. Z niewielkiej odległości włamywacz jeszcze przed morderstwem zobaczył naszyjnik.

- Czy pani mąż stawiał jakiś opór?

- Nic takiego nie widziałam. Bandyta kazał mu otworzyć sejf w ścianie, a kiedy mąż się odwrócił... - Głos Pameli się załamał, a ona sama przełknęła ślinę, jakby powstrzymując płacz. Pociągnęła lekko nosem i ciągnęła: - Kiedy mąż się odwrócił, tamten do niego strzelił.

Farelli coś sobie zapisał.

- Czy mąż wyciągnął broń ze schowka?

- Nie jestem pewna - powiedziała Pamela, marszcząc czoło w zamyśleniu. - Chyba zobaczyłam coś w jego dłoni, ale wszystko potoczyło się tak szybko... Rozległ się głośny wystrzał i zobaczyłam, jak mąż pada. Rzuciłam się do niego i... i to wszystko, co pamiętam.

- Musiała pani przy tym rozlać brandy? - podsunął Farelli.

- Chyba tak - jęknęła Pamela, która postanowiła, że czas już kończyć to przesłuchanie. Głowa przestała ją boleć, a w brzuchu zaczynało burczeć z głodu. Była ciekawa, czy może zamówić coś spoza szpitala.

- Wie pani, co było w sejfie? - spytał Jake.

- Jakaś gotówka, zwykle koło dziesięciu tysięcy, papiery, broń. - Znowu udała głęboki namysł. - To wszystko.

- Znała pani numer?

- Nie.

Jake przekartkował notatnik.

- Przy pani mężu nie znaleziono zegarka ani portfela. Miał je zwykle przy sobie?

- Tak - natychmiast odparła Pamela. - Pieniądzy nosił mało, ale za to dużo kart kredytowych. No i zegarek. Osiemnastokaratowy rolex.

Jake zamknął notatnik.

- Bardzo dziękujemy za pomoc, pani Warren. Zrobimy wszystko, aby schwytać zbrodniarza.

Pamela kiwnęła głową i przymknęła powieki.

Sinclair i Farelli wyszli, zamykając za sobą drzwi. Rozstąpili się, aby przepuścić łóżko na kółkach, przy czym obaj przypatrzyli się pacjentowi. Starzec z zamkniętymi oczyma i otwartymi ustami, być może na skraju śmierci. Spod prześcieradła wysuwały się liczne rurki połączone z zamocowanymi na łóżku pojemnikami.

Jake rozejrzał się, czy nikt ich nie słyszy, i powiedział:

- Nie podoba mi się jakoś ten koleś z kursów aktorskich.
- Mnie także. To nie ten typ, który przyjdzie z kwiatkami do koleżanki.

- Sprawdź go - polecił Jake i poczekał, aż pielęgniarzka minie ich i oddali się na odpowiednią odległość. - Także innych z tego kółka. Czy ktoś był skazany, czy nikt się nagle nie wzbogacił.

- Jasne.

- Jeśli ten rolex to President, będzie miał seryjny numer. Może kamerdyner będzie miał zanotowany albo przynajmniej będzie wiedział, jak się postarać o ten numer.

Farelli kiwnął głową.

- Sprawdzę, czy nie został gdzieś wystawiony na sprzedaż.

Jake spojrział w sufit i pokręcił głową.

- Ten jej cholerny naszyjnik diamentowy.
- Właśnie. Koleś bierze rolexa, ale nie tyka diamentów. Trochę bez sensu.
- Chyba że to był kompletny amator.

Farelli rozłożył ręce, ale Jake nagle zawrócił i zapukał do drzwi.

- Tak? - rozległo się ze środka.

Wsunął głowę i powiedział:

- Jeszcze jedno pytanie, pani Warren.

- Proszę.

- Czy naszyjnik, który miała pani wtedy na sobie, jest z prawdziwych diamentów?

- Raczej tak. Dostałam go w prezencie od męża, więc nie sądzę, żeby były sztuczne. A czemu pan pyta?

- Gdyż morderca go nie zabrał.

Pamela zamrugła; poczuła nagłą falę paniki. Co za idiotyzm! Przecież wystarczył jeden ruch, żeby Tony zerwał jej z szyi łańcuszek. Co z tym zrobić, myślała w popłochu.

- Może nie zauważył, uciekając?

Jake kiwnął głową.

- Może. Jak pani się czuje, pani Warren?

- Dobrze - mruknęła, ale w istocie ból głowy wrócił ze zdwojoną siłą.

Rozdział 7

Joanna wbiegła do Centrum Badań Wirusologicznych i zatrzymała się przy Macku Brownie, który przez pancerną szybę patrzył na izolowany oddział. Spojrzał na nią wzrokiem pełnym powagi.

- Twoja siostra ma silne napady padaczkowe.

- Och, nie! - zawołała Joanna.

- Był specjalista neurolog. Jego zdaniem ma zapalenie mózgu. - Mack wolno pokręcił głową. - Ten przekłety wirus wdziera się wszędzie.

Przez szybę Joanna widziała leżącą zupełnie nieruchomo Kate. Pielęgniarka właśnie wymieniała jej kroplówkę.

- Czy możemy coś zrobić?

- Przeciw napadom podajemy valium i dilantin, ale to, rzecz jasna, nic nie pomaga, jeśli chodzi o wirusa.

Joanna czuła straszliwy ucisk w sercu. Jej siostra umierała, nie było żadnej nadziei.

- Jeszcze nie dotarła ta plazma z Gwatemali?

- To jak jakiś upiorny sen - powiedział Mack. - Wioska o półtora dnia drogi od Guatemala City. Lekarze dotarli tam, pobrali krew, ale kiedy zaczęli wracać, rozpętała się straszliwa ulewa, która rozmyła drogi. Nie mieli żadnego zamrażalnika, zanim dotarli do szpitala, krew się zepsuła.

- I co teraz?

- Uruchomiłem kilka kontaktów, zwróciłem się do ludzi, którzy coś tam mi zawdzięczają. Mają wysłać land-rovera i przewieźć kilku mieszkańców do Guatemala City, żeby na miejscu pobrać od nich krew.

- Ile czasu będzie trzeba, żeby uzyskać plazmę?

- Jakies trzy dni.

Joanna westchnęła z rozpaczą; czy jej siostra będzie wtedy jeszcze żyła? Przez szybę widziała, jak ramię siostry zaczyna drgać; pielęgniarka podbiegła i coś poprawiła przy kroplówce. Drganie ustało.

- A jak wątroba?

- Stan się nie pogarsza. - „Ale i nie poprawia”, pomyślał. - Poziom enzymów

wątrobowych we krwi był niezwykle wysoki, co wskazywało na ostre zapalenie. Było już teraz tylko kwestią czasu, kiedy organ przestanie w ogóle funkcjonować. - Aha, to nie ebola.

- Zdaje się, że jednak tak samo zabójczy.

- Popatrz. - Z kieszonki wyjął zrobione pod mikroskopem elektronowym zdjęcie, na którym były cząstki wirusa. - To on. Typu RNA, podobny do arbowirusa dengi. Może dlatego niektórzy z krajowców przeżyli.

- Wyjaśnij to trochę.

- Denga występuje dość często w tym rejonie i nie jest uważana za chorobę śmiertelną. Nasz wirus podobny jest do wirusa dengi, jeśli więc ludzie z tej wioski chorowali wcześniej na dengę, to mogą mieć naturalną odporność.

- I to by tłumaczyło, dlaczego choroba ma lżejszy przebieg w Gwatemali.

- Otóż to, ale... - Mack w ostrzegawczym geście podniósł palec - ...to wszystko hipotezy, nic pewnego.

- Nie ma żadnego sposobu, żeby mieć tutaj tę plazmę wcześniej niż za trzy dni?

Mack pokręcił głową i uśmiechnął się z lekką ironią.

- Wedle miar gwatemalskich już teraz działają z prędkością światła.

- Spróbuj może ich pospieszyć.

- Nic to nie da.

- Błagam. - Dolna warga Joanny wyraźnie drżała. - Może wysłać helikopter.

- Zapewniam cię, robię, co w mojej mocy.

- Wierzę.

*

Joanna wchodziła do siebie na oddział w chwili, gdy dyrektor techniczny wychodził. Centryfugi ustawione w rzędzie pod ścianą pracowały na najwyższych obrotach, napędzając pomieszczenie pomrukiem.

- Co z oczami? - spytał, lekko podnosząc głos. - Takie zaczerwienione.

- Alergia - skłamała Joanna.

- No tak, sam wiem, jak to jest. - Wskazał ręką za siebie.

- Powinny się wyłączyć za pół godziny, ale ja mam jeszcze umówioną wizytę u dentysty. Mogłabyś sprawdzić, czy wszystkie staną tak, jak powinny?

- Jasne.

- Aha, mamy gości.

- Kogo?

- Policjant i coroner.

Joanna zajrzała do swojego pokoiku i przejrzała się w lustrze. Wyglądała okropnie; szybko poprawiła makijaż, ale śladów płaczu nie dało się całkiem ukryć.

Wygładziła dłonią fartuch i poszła na tył laboratorium, gdzie była sala bez ciężkich sprzętów i stołów prosektoryjnych, a tylko z rzędami wbudowanych w ściany półek. Na kilku stolikach znajdowały się mikroskopy. Zobaczyła siedzącego na blacie Jake'a, który uważnie przypatrywał się, jak Lori McKay przygląda się resztkom szkieletu.

Jake podniósł na nią wzrok.

- Możesz coś o tym powiedzieć?

Pokręciła głową.

- Na razie nie. Dokonałiśmy tylko zupełnie wstępnych oględzin.

Lori gwałtownie poderwała głowę.

- Ale przecież macie ten szkielet już od tygodnia.

- Z kośćmi zawsze jest długa sprawa - odrzekła Joanna. Zegar ścienny mówił, że upłynęła już połowa dnia, a ona miała jeszcze tyle do zrobienia. Wykład, próbki, jedna autopsja. - Ale jeśli pani szybciej coś ustali, proszę bardzo.

Lori zaczerwieniła się i powróciła do oględzin dłoni, gdzie na jednym palcu znajdowała się obrączka ślubna. Przyjrzała się jej przez lupę, ale oprócz rys i drobin błota, nic nie zobaczyła.

- Coś może na temat tej obrączki? - spytała Joanna.

- Najwyraźniej był żonaty. Ponieważ jest trochę rys, więc można przypuścić, iż nosił ją przez jakiś czas, a zatem śmierć nie nastąpiła zaraz po ślubie.

- Słusznie - z aprobatą w głosie powiedziała Joanna. - A jakieś wskazówki co do nazwiska?

- Nic tu nie... - zaczęła Lori, ale nagle się połapała, że nie wszystko jeszcze zrobiła.

Zdjęła obrączkę i przyjrzała się jej wewnątrz. - Dwie litery: J i R.

Jake zrobił notatkę.

- Pewnie inicjały pierwszych dwóch imion.

- Zapewne - zgodziła się Joanna. - Znajomi mogli na niego wołać: JR.

- Zaraz - sprzeciwiła się Lori. - A dlaczego nie imię i nazwisko.

- Niewykluczone, ale raczej imiona - powiedziała Joanna.

- Obrączkę dostał pewnie od żony; pierwsza litera nazwiska byłaby zbyt oficjalna jak na taką okazję.

- Ale możliwe - upierała się Lori. - W rejestrze osób zaginionych trzeba sprawdzić i jedną, i drugą możliwość.

Jake kiwnął niecierpliwie głową. Rejestr osób zaginionych, kiedy chodzi o profesjonalnego mordercę! No, ale tak czy owak należało zbadać wszystkie możliwości.

- No a poza tym - ciągnęła Lori - znacznie ułatwia sprawę to, że nie trzeba się cofać dalej niż dziesięć lat.

Joanna zmarszczyła brwi.

- A to dlaczego?

Lori uśmiechnęła się i odczekała chwilę, zanim wyjawiała swe odkrycie.

- Bo znalazłam coś przy zwłokach.

- Co takiego? - ponagliła ją Joanna.

- Monetę z datą 1986.

- Istotnie, to dobre. Miał w ręku czy w kieszeni?

- Nie, leżała obok, ale to chyba nic nie zmienia, jeśli chodzi o przedział czasu.

- Tak, z pewnością ma pani rację, gdyż mam potwierdzenie jeszcze pewniejsze, bo w końcu monetę deszcz mógł splukać z innego miejsca.

- A jakie potwierdzenie.

Joanna podniosła wąski cylinder z zębem na wierzchu.

- Implant, który usunęłam ze zwłok. Nakręcany cylinder, stomatologia sprawdziła to. Firma, która go wstawiła, zaczęła działać dziesięć lat temu, a to był jej pierwszy produkt.

Jake poderwał się.

- Masz rentgen zębów?

- Pewnie.

- Ilu dentystów robi takie implanty?

- Wielu. Setki, może tysiące.

- Można rozesłać te zdjęcia do wszystkich dentystów w Kalifornii Południowej.

- Możemy - powiedziała Joanna - ale nie liczyłabym na wiele.

- Facet może być z zupełnie innej części kraju - mruknął zafrasowany Jake.

- No właśnie.

Lori z uwagą przysłuchiwała się tej wymianie zdań. Zupełnie jakby czytali w swoich myślach i tylko wypowiadali na głos wątpliwości, które drugiemu przyszły już i tak do głowy. Zarazem jednak ją zupełnie ignorowali, odsuwali na margines. „Do cholery, pomyślała, to moja sprawa i nikt mi jej nie zabierze”.

Spojrzała na zabłoconą metalową płytkę przymocowaną do jednej z kości udowych.

- Miał złamaną nogę - powiedziała.

Jake nachylił się nad płytką.

- Co to takiego? - spytał.

- Nadkłykciowa płytka udowa - wyjaśniła rzeczowym tonem Lori. - Łączy części złamanej kości, aby się lepiej zrastały.

- Spojrzała na Joannę. - Wiemy coś może o tym, jak doszło do tego złamania?

Joanna wskazała gestem zdjęcia rentgenowskie.

- Niech pani sama spróbuje.

Lori zaczęła się uważnie wpatrywać w fotografie. Kość zrosła się bardzo ładnie, płytka się nie przemieściła. W samej kości widać było metalowe odpryski.

- Jakby coś wybuchło w nodze.

- Na przykład?

Lori wzruszyła ramionami.

- To mogły być różne rzeczy.

Joanna wskazała metalowe kawałki.

- A to?

- Fragmenty tego, co eksplodowało.

- Kula?

Lori wolno pokiwała głową.

- Możliwe.

- Bardziej niż możliwe - powiedziała Joanna, zastanawiając się, czy jej rozmówczyni tak wolno kojarzy fakty, czy też z niechęcią przystaje na cudze propozycje. - To typowe przy uderzeniu pocisku poruszającego się z dużą szybkością. Wtedy pozostają takie odłamki.

- Ale nie uda się tego dowieść na pewno.

- Uda się. Analitycy są w stanie powiedzieć, czy to odłamki pocisku.

Lori chciała jeszcze oponować, ale ugryzła się w język. W przeciwieństwie do ran kłutych, niewiele wiedziała o ranach postrzałowych. Jake zastanawiał się natomiast, kiedy mężczyzna mógł zostać postrzelony.

- Czy wiadomo, w jakim był wieku?

- Struktura kości sugeruje, że miał koło pięćdziesiątki - poinformowała Joanna.

Jake przeprowadził w myśli obliczenia.

- Zatem mógł walczyć w Wietnamie.

- Zgoda. - Joanna oglądała metalową płytkę. - Trzeba to przekazać specjalistom od ortopedii, może i oni będą potrafili określić datę operacji.

- Mamy zatem - podsumowywał Jake - mężczyznę czterdziestokilkuletniego, żonatego, z inicjałami najprawdopodobniej pierwszych imion JR. Bardzo możliwe, że walczył w Wietnamie, i z całą pewnością nie należał do ubogich.

Lori zmarszczyła czoło.

- A skąd to wiadomo?

- Bo implanty są drogie, a ich kosztów najczęściej nie pokrywa ubezpieczenie - odparła natychmiast Joanna. - Można też szacować, że miał pięć stóp dziesięć cali wzrostu, a ważył pomiędzy stu sześćdziesięcioma a stu siedemdziesięcioma funtami.

Lori wiedziała, że szkielet pozwala określić wysokość, ale ciężar ciała? Przecież same kości o tym nie decydują.

- A na jakiej podstawie waga? - spytała.

Joanna wskazała plastikową metkę na strzępie materiału pod kręgami szyjnymi. Kiedy Jake i Lori nachylili się, zobaczyli na niej w kółku literę M, oznaczającą średni rozmiar.

Jake zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Mężczyzna, czterdzieści kilka lat, żonaty, inicjały JR, pięć stóp dziesięć cali, jakieś sto sześćdziesiąt pięć funtów, mógł walczyć w Wietnamie. - Nagle zatrzymał się i spojrzał na Joannę.

- Z tym metalem w nodze, myślisz, że mógł utykać?

- Raczej nie. Kość dobrze się zrosła, nie widać żadnego skrócenia. Ale warto spytać specjalistę od ortopedii.

Lori patrzyła na Jake'a i Joannę z niekłamanym podziwem. Niewiarygodne, ile potrafili wydobyć informacji z samego szkieletu. A przecież, jak powiedziała Joanna, to dopiero wstępne oględziny. Trudno przewidzieć, do jakich wniosków potrafi dojść na podstawie starannych badań. Teraz już rozumiała, dlaczego do pomocy wezwano doktor Blalock.

- Chciałabym przy tym być - powiedziała.

- No cóż, z chirurgami nigdy nie jest to łatwa sprawa, w każdym razie spróbuję umówić się na jutrzejsze popołudnie. Może być piąta?

- Jak najbardziej - powiedziała Lori i zaczęła ściągać lateksowe rękawice. - Czy jutro będzie można również obejrzeć próbki z sekcji Warrena?

- Powinny już być gotowe - powiedziała Joanna. - Ciekawe, czy badania wątroby pozwolą ustalić, skąd wzięły się krwawe torbiele.

Jake poderwał głowę.

- Jakie torbiele?

Torbiele pełne krwi. W całej wątrobie.

- Czy to ma jakiś związek z jego śmiercią?
- Nie, ale bez wątpienia niszczyło przeszczepioną wątrobę.
- I nie wiesz, co je spowodowało?

Joanna pokręciła głową, myśląc zarazem o drugim pacjencie, w którego przeszczepionej wątrobie wykryto podobne schorzenie.

- Nawet najmniejszych podejrzeń.
- Ja już muszę iść - powiedziała Lori, zakładając na ramię torebkę.
- Do jutra zatem - rzekła Joanna.

Lori kiwnęła głową i raz jeszcze zerknęła na szkielet. Tyle informacji w tych kościach, pomyślała, i tylko trzeba umieć je wydobyć.

- Wiele można się z tego dowiedzieć, prawda?

Joanna wyczuła łagodniejszy ton w głosie Lori i przytaknęła.

- Tak, na pewno się dowiemy.

Patrzyła za oddalającą się lekarką, która bardziej wyglądała na studentkę. Bardzo jeszcze młodziutka, także jeśli chodzi o sposób myślenia, ale z bardzo dobrymi zadatkami. Brakowało jej jeszcze cierpliwości i doświadczenia, ale to przyjdzie z czasem.

Joannie nagle głośno zaburczało w brzuchu.

- Zdaje się, że długo już funkcjonuję bez posiłku.
- Nie jadłaś obiadu? - zainteresował się Jake.

- Nie mam czasu ani na obiad, ani na kolację. Nie miałam wczoraj, nie mam dzisiaj, nie będę miała jutro.

Jake westchnął głęboko i powiedział znużonym głosem:

- Między nami... Mieliśmy problemy z porozumieniem się.

- Daj spokój - ostro zareagowała Joanna. - Dobrze wiedziałeś, co się dzieje, a w krytycznej chwili po prostu się rozmyślałeś, zniknąłeś, jak zwykle zresztą.

- Czy znowu ci chodzi o tę chorobę? - zawołał Jake na przekór swemu postanowieniu, że nie da się wytrącić z równowagi.

- Mówisz tak, jakby chodziło o jakiś katar czy chrypkę.
- Zaraz, przecież już po naszym rozstaniu, to się...
- To!!! Ładne mi to! Guzek w piersi!
- Ale przecież się okazało, że to nie rak, prawda?
- Nie, Jake, ty nigdy tego nie zrozumiesz! Nigdy!

Joanna oddychała pospiesznie. Pamiętała ten moment, kiedy po raz pierwszy wyczuła małe zgrubienie w piersi. Nie było duże, mniej niż centymetr, ale natychmiast poczuła strach,

jakiego nigdy jeszcze nie doznała. Mammogram potwierdził istnienie jakiegoś skupiska tkanek, została więc skierowana na biopsję.

- Jakżeż cię wtedy potrzebowałam, Jake! Byłam taka przerażona, a oprócz ciebie nie miałam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać, u kogo mogłabym poszukać otuchy.

- Zgoda, było zgrubienie, ale nie rak - bronił się Jake.

- Ale zanim się to wyjaśniło, byłam tylko ze swoimi myślami - powiedziała Joanna, która zdążyła się już opanować. - Może trzeba być kobietą, żeby poznać taką trwogę. Obmacujesz to miejsce po kilkanaście razy dziennie w nadziei, że zniknęło, ale gdzie tam, ani myśli zniknąć. Wyobrażasz sobie amputację piersi, jak będziesz potem wyglądać. Nie wiem, czy myśl o śmierci jest gorsza.

- Tak, rozumiem - mruknął Jake, zapatrzonej w dal.

- Nie, nie rozumiesz! - z irytacją odparła Joanna. - Gdybyś rozumiał, nie zostawiłbyś mnie wtedy samej. Byłbyś przy mnie.

- To może zechcesz posłuchać...

- Nie interesują mnie już twoje opowieści. Nic nas nie łączy, poza sprawami ściśle zawodowymi.

- Ale posłuchaj...

- Powtarzam: ściśle zawodowymi. Przywyknij do tego.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł ich dźwięk stopera. Spojrzała na zegarek: 12.55, znowu nie będzie miała czasu na obiad, zaraz musiała się zabierać do sekcji.

Centryfugi wolno się zatrzymywały, ale wirowały o dziesięć minut za długo. Ciągłe było niedobrze z mechanizmem zegarowym. A nawet specjalnie sobie zapisała, żeby o tym poinformować techników. Zapomniała, a teraz cały eksperyment do niczego!

Nic mi się nie układa i w ogóle, pomyślała Joanna, wychodząc z laboratorium.

Rozdział 8

Simon Murdock, dyrektor Memorial Hospital przechadzał się przed swoim biurkiem, uderzając się o uda zwiniętą gazetą.

- U dwóch pacjentów z przeszczepami wątroby pojawiły się krwiste torbiele. Najpierw Rudolph Ettinger, potem William Arthur Warren. Pan Ettinger postanowił nas zaskarżyć.

- Samo wytoczenie procesu nie znaczy jeszcze, że wygra.

- Niestety wszystko wskazuje na to, że wygra - ponuro oznajmił Murdock. - Nawet nasi prawnicy sugerują ugodę. Tyle że tego pacjenta nie interesują pieniądze, gdyż nie bardzo nawet sam wie, co z nimi robić, natomiast domaga się, abyśmy przywrócili sprawne funkcjonowanie wątroby.

- Czego, oczywiście, zrobić nie możemy.

- Cholera jasna! - Murdock z rozmachem uderzył gazetą w dłoń. - Jak to możliwe, że zupełnie zdrowa wątroba pokrywa się torbielami? Co?

Joanna wzruszyła ramionami, ciągle zastanawiając się, dlaczego to ją wezwał dyrektor w związku z problemem wątroby. Nie знаła się na wątrobie, nie znała się na przeszczepach, a sprawa Ettingera była bez wątplenia sądowa, ale nie kryminalna.

- Masz jakieś przypuszczenia? - nacierał Murdock.

- Możliwości jest nie tak wiele - odrzekła Joanna. - Po pierwsze, torbiele mogły już być przed transplantacją.

- Nie, nie było ich - stanowczo zaprotestował Murdock.

- I wedle chirurgów przeprowadzających operację i wedle Donors International wątroba była zupełnie zdrowa.

- Co to za Donors International?

- Organizacja dla zysku szukająca potencjalnych dawców na całym świecie. Biorąc kosztuje to fortunę, ale niemal natychmiast są w stanie znaleźć to, czego potrzeba.

- Czy wiemy, od kogo pochodziła wątroba?

- Młody Węgier, który zginął w wypadku samochodowym.

- Murdock spojrział na kartę informacyjną. - Czternaście lat. Wątroba w znakomitym stanie, według węgierskiego chirurga i specjalistów z Donors International. Także bardzo dobre wyniki analizy krwi. - Murdock odłożył kartę. - Co znaczy, że pacjent otrzymał zdrową

wątrobę, a torbiele pojawiły się po transplantacji. Jakie są przyczyny torbieli i gruczolaków?

- Na przykład leki z androgenem albo tabletki przeciwciążowe.
- Których z pewnością nie używał.
- Może jakaś trucizna?
- Niczego nie wykazały analizy krwi ani biopsja wątroby.

Żadne inne wytłumaczenie nie przychodziło Joannie do głowy.

- Cóż, tutaj musi się wypowiedzieć jakiś hepatolog.
- Zasięgałem ich rady, ale nie powiedzieli nic więcej niż ty.

Murdock zatrzymał się przy oknie i spojrzął na zewnątrz.

Niebo było zachmurzone, zaczął siąpić deszcz. W oddali widział Centrum Badań Rakowych i Instytut Neuropsychiatryczny, oba wzniesione za jego dyrektorowania. Ostatnie dwadzieścia lat spędził na czynieniu z Los Angeles Memorial Hospital centrum medycznego znanego na całym świecie. Potroiły się dotacje na szpital, który stał się drugą placówką medyczną w kraju, pierwszą w jego zachodniej części.

Memorial miał także i problemy: zdarzały się tu morderstwa, skandale seksualne, uzależnienia od narkotyków, teraz jednak pojawiła się zupełnie nowa kwestia: przeciw szpitalowi występował Rudolph Ettinger, miliarder, który kontrolował prasę i telewizję na całym świecie. Na dobrą sprawę wystarczyłby jeden telefon, żeby dobra sława Memorial została na zawsze pogrzebana.

- Musimy znaleźć odpowiedź.
- Wątpię, żebym mogła w czymś pomóc.
- A mnie się wydaje, że możesz. Chcę, żebyś kierowała badaniami, które ustalą przyczynę torbieli i gruczolaków.

Joanna czuła się zupełnie zbita z tropu.

- Simonie, przecież dobrze wiesz, że to zupełnie nie moja dyscyplina. Jestem lekarzem sądowym, a nie hepatologiem.

- Masz zatem stosować medyczną wiedzę w sprawach związanych z naruszeniem prawa cywilnego lub karnego, a to z pewnością jedna z takich spraw.

Joanna naprędce starała się znaleźć jakąś wymówkę.

- Kompletnie nie mam na to czasu. Jestem tutaj tylko na pół etatu, chyba nie muszę ci przypominać.

Twarz Murdocka sposępniała. Dobrze zdawał sobie sprawę z tego, iż błędem była zgoda na połowę etatu Blalock połączoną ze wszystkimi uprawnieniami profesorskimi. Same korzyści bez adekwatnej odpowiedzialności.

- No cóż, widzę, że muszę zacząć się rozglądać za pełnoetatowym profesorem medycyny sądowej.

- Sam wiesz najlepiej, co musisz, a czego nie musisz - odpowiedziała chłodno Joanna.

Murdock nie był od tego, aby zwolnić Joannę, szczególnie że w sytuacji zatrudnienia na pół etatu było to łatwiejsze, teraz jednak była mu potrzebna, podobnie jak wtedy, gdy zgodził się na zatrudnienie jej w niepełnym wymiarze.

- Może uda nam się znaleźć jakieś kompromisowe rozwiązanie, takie, które pozwoliłoby ci zająć się tymi badaniami.

- Co masz na myśli?

- Powiedzmy, że zatrudniłbym jeszcze jednego lekarza sądowego, przy czym podlegałby tobie, a ty sama wybrałabyś osobę. Co ty na to? - Mając jeszcze jednego specjalistę, myślał Murdock, Memorial nie byłby tak uzależniony od Joanny. A gdyby okazał się naprawdę dobry, wtedy można by się z nią rozstać raz na zawsze. - Pamiętasz miałaś na oddziale taką atrakcyjną lekarzkę, dobrze się o niej wyrażałaś.

- Emily Ryan.

- O, właśnie. Emily Ryan. Może ona byłaby zainteresowana.

Joanna chwilę się zastanawiała, a potem powoli kiwnęła głową. Kto wie, czy to nie jest dobry pomysł; wartościowa zastępczyni mogłaby jej oszczędzić wiele czasu.

- Ale warunki chciałabym na piśmie.

- To raczej niemożliwe.

- W takim razie nie ma o czym mówić.

W ogóle nie miała do niego zaufania.

- A gdybym napisał list do Emily Ryan, że chcemy rozbudować personel medycyny sądowej i czy byłaby w ogóle zainteresowana?

- Po prostu jeden list?

- A masz jeszcze jakieś sugestie?

- Dobrze - powiedziała z ociąganiem Joanna, która świetnie znała mistrzostwo Murdocka w nabieraniu ludzi i wycofywaniu się z danego słowa. - Tak czy siak, stawiam dwa warunki. Po pierwsze, badania związane z tymi przeszczepami mogą trwać miesiąc i ani dnia dłużej. Jeśli w tym czasie nie zostaną zakończone, zastąpi mnie ktoś inny. Po drugie, żadne ograniczenia finansowe nie będą mnie krępować, jeśli chodzi o dobór specjalistów i zlecane testy.

- Zgoda.

- Będę musiała porozmawiać z tym pacjentem, w którego wątrobie pojawiły się

gruczołaki.

- Powodzenia - mruknął Murdock. - Rudolph Ettinger w ogóle nie jest przyjemnym rozmówcą, a teraz dowiedział się na dodatek, że jeszcze ktoś z przeszczepioną wątrobą miał torbiele, więc kipi z wściekłości.

- Skąd dowiedział się o Williamie Arthurze Warrenie?

- Ten kretyń Dellacorte mu powiedział. - Murdock ciężko usiadł na fotelu i wysunął szufladę biurka, z której wyciągnął papierosa z filtrem. Osiem lat minęło od chwili, gdy zapalił po raz ostatni. - Co za idiota!

- To nie było aż takie głupie - powiedziała Joanna, której wcale nie zdziwił sposób, w jaki Murdock mówił o jednym ze swych podwładnych. - Gdyby Ettinger z jakichś innych źródeł dowiedział się o Warrenie, oskarżyłby nas o ukrywanie ważnych dla jego zdrowia informacji. I miałby rację.

- Nie musiał mówić mu natychmiast - obruszył się Murdock. - Mógł poczekać tydzień czy coś takiego, dając nam czas, by rozeznąć się w problemie.

Joanna pokiwała głową.

- Może istotnie byłoby lepiej, gdyby się nie pospieszył.

- Można by przypuścić, że ktoś z takim rodowodem powinien znać wartość milczenia i dyskrecji.

- A jaki ma rodowód?

- Jest z pochodzenia Sycylijczykiem - powiedział Murdock, jak gdyby to wszystko wyjaśniało.

Joanna spojrzała na niego zdziwiona.

- No i co z tego?

- Kiedy ja dorastałem w Nowym Jorku, jego dziadek przewodził jednej z największych rodzin gangsterskich w mieście. Także i ojciec miał pełnić tę rolę, ale przedwcześnie wypadł z czwartego piętra. Oczywiście, zupełnie przypadkowo.

- Ale David nie miał chyba nic wspólnego z tymi gangsterskimi sprawami.

Murdock zrobił nieokreślony gest ręką.

- Powiedzmy, że był wystawiony na kontakt z nimi.

- Grzechy ojców nie przechodzą na synów.

Ale Murdock już jej nie słuchał, cofnął się bowiem w pamięci do chwili sprzed piętnastu lat, kiedy świetnie się zapowiadająca kariera Dellacorte'a została zahamowana, gdyż przyłapano go na paleniu marihuany. Po roku, który Dellacorte poświęcił na badania immunologiczne, zaczęły się polityczne naciski na Murdocka, aby go ponownie przyjął do

szpitala. Niechętnie przystał na to, co okazało się całkiem dobrą decyzją, gdyż delikwent okazał się znakomitym chirurgiem transplantologiem, niemniej jednak Murdocka przez wszystkie te lata nurtowało pytanie: skąd takie silne polityczne wsparcie?

- Co mówiłaś? - spytał z roztargnieniem.

- Nic szczególnego, zastanawiałam się nad etycznymi stereotypami.

Murdock machnął lekceważąco ręką.

- Mniejsza z tym. Zabieraj się czym prędzej do roboty.

*

Kiedy Joanna weszła na oddział chirurgiczny, David Dellacorte pastwił się właśnie nad stażystą, młodym lekarzem o kręconych włosach i okularach w metalowej oprawce.

Dellacorte wpił w niego bezlitosne spojrzenie.

- Hematokryt podskakuje z trzydziestu czterech do trzydziestu sześciu procent, a pana zdaniem winne jest rozcieńczenie krwi?

Stażysta zamrugął oczyma.

- Musieliśmy mu dać cztery jednostki świeżej plazmy, ponieważ miał krwotok...

Dellacorte nie dał mu dokończyć.

- Właśnie: krwotok! O to właśnie chodzi: pacjent traci krew, do cholery!

- Ale krwotok ustąpił po podaniu plazmy.

- Ustąpił, ale zaczął się znowu.

- Ale skąd wycieka krew?

- To pan ma ustalić. Pan ma być samodzielnym lekarzem.

- Trzeba obejrzeć angiogram.

- A może by tak zacząć od obejrzenia pacjenta?

Stażysta chciał coś odpowiedzieć, ale pod ciężarem wzroku Dellacorte'a zamilkł, odwrócił się i odszedł, mruczając coś pod nosem. Chirurg spojrzał na Joannę.

- Lekarz epoki New Age. - Pokiwał głową. - Wiedzą wszystko o rezonansie magnetycznym, tomografii komputerowej i angiogramach, ale od maszyn oczekują także, że będą za nich myśleć. I tu się mylą.

- To prawda.

Usunęli się, aby przepuścić pielęgniarkę pchającą wielki aparat rentgenowski, a potem ruszyli korytarzem. W powietrzu unosił się ciężki, słodkawy zapach środków dezynfekcyjnych. Kiedy mijali poczekalnię dla gości, dobiegł ich czyjś płacz, ale Joanna nie widziała, kto tak łka.

- Zatem kieruje pani poszukiwaniami? - spytał Dellacorte.

- Trudno było odmówić panu Murdockowi.

- Tak, w tym jest niezły - powiedział Dellacorte. - Jedno w każdym razie trzeba mu przyznać, że jest może natarczywy, ale wybiera właściwych ludzi.

- Ja wcale nie jestem pewna, czy jestem odpowiednia do tego zadania. - Joanna wyciągnęła z kieszeni plik kart informacyjnych. - Czy pacjent nie brał żadnych hormonów ani silnych leków?

- Zdecydowanie zaprzecza. Brał tylko środki zapobiegające odrzutowi.

- Jak analizy krwi i moczu?

Dellacorte uśmiechnął się pod nosem. Joanna Blalock mogła nie być ekspertem od chorób wątroby, ale niczego nie zamierzała przeoczyć.

- Nic podejrzanego. Zrobiliśmy nawet chirurgiczną biopsję wątroby, aby zbadać ją na obecność toksyn. Nic.

Joanna przyjrzała się kolejnej karcie.

- Czy były jakiegokolwiek doniesienia, by u pacjentów przyjmujących środki immunosupresyjne pojawiały się w wątrobie torbiele czy gruczolaki?

- Żadnych - bez namysłu odpowiedział Dellacorte. - Nie tylko dokładnie prześledziliśmy literaturę, ale także zasięgnęliśmy informacji u producentów leków. Nigdy się z czymś takim nie zetknęli. Zbadaliśmy też próbki z wątrób innych pacjentów, którzy otrzymali przeszczepy, a po jakimś czasie zmarli. Były zbliznowacenia i zwłóknienia, ale żadnych torbieli ani gruczolaków.

No cóż, myślała Joanna, nie było nadziei na proste odpowiedzi, natomiast i tak nie ulegało wątpliwości, że w grę wchodzić mogło tylko jedno z dwojga: albo pacjenci otrzymali nie w pełni zdrowe wątroby, albo stan organów pogorszył się po transplantacji.

- Obie wątroby dostarczone zostały przez Donors International, prawda?

- Tak.

- Rozumiem, że to instytucja darzona zaufaniem.

- Ogromnym - zapewnił Dellacorte. - Otrzymujemy od nich wątroby, nerki i serca. Zawsze są w znakomitym stanie, niekiedy tak znakomitym, że w ogóle zastanawialiśmy się nad użyciem środków przeciwdziałających odrzuceniu.

- Zna pan może ludzi, którzy kierują firmą?

- Jasne - odrzekł Dellacorte, zatrzymując się przed drzwiami sali dla pacjentów. - Kieruje nią Jason Adler, który jest bardzo znany ze swych badań nad przeszczepami.

Joanna zmarszczyła brwi.

- Czy to znaczy, że Donors International zajmuje się i badaniami, i dostarczaniem przeszczepów?

- Chyba tak - odrzekł Dellacorte, ale głosem odrobinę niepewnym. - Wie pani co, najlepiej sprawdzić to u Bena Wintrobe'a z naszej Immunologii. Wydaje mi się, że on jest konsultantem DI.

- Siedzibę mają tutaj, w Los Angeles?

- W pobliżu, duży kompleks budynków u podnóża Santa Monica Mountains. - Dellacorte poprawił kołnierz fartucha i wziął głęboki oddech. - Facet, którego zaraz pani zobaczy, nie należy do najprzyjemniejszych. Proszę się przygotować.

- Nie będzie tak źle.

- Sama pani zobaczy.

Dellacorte zapukał, otworzył drzwi i przytrzymał drzwi przed Joanną.

- Panie Ettinger, doktor Joanna Blalock, nasza specjalistka medycyny sądowej.

Rudolph Ettinger zmierzył Joannę spojrzeniem.

- A pani czego znowu chce?

- Polecono mi zbadać, dlaczego w pańskiej wątrobie pojawiły się torbiele - oznajmiła Joanna.

- Znakomicie, doprawdy. Wątroba okazała się do niczego i nagle wszyscy zaczynają się zastanawiać nad przyczynami. Pozew o pięćdziesiąt milionów dolarów sprawił, zdaje się, że wiele ludzi poczuło, jak im się robi gorąco koło dupy.

- Mam zająć się tą sprawą od strony medycznej, nie interesują mnie kwestie finansowe.

- Wszystkim i zawsze chodzi tylko o pieniądze.

- Stawka jest znacznie większa. To, co stwierdzimy w pana przypadku, może mieć znaczenie dla wszystkich osób, które otrzymały i otrzymają przeszczepy wątroby.

- Zechce mi pani wybaczyć, ale nic mnie nie obchodzą korzyści innych osób. - Ettinger był chudym jak szczapa, łysiejącym mężczyzną o kościstej twarzy. Beknął głośno, nie zasłaniając ust i w ogóle się nie krępując. - Wywalasz majątek na wątrobę i dostajesz za to jakiś szmelc.

- Chciałam zadać panu kilka pytań - powiedziała Joanna, która z wolna zaczynała tracić cierpliwość. - Czy przyjmował pan jeszcze jakieś leki, oprócz tych, które miały przeciwdziałać odrzuceniu?

- Odpowiedziałem już na to pytanie obecnemu z panią doktorowi Cortadellemu - prychnął Ettinger, najwyraźniej rad z tego, że przekręcił nazwisko chirurga.

- Panie Ettinger, jeśli chce pan, żebyśmy doszli do jakichś konstruktywnych wniosków,

musi nam pan pomagać.

- I co, te odpowiedzi niby uratują moją wątrobę?

- Tego nie mogę gwarantować - odparła Joanna - ale od czegoś trzeba zacząć.

- To co, dopiero zaczynacie zajmować się moją wątrobą? Ani mi się śni spędzać czas na pogawędkach z wami, podczas gdy w środku moja wątroba się kończy. Jasne?

- Staramy się panu pomóc naj...

- Guzik prawda! Staracie się chronić swoje dupy! - przerwał jej arogancko Ettinger. Popatrzył na Dellacorte'a. - Lepiej, żeby pan miał dobre ubezpieczenie na wypadek pomyłek zawodowych, bo na pewno będzie panu potrzebne. I nie myślcie, że wszystko się uspokoi, jak wykituję. Mowy nie ma. Wszyscy moi dziennikarze prasowi i telewizyjni mają jak najdokładniej przyglądać się tej sprawie. Z pewnością stanie się pan sławny, Cortadelle, chociaż może nie jest to rodzaj sławy, na którym panu zależy.

- Obawiam się, że postępuje pan nierozsądnie - powiedziała Joanna. - Doktor Dellacorte jest bardzo dobrym lekarzem i powinien pan być zadowolony z tego, że właśnie on się panem zajmuje. Jeśli zatem chce pan...

- Dość już tego - wrzasnął Ettinger. - Zażądałem, żeby zajął się moją sprawą ordynator chirurgii, i ten zgodził się na to. Wynocha teraz z mojego pokoju, pani i ten tam Cortadelle.

Wyszli na korytarz. Joanna kilka razy odetchnęła, aby się uspokoić, a potem rzekła:

- To wszystko frustracja z powodu komplikacji pooperacyjnych. Nie traktowałabym tego bardzo osobiście.

Dellacorte kiwnął głową.

- Jasne.

Wzrok jednak miał zimny i bezwzględny.

Rozdział 9

Joanna stała przed szklaną ścianą i patrzyła na hermetycznie odizolowany oddział. Kate leżała bez ruchu, nie dawała żadnego znaku życia.

- Jest nieprzytomna? - spytała Macka.

- Zdarza się, że reaguje na swoje imię, ale nic więcej.

Pielęgniarka obracała właśnie Kate na bok, podkładając poduszkę tak, aby nie przewróciła się znowu na plecy. Była to rutynowa procedura z pacjentami znajdującymi się w stanie śpiączki, mająca przeciwdziałać powstawaniu odleżyn. Kate żadnych czynności nie wykonywała samodzielnie. Płyny i kalorie trzeba było podawać dożylnie, pęcherz i odbytnicę trzeba było opróżniać przy użyciu cewników i zgłębników. Była tak ciężko chora, strasznie chora!

- Może gdybym poleciała do Gwatemali, jakoś by to przyspieszyło sprawę? - zasugerowała Joanna.

- To nie jest dobry pomysł - odparł Mack, chociaż dobrze wiedział, jak przeraźliwe jest poczucie bezczynności, kiedy patrzy się na mękę ukochanej osoby. - W niczym byś nie pomogła.

- Naprawdę nic nie mogę zrobić?

Mack pokręcił głową, z uwagą przyglądając się jej twarzy, na której zmęczenie i troska pozostawiły wyraźne ślady.

- Lepiej idź do domu i się wyśpij. Zawiadomię cię, jeśli tylko coś się zmieni.

- Wolę zostać.

- Nie, koniecznie musisz wypocząć - stanowczo stwierdził Mack.

- I co za pożytek z przewracania się z boku na bok? Nie mogę zasnąć, ciągle myślę o Kate.

- Przez całą noc?

- Przez całą noc.

Mack milczał przez chwilę, w zamyśleniu bębniąc palcami o szybę.

- Przebierz się i poczekaj na mnie przed szpitalem.

- Dlaczego?

- Zaordynuję ci lekarstwo.

- Mnie wcale...
- Czekaj przed wejściem.

*

Bar skrył się w małej bocznej uliczce, dwie przecznice obok Memorial. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak marna speluna, z neonami na szybie reklamującymi Bud Light, Coors i Miller Genuine Draft.

- Nie, nic nie będę piła - słabo broniła się Joanna.
- Świetnie, to mi pokibicujesz - powiedział Mack i otworzył przed nią drzwi.

Wewnątrz bar okazał się większy, niż wydawał się z zewnątrz. Wszystkie boksy pod ścianą były puste, podobnie jak kilka ustawionych na środku stolików. Z tyłu znajdowało się małe podium, na którym siedząca za mikrofonem blondynka w kowbojskim kapeluszu stroiła właśnie gitarę.

Kiedy weszli, dwóch siedzących przy barze mężczyźni odwróciło się, obrzuciło ich spojrzeniem, po czym powrócili do swoich drinków. Rzucili zdjęte płaszcze na oparcia drewnianych krzeseł i usiedli. Natychmiast pojawiła się młoda, wysoka blondynka z krótko obciętymi włosami.

- Dzień dobry, panie doktorze.
- Dzień dobry, Chrissy - odpowiedział Mack z wyraźnym teraz teksańskim akcentem. -

Jak tam Sam?

- Próbuje.
- Będzie dobrze, możesz mi wierzyć.
- Ach, żeby tak się stało - powiedziała Chrissy i podniosła oczy ku sufitowi. - To samo, co zwykle?

- Dwa razy.

Joanna popatrzyła za oddalającą się kelnerką i spytała:

- Co to za Sam?
- Jej dwuletni synek - powiedział Mack i rozłożył się na krześle, wyciągając przed siebie wyprostowane nogi. - Miał zapalenie opon mózgowych i niedosłyszany, ma także kłopoty z mówieniem. Ale stopniowo mu się polepsza.

Joanna pokręciła głową.

- Czyżby nie było ludzi bez kłopotów?
- Ja przynajmniej takich nie znam.

Mężczyźni przy barze zaśmiewali się z jakiegoś dowcipu. Joanna spojrzała na nich z

niechęcią, jej samej wcale nie było do zabawy ani radości. Najchętniej siedziałaby teraz przy Kate; tam było jej miejsce. Pod wpływem nagłego impulsu chciała się zerwać z krzesła, ale w tej samej chwili pojawiła się kelnerka.

- Oto i Mister Jose Cuervo - powiedziała Chrissy i ustawiła na stole dwie szklaneczki z tequilą, obok nich umieszczając talerzyk z solą i plasterkami cytryny. Zdjęła także z tacy dwie Bud Light, pokryte kroplami wilgoci. - Jak będą państwo chcieli następną kolejkę, proszę głośno krzyknąć. - Cofnęła się i obejrzała wyciągnięte nogi Macka.

- Fajne ma pan buty, doktorze.

- Dzięki.

- Dużo kosztowały?

- Dwie stowy.

Chrissy cicho gwizdnęła i zniknęła na zapleczu.

Mack spojrział na Joannę.

- Lubisz tequilę?

- Nigdy nie piłam i nie zamierzam dziś zaczynać. Wypiję swoje piwo i wystarczy.

- Rezygnujesz z jednego z największych uroków tego świata.

- Ani myślę się upijać.

- Tequila nie upija, tequila rozjaśnia umysł.

- Ciekawe w jaki sposób?

- Uwalnia od zbędnych zmartwień.

Joanna obrzuciła Macka surowym spojrzeniem.

- Uważasz, że troska o siostrę to zbędne zmartwienie?

- Absolutnie nie, sądzę natomiast, że nie należy przez cały czas trapić się czymś, na co nie masz wpływu.

- Chcesz powiedzieć, że nie mamy już żadnego wpływu na to, co dzieje się z moją siostrą?

- Wpływ ma przede wszystkim Bóg. A na razie pokażę ci, jak pić tequilę. Jeśli nie zrobisz tego odpowiednio, nigdy już nie będziesz chciała jej spróbować.

Joanna nie spuszczała z niego wzroku.

- Twoim zdaniem lekarze nic nie mają do tego, czy ich pacjenci żyją czy nie?

- Bardzo przemawiają mi do przekonania słowa dawnego lekarza wojskowego, który na polu bitwy mawiał: „Ja leczę, a Bóg uzdrawia”. Teraz patrz uważnie. - Na zgięcie kciuka lewej ręki nasypał sól, prawą sięgnął po szklaneczkę, po czym zlizął sól i jednym haustem połknął tequilę. Potem jednak zignorował cytrynę i pociągnął łyk piwa. - Znakomite

połączenie - oświadczył.

Joanna podniosła nieufnie szkło i powąchała; trunek miał ostry, zdecydowany aromat. Zacisnęła palce na nosie i podniosła szklaneczkę do ust.

- Na Boga, Joanno! Masz to wypić, a nie nurkować w tym.

Joanna uśmiechnęła się, zrazu niewyraźnie, ale potem coraz szerzej, aż wreszcie wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Tak lepiej! - powiedział Mack. - No to bierz się do dzieła.

Joanna zlizwała sól, jednym łykiem przełknęła tequilę i popiła piwem. Czekwała na jakieś straszliwe pieczenie, ale wcale się nie pojawiło.

- Niezłe - powiedziała - całkiem niezłe.

Mack kiwnął na kelnerkę.

- Żeby tequila właściwie podziałała, trzeba wypić dwie. Ale mówiąc szczerze, dopiero po trzech wszystko zaczyna wyglądać naprawdę na tak nowiutkie, jak spod igły.

Joanna uśmiechem skwitowała żart Macka. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że przez sześć miesięcy, które upłynęły od rozstania z Jakiem, ani razu nie była na mieście. Mack poza szpitalem wyglądał zupełnie inaczej, wyluzowany i swobodny, niczym kowboj, któremu zawdzięczał swój przydomek. Śmiało to on mógł być Marlboro Man.

- Jesteś zonaty, Mack?

- Poniekąd.

- Jak to rozumieć?

- Tak, że wedle mojej żony mamy ze mnie męża - odparł Mack i upił duży łyk piwa. - Wiesz, za mało o niej myślę, nie jestem dostatecznie troskliwy, za dużo czasu spędzam w szpitalu, a za mało z nią i chłopcami. Uważa, że lepiej się nie widywać.

- Więc żyjecie w separacji?

- Jak na razie.

- Myślisz, że się znowu zejdziecie?

- Mieliśmy rozmawiać o tobie, a nie o mnie.

- Myślisz, że znowu się zejdziecie? - nie ustępowała Joanna.

Kelnerka przyniosła nową kolejkę tequili i piwa. Szybko ją wychylili, a Joanna poczuła lekki, całkiem przyjemny zawrót głowy. Bardzo fajnie. Mikrofon na małej estradzie ożył i piosenkarka przedstawiła się jako Patsy Williams.

- Jak, dobra jest? - zainteresowała się Joanna.

- Zależy od kawałka.

Patsy miała miły, słodki głos, który dobrze brzmiał z gitarą, piosenka jednak, *Byłeś moją*

największą słabością, była bardzo łzawa. Joanna odchyliła się na krześle i zaczęła myśleć o Jake'u. Przez pół roku nie mogła się z tym uporać, bez względu na to, co robiła. Wydawało się to wręcz jakimś uzależnieniem.

- Myślisz, że każdy ma jakąś osobę, która jest jego słabością?

- Jasne.

Joanna w zamyśleniu pociągnęła łyk piwa.

- Jak to się dzieje, że wpadamy w coś takiego?

- To całkiem proste - powiedział Mack. - Z początku obie osoby pokazują swe najlepsze strony, w związku tym silnie się ze sobą wiążą. Dalej, ponieważ siebie uważasz za istotę doskonałą, takiej samej doskonałości oczekujesz po drugiej stronie. Z czasem jednak po tamtej stronie ujawniają się różne wady i braki, okazuje się więc, że jesteś związana z osobą nie tylko niedoskonałą, ale może wręcz marną. Wiesz już dobrze, że powinnaś zerwać, ale nie możesz. I tak to wszystko w tobie siedzi: wady i związek. - Po wargach Macka przemknął uśmiezek. - To bardzo częsty układ.

Joanna odpowiedziała mu uśmiechem.

- To mi przypomina taki film z Joan Bennett i Danem Duryea *Scarlet Street*. Ona mówi: „Gdybym miała trochę pomysłu, zerwałabym z tobą”, a on na to: „Ale nie masz”.

Mack zachichotał.

- Lubisz stare filmy?

- Tak, sprzed 1960 i koniecznie czarno-białe.

- No popatrz, mamy takie same upodobania. Ja także przepadam za takimi filmami.

- A masz jakąś ulubioną kwestię?

Mack zamyślił się na chwilę.

- Nie wiem, czy jest najbardziej ulubiona, ale nie potrafię jej zapomnieć. W *The Big Combo* Cornell Wilde gra twardego faceta, który mówi w pewnej chwili: „Traktowałem ją jak parę rękawiczek. Jak było mi zimno, dzwoniłem, żeby przysłała”.

Joanna poczuła dreszcz.

- A ona, oczywiście, była na każde zawołanie.

- Oczywiście, bo podobnie jak my, nie miała żadnego pomysłu.

- Może potrzebowała tego faceta.

- Pewnie tak. Każdy kogoś potrzebuje.

Joanna przez chwilę wpatrywała się w Macka.

- Ty nie wyglądasz na kogoś, kto odczuwa taką potrzebę.

- Nie sądzę po pozorach - powiedział Mack i dokończył piwo. - Następna rundka?

- Nie, dzięki. Osiągnęłam odpowiedni poziom nasycenia alkoholem.

Joanna odsunęła krzesło i zaczęła wstawać, a Mack poszedł w jej ślady. Powietrze na zewnątrz było mgliste i chłodne, księżyc skrył się za chmurami. Na postoju po drugiej stronie ulicy taksówkarz zapalił w samochodzie światło i czytał gazetę.

- Dzięki za drinki i rozmowę - powiedziała Joanna. - Właśnie tego było mi trzeba.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Szkoda tylko, że efekt tequili nie jest trwały.

- Nawet nie powinien być. Alkohol ma dawać tylko chwilową ulgę. Teraz przynajmniej szybko zaśniesz, ale jutro musisz wracać do swoich zajęć i kłopotów.

Joanna przytaknęła, wiedząc, że dzisiaj rzeczywiście będzie mocno spała.

- Wezmę tę taksówkę.

- Nie wygłupiaj się, mogę cię podrzucić.

- Nie ufam kowbojom - zachichotała Joanna, dopiero teraz czując pełny efekt tequili.

Zaczęła przechodzić, ale zawróciła. - Muszę ci jeszcze coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Uważam, że twoja żona jest idiotką.

Objęła go za szyję, pocałowała w policzek, a potem pobiegła do taksówki.

Rozdział 10

Krople deszczu bębniły o szybę samochodu Joanny. Zjeżdżała stromą drogą w Santa Monica Mountains. Po jednej stronie miała skalną ścianę, po drugiej gęste krzaki, między którymi sterczały wielkie głazy. Kiedy na szosę wyskoczył kojot, nacisnęła hamulec, a samochód zatańczył na mokrej szosie. Zwolniła, lekko zakławszy pod nosem; kto buduje medyczny przybytek na takim odludziu? Zaraz jednak pomyślała sobie, że całe Los Angeles zbudowane jest jak gdyby na przekór naturze.

Na jednym z wiraży zobaczyła czerwone dachy budynków na dnie doliny, ale za chwilę straciła je z oczu. Następny zakręt, a za nim droga szersza i mniej spadzista, a w oddali wysokie metalowe ogrodzenie z wartownią. Zatrzymała się przed nią i spuściła szybę.

- Doktor Joanna Blalock - przedstawiła się. - Jestem umówiona na rozmowę z doktorem Adlerem.

- Poproszę o jakiś dokument ze zdjęciem - powiedział uzbrojony wartownik, który siedział za pulpitem z różnokolorowymi światełkami i dwoma monitorami.

Podawała mu prawo jazdy. Oddał je, wcześniej odszukawszy nazwisko Joanny na liście. Brama powoli się rozsunęła.

- Znaki zaprowadzą panią na parking.

Wjechała. Wycieraczki nie były już potrzebne; deszcz ustał, powietrze było świeże, ale niebo dalej zachmurzone i ciemne, Podążyła na parking aleją między wysokimi drzewami rosnącymi na starannie pielęgnowanych trawnikach i nie pozwalającymi zobaczyć żadnych budynków.

Zostawiła samochód i poszła za strzałkami, omijając wielkie kałuże. Postanowiła zboczyć w lewo, gdzie wyżwirowana i bardziej sucha alejka prowadziła między gęstymi krzewami i drzewami, których korony tworzyły jakby sklepienie tunelu. Tak doszła do utrzymanego w japońskim stylu ogrodu z małymi kaskadami, stawkami, strumykami, mostkami i żwirowymi ścieżkami. Poszukała źródła cichego buczenia i na słupie zobaczyła ruchomą kamerę obserwacyjną.

Poszła w kierunku ogrodzonego łańcuchami boiska, po którym uwijały się małe dzieci. Na dźwięk dzwonka pobiegły do piętrowego drewnianego budynku o kształcie prostokąta. Miał liczne okna i wyglądał na internat czy szkołę.

- Mogę w czymś pomóc? - usłyszała za sobą głos.

Odwróciła się i zobaczyła umundurowanego strażnika, postawnego i uzbrojonego.

- Chyba się trochę zgubiłam. Nazywam się Blalock, jestem umówiona z doktorem Adlerem.

Mężczyzna wskazał jedną z alejek.

- Tędy musi pani wrócić do głównej drogi, która zaprowadzi panią do wejścia.

- Dziękuję. - Odchodząc, czuła na sobie jego spojrzenie; usłyszała szum walkie-talkie i niewyraźny głos strażnika.

Doszła do miejsca, gdzie przedtem zboczyła, i skręciła w prawo. Zeszła trochę na bok, aby przepuścić elektryczny wózek, którym jechali ogrodnicy, również wyposażeni w walkie-talkie. Dziwiła ją liczba zabezpieczeń na terenie instytucji, której działalność, można sądzić, ograniczała się do wyszukiwania dawców i łączenia ich z potencjalnymi biorcami. Po co zatem uzbrojeni strażnicy i kamery?

Kiedy dotarła do kompleksu budynków, buty miała przemoczone. Wysokie drewniane schody prowadziły do budynku z sekwojowych belek. W oddali zobaczyła smugę szarego dymu, ale nie było widać, skąd się dobywał. Na szczycie schodów czekał na nią wysoki mężczyzna o dystygowanym wyglądem. Miał na sobie ciemny garnitur z kamizelką.

- Witam, doktor Blalock - powiedział uprzejmym głosem. - Jestem Jason Adler.

Joanna uściśniła wyciągniętą dłoń.

- Przepraszam za spóźnienie, ale trochę się zgubiłam.

Adler rozłożył ręce.

- Ciągłe się to przydarza naszym gościom. Musimy jakoś lepiej oznakować drogę.

Joanna rozejrzała się. Trzy parterowe drewniane budynki były oddzielone małymi dziedzińcami.

- Nie miałam nawet pojęcia, że Donors International zajmuje taki wielki teren.

- Donors International to tylko jedna z naszych form - powiedział Adler i wzięwszy Joannę pod rękę, poprowadził ją w kierunku największego z trzech budynków. - Tutaj mamy na przykład klinikę pomagającą bezpłodnym parom.

Joanna przytaknęła, przypominając sobie artykuł, który czytała w „Los Angeles Times”.

- Tak, zdaje się, że jej wyniki należą do najlepszych w kraju.

- Ma najlepsze w kraju wyniki - powiedział Adler, z dumą podkreślając „ma”. - Pięćdziesiąt pięć procent naszych klientek zaszło w ciążę i urodziło zdrowe dzieci.

- Niewiarygodne - powiedziała Joanna z autentycznym podziwem.

- Ale potem zaczęła się ta cała biurokratyczna mitręga. Po tym skandalu w Irvine ilość

pracy papierkowej potroila się, gdyż władze stanowe i centralne domagają się jak najszczelniejszej ochrony i kontroli.

Jak wszyscy lekarze z Kalifornii Południowej także i Joanna wiedziała o okropnym skandalu, jaki wydarzył się na University of California w Irvine. Jajeczka pobrane od jednej kobiety i zapłodnione, zostały następnie umieszczone w macicy innej kobiety, która nic o tej zamianie nie wiedziała. Okazało się, że kilkanaście kobiet powiło dzieci, nie będąc ich biologicznymi matkami. Wytoczono procesy o odszkodowania idące w miliony dolarów, zamieszani w aferę lekarze uciekli z kraju.

- Ale nie będziecie zamykać kliniki? - spytała Joanna.

- O, nie - stanowczo powiedział Adler. - Jesteśmy pewni, że robimy coś bardzo ważnego, no i oczywiście jest to też bardzo zyskowne. Pieniądze z kliniki pozwalają nam na bardzo rozległe badania.

Joanna usiłowała jakoś odczytać wymowę Adlera. Niemal angielska z lekkim zabarwieniem bostońskim. Spod oka obserwowała jego twarz. Oczekiwała, że będzie po pięćdziesiątce, tymczasem wydawał się co najmniej dziesięć lat młodszy. Rysy miał ostre, policzki gładkie, bez zmarszczek, i tylko we włosach można było dostrzec pasemka siwizny.

Obok znajdował się mniejszy budynek, który Joanna wskazała ruchem głowy.

- Czy to także część kliniki? - spytała.

Adler kiwnął głową.

- W centrum mamy sale szpitalne, a tam laboratoria, gdzie składa się spermę i komórki jajowe, a także dokonuje zapłodnienia in vitro.

- Czy mogłabym obejrzeć?

Adler na chwilę zawahał się.

- Nie wiem, czy cokolwiek tam dzieje się w tej chwili, ale możemy rzucić okiem.

W środku nie było okien, duszne, lepkie powietrze stało nad wyłożonym polerowanymi granitowymi płytkami korytarzem. Minęli wbudowaną w ścianę, hermetycznie zamykaną chłodziarkę; umieszczony nad jej drzwiczkami termometr, o przypominającym zegar cyferblacie, wskazywał dwadzieścia stopni Fahrenheita.

- Tutaj trzymamy jajeczka i spermę - poinformował Adler.

- Sądziłam, że to wymaga bardzo niskich temperatur.

- Istotnie; umieszczone są w pojemnikach z ciekłym azotem.

Na końcu korytarza znajdowały się drzwi z napisem:

LABORATORIUM ZAPŁODNIENI

WSTĘP WZBRONIONY

Weszli do ciemnego pomieszczenia. W smudze światła z korytarza Joanna dostrzegła pochylonego nad mikroskopem mężczyznę, obok którego stała wysoka, szczupła kobieta, ale w mroku można było dostrzec tylko jej sylwetkę.

- Nie możesz pukać, do cholery? - warknął mężczyzna.

- Mamy gościa, Matthew - spokojnie powiedział Arnold i zapalił światło. - Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadziliśmy.

- Całe szczęście, że nie trzydzieści sekund później - mruknął niechętnie Matthew i obrócił się na fotelu. Zmierzył Joannę przenikliwym spojrzeniem. - A to kto?

- Doktor Joanna Blalock; pracuje w Memorial Hospital. Doktor Blalock, to doktor Matthew Dunn.

Dunn dalej wpatrywał się w Joannę zmrużonymi oczyma. W średnim wieku, był bardzo wysoki, chudy, miał szpakowate włosy i wąskie usta.

- Przyszła pani na przeszpiegi z laboratorium w Memorial?

- Doktor Blalock jest lekarzem sądowym - wyjaśnił Adler.

Dunn uniósł brwi.

- I interesuje panią zapładnianie in vitro?

- Prosta ciekawość - powiedziała Joanna. - Chciałabym zobaczyć, jak to się robi, nie ma pan nic przeciwko temu?

Widać było, że Dunnowi ta propozycja zupełnie się nie podoba. Adler przetarł oczy.

- Doktor Dunn ma pewną fobię: uważa, że cały świat chce wykraść mu metodę.

- Pewnie - powiedział Dunn. - Wszyscy zazdroszczą mi sukcesów.

Adler westchnął ciężko.

- Matthew, zapoznaj doktor Blalock z ogólnym pomysłem, a szczegóły zachowaj dla siebie.

Dunn powoli odwinął gumę do żucia i umieścił ją w ustach.

- Co pani wie na temat zapłodnienia in vitro?

- Niewiele.

- Pewnie pani zdaniem wszystko sprowadza się do zmieszania plemników z jajeczkiem i wiary, że wszystko dobrze się skończy - powiedział ironicznie Dunn i spojrzał na swoją asystentkę. Miała nie więcej niż dwadzieścia lat, ładną twarz i długie, gładkie włosy blond.

- Jestem pewna, że procedura jest bardziej skomplikowana - powiedziała Joanna, zdenerwowana lekceważącym tonem lekarza.

- I nie myli się pani. - Dunn naciągnął parę lateksowych rękawic i podniósł do góry cieniuteńką pipetkę. - Przy użyciu tego wprowadzamy plemnik do jajeczka. Żadnego bajdurzenia, korowodów, międlenia - plemnik znajduje się tam, gdzie powinien.

- Jeden plemnik?

- Całkowicie wystarczy.

Dunn dał znak asystentce i w pokoju znowu zrobiło się ciemno. Włączył światelko mikroskopu i na małym ekranie pojawił się niewyraźny obraz, który po chwili wyostrzył się, ukazując ludzkie jajeczko. Teraz w polu widzenia mikroskopu pojawiła się pipeta z plemnikiem; powolnym, delikatnym ruchem Dunn nakłuł błonkę komórki jajowej i umieścił w jej cytoplazmie plemnik.

- Moment poczęcia - mruknął drwiącym tonem.

Joanna patrzyła przeniknięta trwogą. Czytała oczywiście o wprowadzaniu plemników do cytoplazmy, co uznała po prostu za jeszcze jedną nowatorską technikę medyczną, ale czymś zupełnie innym było widzieć na własne oczy, jak plemnik znika w jajku, i wyobrazić sobie, że chromosomy zaczynają się mieszać, w wyniku czego dojdzie do pierwszego podziału komórkowego, stanowiącego też pierwszy krok w kierunku nowego życia.

- Niewiarygodne - wykrztusiła, kiedy światło zapaliło się znowu.

- Robi wrażenie, prawda? - Dunn wyjął płytkę Petriego spod mikroskopu i zanim oddał asystentce, uniósł na chwilę do góry. - I niebawem umieścimy to w przyszłej matce.

- Wszczepi pan bezpośrednio do jajnika? - spytała Joanna.

Mężczyzna gwałtownie poderwał głowę.

- A co pani wie o transplantacjach dojajnikowych? - spytał.

- Czytałam o tym - odpowiedziała, rada z reakcji Dunna.

- A co jeszcze pani czytała? - spytał zaczepnie.

- Że podczas rozmrażania połowa jajeczek się rozpada.

- Jeśli się to robi nieumiejętnie.

- Jeśli nie zamraza się w dwumetylosulfotlenku, a nie rozmraża w kulturze tkanek jajowodowych, prawda?

Dunn stanął jak osłupiały.

- A skąd pani to wie, do jasnej cholery?

- Czytałam w „Newsweeku” - odparła niewinnie Joanna.

„Gówno prawda, pomyślał Dunn, w żadnym popularnym czasopiśmie nie podają takich szczegółów”. Teraz nie na żarty był zaniepokojony obecnością Joanny w swoim laboratorium, a także tym, ile ona naprawdę wie.

Joanna kątem oka zobaczyła, że Adler daje jakiś znak Dunnowi, którego nie udało jej się rozpoznać.

- Więc tak, w kulturze tkanek jajowodowych? - nie dawała za wygraną.

- Mniej więcej - mruknął Dunn, który najwyraźniej ani myślał powiedzieć jeszcze cokolwiek istotnego.

- A potem... - zaczęła Joanna, ale Dunn odwrócił się do niej plecami, niegrzecznie coś bąknąwszy, że i tak za dużo już czasu zmarnował.

- Dziękuję za prezentację - powiedziała Joanna, Dunn jednak zachowywał się już tak, jakby jej w ogóle nie było i dał znak asystentce, aby mu znowu podała płytkę Petriego. Zanotował sobie w pamięci, aby zadzwonić do znajomych w Memorial i dowiedzieć, co to za doktor Blalock i jak bardzo jest zaawansowana, jeśli chodzi o prace na zapłodnieniem in vitro.

Śladem Adlera Joanna wyszła z laboratorium. Wszyscy naukowcy są tacy sami, myślała. Zawsze tak się trzęsą, że ktoś może wykraść ich tajemnice i samemu potem się nimi szczycić. Musiała jednak przyznać, że postawa taka nie była bezzasadna; wspólnota naukowców nie różniła się od reszty społeczeństwa, także i w niej występowali złodzieje.

Niebo na zewnątrz było coraz ciemniejsze, powietrze ciężkie od wilgoci. Nadchodził deszcz. Popatrzyła po stokach górskich, silnie zmoczonych deszczami ostatnich miesięcy.

- Nie grozi wam tutaj obsunięcie zbocza?

- W tej chwili nie, ale myślimy o tym - odrzekł Adler. - Zasadziliśmy stabilizujące ziemię krzewy, postawiliśmy przegrody ochronne, a także zamontowaliśmy system odwadniający. Ale i to może nie wystarczyć, jeśli warunki silnie się pogorszą. Lawiny błotnej niczym nie da się zatrzymać.

- Życie w pięknej okolicy ma swoją cenę, prawda?

- Tak mówią.

Doszli do rozwidlenia i skręcili w prawo ku parterowemu pawilonowi. Ogrodnicy uwijali się między krzewami i kwiatami. Uzbrojony strażnik stał oparty o drzewo i palił papierosa. Na widok Adlera szybko zgasił niedopałek i zniknął w gęstych zaroślach.

- Bardzo dbacie o bezpieczeństwo - zauważyła Joanna.

- Mniej tutaj chodzi o centrum medyczne, a bardziej o ośrodek dziennej opieki nad dziećmi.

- Przez pomyłkę trafiłam tam na początku - powiedziała Joanna. - Ale te dzieci wydawały się trochę za duże na dzienną opiekę.

- Bo istotnie są za duże - przyznał Adler, przytrzymując łokieć Joanny, kiedy po mokrych

stopniach wchodzili do Donors International. - Są opóźnione i ich wiek umysłowy jest na poziomie o połowę niższym od rozwoju fizycznego. Sprawdzamy, czy obmyślony przez nas system dziennej opieki może im pomóc.

- A po co strażnicy? Żeby dzieci nie uciekły?

- Nie, skądże - stanowczo zaprzeczył Adler. - Jest im tu bardzo dobrze i wcale nie myślą o ucieczce. Problem w tym, że pochodzą z bogatych rodzin i bardzo się boimy, że ktoś mógłby próbować uprowadzić któreś dla okupu. Trzeba pamiętać o tym, w jakim żyjemy świecie.

- A czy także śpią tutaj?

- Jeśli pojawia się taka potrzeba. Jeśli rodzice gdzieś wyjeżdżają, jesteśmy przygotowani także na takie okazje. A mówiąc szczerze, niektóre z tych dzieci wolą być u nas niż w domu.

Joanna spojrzała za siebie na rozległy kompleks medyczny.

- Więc wszystko to ma jednego właściciela?

- Tak.

- Państwowego czy prywatnego?

- Prywatnego - powiedział Adler, który najwyraźniej miał już dość tego wypytywania.

Otworzył przed Joanną drzwi. - Jesteśmy na miejscu.

Przez małą recepcję przeszli do kwadratowego pomieszczenia z kilkunastoma przepierzeniami. W każdym siedział przed komputerem operator ze słuchawkami na uszach. Słychać było rozmowy, w większości prowadzone po angielsku, ale kilka po hiszpańsku i francusku.

- Tutaj gromadzone są nadchodzące z całego świata informacje o dawcach. Wprowadza się je do komputera, który natychmiast informuje, czy mamy zarejestrowanego odpowiedniego biorcę.

Joanna spojrzała ze zdziwieniem na Adlera, a potem raz jeszcze na operatorów.

- To ci urzędnicy podejmują decyzje?

- Nie - odrzekł Adler. - Oni tylko zbierają informacje. Jeśli komputer dopasuje dawcę do biorcy czy biorców, wszystkie dane są oceniane przez konsultanta o odpowiednich kompetencjach.

- I to on podejmuje decyzje?

- Nie. Ja.

Podeszli do kolejnych drzwi. Na tabliczce w ścianie Adler wystukał pięciocyfrowy numer, odczekał chwilę, a potem kluczem o dziwnym kształcie otworzył drzwi.

Znaleźli się w zadziwiająco wielkim pokoju, który Joannie przypominał główną salę

operacyjną NASA. Na ścianach znajdowały się wielkie ekrany wideo, wszystkie ciemne, tylko z migającymi kropkami pośrodku. Pod ścianą przy komputerze siedziała kobieta, która właśnie wprowadzała do niego jakieś dane.

Nagle jeden z ekranów wideo ożył i pojawiły się na nim informacje.

NAZWISKO: PIERRE DUPRES

PŁEĆ: MĘSKA

WIEK: 11 LAT

NARODOWOŚĆ: FRANCUSKA KANADA

RASA: KAUKASKA

HISTORIA KLINICZNA: POWAŻNE USZKODZENIE GŁOWY W WYPADKU SAMOCHODOWYM. ŚMIERĆ KLINICZNA. 2 EEG W GŁÓWNYM SZPITALU W TORONTO NIE WYKAZUJĄ ŻADNEJ AKTYWNOŚCI

DOTYCHCZASOWA HISTORIA KLINICZNA: ZDROWIE BEZ ZARZUTU, NORMALNE CHOROBY DZIECIĘCE

PODAWANE LEKARSTWA: BRAK

ALERGIE: BRAK

HISTORIA RODZINNA: RODZICE ZDROWI, DZIADEK OD STRONY OJCA CIERPIAŁ NA CUKRZYCĘ

Na innym ekranie pojawiły się dane pochodzące z analiz krwi i typu tkanki chłopca. Pomiędzy ciągami liczb, którym czasami towarzyszyły też oznaczenia literowe, Joanna wychwyciła grupę krwi A+.

- Śmierć mózgowa - spokojnie skomentował Adler. - Od dwudziestu czterech godzin jest sztucznie podtrzymywany.

Kobieta wstukała jeszcze kilka informacji, a potem wpatrzyła się w jeden z ekranów, na którym pojawił się napis „Dane przetwarzane. Czekaj...”

- Jak długo komputer będzie sprawdzał, czy jest odpowiedni biorca?

- Różnie - odparł Adler. - Im szybciej, tym lepiej.

Na ekranie zaczęły migać błyskawicznie przelatujące ciągi cyfr.

Patrząc na ekran, Joanna poczuła dreszcz, uświadamiając sobie, że za każdą z tych liczb kryje się konkretna osoba: każda z nich umierająca, każda czekająca na przeszczep, który przedłuży jej życie. Joanna przypomniała sobie ogłoszenia zachęcające, aby rejestrować się jako dawca organów. Hasło brzmiało „Przełącz dar życia”. Sprawa ta jednak miała pewien aspekt makabryczny: jedna osoba musiała umrzeć, aby umożliwić życie innej. A chociaż

Donors International obejmując swoją działalnością cały świat, dostarczała swym klientom organy znakomicie spełniające wymogi sytuacji, to jednak zarazem była organizacją nastawioną na zysk. Była czymś na wzór kosztownego sklepu po najwyższych cenach dostarczającego najróżniejsze organy.

A wszystko działo się zgodnie z przepisami prawa. Pacjenci Donors International umieszczani byli na listach oczekujących w zajmujących się przeszczepami centrach medycznych. Przesuwali się w górę tych list wraz z tym, jak osoby je poprzedzające poddawane były transplantacji albo przed nią umierały. Kiedy przychodziła na nie pora, zaczynało się poszukiwanie wątroby czy nerek, które, jeśli zostały znalezione, były bezzwłocznie dostarczane do odpowiedniego ośrodka. Dawcy niemal zawsze pochodzili z zagranicy, a zwłaszcza z Europy Środkowej. Chodziły pogłoski, że Donors International sownie opłacała rodziny dawców.

Ekran na chwilę zamarł, a potem pojawił się nim napis:

BRAK ZGODNOŚCI Z JAKIMKOLWIEK BIORCĄ

Kobieta siedząca naprzeciw komputera westchnęła ciężko.

- Szkoda. Skądinąd znakomity dawca.

- No cóż, jest wiele parametrów i nie zawsze można je uzgodnić - powiedział Adler.

Zrobił gest w kierunku kobiety.

- Doktor Blalock, to nasza koordynator, Karen Kessler.

Kessler sztywno kiwnęła głową.

- To właśnie doktor Blalock zajmuje się nieprawidłowościami, jakie wystąpiły w przeszczepionych, a dostarczonych przez nas wątrobach. Pamiętasz, mówiłem ci o tym.

Karen przytaknęła, zapaliła papierosa i wypuściła dym w kierunku sufitu. Przypomniała sobie radość Williama Arthura Warrena, kiedy poinformowała go, że znaleźli dawcę.

- Co się, u diabła, dzieje z tymi wątrobami?

- To właśnie próbujemy ustalić.

- Były w znakomitym stanie, kiedy przekazywaliśmy je szpitalom - powiedziała Karen. -

To zupełnie pewne.

- A skąd ta pewność?

Palce Karen przebiegły po klawiaturze i na ekranie znowu pojawiły się dane.

- Oto pacjenci, których wątroby zostały przeszczepione panom Warrenowi i Ettingerowi.

Rzadko zdarzają się tak zdrowi dawcy. Najpierw pan Warren.

DAWCA B. S. NR 88

NAZWISKO: BOROS SARKOZY

PŁEĆ: MĘSKA WIEK: 14 LAT

NARODOWOŚĆ: WĘGIERSKA

RASA: KAUKASKA

HISTORIA KLINICZNA: BARDZO POWAŻNE OBRAŻENIA GŁOWY, WYPADEK MOTOCYKLOWY. ŚMIERĆ KLINICZNA. 2 EEG W MIĘDZYNARODOWYM SZPITALU W BUDAPESZCIE WYKAZAŁY AKTYWNOŚĆ IZOELEKTRYCZNA

DOTYCHCZASOWA HISTORIA KLINICZNA: BARDZO DOBRY STAN ZDROWIA

PODAWANE LEKARSTWA: BRAK

ALERGIE: PENICYLINA

HISTORIA RODZINNA: RODZICE ZDROWI

DZIADEK: ROZEDMA PŁUC (PALACZ)

BABKA: DNA RZEKOMA

OCENA LABORATORYJNA:

FUNKCJE WĄTROBY (KREW)

BILIRUBINA	8
SGOT	24
SGPT	40
GGTP	52
ALBUMINY	3,82
FOSFATAZA ALKALICZNA	112

SKANOWANIE WĄTROBY I ŚLEDZIONY

- ŻADNYCH ANOMALII

WĄTROBA - BADANIE PODCZAS OPERACJI

- ŻADNYCH ANOMALII

- Jak pani widzi - powiedziała Karen, gasząc niedopałek - Warren otrzymał całkowicie zdrową wątrobę. Żadnych danych o jakichkolwiek anomaliach.

Joanna przypatrywała się jej, kiedy wystukiwała następne polecenie. Kessler była bardzo atrakcyjną kobietą, z wystającymi kośćmi policzkowymi, pięknymi oczyma i długimi brązowymi włosami. Musiała mieć pod czterdziestkę.

Teraz na ekranie pojawiły się dane chłopca, którego wątroba została przeszczepiona Rudolphowi Ettingerowi.

DAWCA P. S. NR 102

NAZWISKO: PETROS STAMATIPOULOS

PŁEĆ: MĘSKA WIEK: 12 LAT

NARODOWOŚĆ: GRECKA

RASA: KAUKASKA

HISTORIA KLINICZNA: PRZYPADKOWY POSTRZAŁ W GŁOWĘ. ŚMIERĆ KLINICZNA.
2 EEG W CENTRALNYM SZPITALU W ATENACH NIE WYKAZAŁY ŻADNEJ AKTYWNOŚCI
DOTYCHCZASOWA

HISTORIA KLINICZNA: BARDZO DOBRY STAN ZDROWIA

PODAWANE LEKARSTWA: BRAK

ALERGIE: BRAK

HISTORIA RODZINNA: RODZICE ZDROWI

DZIADEK: RAK PŁUC (PALACZ)

BABKA: ZAPALENIE KOŚCI I STAWÓW

OCENA LABORATORYJNA:

FUNKCJE WĄTROBY (KREW)

BILIRUBINA 1,1

SGOT 28

SGPT 21

GGTP 70

ALBUMINY 4,2

FOSFATAZA ALKALICZNA 118

SKANOWANIE WĄTROBY I ŚLEDZIONY

- ŻADNYCH ANOMALII

WĄTROBA - BADANIE PODCZAS OPERACJI

- ŻADNYCH ANOMALII

- Trudno o zdrowszą wątrobą - powiedziała Karen. - Nic nie wskazuje na żadne torbiele czy gruczolaki.

- Czy mogłabym otrzymać odpis tych danych? - spytała Joanna.

Konsultantka zawahała się i spojrzała na Adlera. Ten kiwnął głową.

- Zgoda, ale pod pewnymi warunkami. W żadnej publikacji nie wolno pani wykorzystać nazwisk dawców. Chodzi tutaj o poufne informacje.

- Oczywiście - powiedziała Joanna, podczas gdy Kessler zabrała się do drukowania. - Potrzebne mi także nazwiska lekarzy, którzy usunęli wątrobę, a także nazwiska i telefony rodzin dawców.

- Hola! - zawołał Adler i podniósł do góry dłonie. - Nazwiska chirurgów może pani

dostać, ale żadnych informacji o rodzinach.

- Dlaczego? - zdziwiła się Joanna.

- Bo sobie tego nie życzą - odparł Adler, a w jego głosie pojawił się ostry ton. - Nie chcą więcej wracać do tych tragedii. Wcześniej skontaktowałem się z nimi, pozwolili na udostępnienie pani danych medycznych, ale nie chcieli żadnych kontaktów. Podobnie jak ja, także i pani musi uszanować ich wolę.

Joanna wyraźnie czuła, że atmosfera w pokoju zrobiła się z nagle napięta, jak gdyby dotknęła jakiegoś czulego nerwu. Ale dlaczego? Nie wierzyła, że naprawdę mogło chodzić o rodziny dawców. Przecież z pewnością chciałyby wiedzieć, gdyby w wątrobach synów występowały jakieś anomalie, gdyż mógłby to być sygnał, by poddać badaniu inne ich dzieci. Nie. Musiało chodzić o coś innego.

- Ja jednak koniecznie muszę porozmawiać z tymi rodzinami - upierała się Joanna.

- Nie ma mowy! - stanowczo odrzekł Adler.

Postanowiła na razie nie nalegać. Porozmawia z chirurgami, może od nich czegoś się dowie.

- Ile dostarczyliście wątrób do transplantacji?

- Około stu pięćdziesięciu.

- Czy mogłabym otrzymać także o nich informacje?

- Nie! To wszystko informacje poufne. I tak zrobiłem wyjątek, jeśli chodzi o tych dwóch dawców. Nasi prawnicy są w tej kwestii bardzo stanowczy; przynajmniej do czasu aż cała sprawa się wyjaśni.

- A ciekawe, jak mam ją wyjaśnić, jeśli będziecie mi to utrudniali?! - prychnęła Joanna, na chwilę tracąc zimną krew.

- Przecież i tak sporo pani wie.

- Nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę z tego, że Ettinger gotów jest puścić was z torbami.

- No nie wiem - powiedział Adler i odruchowo poprawił węzeł krawata. - Jego prawnicy za głównego winowajcę uważają, na ile się zorientowałem, Memorial, a nie nas.

Joanna przygryzła wargi. Oni już się o siebie zatroszczyli; malutka ugoda poza salą sądową. Ciekawe, ile ich to kosztowało. Nie mogło chodzić o same pieniądze, bo na czym jak na czym, ale na nich Ettingerowi nie zbywało.

- A pan zamierza dopomóc Ettingerowi w tym, żeby palec był wymierzony tylko w Memorial?

Adler wzruszył ramieniem.

- W niczym nie zamierzam pomagać, chodzi tylko o to, kto był prawdziwym winowajcą.

- To coś panu powiem, a to zupełnie bezinteresowna rada. Jeśli idzie pan na jakieś umowy z Ettingerem, lepiej żeby pan sprawdził każdy przecinek i każdą kropkę. Pan Rudolph Ettinger znany jest z dwulicowości i łatwości, z jaką wycofuje się z danego słowa.

- Serdeczne dzięki, ale chyba sami potrafimy o siebie zadbać. Nasi prawnicy postarają się już o to, abyśmy byli chronieni.

Joanna parsknęła śmiechem.

- Przez co? Umowę, która może być złamana w dniu, kiedy została podpisana? Może mi pan wierzyć albo nie, ale jeśli nie znajdziemy przekonującego wyjaśnienia, dlaczego pogorszył się stan transplantowanych wątrób, Donors International znajdzie się na jednej łódce z Memorial.

- Zobaczymy.

- Bez wątpienia. - Joanna wpatrzyła się w twarz Adlera, ale nie znalazła na niej żadnego śladu niepokoju. - No cóż, chyba czas już na mnie.

Adler podał jej wydruki komputerowe.

- Odprowadzę panią, pani doktor.

Tylnym wyjściem przeszli na mały dziedziniec z drewnianymi ławkami i stołami oraz automatem do napojów pod małym daszkiem. Kilkanaście osób personelu popijało płyny ze styropianowych kubków i gawędziło. Wszyscy poderwali się na widok Adlera, ale ten dał im znak, żeby usiedli. Sam zapalił fajkę i wypuścił kłąb dymu.

- Przepraszam, może byłem zbyt obcesowy, ale naprawdę bardzo przejmujemy się tymi wątrobami. Mam wrażenie, jakbym wszedł na cienką linę.

- To nie jest mylne wrażenie.

- W momencie dostarczenia ich przez nas, wątroby były bez zarzutu. W takim razie, coś musiało się z nimi stać w Memorial, jestem o tym przekonany.

- Przekonanie przekonaniem, a czy ma pan jakiś dowód?

Adler wolno pokręcił głową.

- No cóż, nie.

- W takim razie Memorial i Donors International płyną w jednej łódce. - Joanna zapięła kurtkę pod szyją, gdyż wiał silny, mokry wiatr. Niebo groźnie ciemniało, jakby chciało dać odpór plotce, jakoby w Kalifornii Południowej nigdy nie padało. - Jeśli zacznie tonąć, to ze wszystkimi pasażerami.

Adler westchnął ciężko.

- Nie wiem, czy w ogóle uda się kiedyś to wyjaśnić.

- Jeśli nie spróbujemy, to z całą pewnością nigdy nie wyjaśnimy. - Adler zastanawiał się w milczeniu; nie chciał sprzeciwić się sugestiom prawników, sprawa i tak nie przedstawiała się nadzwyczajnie. - Muszę mieć dane kliniczne wszystkich dawców wątrób. A także informacje o ich rodzinach - napierała Joanna.

Adler zajął się ponownym rozpaleniem fajki, a potem rzekł:

- Spróbuję skontaktować panią z rodzinnymi lekarzami tych chłopców, których wątroby przeszczepiono Warrenowi i Ettingerowi. Da się to zrobić telefonicznie. Sprawdzę, czy obejdzie się bez tłumacza. Co pani na to?

- Na początek nieźle - powiedziała Joanna, zastanawiając się, czy przez lekarzy rodzinnych nie uda się dotrzeć do samych rodzin. - A co z innymi?

- Tych danych nie możemy udostępniać - powiedział stanowczo Adler. - Nie możemy złamać przyrzeczeń, które złożyliśmy.

- W takim razie czy mogę dostać nazwiska tych wszystkich, którzy otrzymali wątroby z Donors International?

- Wykluczone.

- Dlaczego?

- To także informacje zastrzeżone.

- A czy oni wiedzą, że ich wątroby mogą być atakowane przez jakąś chorobę?

- Niech pani nie wpada w przesadę. Z tego, że w dwóch wątrobach pojawiły się gruczolaki nie wynika jeszcze, że to samo musi dotyczyć innych.

- Tak czy owak, pacjenci powinni wiedzieć.

- Do jasnej cholery! - wybuchnął Adler, ale zaraz znowu się opanował. - Przecież poza tymi dwoma przypadkami nic nie wiadomo o żadnych innych anomaliach. I co, mamy wszystkich tych ludzi z przeszczepami wprawiać w przerażenie, mówiąc im, że noszą w sobie odbezpieczoną bombę zegarową?

Z tym argumentem Joanna musiała się zgodzić.

- To czy mogę przynajmniej dostać wyniki ich ostatnich analiz, bez żadnych nazwisk?

Adler pomyślał chwilę.

- Musimy się najpierw skontaktować z ich lekarzami, ale z tym nie powinno być żadnych problemów.

- A ultradźwiękowe obrazy wątroby.

- Nie - natychmiast odpowiedział Adler. - Pacjenci od razu się zorientują, że coś jest nie w porządku.

- Wcale nie - sprzeciwiła się Joanna. - Trzeba im powiedzieć, że to rutynowe kontrole

funkcjonowania przeszczepów. My, oczywiście, pokryjemy koszty.

Adler znowu zaczął się zastanawiać.

- Zanim odpowiem, muszę zasięgnąć opinii naszych prawników.

- To naprawdę bardzo ważne. Może nam pomóc w wyjaśnieniu naszego głównego problemu.

- Zobaczę, co da się zrobić - powiedział niezobowiązująco Adler.

Wyszli z podwórka; za ścianą gęstych krzewów widać było jeszcze jeden wysoki budynek, a z jego kominą unosił się gęsty, czarny dym.

- To także należy do Donors International? - spytała Joanna.

- Poniekąd. Tam prowadzimy badania.

- Jakież?

- Badania, które zrewolucjonizują transplantologię - z wyraźną dumą w głosie oznajmił Adler.

- W jaki sposób?

- Pracujemy nad stworzeniem uniwersalnego dawcy.

Joanna patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Źródło organów, które można będzie dać każdemu?

- Otóż to.

- Koniecznie muszę to zobaczyć.

Adler kiwnął głową i poprowadził ją w kierunku budynku. Wiatr zmienił kierunek i popchnął w ich stronę dym o słodkawym, dość przyjemnym zapachu.

- Po co ten komin?

- Tam spalamy resztki zwierzęce.

Dostali się do budynku bocznym wejściem i poszli długim, oświetlonym korytarzem. Wszystkie drzwi były zamknięte, ale słychać zza nich było zwierzęce głosy. W powietrzu unosił się ciężki zapach.

- Jakich zwierząt używacie do eksperymentów?

- Kóz, owiec, psów - odparł Adler i skręcił w inny korytarz. - Także pawianów.

- Trzymacie tu pawiany? - spytała Joanna.

- Nie. Kupujemy je, kiedy pojawia się potrzeba, i nigdy tutaj długo nie przebywają. Ich utrzymanie sporo kosztuje, z drugiej strony są nam potrzebne ze względu na znaczne podobieństwo tkanek do ludzkich.

- Tak, czytałam o tym.

Joanna zastanawiała się, czy Adler myśli o przeszczepianiu ludziom organów pobranych

od pawianów. Było to całkiem możliwe, od kolegów w Memorial Joanna dowiedziała się bowiem, że Adler znany był z wcześniejszych prób transplantacji międzygatunkowych. W zależności od rozmówcy, Adler był oceniany jako badacz albo najbardziej niekonwencjonalny, albo bezwzględny.

Jego gwiazda wcześniej zabłysła. Jako doktorant w Harvardzie opracował metodę takiego genetycznego mutowania myszy, aby mogły przyjmować przeszczepy ludzkiej skóry. Fundusze badawcze zaczęły gwałtownie rosnać; Adler przystąpił teraz do prób przeszczepiania świńskiej skóry poparzonym ludziom. On sam twierdził, że wyniki są znakomite, innym badaczom nie udało się ich jednak powtórzyć, pojawiły się więc poważne wątpliwości. Potem Adler był w grupie, która spróbowała przeszczepić człowiekowi serce pawiana i poniosła sromotną klęskę. Dalej walczył z władzami uniwersytetu o finansowanie badań nad przeszczepami międzygatunkowymi, ale i tutaj przegrał. Pozbawiony grantów opuścił Harvard i dopiero po kilku latach pojawił się w Donors International.

Doszli do wahadłowych drzwi z napisem: „Wstęp tylko dla personelu”. Weszli do dużej sali pełnej skomplikowanych urządzeń. Pod jedną ścianą znajdował się echokadriogram i aparaty EKG podłączone do oscyloskopów i monitorów. Obok technik nachylał się nad aparatem służącym do określania zawartości tlenu we krwi. W środku owca przebiegała nogami po ruchomej taśmie, a umocowane na jej piersi elektrody przekazywały sygnał do aparatu EKG. Zwierzę swobodnie biegło, zupełnie nie przerażone warunkami, w których się to działo.

Adler poprowadził Joannę na koniec taśmy, gdzie na metalowym stołku siedział mężczyzna uważnie przypatrujący się owcy.

- Doktor Blalock, proszę poznać doktora Kurta Rhinemanna, który kieruje naszym działem badawczym. - Rhinemann nawet na nich nie spojrział. - Jak eksperyment? - spytał Adler.

- Fantastycznie - odparł tamten z wyraźnym niemieckim akcentem i wskazał na monitor. - Dochodzi do stu sześćdziesięciu uderzeń na minutę, a EKG pozostaje w normie. Wspaniale kozie serce.

- Kozie? - spytała zdumiona Joanna. - Przecież to owca.

Rhinemann lekko się uśmiechnął.

- Owca z sercem kozy w środku.

- Od jak dawna?

- Teraz upływa drugi tydzień - powiedział Rhinemann i zapisał coś w zeszycie. - Zajmuje się pani przeszczepami?

- Nie, jestem sądowym patologiem.

Rhinemann machnął lekceważąco ręką. Był niskim, szczupłym mężczyzną, z zupełnie łąsą wielką głową i okularami w metalowej oprawce. Mocno zaciskał wąskie wargi.

- Jaki był najdłuższy okres, zanim organizm odrzucił międzygatunkowy przeszczep? - spytała Joanna.

- To zależy - odrzekł Rhinemann, wzruszając ramieniem. - Jest tu wiele zmiennych.

- Jakich na przykład? - dopytywała się Joanna, wstrząśnięta tym, co zobaczyła.

- Na przykład intensywność podawania środków immunosupresyjnych - wtrącił Adler, wpatrzony w monitor EKG. - W tym przypadku dawka jest bardzo niewielka, a trwa to już dwa tygodnie. Niesamowite.

- Jak to możliwe przy znikomych dawkach?

Adler uśmiechnął się powściągliwie.

- Przez usunięcie antygenów z powierzchni przeszczepionego organu. W ten sposób system immunologiczny owcy nie rozpoznaje serca kozy jako obcej tkanki.

Joanna nachyliła się, teraz jeszcze bardziej zainteresowana. Gdyby istotnie dało się usunąć wszystkie antygeny, wtedy dowolny organ można by przeszczepić dowolnemu biorcy.

- A jak je usuwacie?

Rhinemann spojrzał na nią ostro.

- Przy użyciu opracowanej przeze mnie metody. To wszystko, co możemy na tym etapie powiedzieć.

- Daj spokój, Kurt - mitygował go Adler - przecież jakieś ogólne...

- Nie! - wykrzyknął Rhinemann i spurpurowiał na twarzy.

- Jak będą ustalone wszystkie szczegóły i dojdzie już do publikacji, wtedy możemy sobie rozmawiać do woli.

Adler popatrzył na niego w zamyśleniu i wolno kiwnął głową.

- Może i masz rację. Najpierw publikacja.

Rhinemann chciał jeszcze coś dodać, ale rozmyślił się i raptownie odwrócił.

- No cóż - powiedział Adler. - Doktor Blalock, jestem pewien, że i pani ma mnóstwo zajęć, tak jak my, więc...

- Dziękuję za poświęcony mi czas - zwróciła się Joanna do Rhinemanna. - To naprawdę fascynująca perspektywa.

Tamten jednak tylko lekko wzruszył ramieniem, wpatrzony w owcę.

Na zewnątrz ciemne chmury niemal dotykały grani.

- Bardzo dziękuję za oprowadzenie mnie po pańskim królestwie.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- I będę bardzo wdzięczna, jeśli skontaktuje się pan szybko ze swymi prawnikami w sprawie informacji o dawcach i biorcach. Te dane mogą się okazać bezcenne.

- Zrobię, co będę mógł - obiecał Adler.

Tego Joanna wcale nie była taka pewna; dobrze przynajmniej, że będzie mogła skontaktować się z lekarzami, którzy w Grecji i na Węgrzech opiekowali się rodzinami dawców. Nagle zatrzymała się. Wątroby nadeszły z Grecji i Węgier; oba kraje leżały w odległości co najmniej piętnastu godzin samolotem od Los Angeles; czy to nie za długi czas przechowywania organów w lodzie? Może ta zwłoka spowodowała późniejsze anomalie. Może. Musi zbadać, ile czasu można bezpiecznie przechowywać organ przed transplantacją; najlepiej spytać o to Davida Dellacorte'a.

Zaczęło padać. Pojedyncze krople szybko przeszły w ulewę. Joanna pobiegła do samochodu.

Rozdział 11

Joanna nałożyła fartuch, maskę i rękawice, po czym pospieszyła na odizolowany oddział zakaźny. Poza szumem monitorów nie słychać było żadnego innego dźwięku. Mack Brown poprawiał kroplówkę przymocowaną do ramienia Kate.

- Kiedy nadeszła plazma? - spytała Joanna.
- Jakies dwie godziny temu. Kazałem cię powiadomić, ale nie było cię na oddziale.
- Ile jednostek?
- Trzy. Ale z jednej musieliśmy zrezygnować, gdyż miała pozytywny test na syfilis.
- Cholera!
- Trudno.

Joanna podeszła bliżej. Serce w niej zamarło; siostra wyglądała okropnie. Skóra pożółkła, strupy krwi wokół nozdrzy. Pierś przy oddechu ledwie się poruszała. Zerknęła na monitor: podstawowe parametry w normie, puls sześćdziesiąt na minutę, oddech - dwanaście, ciśnienie krwi 100/72.

- A jak stan umysłowy?
- Reaguje na ból, ale na żadne inne bodźce.
- Niewielkie nadzieje, prawda?
- Może jej się poszczęści - powiedział Mack, chociaż sam w to nie wierzył.
- Nawet jeśli wyżyje, będą jakieś nieodwracalne zniszczenia.
- W tej chwili nie można nic na ten temat powiedzieć.

Wiedział jednak dobrze, że im ostrzejsze zapalenie mózgu, tym prawdopodobniejsze trwałe następstwa. Wszystko wskazywało na to, że nawet jeśli siostra Joanny będzie żyła, to z poważnymi uszkodzeniami mózgu.

- Jak podasz plazmę?
- Jedną jednostkę teraz, odczekamy dwanaście godzin, a potem drugą.
- A jeśli trzeba będzie więcej?
- Jeśli dwie jednostki nie przyniosą efektu, to nie da go także większa dawka.

Nagle w maszynach otaczających łóżko Kate uruchomił się pulsujący alarm. Joanna poczuła zimny dreszcz i w popłochu spojrzała na monitory. Wykres elektrokardiogramu nagle się rozszalał, ale puls i ciśnienie krwi pozostały w normie.

Mack wyłączył sygnał, a potem nachylił się nad Kate i poprawił poluzowaną elektrodę. Zapis natychmiast stał się znowu regularny.

Fałszywy alarm, pomyślała z ulgą Joanna, ale serce nadal czuła w gardle.

- Stała obserwacja pacjentki - krótko polecił Mack pielęgniarce. - Co pięć minut kontrola zmian pokrzywkowych.

- A co mam robić, jeśli stwierdzę pokrzywkę? - spytała.

- Pięćdziesiąt miligramów bendrylu dożylnie. Jeśli nie poskutkuje, proszę mnie bezzwłocznie zawiadomić. - Chodź na kawę - zwrócił się do Joanny.

Joanna delikatnie uściśniła rękę Kate; miała okropne przeczucie, że po raz ostatni widzi siostrę żywą.

Wyszli z oddziału i po zdjęciu odzieży ochronnej usiedli w zagraconym gabinecie Macka. Między półkami pełnymi książek i papierów wisiały dyplomy i zdjęcia Macka z medycznymi znakomitościami z całego świata. Z dzbanka stojącego w ekspresie nalał kawę do styropianowych kubków i jeden wręczył Joannie, a następnie z ciężkim westchnieniem usiadł w obrotowym fotelu za biurkiem.

Joanna z zadartą głową i przymkniętymi oczyma rozmyślała nad problemami, które się na nią zwały: wyrodnijące przeszczepy wątroby, szkielet odsłonięty przez deszcze, związek z Jakiem, teraz należący już bezpowrotnie do przeszłości. A przecież wszystko bladło w zestawieniu ze straszliwą chorobą Kate. Jeszcze nigdy nie czuła się tak zrozpaczona: jedyne, co mogła zrobić, to beczynn timer czekać.

- Ciężka choroba to zawsze jest problem dla lekarza, ale szczególnie ciężko sobie z nim poradzić, gdy chodzi o bliską ci osobę, prawda? - odezwał się po pewnym czasie Mack.

- Zanim to nastąpi, nawet niepodobna sobie wyobrazić, jak ciężko.

- Tak, wiem, niestety - powiedział Mack, cofając się myślami dwadzieścia dwa lata wstecz, gdy poślubił urodziwą techniczkę z Narodowego Instytutu Zdrowia. Zaraziła się w laboratorium meningokokiem i zmarła na zapalenie opon mózgowych. Pokiwał głową w zadumie. - Moja pierwsza żona.

- Przepraszam - bąknęła Joanna. - Nie wiedziałam...

Nie dał jej dokończyć, robiąc szeroki gest ręką.

- To było już dawno temu.

Joanna przytaknęła, ale brzmienie głosu Macka świadczyło o tym, że wspomnienie nadal było żywe. Wypiła łyk kawy i spytała:

- Czy wiadomo coś więcej na temat tego przekłętą wirusa z Gwatemali?

- Nic ponad to, co ci już powiedziałem, no może jeszcze to, że od kilku tygodni nie było

nowych zachorowań.

Joanna przyjrzała się Mackowi z niedowierzaniem.

- Chcesz powiedzieć, że nagle zniknął?

- Tak to właśnie jest z wirusami. - Mack zerknął na zdjęcie zrobione w Nigerii w czasie ostatniej epidemii gorączki Lassa. Stał w grupie epidemiologów, którzy zjechali się, aby pomóc w walce z wirusem, który uśmiercił setki osób. - Pojawiają się, zabijają, mutują i znikają.

- Na zawsze?

- Co to, to nie. Przyczajają się w oczekiwaniu na odpowiedniego nosiciela. Człowieka, nietoperza, pająka - to dla wirusa żadna różnica. Jemu chodzi jedynie o przyjazne środowisko do rozmnażania się.

Joanna nerwowo postukała palcami o poręcz fotela.

- A co z takimi środkami antywirusowymi jak symmetrel? Czy to nie mogłoby pomóc Kate?

Mack pokręcił głową.

- Symmetrel skutkuje tylko przy grypie typu A, a i to jedynie wtedy, gdy lek zostanie podany we wczesnej fazie choroby.

- Ale czy nie warto chociaż spróbować?

Mack pokręcił głową.

- Ten środek ma czasem bardzo niepożądany wpływ na mózg, a to ostatnia rzecz, jakiej nam tu trzeba.

Joanna zrobiła bezradny gest ręką.

- Staram się po prostu wymyślić cokolwiek.

- Wiem. Trzeba trwać w nadziei, że Kate będzie jednak miała szczęście.

- To nie w mojej rodzinie - mruknęła Kate, wpatrzona ponuro w podłogę.

Mack kończył kawę, spoglądając spod oka na koleżankę. W jakiś sposób przypominała mu pierwszą żonę. Podobne wyraziste kości policzkowe, włosy jasnoblonde, nieprzeniknione brązowe oczy. I jedna, i druga podobnie błyskotliwe. Jak zawsze, gdy przypominała mu się żona, zobaczył ją leżącą na kanapie z włosami rozrzuconymi na poduszce. Ale tym razem twarz była nie Laury, lecz Joanny.

Usiłując uwolnić się od tej wizji, mruknął:

- Wczoraj wieczorem był w telewizji jeden z moich ulubionych filmów, *Casablanca*.

Joanna pokiwała głową.

- Jest tam kilka świetnych momentów.

- Na przykład, kiedy Claude Rains mówi Humphreyowi Bogartowi: „Tak nonszalancko rzucasz te kobiety, ale w końcu może ich zabraknąć!”

Joanna uśmiechnęła się, a twarz stała się odrobinę pogodniejsza. Ceniła sobie to, jak Mack potrafił odrobinę zmniejszyć napór czarnych myśli. Lubiła jego bezpretensjonalność i elegancję. Szkoda, że żonaty, pomyślała. W separacji wprawdzie, ale żonaty.

- Dzięki za to zaproszenie do Alamo. Dzięki drinkom spałam jak kłoda.

- Jak zawsze, kiedy uwolnisz trochę umysł od zgryzot. Ja wpadam tam parę razy na tydzień, więc daj znać, jak będziesz miała ochotę na powtórkę.

- Dobrze - odrzekła Joanna, a ich spojrzenia szepiły się na chwilę. Poczują, że się lekko rumieni.

Ktoś delikatnie zastukał do drzwi.

- Proszę - zawołał Mack.

Do pokoju zajrzała pielęgniarka.

- Dzwoni Sara Conn.

- I?

- Ma sto trzy stopnie, dreszcze i bóle głowy.

Mack raptownie zeszywniał w fotelu.

- Czy jest w domu?

- Tak.

- Proszę powiedzieć, że natychmiast do niej jadę. - Mack zerwał się i pospiesznie ściągnął biały fartuch. - Niedobrze, to poważny kłopot.

- Co się stało? - spytała Joanna.

- Pamiętasz tego chłopaka, którego przywieźli z Gwatemali razem z twoją siostrą? Tego, który wymiotował?

Joanna wolno pokiwała głową.

- Tak.

- Sara Conn to pielęgniarka, na którą zwymiotował.

- O Boże, myślisz, że mógł ją zarazić?

- W każdym razie nie można tego wykluczyć. Na nią poszła główna struga.

- Ale kilka kropel spadło także na mnie!

- Wiem.

Joanna poczuła suchość w gardle.

Rozdział 12

W kancelarii prawniczej Cole, Cox and Harrington panowała napięta atmosfera. Po jednej stronie stołu znajdowała się Pamela Warren i jej adwokat, po drugiej synowie Williama Arthura Warrena, Richard i T.J., z pochmurnymi twarzami. Nie było żadnej towarzyskiej pogawędki, wymieniano lodowate spojrzenia.

Pamela śmiało patrzyła na swych pasierbów, których nie znosiła za wszystkie podłości, jakich doznała z ich strony w czasie małżeństwa. Wiele zrobili, żeby czuła się nieprzyjemnie. Kiedy spotykali się w towarzystwie, obaj ignorowali ją, nie odzywali się do niej ani słowem, zupełnie jakby nie należała do rodziny. Na powitanie ograniczali się do lekkiego skinięcia głową.

Pamela nachyliła się do adwokata i zakrywając usta dłonią, szepnęła:

- Na co czekamy?

- Nie wiem - odpowiedział także szeptem. - Ale każdą odpowiedź niech pani konsultuje najpierw ze mną.

Pamela sądziła, że podobnie jak w starych filmach nastąpi odczytanie testamentu, ale lękała się tego. Bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak jej mąż układa dokument tak, aby ją upokorzyć. Albo żeby obejść postanowienia umowy przedślubnej. Kto wie, może się okaże, że droga do należnych jej pieniędzy będzie żmudna i trudna. Ilekroć nawiedzała ją myśl, że mogłaby utracić te miliony dolarów, była bliska omdlenia.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczył Alexander Cox, wysoki, szczupły, z krótko obciętymi siwymi włosami i rysami twarzy jak wykutymi z granitu. Miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę z krawatem, a w jego zachowaniu był tylko oficjalny chłód.

- Wszyscy już są, jak widzę - powiedział i zasiadł u szczytu stołu. Przez chwilę wpatrywał się w siedzącego obok Pameli adwokata.

- Czy pan reprezentuje panią Warren?

- Tak. Nazywam się Allen Diamond.

- Znakomicie. - Cox krótko kiwnął głową i otworzył teczkę z dokumentami. - Ja nazywam się Alexander Cox i, rzecz jasna, reprezentuję rodzinę Warrenów.

Pamela spurpurowiała na twarzy. Nawet ten cholerny najmigęba ją obraża, nie zaliczając do rodziny. Na twarzach pasierbów pojawiły się ironiczne uśmieški.

- Obawiam się, że będziemy mieli pewien problem ze schedą po Williamie Arthurze Warrenie - oznajmił beznamiętnie Cox.

Twarz Richarda Warrena spoważniała.

- Problem?

- Nie możemy odnaleźć testamentu pańskiego ojca.

W pokoju zapanowała grobowa cisza, a potem Richard zerwał się od stołu.

- Co takiego? - Nachylił się nad Coxem, pobielające knykcie palców wciskając w blat. - Co to ma znaczyć, że nie możecie odnaleźć?

- Testament zniknął - spokojnie wyjaśnił Cox. - Na przekór moim radom, pański ojciec zabrał oryginały wszystkich wersji. Powiedział, że będzie je trzymał w bezpiecznym miejscu. Po jego śmierci dokonaliśmy wszechstronnych poszukiwań, ale na próżno.

- Lepiej dla was, żeby jego ostatnia wola się znalazła - warknął Richard z wyraźną pogrózką w głosie.

Cox wykonał gładki gest.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, ale przypominam, że to pański ojciec sam zdecydował, że nie będzie testamentu przechowywał u nas.

Richard spiorunował wzrokiem Pamelę.

- Ty go ukradłaś! Mam rację? - zawołał.

- Musisz mieć nie po kolei w głowie! - syknęła Pamela.

- Jak śmiesz! - Richard, starszy z braci, był wierną kopią ojca: podły podobnie jak on. - Skradłaś go z sejfu po morderstwie!

- Oczywiście! - powiedziała ironicznie Pamela. - Nadstawiłam włamywaczowi czaszkę, żeby mnie rąbnął, a potem bez przytomności wstałam i ukradłam testament.

Richardowi nabrzmiały żyły na skroniach.

- Wszyscy znają cię na tyle, że...

- Moja klientka nie wie, gdzie może się znajdować rzeczony testament - ostro wpadł mu w słowo Diamond - a ja nie pozwolę na bezkarne rzucanie na nią obelg.

- Aha, a jak pan zamierza na to nie pozwolić? - spytał Richard z krzywym uśmiechem.

- Razem z moją klientką opuścimy to pomieszczenie.

Znowu zapadło milczenie.

Pamela wpatrywała się w swe świeżo pomalowane paznokcie i rozbawiona zastanawiała się, gdzie też może się znajdować ten testament. Z pewnością nie było go w sejfie, gdzie William trzymał ważne dokumenty. Może omyłkowo zabrał go Tony Boyette. Tak, tak się z pewnością stało, a to znaczyło, że razem ze spluwą, zegarkiem i portfelem, dokument spoczął

na dnie Zatoki Santa Monica. Nie była pewna, czy to dobrze dla niej czy źle.

- A czy jest tekst mojej przedślubnej umowy z mężem? - spytała.

Cox pokręcił głową.

- Także i jej nie ma.

- Mam jej tekst - niewinnie oznajmiła Pamela.

Richard Warren nie mógł uwierzyć własnym uszom; twarz mu się rozjaśniła w uśmiechu. Pamela poczuła, jak Diamond kopie ją pod stołem, ale nie zwracała na to uwagi. Także i jego przechytrzyła.

Alexander Cox wpatrzył się w Pamelę zmrużonymi oczyma.

- Oryginał czy kserokopia?

- Kserokopia, ale nie podpisana.

Cox machnął ręką lekceważąco.

- Bez żadnej wartości prawnej.

Richard zachnął się.

- Czemu, przecież to dokument?

Cox pokręcił głową.

- Aby miał moc prawną, musi być podpisany.

- W takim razie będę musiał się postarać o inną opinię prawniczą! - warknął Richard.

- Jak pan uważa - odparł chłodno Cox, zaciskając wargi.

- Nie, Richard się przejęzyczył - przemówił po raz pierwszy T.J. Warren, szczupły blondyn o delikatnej twarzy. - Mamy do pana całkowite zaufanie, chodzi jedynie o to, że ja i brat chcemy zapobiec temu, aby ta kobieta dostała chociażby o cent więcej od tego, co zechciał jej przyznać nasz ojciec. A gdyby była jakakolwiek prawna możliwość oprotestowania postanowień testamentu, to podejmiemy wszelkie...

Diamond nie dał mu dokończyć.

- Nie można unieważnić tego, co nie istnieje. A dopóki testament się nie znajdzie, pani Warren nadal będzie mieszkać w swoim domu ze wszystkimi jego dobrodziejstwami, a także co miesiąc otrzymywać sumę, która pozwoli jej prowadzić życie na poziomie, do którego przywykła w trakcie małżeństwa. Co oznacza czterdzieści tysięcy miesięcznie.

- Oburzające!!! - Richard wrzał gniewem. - Nie pozwolimy na to!

- Tam gdzie kwestia regulowana jest przez prawo, pańskie pozwolenie czy jego brak, nie ma nic do rzeczy - spokojnie oznajmił Diamond, barczysty mężczyzna z czarnymi włosami i kwadratową szczęką. - Gdyby zaś okazało się, że czterdzieści tysięcy miesięcznie nie jest sumą wystarczającą, wystąpimy o jej podwyższenie.

- Czy w to wliczone jest pańskie honorarium? - prychnął Richard.

- Nie - odrzekł Diamond z uprzejmym uśmiechem. - Ono zostanie uregulowane z należnej mojej klientce części majątku pana Warrena.

- Gówno prawda! Ani złamanego...

- Panowie, panowie! - rzekł podniesionym głosem Cox. - Kłótnie i zwady do niczego nie prowadzą. Sprawa kluczowa to odnalezienie testamentu i wszyscy musimy się do tego przyłożyć. - Wziął ze stołu teczkę i ze słowami: - Panie Diamond, będę z panem w kontakcie - odwrócił się do drzwi.

Za nim pospieszyli bracia Warrenowie, ale Richard zatrzymał się w drzwiach i rzucił przez ramię:

- Nie dostaniesz ani centa! Wybij sobie to z głowy!

I natychmiast z hukiem zatrzasnął za sobą drzwi.

Pamela wyciągnęła z pudełka papierosa i przypaliła wyraźnie trzęsącą się ręką. Nienawidziła Warrenów, ale także się ich bała. Stały za nimi bogactwo i pozycja. Zaciągnęła się dymem i przez chwilę zatrzymała go w płucach.

- Sądzi pan, że znajdą ten testament? - spytała.

- Wątpię. Przypuszczam, że do tego czasu przetrzasnęli już wszystkie możliwe miejsca.

- No dobrze, a co będzie, jak nie znajdzie się ani testament, ani umowa przedślubna?

- Z prawnego punktu widzenia ma pani udział należny wdowie.

- A więc?

Diamond wzruszył ramieniem.

- To zależy. Na ile był wyceniany majątek pani męża?

- Jakies sto pięćdziesiąt milionów dolarów.

- Wtedy dostałaby pani około pięćdziesiąt milionów, może odrobinę więcej. Pozostałe dwie trzecie przypadłyby w udziale synom.

Pamela poczuła, jak serce jej łomocze.

- Jest pan pewien?

- Stanie się pani bogatą kobietą, pani Warren. Bardzo bogatą.

Rozdział 13

- Przepraszam za spóźnienie.

Z tymi słowami Joanna spieszonym krokiem weszła do laboratorium, trzymając pod pachą rulon zdjęć rentgenowskich. Skinęła głową Lori McKay i Jake'owi Sinclairowi, a także mężczyźnie, który ze stopami opartymi o blat biurka rozsiadł się w fotelu. Był to Ed Jacobs, uznawany za najlepszego ortopedę w Memorial Hospital.

- Czy zbadał pan szkielet? - spytała go Joanna.

- Jeszcze nie. Czekałem z tym na panią.

- Powiedziano panu, co wiemy o ofierze? - spytała Joanna, rozpinając jednocześnie zdjęcia na mlecznych ekranach.

Jacobs przytaknął.

- Nie ma tego tak wiele. Faceta zabito, zakopano, a w kości udowej miał płytkę.

- Właśnie ta kość nas interesuje. Mógłby pan powiedzieć na początek, czy ten mężczyzna utykał?

- Niewykluczone. - Jacobs wstał i przeciągnął się. Był wysoki, dobrze zbudowany, z gęstymi ciemnorudymi włosami i orlim nosem. - Przyjrzyjmy się zdjęciom.

Joanna cofnęła się, a ortopeda podszedł do ekranów. Poza salą operacyjną wydawał się powolny i niezdecydowany, tymczasem potrafił dokonać wymiany kolana w mniej niż dwie godziny. Pośród kolegów nosił przydomek Eddie Błyskawica.

Jacobs starannie przyjrzał się zdjęciom, pod szkłem powiększającym oglądając odpryski metalu.

- Hmm, ktoś go postrzelił.

- Są jeszcze inne możliwości - wtrąciła Lori.

- To rana od pocisku, kochanie - powiedział Jacobs. - Może pani mi wierzyć.

- Są inne możliwości - podniesionym głosem obstawała przy swoim Lori. - I nie jestem dla pana żadnym „kochanie”!

- Niestety, Niestety. - Z uśmiechem pokiwał głową Jacobs, zdjął jedno ze zdjęć i podniósł do światła.

- Lori ma jednak rację - odezwała się Joanna. - Zbadałam te odłamki; pochodzą nie od pocisku, lecz granatu.

Jacobs niestropiony wzruszył ramieniem.

- Granat to bardzo duży pocisk.
- Jest zasadnicza różnica między granatem a pociskiem - sprzeciwiła się Lori.
- Nie jeśli chodzi o rany - powiedział Jacobs.
- Mogę panu przytoczyć liczne przykłady...

Jacobs uniósł dłoń i pokręcił głową.

- Proszę nie robić mi wykładu na temat kul i granatów. Spędziłem rok w Wietnamie w jednostce MASH i zobaczyłem więcej ran, niż potrafiłbym zliczyć. Kule to latające szrapnele, tak samo jak granat.

Jake lekko kiwnął głową. A więc mieli rację. Zabity był w Wietnamie, bowiem gdzie jeszcze indziej mógłby zostać raniony odłamkiem granatu?

- Czy rana była na tyle poważna, że mógł kuleć?

Jacobs długo wpatrywał się w zdjęcie, a potem przeszedł do leżących na stole resztek szkieletu. Zmierzył dokładnie długość kości udowej i piszczelowej.

- Nie ma skrócenia kości, wątpię więc, by utykał.
- A co powie pan o płytce? - spytała Joanna.
- Płyta nadkłykciowa mocowana śrubami.
- Jest w niej coś niezwykłego?
- Zdjęcie rentgenowskie na nic takiego nie wskazuje.

Jacobs dokładnie przyjrzał się teraz płytce.

- Dałoby się ustalić, kto ją wyprodukował, a kto nabył?
- Może. Znajdzie się tu jakiś śrubokręt?

Joanna wskazała szufladę stołu.

- Tam, zaraz obok pana.

Jacobs wyszukał odpowiednie narzędzie, a potem z wysiłkiem odkręcił śrubę mocującą płytkę do kości. Metal wystawiony na działanie powietrza i deszczu zardzewiał. Ortopeda pod zlewem usunął przy użyciu drucianej szczotki nalot i przyjrzał się płytce przez szkło powiększające.

- Producent: Precision Products - oznajmił. - I jest też numer seryjny.
- Świetnie! - zawołała uradowana Joanna.

- Powoli, może cieszy się pani na zapas - przestrzegł Jacobs. - Jakies pięć lat temu Precision Products kupiła inna firma i wcale nie jest pewne, że zachowała się stara dokumentacja.

- Niech to diabli! - zachnęła się Joanna. - Jak to sprawdzić?

- Wystarczy zadzwonić - powiedział Jacobs. - Gdzie telefon?

- Zaraz przy drzwiach - oznajmiła Joanna.

Lori wpatrywała się w płytkę nadkłykciową. Taki wyraźny element, a jednak w pierwszej chwili go przeoczyła, zmylona błotem i brudem. Co za idiotyzm! Było jasne, że na płytce będzie nazwa producenta, a także najpewniej numer seryjny, ale Joanna najwyraźniej chciała, żeby jej przypuszczenia potwierdził specjalista ortopeda.

- A gdyby nazwa i numer się nie zachowały? Co wtedy by pani zrobiła? - spytała Joannę. Ta namyślała się tylko chwilę.

- Odesłałabym do laboratorium FBI. Oni potrafią odcyfrować ślady niemal nieczytelne.

Lori zaksięgowala sobie w pamięci tę informację.

Joanna siadła w fotelu i przetarła oczy. Miała za sobą ciężki dzień, pełen autopsji, wykładów, narad i rozmów. Ale najbardziej trapiło ją to, że mijała już cała doba od podania Kate plazmy, a nie było najmniejszej poprawy: ciągle śpiączka, bardzo ograniczona reaktywność.

Co więcej, Joanna teraz pełna była obaw, że wirus może i ją zaatakować. Pielęgniarka z Centrum Wirusologicznego miała nadal dreszcze i gorączkę, ale nie pojawiła się wysypka, diagnoza więc była niepewna. Gdyby jednak wykryto wysypkę, wtedy stawało się jasne, że wymiotujący pacjent zaraził Sarę Conn, a bardzo możliwe, że także Joannę. Mack postawił sprawę wyraźnie: w tej sytuacji trzeba ją będzie odizolować i poddać obserwacji. Joannę zaczynały nawiedzać obrazy, jak leży na łóżku obok siostry, a potem - w grobie.

Obejrzała się na odgłos otwieranych drzwi. Do laboratorium wkroczył David Dellacorte z plikiem wydruków komputerowych pod pachą. Pomachał do Jacobsa, który oparty o ścianę rozmawiał przez telefon i podszedł do grupki skupionej przy stole ze szkieletem.

Dellacorte uśmiechnął się ciepło do Lori.

- Jak tam, wszystko w porządku?

- Tak, tak - zapewniła dziewczyna z niezwykłą u niej łagodnością w głosie.

Joanna natychmiast wychwyciła ten osobliwy ton i zerknęła spod oka na tę dwójkę. Ciekawe, czy się spotykają na gruncie prywatnym, pomyślała. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Dellacorte był przystojny, Lori McKay - ładna, stanowili dobraną parę, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Tyle tylko, że dzieliła ich różnica piętnastu lat, a poza tym obydwójce mieli twarde, niezależne charaktery. Bardzo łatwo mogło dochodzić do kłótni między nimi. Co to mnie obchodzi, upomniała w myślach samą siebie. To nie mój interes, jeśli tylko nie ma szkodliwych skutków dla pracy.

- Zdobył pan te dane o przeszczepach wątroby? - spytała, wstając z fotela.

Dellacorte ułożył na blacie biurka wydruki i przepuścił je między palcami jak talię kart.

- Oto dane o wszystkich przeszczepach wątroby, jakie wykonano w Memorial. Przez osiem lat sześćdziesiąt dwa przypadki. Dwudziestu pacjentów zmarło, mam też wyniki ich sekcji.

- Ilu pacjentów otrzymało organy z Donors International?

- Sześcioro, za każdym razem znakomite parametry zgodności. Z wyjątkiem Williama Arthura Warrena wszyscy żyją.

Jake odwrócił się od szkieletu.

- A co się stało z Warrenem?

- Rozmawiamy o jego transplantowanej wątrobie - wyjaśniła Joanna i przedstawiła obu mężczyzn, którzy ponad stołem kiwnęli sobie głowami. - A zatem sześcioro pacjentów otrzymało wątroby z Donors International i u dwóch pojawiły się cysty i gruczolaki?

- Tyle przynajmniej wiemy - zastrzegł się Dellacorte. - O reszcie będzie coś można z pewnością powiedzieć dopiero po ultrasonografii.

- Tylko sześć z Donors International - powtórzyła na głos Joanna, która z chęcią usłyszałaby, że było tych przypadków więcej. - A czy wiemy coś o dawcach?

- W każdym przypadku tylko krótka historia kliniczna, a także parametry tkanek i krwi. Ale, oczywiście, żadnych nazwisk.

- Cholera - zakłęła pod nosem Joanna.

- W sprawie dawców chyba będzie się pani musiała porozumieć z Donors International - powiedział Dellacorte.

- Już to zrobiłam - odparła Joanna - ale niewiele to pomogło. Powtarzali, że to poufne informacje.

- Pewnie boją się, że ktoś ich poda do sądu. Najlepiej porozmawiać w cztery oczy.

- Tak też zrobiłam - wyjaśniła Joanna, odrobinę poirytowana protekcjonalnym tonem chirurga. - Łatwiej chyba wyciągać zęby niż informacje od nich.

- Hm, może mają coś do ukrycia - zasugerował Jake.

- Może. - Joanna wzruszyła ramionami, myśląc, że Adler wspólnie z Ettingerem zgodnie starają się zrzucić winę na Memorial. - Chociaż ja nie odniosłam wrażenia, że próbują schować coś pod stołem; raczej dbają tylko o swoje dobre imię. Donors International to naprawdę ogromna instytucja, a prowadzone tam badania są na poziomie takich, za jakie dostaje się Nobla. Przypuszczam, że nieufnie traktują wszystkich ludzi z zewnątrz. To dlatego usadowili się w Santa Monica Mountains. Trudno o bardziej odludne miejsce.

Jake nadstawił uszu.

- A gdzie dokładnie w Santa Monica Mountains?

- Na południe od Mulholland Drive - odparła Joanna. - Jakąś milę na zachód od autostrady na San Diego.

Jake w zamyśleniu wpatrzył się w przedramię szkieletu.

- To niedaleko od miejsca, gdzie znaleźliśmy te zwłoki.

Joanna zmrugała oczy.

- Jesteś pewien?

- Z grubsza ta sama okolica. Macie tu gdzieś mapę zachodniego Los Angeles?

Joanna skinęła głową.

- Tak, na ścianie w frontowym laboratorium.

Lori zrobiła krok, aby podążyć za nimi, ale poczuła, że David Dellacorte ciągnie ją za rękaw. Zatrzymała się i spojrzała mu w twarz z uśmiechem. Taki był przystojny z tymi przedwcześnie szpakowatymi włosami. Mimochodem zdążyła już zauważyć, że nie ma na palcu obrączki.

- Interesujące, prawda? - spytała.

- Tak - rzekł Dellacorte i lekko nachylił się nad dziewczyną, czując ciepło jej ciała i aromat perfum. - Jestem zdumiony, że tak młoda osoba ma tak rozległą wiedzę.

- Cierpliwa nauka i tyle.

- Nie, nie, jest w tym coś więcej.

- Naprawdę? - spytała zalotnie Lori i znowu się uśmiechnęła.

Dellacorte odpowiedział uśmiechem, walcząc z gwałtowną chęcią, by przytulić rozmówczynię.

- Ma pani jakąś sympatię?

- Nnnnie, raczej nie - odrzekła z ociąganiem.

- A prowadzi pani bujne życie towarzyskie?

- Nie mam na to czasu - powiedziała odruchowo, ale zaraz tego pożałowała, dodała więc:

- Przynajmniej sobotnie popołudnia usiłuję mieć wolne.

- To może zjedlibyśmy razem kolację?

- Tak, świetnie.

- A jak się umówimy?

- Mieszkam... - zaczęła Lori, ale urwała, gdyż Joanna i Jake już wracali. - Zadzwoń do pana na oddział i zostawię swój numer - dokończyła niemal szeptem.

- Czy pamięta pani dokładnie miejsce, gdzie znaleźliśmy ten szkielet? - zwrócił się do niej Jake.

Lori przymknęła oczy; takie szczegóły rejestrowała z niemal fotograficzną dokładnością.

- Półtorej mili od autostrady. Następny odjazd to Getty Center Drive.

- Grób był ulokowany równolegle do Getty Center Drive? - upewnił się Jake.

- Mniej więcej. Jakies sto jardów na północ.

Jake potarł w zamyśleniu czoło. Pamiętał, że policjant z drogówki stwierdził, iż na północ od miejsca, gdzie znaleźli zwłoki, jest klinika kobieca. Zastanawiał się, czy mogło to być Donors International. Spojrzał na Joannę.

- Czy Donors International ma jakiś oddział kobiecy?

- Tak. Dokonują sztucznych zapłodnień.

Jake obliczał odległość. Donors International dzieliła od miejsca odkrycia jakaś mila nierównego terenu. Bardzo nierównego. Niemożliwe, żeby ktoś taki kawał włókł ciało po ziemi. Spojrzał na Lori.

- Od grobu nie prowadziła żadna droga na północ, prawda?

Lori zastanowiła się chwilę.

- Były jakieś koleiny.

- Wąskie i głębokie - przypomniał sobie Jake.

- Tak - potwierdziła Lori. - Nie sądzę, by ktoś mógł przenieść ciało daleko od nich - dodała, jakby czytała w myślach Jake'a.

- Podejrzewa pan jakiś związek między tym szkieletem a Donors International? - spytała zaskoczona Joanna.

- Raczej nie. - Jake wzruszył ramionami. - Co może łączyć jakiegoś snajpera z przeszczepami?

- Snajpera?! - Podekscytowany Dellacorte popatrzył raz jeszcze na kościotrupa. - Skąd pan wie, że to snajper?

- Potem panu wyjaśnię - szybko wtrąciła Joanna.

Jake spojrzał badawczo na chirurga.

- Wszystkie informacje o tym przypadku ma pan zachować dla siebie, dobrze?

- Oczywiście.

Jake wyciągnął z pudełka greckiego papierosa i zapalił, nie zważając na pełne dezaprobaty spojrzenia lekarzy. Zaczął się przechadzać po sali, zastanawiając się nad koleinami łączącymi mogiłę i Donors International. Pomyślał, że musi dokładnie obejrzeć ten teren, najlepiej z pokładu policyjnego helikoptera.

Joanna przypatrywała mu się w milczeniu. Widziała, że coś go niepokoi w związku z mogiłą. Podczas śledztwa Jake stawał się niezłomny jak buldog, wyciskając wszystkie

możliwe odpowiedzi z najmniejszych szczegółów. Westchnęła na wspomnienie razem spędzonych chwil. Pod pewnymi względami był nadzwyczajny, a zarazem tak głupi, gdy chodziło o kobiety.

Dellacorte spojrział na ścienny zegar.

- Znikam, muszę zdążyć na wieczorny obchód.

Joanna zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć, jakie to bardzo ważne pytanie miała do niego. Pojawiło się w jednym błysku.

- Jeszcze jedno, Dave. Dowiedziałam się, że wątroby Warrena i Ettingera przybyły z Węgier i Grecji. Nawet jeśli użyto prywatnych odrzutowców, nie mogły spędzić w lodzie mniej niż piętnaście godzin. Czy to nie za długo dla przeszczepów?

- Raczej nie - odrzekł Dellacorte. - Wątroba przestaje się nadawać do transplantacji po dwudziestu czterech godzinach, aczkolwiek im krócej przebywa poza ciałem dawcy, tym lepiej dla biorcy.

- Rozumiem, ponieważ jednak to więcej niż połowa dopuszczalnego okresu, czy możliwe, by tu kryła się przyczyna cyst i gruczolaków?

Dellacorte zastanowił się głęboko.

- Chyba nie, znam trzy przypadki, gdy przeszczepiono wątroby po dwudziestu godzinach od chwili pobrania, i wszyscy pacjenci mają się dobrze. W każdym razie sprawdzę ich ultrasonografy.

- Mam! - krzyknął od telefonu Ed Jacobs i z trzaskiem odwiesił słuchawkę. - Chryste Panie! Tyle zachodu, jakbym prosił o rozkład pokoi w Białym Domu.

- Czego się pan dowiedział? - spytała Joanna.

- Mamy szczęście. Te płytki nadkłytkciowe były produkowane w partiach po sto sztuk, każda partia oznaczona tym samym numerem. Ta ze szkieletu została dostarczona w 1974 do Walter Reed Hospital.

Joanna nie bardzo wiedziała, na czym miało polegać ich szczęście.

- To znaczy, że płytki z takim numerem wszczepiono setce pacjentów?

- Tak. A pośród nich jest nasz człowiek.

- Cholera! - mruknął Jake. - I szukaj ich teraz!

- Wcześniej trzeba zdobyć pozwolenie na korzystanie z dokumentacji Walter Reed - zauważył Jacobs, ale Jake machnął lekceważąco dłonią.

- To najmniejszy kłopot. Ale sto różnych osób, po tylu latach. To strasznie długo potrwa.

Joanna pochwyciła wzrok Lori i spojrzała wymownie na szkielet. Dziewczyna nic nie rozumiała, więc Joanna wskazała na swój palec wskazujący. Twarz Lori rozpromieniła się.

- Wystarczy jeden telefon - zawołała i odplaciła się Joannie spojrzeniem pełnym wdzięczności.

Jake stanął jak wryty.

- Jak to?

- Obrączka - przypomniała Lori. - Znamy inicjały: J.R.

Jake uśmiechnął się szeroko.

- Tak! Mamy go!

Joanna też się uśmiechnęła, ale bez radości: widok kościotrupa nieustannie przypominał o losie jej siostry.

Rozdział 14

Właściciel lombardu, niewielki człowieczek, który za nic nie chciał spojrzeć w oczy Jake'owi Sinclairowi i Lou Farellemu, mówił, nieustannie poprawiając na palcu diamentowy pierścionek.

- Po prostu przyszedł, żeby zastawić rolexa. To zdarza się dziesięć, piętnaście razy na tydzień.

- A był w typie rolexa? - spytał Jake.

Lichwiarz wzruszył ramionami.

- Prezentował się nieźle, żaden tam ulicznik, nie. - Drzwi lombardu otworzyły się i stanęła w nich dobrze ubrana matrona z siwymi włosami. Właściciel dał znak pomocnikowi, żeby obsłużył klientkę, a ten postąpił w jej kierunku. - Sprawdziłem numer seryjny zegarka, ale wtedy nie było go na liście. Możecie sami sprawdzić.

- Tak, tak - powiedział Jake. Prawie dwa tygodnie zabrało im ustalenie tego numeru, w końcu dostali od jubilera, który czyścił zegarek. - Pan obsługiwał tego faceta?

- Mój syn, ale ja musiałem zatwierdzić operację.

- I widział go pan?

- Hm, tak. - Właściciel lombardu, Maury Glazer, był w średnim wieku, miał sporą łysinę i różowe policzki. - No i poza tym go wylegitymowałem.

- Powiedział pan, zdaje się, że nieźle się prezentował - zauważył Jake.

- Nieźle, ale go nie znałem, a jak kogoś nie znam, to mu nie ufam. W moim zawodzie, panie poruczniku, potrzebna jest podwójna ostrożność.

- Zapisał pan jego nazwisko i adres?

- Zrobiłem coś lepszego. Skserowałem prawo jazdy.

Jake uśmiechnął się lekko.

- Widział to?

- Czy ja wiem, może widział, może nie, ale co to ma za znaczenie. W moim sklepie obowiązują moje reguły.

- Z chęcią obejrzałbym to prawo jazdy.

- Mam na zapleczu. Zaraz przyniosę.

Jake przeciągnął się i rozejrzał po wnętrzu. Nic nie wisiało na ścianach, żadne muzyczne

instrumenty czy gadzety elektroniczne. Wszystko było drogie i umieszczone w gablotach. Chociaż lombard mieścił się w Beverly Hills, na oknach były kraty, spod sufitu spoglądały obiektywy kamer, a przy wejściu stał uzbrojony strażnik. Jake przypuszczał, że w gabinecie na zapleczu właściciel obsługiwał szczególnie ważnych klientów.

- Będzie fałszywe - mruknął Jake.

- Pewnie - zgodził się Farelli. - Tylko dureń pokazałby prawdziwe.

Jake pokręcił głową; coś mu w tym wszystkim nie pasowało.

- Dlaczego zastawił zegarek w takim miejscu? Czemu nie w jakimś mniej eksponowanym punkcie?

- I dlaczego zostawił trzy razy cenniejszy naszyjnik, który nie ma żadnego numeru seryjnego? Prawdziwy zawodowiec nigdy by nie przepuścił takiej okazji.

- Wszystko jakieś bez sensu - powiedział Jake i przekartkował notatnik. Na jednej z ostatnich stron był napis Santa Monica Mountains i znaki zapytania przy „Klinika kobieca” oraz „Drogi dojazdowe”. Popatrzył na Farellego. - Zamówiłeś mi helikopter?

- Będzie jutro o czwartej, ale tylko na pół godziny.

- Za mało. Potrzebuję najmniej godziny, żeby dokładnie obejrzeć cały teren.

- Ledwie wywalczyłem te trzydzieści minut. Wszystkie maszyny są skierowane do poszukiwań tego snajpera autostradowego.

- Skurwysyn! - mruknął Jake, a twarz mu pociemniała. Od miesiąca ktoś ostrzeliwał kierowców na autostradzie; dwóch zginęło, czterech zostało ciężko rannych. Najczęściej zasadzał się wcześnie rano, ale ostatni wypadek miał miejsce w nocy. Całe miasto było poruszone, policja w pogotowiu, helikoptery startowały o zmroku ze zwiadowcami zaopatrzonymi w noktowizyjne gogle.

- Wiesz co, Jake? - powiedział Farelli. - Jak nic nie zobaczysz z powietrza, obejdź ten teren na piechotę. Tego faceta załatwiono dziesięć lat temu. Jeśli była tam jakaś droga, której potem nie używano, to dzisiaj jest już całkowicie zarośnięta i być może rozmyta deszczami. Może łatwiej będzie zobaczyć jakiś ślad z bliska.

- Masz rację - zgodził się Jake i zrobił odpowiedni zapisek.

Glazer wrócił z zaplecza i podał Jake'owi kserokopię.

- To ten facet od rolexa.

Mężczyzna nazywał się Eric Miller, mieszkał pod adresem 9000 Sunset Boulevard. Miał trzydzieści osiem lat, ciemne włosy i niebieskie oczy, pięć stóp i dziesięć cali wzrostu, sto pięćdziesiąt funtów wagi. Jake wpatrzył się uważnie w fotografię. Twarz była rozmazana, zlewała się z tłem, niemniej jednak przypominała mężczyznę, który odwiedził w szpitalu

Pamelę Warren.

- Pamiętasz, jak się nazywał ten facet, którego zastaliśmy u żony Warrena?

Farelli zajął do notatnika.

- Boyette. Tony Boyette.

Jake podał Lou kserokopię.

- Jak myślisz?

- To może być on - powiedział z namysłem Farelli. - Szkoda, że zdjęcie nie jest lepsze, ale tak, to chyba on.

Teraz Jake dokładnie opisał Glazerowi Tony'ego, kładąc nacisk na ostre rysy i długie włosy.

- I jeszcze oczy uciekające, takie, którym się nie wierzy.

Glazer pokiwał ze zrozumieniem głową.

- To pasuje do tego od rolexa.

- Postaraj się o jego fotografię - zwrócił się Jake do Lou.

- Będą mieć na tych kursach aktorskich. Rozpozna go pan na zdjęciu? - spytał Glazera.

- Bez trudu.

- Zjawimy się tu jutro.

- Otwarte codziennie do szóstej, z wyjątkiem niedziel. - Jake i Lou byli już w drzwiach, gdy właściciel lombardu jeszcze sobie coś przypomniał. - Ja go już chyba widziałem wcześniej.

- Gdzie? - spytał Jake.

- W telewizji. To chyba jakiś aktor. Ale czy w tym mieście ktoś nie jest aktorem?

Rozdział 15

- Mam jedną dobrą wiadomość i jedną złą - oznajmił Mack Brown, który siedział na fotelu z butami opartymi o blat biurka i styropianowym kubkiem kawy na brzuchu.

- Jak brzmi dobra? - spytała Joanna.

- Zapalenie mózgu twojej siostry ustępuje. Jej reakcje poprawiły się znacznie, od czasu gdy ją widziałas po raz ostatni.

- Wspaniale! - zawołała Joanna i potrząsnęła w powietrzu zaciśniętymi pięściami, zaniepokoiło ją jednak to, że Mack się nie uśmiechał. - Doszło do jakichś uszkodzeń mózgu? - spytała, uprzedzając niedobłą wiadomość.

- Nie, nie. Nie ma żadnych ograniczeń ruchowych, nerwy czaszki też są nietknięte. Nadal jest, oczywiście, w letargu, ale funkcje mózgowy wydają się całkiem niezłe.

- Jaka jest więc zła nowina?

- Wątroba Kate funkcjonuje źle - oznajmił posępnie Mack. - Jej stan się pogarsza. Prawdopodobna jest martwica wątrobowa.

Joanna poczuła dreszcz przerażenia.

- Jak przy wirusowym zapaleniu wątroby?

- Tak.

Joanna osunęła się na fotel i bezradnie pokręciła głową. Martwica była najgorszą z możliwych komplikacji. Z nieznanых przyczyn niektóre wirusy dokonywały straszliwych zniszczeń w komórkach wątrobowych. W ciągu kilku miesięcy, a czasami nawet tygodni, dochodziło do sparaliżowania funkcji wątroby. Jak na razie nie potrafiono temu zapobiegać.

- Jakie są dowody, że to martwica?

- Gorączka, bóle brzucha, pogłębia się żółtaczka. - Mack sięgnął po leżący na biurku wynik analiz. - Ostatnie badanie bilirubiny w surowicy wykazało sześć miligramów na sto.

Joanna ciężko westchnęła.

- Czy możemy coś zrobić?

- Obawiam się, że nic.

- A gdyby jeszcze podać plazmę?

Mack zawahał się i kilkakrotnie stuknął długopisem w blat.

- Z tym bym się nie spieszył.

- Czemu?

- Gdyż w ten sposób możemy wszystko pogorszyć. W gruncie rzeczy plazma, którą podaliśmy, mogła zaostrzyć zapalenie.

Joanna spojrzała na Macka ze zdziwieniem.

- W jaki sposób?

- W plazmie istnieją antyciała przeciw wirusowi - wyjaśnił Mack. - Można się spotkać z poglądami, że antyciała likwidują w wątrobie nie tylko wirusy, ale i zdrowe komórki. Można je uznać za postronne ofiary starcia.

- Ty też tak uważasz?

Mack wzruszył ramionami.

- Kto wie? Fakt jest faktem, że po podaniu plazmy funkcje wątroby Kate się pogorszyły. Nie możemy tego ignorować.

- Więc po prostu będziemy siedzieć i przyglądać się, jak umiera - zawołała Joanna i natychmiast tego pożałowała. Dobrze przecież wiedziała, że Mack robi wszystko, co tylko możliwe.

Brown rozłożył ręce.

- Zawsze jeszcze pozostaje przeszczep wątroby.

Joanna wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę.

- Czy u niej to cokolwiek pomoże? Skoro wirus jest w całym ciele, to czy nie zaatakuje nowej wątroby?

- Niekoniecznie. Jeśli nie liczyć wątroby, to stan Kate poprawia się, co znaczy, że wszędzie poza wątrobą wirusy są likwidowane. Gdyby wszystkie inne układy funkcjonowały poprawnie, to przeszczep mógłby być wskazany.

- To bardzo drastyczne rozwiązanie.

- Może okazać się jedynym, ale na razie nie musimy jeszcze podejmować decyzji. Wątroba Kate może nas jeszcze zaskoczyć i poradzić sobie sama.

Joanna pokiwała głową, ale myśl miała już zaprzątniętą przeszczepem i jego organizacją.

Mack wstał.

- Chodźmy do Kate; wiem, że na ciebie czeka.

Dotarli korytarzem do przedsiönka izolowanego oddziału. Kiedy naciągali rękawice i fartuchy, Mack powiedział:

- Aha, z pielęgniarką alarm był przedwczesny. Miała gorączkę z powodu innego wirusa.

- Jakiego?

- Łagodna odmiana adenowirusa. Dzisiaj rano udało się go wydzielić z jej krwi.

- Przynajmniej tym nie muszę się martwić.

Mack nałożył maskę i okulary.

- Pamiętaj, Kate czuje się lepiej, ale nadal może zarażać. Możesz jej dotknąć, ale nie całować.

Weszli na oddział i zbliżyli się do łóżka Kate. Oparta na poduszkach piła przez słomkę sok pomarańczowy, trzymany przez pielęgniarkę. Patrzyła nieruchomo przed siebie, jak gdyby nie zauważyła odwiedzin.

Joannie zamarło serce. Nie oczekiwała jakiegóż radykalnej odmiany, spodziewała się jednak, że siostra będzie wyglądać lepiej, tymczasem na pół leżała wychudzona, z zapadniętymi oczyma i pożółkłą skórą. Powoli i niepewnie poruszyła ręką, jakby chciała poprawić koldrę.

- Cześć - odezwała się wreszcie Joanna.

Oczy Kate przesunęły się wolno i spoczęły na Joannie, ale nic było w nich żadnego wyrazu.

- Pamiętasz mnie? - spytała Joanna, ze wszystkich sił hamując łzy.

Kate patrzyła nieruchomo. Joanna nagle przypomniała sobie, że przecież twarz ma skrytą pod maską i okularami, szybko więc je uniosła.

Usta Kate lekko drgnęły jakby w uśmiechu.

- Wyglądam tak wstrętnie, jak się czuję? - spytała z wysiłkiem.

- Wyglądasz świetnie - skłamała Joanna i rąbkami rękawa otarła nieposłuszną łzę, by zaraz z powrotem nałożyć gogle. - Te okulary są strasznie męczące dla oczu - powiedziała.

- Szczególnie jak się w nich płacze - wychrypiała Kate.

Przynajmniej umysł ma sprawny, przemknęło Joannie przez myśl.

- Boli cię coś? - spytała.

- Brzuch. Ból pojawia się i znika. Co to takiego?

- Masz zapalenie wątroby.

- I dlatego jestem taka zmęczona?

- Tak.

Kate pociągnęła znowu łyk soku, ale kilka kropel spłynęło jej z kącika ust na brodę.

- Poprawi mi się?

- Oczywiście. Posłuchaj doktora Browna, on...

- Będzie kłamał - przerwała jej Kate i niezdarnie poszukała dłoni siostry. - Ale ty nie, prawda?

- Nie - na poły szepnęła Joanna.

- To powiedz mi, czy z tego wyjdę.

- Czeka nas ciężka walka.

- Jak ciężka?

- Bardzo.

Kate wolno zamknęła powieki i wydawało się, że zasypia. Leżała bez ruchu i tylko pierś leciutko się unosiła w oddechu. Rzęsy lekko drgnęły i oczy otworzyły się znowu.

- Zawsze im trudniejsze były warunki, tym lepsze rzeczy mi się udawały.

- Prześpij się teraz - powiedziała Joanna i lekko ścisnęła rękę Kate. - Niedługo znowu przyjdę.

Kate minimalnie skinęła głową i zamknęła oczy.

Razem z Mackiem opuścili oddział i pozbyli się ochronnych strojów. Przez szybę Joanna widziała, jak pielęgniarka obniża wezglowie łóżka. Nawet z tej odległości Kate wyglądała okropnie. Joanna pokręciła głową; ciągle nie mogło do niej dotrzeć, że siostra jest o krok od śmierci, jeśli jednak miała martwicę wątroby, była to kwestia tygodni, najwyżej paru miesięcy. Co za przerażająca, niewyobrażalna perspektywa!

- Może będzie należała do tych nielicznych szczęściarzy - odezwał się Brown - którzy potrafią się podnieść nawet z rozległej martwicy. Nie dalej jak wczoraj czytałem o takim przypadku; jak chcesz zrobię ci ksero.

Joanna odruchowo kiwnęła głową, ale w istocie słowa Macka niemal do niej nie docierały. Teraz bez reszty pochłaniał ją problem przeszczepu.

Rozdział 16

Joanna była pod prysznicem, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Zarzuciła na siebie niebiesko-złoty szlafrok University of California i poszła otworzyć, zastanawiając się, kto też może to być. Była dziesiąta wieczorem, na zewnątrz wiał zimny wiatr i zbierało się na burzę. Jeszcze jeden dźwięk dzwonka.

Spojrzała przez wizjer; po drugiej stronie drzwi kulił się przed wiatrem Jake Sinclair.

Otworzyła drzwi ze słowami:

- Mam nadzieję, że to jakaś zawodowa sprawa.

- Tak, tak, zawodowa - powiedział, mijając ją i szybkim krokiem podchodząc do kominka, by wystawić w jego kierunku dłonie. - Jezu, jak zimno!

- Nie musiałeś przychodzić, wystarczyło zadzwonić - powiedziała rzeczowym tonem. - Uwierzysz czy nie, ale nadal mam telefon.

- Zajęty przez ostatnie dwie godziny.

Joanna przygryzła wargi. Istotnie zdjęła słuchawkę z widełek, aby w spokoju delektować się w telewizji dwoma ostatnimi aktami *La Boheme*. Podeszła do aparatu i odłożyła słuchawkę na miejsce.

- Napijesz się brandy?

- O tak, z chęcią, może trochę odtaję.

Przyglądał się, jak otwiera barek. Szlafrok wyraźnie podkreślał jej kształty; nadal była bardzo seksy, co gołe stopy i mokre włosy jeszcze eksponowały. Po raz setny zadawał sobie pytanie, jak mógł ją utracić.

Oderwał wzrok od kobiecej figury i rozejrzał się po obszernym saloniku, urządzonego z prawdziwie kobiecym gustem. Krzesła i kanapa były francuskimi antykami, powleczonymi ciemnoniebieskim jedwabiem, na ścianach wisiały obrazy olejne, akwarele i litografie. Ale on zawsze najbardziej lubił stary kominek z rozłożoną przed nim niedźwiedzią skórą. Leciutki uśmiech wypełził mu na wargi, gdy przypominał sobie, jak on i Joanna...

- Masz, proszę - powiedziała, podając mu szklaneczkę z brandy.

Usiedli na kanapie, popijając drinki i wpatrując się w trzeszczące na kominku polana. Wiatr tak tarł oknami, że leciutko pobrzękiwały szyby.

- Przytulne miejsce podczas burzy, nie ma co - mruknął Jake.

- Hm - mruknęła niezobowiązująco Joanna, kątem oka obserwując Jake'a. Był naprawdę przystojny, a do tego miał kilka naprawdę dobrych cech: poczucie humoru, a także delikatne, czułe miejsce, o którym wiedzieli tylko nieliczni. Ale miał także jedną straszliwą wadę. Potrafił być zupełnie nieczuły i to w najbardziej nieodpowiednich momentach, wtedy gdy to najbardziej bolało.

- Chyba nastąpił przełom w sprawie Williama Arthura Warrena - powiedział.

Joanna uniosła brwi.

- O?

- Ktoś zastawił w lombardzie jego rolex.

- Morderca chyba nie byłby taki głupi?!

- Powiem ci, co wiemy, a ty, co o tym sądzisz. - Jake przypalił papierosa i rzucił zapalniczkę do kominka. - Przed tygodniem zegarek zastawiono w lombardzie w Beverly Hills. Właściciel jest bardzo ostrożny, więc zażądał od klienta prawa jazdy. Facet nazywa się Erie Miller, mieszka w West Hollywood.

- Skąd wiesz, że to prawdziwy dowód?

- Nie wiem, ale adres jest, a przynajmniej był prawdziwy kilka lat temu. Na Sunset Boulevard stał tam budynek z mieszkaniami do wynajęcia, ale później go zburzono i na tym miejscu zbudowano biurowiec.

- Ten Miller był kiedyś karany?

- Nie. Natomiast z opisu właściciela lombardu wynika, że sprzedający jest bardzo podobny do początkującego aktora Tony'ego Boyette'a. - Jake głęboko zaciągnął się papierosem i wydmuchnął dym pod sufit. - Nazajutrz po morderstwie Warrena widziałem Boyette'a w Memorial Hospital.

- A co tam robił?

- Był w odwiedzinach u Pameli Warren.

- Ciekawe, ciekawe - powiedziała z uśmiechem Joanna i dokończyła drinka. - Napijesz się jeszcze?

- Odrobinę.

Joanna wróciła z butelką i hojnie dolała Jake'owi.

- Powiedz mi coś więcej o nim.

- Kilka razy w tygodni uczęszcza na kursy aktorskie, które odwiedza też Pamela Warren. Zdaje się, że tam się poznali.

- Sypiają ze sobą?

- Zdaniem innych uczestników kursu nie, ale kto ich wie? Nie muszą się z tym

manifestować.

- W każdym razie są zaprzyjaźnieni?

- Na to wygląda. Dużo ze sobą rozmawiają, on czasami odprowadzał ją do samochodu.

Ale nikt nie widział, żeby się przytulali czy całowali.

- Zjawił się w szpitalu, żeby się dowiedzieć, jak się czuje?

Jake przytaknął.

- Z bukietem kwiatów od kolegów. Farelli sprawdził, istotnie zrzucili się na kwiaty.

Joanna przeciągnęła ręką po ciągle jeszcze mokrych włosach i strzepnęła kroplę na kominek, który odpowiedział sykiem.

- Ty zaś podejrzewasz, że potajemnie przeszukał jej torebkę.

Jake przygryzł wargi, tłumiąc uśmiech. Ta lekarka myślała jak rasowa policjantka.

- Wiedział, że to żona multimilionera, więc zajrzał jej do torebki, zdobył adres, udało mu się też dorobić klucze. Dlatego nie było żadnego śladu włamania. Przy właściwym kluczu, alarm nie zostaje uruchomiony.

- Ten Tony Boyette siedział za coś?

- Nie. Także nikt inny z tego kursu.

Joanna zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

- Wymyka się z zajęć i u jakiegoś ślusarza dorabia klucz. Albo każe to zrobić znajomemu, żeby nie budzić w Pameli żadnych podejrzeń.

Jake popatrzył na Joannę z uznaniem.

- Chyba się rozminęłaś z powołaniem.

- Mój zawód nie jest tak daleki od twojego - powiedziała, mile pogłaskana komplementem.

Płomienie zadrgały i przygasły. Joanna wzięła pogrzebacz, poruszyła drewna i ogień znowu zahuczał.

- Chyba rzeczywiście masz mordercę, zakładając, że właściciel lombardu zidentyfikuje Boyette'a.

- Jestem pewien, że tak się stanie. Mamy jego zdjęcie z kursu i stawiam dolary przeciw orzechom, że ten facet z Beverly Hills go rozpozna.

- A jak nie?

- Wezwiemy Boyette'a do komisariatu i przedstawimy z kilkoma innymi osobami do identyfikacji. Może z czymś się zdradzi.

- A wygląda na takiego?

Jake rozłożył ręce.

- Czy ja wiem? Aktorzy niekiedy potrafią bardzo dobrze kłamać. Na dobrą sprawę mógłby powiedzieć, że kupił zegarek od jakiegoś przechodnia na ulicy. Od samego zastawienia zegarka do wykazania morderstwa daleka droga.

- Chyba że byłby jakiś materialny dowód.

- A wszystko, czym dysponujemy, to fragmenty zabłoconych śladów - powiedział Jake. - A to nam niewiele pomoże. - Sięgnął po papierosa, ale w połowie ruchu zrezygnował. Zaczynał trzecią już dzisiaj paczkę i czuł drapanie w gardle. - Dało coś to cygaro?

- Jakie cygaro?

- Pamiętasz, na miejscu morderstwa znaleźliśmy odgryziony kawałek cygara.

Joanna przytaknęła; teraz przypomniała sobie koniec cygara i popiół na podłodze w bibliotece Warrena. Przesłała je do badania stomatologowi z patologii.

- Chyba powinnam mieć wyniki badań. Spójrzmy, co tam jest.

Jake poszedł za Joanną do dużego gabinetu, który kiedyś pełnił rolę gościnnej sypialni. Na ścianach półki z książkami, dwa biurka, jedno z mikroskopem, drugie z komputerem, w rogu kościotrup w czapce The New York Yankees.

- Kiedy to wszystko zrobiłaś?

- Parę miesięcy temu - odrzekła Joanna i włączyła komputer..

- I właściciel nie miał nic przeciwko temu.

- Teraz sama jestem właścicielką. Kupiłam, bo cena była niewiarygodna.

- Ile?

- Osiemnaście tysięcy.

Jake'owi wprost opadła szczęka.

- Czemu tak tanio?

- Firma, do której należał ten budynek i kilka innych, zbankrutowała i bank ogłosił aukcję. Nie było wielu chętnych.

Nacisnęła klawisz i na ekranie pojawiły się informacje związane z morderstwem Warrena. Jeszcze kilka klawiszy i zobaczyli wyniki badań dentystycznych.

- Koniec cygara odgryziony ludzkimi zębami - zaczęła czytać na głos. - Na siekaczu malutki ubytek, nie należał do Williama Arthura Warrena.

- Może będzie pasował do użębienia Tony'ego Boyette'a - zastanowił się Jake.

- Nawet jeśli, taki dowód nie utrzyma się w sądzie. Ślad zbyt mikroskopijny.

- Jak te cholerne odciski butów.

- Na tytoniu jest odrobina śliny - poinformowała Joanna - ale nie udało się jej wydzielić. Ale dalej próbują.

- A gdyby się udało, to co wtedy?

Joanna przygryzła wargi w zamyśleniu.

- Ślina dostarcza niekiedy ciekawych informacji, zawiera bowiem szczególne enzymy i antycyala.

- Wystarczy jako dowód?

- W sądzie się nie utrzyma, ale w razie czego miałbyś atut podczas przesłuchania Boyette'a.

- Jaki?

Na twarzy Joanny pojawił się chytry uśmiech.

- Możesz mu powiedzieć, że morderca odgryzł na miejscu zbrodni koniec cygara, na którym zostały ślady śliny, więc chcesz próbki jego śliny, żeby zlecić badanie porównawcze DNA.

- A da się je zrobić?

- Tego już nie byłabym taka pewna, ale skąd ma to wiedzieć początkujący aktorzyzna?

- Twarda z ciebie bestia - zachichotał.

- Jasne, jak kamień - mruknęła Joanna, myśląc w rozgoryczeniu, że innej jej strony, tej bardziej wrażliwej, Jake nie potrafił już dostrzec.

- Tak, tak, zacznie się niezłe pocić.

Jake już zaczynał sobie wyobrażać przesłuchanie.

- Szczególnie, jeśli każesz mu possać i odgryźć koniec cygara, mówiąc, że chcesz jak najdokładniej odtworzyć to, co się zdarzyło na miejscu zbrodni.

Przytaknął z uśmiechem; mówiąc szczerze, sam nie wpadłby na taki pomysł.

Joanna wyłączyła komputer i wróciła do saloniku. Ogień na kominku przygasł, w pokoju zrobiło się chłodniej. Na zewnątrz szalał wiatr.

- Późno już, Jake, a ja mam jutro przed sobą długi dzień.

Wziął ją za ramiona i trzymał przez chwilę, ale stała nieruchomo, bez żadnej reakcji.

- Dziękuję za pomoc - powiedział ciepło.

- W sprawach zawodowych zawsze możesz na mnie liczyć. - Otworzył drzwi i podmuch wiatru wtargnął do środka. W ogródku krzewy i drzewka gięły się ku ziemi. - Dobranoc, Jake.

Zamknęła za nim i dopiero po chwili zerknęła w wizjer. Z postawionym kołnierzem, pochylony przedzierał się przez zacinający deszcz. Przez chwilę zrobiło jej się go szkoda, ale potem sobie przypomniała, że i on ją tak zostawił, samotną, na pastwę losu. Poczucie winy natychmiast zniknęło.

Raz jeszcze poprzysięgła sobie, że już nigdy w życiu nie zwiąże się z Jakiem Sinclairem.

Nigdy.

Rozdział 17

Pamela Warren siedziała ze swym adwokatem Allenem Diamondem w jednym z gabinetów kancelarii Cole, Cox and Harrington. Bawiąc się obrączką ślubną na palcu, nerwowo rozglądała się po pokoju. W tylnej ścianie było małe okienko, za którym - jak wyjaśnił jej Diamond - znajdował się sprzęt do rejestracji oświadczeń składanych pod przysięgą. Pamela była ciekawa, czy aparatura teraz jest włączona; i bez tego czuła się szpiegowana. Nachyliła się do adwokata i zniżając głos, spytała:

- Po co w ogóle zwołali to spotkanie?

- Nie wiem.

- Może znaleźli testament.

Diamond wzruszył ramieniem.

- Może, ale o tym mogliby poinformować telefonicznie.

- No to po co?

Prawnik przyjrzał się swym wypielęgnowanym paznokciom.

- Może chcą z panią iść na ugodę.

Pamela podejrzliwie zmrużyła oczy.

- Jaką znowu ugodę?

- Zaproponują jakąś sumę w zamian za to, że zrezygnuje pani z pretensji do reszty majątku.

- Mowy nie ma! - natychmiast oznajmiła Pamela. - Nie zrezygnuję nawet z jednego centa, który mi się prawnie należy.

- To zrozumiała postawa - rzekł Diamond - ale proszę pamiętać, że naraża się pani na pewno ryzyko.

- Jakie?

- Mogą tak manewrować, że sprawa ugrzęźnie w sądzie na lata.

- Przez które ja będę żyć sobie miło i wygodnie, czemu nie.

- A jak znajdą przez ten czas testament albo umowę przedślubną? Z ugody nie można się już potem wycofać.

Pamela zastanawiała się: pięćdziesiąt milionów, jeśli testament się nie znajdzie, ale w przeciwnym wypadku? Całe to bogactwo. Czuła się trochę jak przy ruletce w Las Vegas,

gdzie wszystko postawiła na jeden numer.

- W każdym razie - ciągnął Diamond - cokolwiek dzisiaj zaoferują, niech się pani nie zgadza od razu, tylko powie, że musi przemyśleć ofertę. Czy to będzie „tak” czy „nie”, zawsze może trochę poczekać.

Swoją drogą ciekawe, ile zaproponują Warrenowie. Milion, góra dwa. Byli strasznie chciwi i bezwzględni. Nie, dwa miliony z pewnością nie będą właściwą rekompensatą za to, co musiała przecierpieć w trakcie małżeństwa.

Teraz nie potrafiła już uwierzyć, że kiedyś kochała swego byłego męża. Tak, jego, a nie pieniądze. Ileż badań musiała przecierpieć, aby udowodnić, że ma zdrowie bez zarzutu, a potem jeszcze te bolesne zabiegi, którym musiała się poddać, próbując zajść w ciążę. Ale wtedy przyjmowała to w sposób zupełnie naturalny. Ktoś pobiera ci jajko, które w laboratorium zostaje zapłodnione spermą męża i z powrotem umieszczone w macicy. Wszystko jednak na próżno, żadna ciąża się nie utrzymała, między obojgiem zniknęła miłość i zapanował chłód. Zaczęli spać oddzielnie i zajmować się własnymi, odrębnymi sprawami. Traktował ją jak dobrze opłacaną służącą. Nie czuła żadnych wyrzutów sumienia, że przyczyniła się do jego śmierci.

Gdzieś w oddali rozległ się grzmot i szyba w oknie leciutko zadrgała. Popatrzyła na zachmurzone niebo i pomyślała, że mogłaby się ewentualnie zgodzić na pięć milionów.

W otwartych drzwiach stanął Alexander Cox, za którym kroczyli Richard i T.J. Warrenowie. Usiedli, Cox kiwnął głową Diamondowi i Pamelii, jej pasierbowie ani myśleli tak postąpić.

- Dzięki, że tak szybko zareagowali państwo na naszą propozycję - rzekł sucho Cox i z walizeczki wydobyl grubą kopertę. - Pan Richard Warren chciałby złożyć oświadczenie.

- Tak, dziękuję, Alexandrze - powiedział Richard i odchrząknął. - Z najwyższą radością chciałbym oznajmić, że została odnaleziona ostatnia wola mego ojca.

Mówiąc to, spojrział triumfalnie na Pamelę, która pobladła jak ściana. Po pieniądzech!!!

- Rozumiem, że autentyczność dokumentu została stwierdzona - odezwał się spokojnym głosem Diamond.

- Oczywiście - zapewnił Cox. - Spisano go przed dwunastu laty w obecności nadal pracujących w naszej firmie sekretarek. Czy mam je wezwać jako świadków?

Diamond pokręcił głową.

- Nie, to zbyt wiele.

- Rzecz jasna, kopie dostarczę panu i pańskiej klientce - oznajmił Cox.

- Zrób też, proszę, kopie umowy przedślubnej, bo i ona się odnalazła - powiedział

Richard. - Jest tam określona suma, jaką ma otrzymać żona w wypadku śmierci ojca, ale nie sądzimy, aby to zobowiązanie zachowało moc prawną. Naszym zdaniem ojcu chodziło o śmierć z przyczyn naturalnych.

Diamond spojrzął na Coxa.

- Czy jest tam powiedziane coś na temat rodzaju śmierci?

- Nie, mowa jest po prostu o śmierci.

Richard pochylił się nad stołem, wpatrzony w Pamelę.

- Sądzimy, że żona ojca specjalnie nalegała na umieszczenie w umowie klauzuli na wypadek śmierci. Jeśli potrafimy to wykazać, czy morderstwo nie stanie w zupełnie nowym świetle?

Oskarżenie zawisło w powietrzu. Za oknem rozległ się kolejny daleki grzmot.

Pamela zastanawiała się, czy Richard Warren coś wie, czy tylko blefuje. Miejsce szoku powoli zajmowały gniew i nienawiść. Najchętniej własnoręcznie wydrapałaby oczy pasierbowi. Pod stołem wbiła w dłonie końce długich paznokci i próbowała się uspokoić.

- Umowę ułożył wasz ojciec, ja nie miałam tu nic do powiedzenia.

- To prawda - poparł ją Cox. - Pani Warren nie było przy sporządzaniu projektu umowy.

Diamond rozłożył ręce.

- Zatem pani Warren przysługuje cała przewidziana umową suma.

- Jeszcze zobaczymy - złowróźnie oznajmił Richard.

T.J. zapalił cienkiego papierosa i dmuchnął dymem w Pamelę.

- Skoro zaś problem testamentu się wyjaśnił, domagamy się, żeby ta kobieta opuściła dom naszego ojca w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Mowy nie ma - stanowczo sprzeciwił się Diamond. - Zanim sąd wyda wyrok, pani Warren będzie mieszkać tam, gdzie mieszka, i otrzymywać rentę w dotychczasowej wysokości.

Twarz T.J. poczerwieniała.

- Chcemy...

- To, czego panowie chcą, a czego nie, nie ma tu żadnego znaczenia - nie dał mu dokończyć Diamond. - Poza tym to dokument sprzed dwunastu lat. Nie można wykluczyć, że pan Warren sporządził później jakieś inne wersje.

- O ile wiem - rzekł Cox - to nie.

- O ile pan wie - podkreślił Diamond i dodał sentencjonalnie: - Jednego dnia cudownie pojawia się jeden testament, drugiego może się pojawić drugi. Na świecie zdarzają się dziwne rzeczy.

Richard Warren patrzył na niego z nienawiścią, którą żywił do wszystkich prawników.

- W każdym razie żądamy, żeby rzeczoznawca sądowy sporządził inwentarz wszystkich wartościowych sprzętów w domu, aby ta kobieta nie przywłaszczyła sobie niczego, do czego nie ma prawa. Dobrze wiem, że przysługuje nam takie prawo.

Ci dwaj są jak szakale, pomyślał Diamond, i zwrócił się do Coxa:

- Rozumiem, że obaj panowie są głównymi spadkobiercami pana Warrena.

- Tak, głównymi spadkobiercami są panowie Richard i T.J. Warrenowie, jeśli nie liczyć Jerry'ego Warrena.

Pamela aż podskoczyła na fotelu.

- A co to znowu za Jerry Warren?

- Jerry był najmłodszym synem Williama Arthura Warrena - oznajmił smutnym głosem Cox. - Jakiś czas temu zmarł w wieku dwudziestu lat.

Prawnik pamiętał dzień, gdy Warren oznajmił mu, że jego najmłodszy syn ma AIDS.

- Ach, to dlatego chciał dziecku dać imię Jerry - gładko skłamała Pamela, dostrzegając nagle możliwość, jak można by jeszcze coś uszczknąć z majątku jej nieżyjącego męża.

Richard pobladł z wściekłości.

- Dziecku?! Jakiemu dziecku?!

- Jestem w ciąży, noszę dziecko twego ojca. - Nagle fragmenty układanki zaczęły się błyskawicznie dopasowywać. - A jeśli będzie to chłopiec, to, oczywiście, zgodnie z życzeniem męża nazwę go Jerry.

- To oburzające! - wrzasnął Richard i zerwał się, zaciskając pięści. - Nawet sypialnie mieli oddzielne.

- Czasami ze sobą sypialiśmy - słodkim głosem zapewniła Pamela. - A poza tym nie tylko w łóżku można się kochać.

Diamond zawsze był zdumiony, gdy widział, co pieniądze potrafią robić z ludźmi. A im większe, tym bardziej nieprzewidywalne zachowania.

- Na pewno dałaś się przelecieć jakiemuś chłoptasiowi. - Richard nie panował już nad sobą. - Ale ten numer ci nie przejdzie. Nie ma mowy, żeby to było dziecko mego ojca!!!

- Oczywiście, że jest, i dowiodę tego - oznajmiła Pamela i spokojnie poprawiła fryzurę. Odczekała dłuższą chwilę, rozkoszując się niepokojem braci. - Dokonamy porównania tkanek dziecka, moich i waszego ojca. Nie trzeba będzie nawet sekcji zwłok, gdyż przeszedł wszechstronne badania przed transplantacją.

Wydawało się, że w Richarda i T.J. uderzył piorun. Popatrzyli na Coxa, u niego szukając ratunku, ale ten nic tu nie mógł pomóc.

Richard z hukiem wyrznął pięścią w stół.

- To kompletna bzdura!!! Każdy wie, że ojciec miał na myśli naszego brata, który żył w momencie spisania testamentu. Łatwo tego dowiedzimy.

Alexander Cox westchnął cichutko. Byłoby znacznie lepiej, gdyby Richard spokojnie usiadł i nie wdawał się w prawne rozważania. Jeśli ta kobieta istotnie była w ciąży z Williamem Arthurem Warrenem, sytuacja radykalnie się zmieniała, niezależnie od testamentu.

- A jeśli to będzie dziewczynka? - prychnął Richard. - I co wtedy?

- To niczego nie zmieni - uśmiechnęła się Pamela. - Przecież Jerry to także imię żeńskie.

- Zaraz! Chwilę! - T.J. gwałtownie poruszył się w fotelu.

- Czy ojciec w swej ostatniej woli nie stwierdza, że chce majątek podzielić między trzech synów? Nie ma ani słowa o córce.

- To bez znaczenia - stanowczo stwierdził Diamond. - Jeśli ojcem dziecka jest William Arthur Warren, będzie ono jego spadkobiercą.

T.J. rzucił Coxowi błagalne spojrzenie.

- Czy tak?

Tamten powoli skinął głową.

- Obawiam się, że tak.

Pamela wstała od stołu.

- Proszę dopilnować, żebym i ja otrzymała kopię inwentarza sprzętów w domu mego męża. - Popatrzyła na obu braci z nieskrywaną pogardą. - Nie dopuszczę do tego, aby ci dwaj panowie otrzymali cokolwiek, co im się prawnie nie należy.

Odwróciła się na pięcie i wyszła, a za nią pospieszył Allen Diamond. Na piętrze czekała wolna winda.

- Jest pani naprawdę w ciąży?

Pamela uśmiechnęła się szeroko i puściła oko do adwokata.

- Jeśli to tylko blef, pani Warren, to nic to pani nie da. A jeśli jest pani istotnie w ciąży, będzie pani musiała jeszcze dowieść, że to dziecko Williama Arthura Warrena.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie, byli na parterze. Pamela wzięła adwokata pod ramię.

- Panie Diamond, niech pan robi swoje, a ja zrobię swoje.

Rozdział 18

- Przebadaliśmy ultrasonografem dwadzieścia osiem wątrób dostarczonych do przeszczepu przez Donors International - oznajmił Jason Adler. - W żadnej nie ma śladu torbieli ani gruczolaków. Dlatego można chyba śmiało powiedzieć, że ich tworzenie się nie ma żadnego związku z tym, jak postępujemy z wątrokami.

- Chciałabym zobaczyć wyniki, a także i same zdjęcia - powiedziała Joanna.

- Proszę bardzo - rzekł spokojnie Jason, chociaż szczęki mu się poruszyły. Nie lubił, gdy ktoś powątpiewał w jego prawdomówność. - Badania zostały zrobione i zdiagnozowane przez niezależnych ekspertów.

- Jakich?

- Zostali wynajęci przez adwokatów pana Rudolpha Ettingera.

- Świetnie - mruknęła Joanna, chociaż wcale nie była ucieszona. Teraz była już zupełnie pewna, że Donors International ręka w rękę współpracuje z prawnikami, aby całą winę zwalić na Memorial Hospital. Ciekawe, czy w ten sposób firma odpłacała się Ettingerowi za to, że nie pociągnie jej do sądu.

Z irytacją popatrzyła na wielki ekran w sali konferencyjnej, gdzie od godziny za pośrednictwem satelity wypytywali wraz z Dellacorte'em węgierskich lekarzy, którzy sprawowali opiekę nad dawcą wątroby przeszczepionej Warrenowi. Nic z tego, co mówili, nie pomagało wyjaśnić pochodzenia torbieli.

Teraz koordynatorka z Donors usiłowała nawiązać kontakt z Atenami. Stukając w klawisz, wypuściła kłęb dymu z trzymanego w ustach papierosa. Joanna rozgoniła dłonią dym i spojrzała na Dellacorte'a.

- Ilu pacjentów, którym przeszczepiono wątroby w Memorial, poddał pan USG?

- Dwudziestu dwóch - odrzekł zapytany - i tylko u Ettingera wykryłem torbiele. Zbadaliśmy też wyniki sekcji osiemnastu pacjentów, którzy zmarli; także u nich nie wykryto torbieli.

- Cóż - zwróciła się Joanna do Adlera - także i my, jak widać, nie jesteśmy tu odpowiedzialni.

- Być może - rzekł Adler. - Ale prawnicy Ettingera oceniają tę sytuację inaczej, dlaczego bowiem skarżą Memorial, a nie Donors International?

- Czyżby mieli jakieś wiadomości nam niedostępne? - spytała Joanna, uważnie wpatrzona w Adlera, a chociaż ten z nieruchomą twarzą tylko wzruszył ramieniem, ona czuła, że coś się ukrywa za tą obojętnością.

Ekran zaśmiał się, potem przeleciały przez niego jakieś zygzaki, które nagle ułożyły się w obraz dwóch barczystych mężczyzn w średnim wieku, obaj z czarnymi wąsami.

- Dzień dobry - powiedział Adler, który siedział obok koordynatorki, mając przed sobą mikrofon. - Dziękuję za szybkie połączenie. Jest z nami także doktor Joanna Blalock, która chciałaby panom zadać kilka pytań w sprawie chłopca, którego wątroba została użyta do przeszczepu. Czy zechcieliby się panowie przedstawić?

Joanna bacznie przyglądała się greckim lekarzom. Chirurg, doktor Diodonis był w zielonym komplecie, lekarz rodzinny, doktor Pappas, miał na sobie biały kitel. Obaj bardzo dobrze mówili po angielski i Joanna przypuszczała, że musieli być co najmniej na stażu w USA.

- Doktorze Pappas - powiedziała - bardzo dziękuję, że zechciał nam pan poświęcić trochę swego cennego czasu.

- Jeśli tylko mogę pomóc... - Grek zawiesił głos.

- Jak pan już zapewne wie, w przeszczepionej wątrobie pojawiły się później krwawe torbiele i chcielibyśmy ustalić tego przyczynę. - Joanna odczekała chwilę, aby jej głos zdążył dotrzeć do Grecji. - Czy chłopiec albo ktoś z jego rodziny przechodził chorobę prowadzącą do torbielowatości?

- Nie - zdecydowanie zaprzeczył Pappas.

- Czy jego wątroba bądź nerki były przed wypadkiem kiedykolwiek poddawane szczegółowym badaniom?

- Nie.

- A czy robił mu pan może zdjęcia rentgenowskie wątroby lub nerek?

Pappas odwrócił się do chirurga i przez chwilę rozmawiali po grecku, a potem powiedział do mikrofonu:

- Dopiero po wypadku robiliśmy rezonans magnetyczny. Wątroba i nerki wyglądały normalnie.

- Czy torbielowatość narządów często zdarza się w Grecji?

Pappas wzruszył ramieniem.

- Nie jest to schorzenie pospolite, ale zdarza się.

Obraz na ekranie rozmazał się, a salę wypełniły szумы i trzaski. Na klawiaturze sprawnie zatańczyły palce koordynatorki usiłującej nawiązać kontakt z Atenami. Joanna odchyliła się

w fotelu i potarła mięśnie karku. Z całej tej sesji zyskała jedynie ból górnych kręgów od długiego siedzenia z zadartą głową. Miała nadzieję, że chociaż u jednego z dawców natrafią na torbielowatość jakiegoś organu. Było to schorzenie dziedziczne, ujawniające się czasami dopiero po kilkunastu latach. Zresztą torbielowatość najczęściej dotykała nerki, a nawet jeśli przenosiła się na wątrobę, nie robiła tu takich spustoszeń. Chwytała się zupełnie niewielkich szans i dobrze o tym wiedziała. Na ekranie pojawili się greccy lekarze.

- Doktorze Pappas - znowu zaczęła Joanna - czy ten dawca, chłopiec, pochodzi z dużej rodziny?

- Chodzi pani o pierwszy krąg pokrewieństwa?

- Tak.

- Matka, ojciec i trzech starszych braci.

- Czy mogłabym prosić o USG wątroby i nerek całej piątki? Oczywiście, pokryjemy koszty badania, a także każdej z tych osób zapłacimy po tysiąc drachm za stracony czas.

- Nie będzie z tym żadnych problemów.

- Bardzo byłabym też wdzięczna za kopie tych rezonansów magnetycznych, o których pan wcześniej wspomniał.

- Jutro rano wysyłam międzynarodową firmą kurierską.

Joanna zerknęła na kartkę z pytaniami.

- Czy chłopiec cierpiał na jakiegokolwiek dolegliwości wątroby?

- Nie.

- Czy kiedykolwiek badano funkcje wątrobowe?

Pappas zmarszczył brwi i chwilę się namyślał.

- Kilka lat temu w szkole wybuchło zapalenie wątroby. Jemu, podobnie jak innym, zbadaliśmy krew na obecność wirusa, a także badaliśmy funkcje wątroby. Wszystko było w porządku.

- Jeszcze jedno, czy chłopiec miał kontakt z narkotykami?

- Mnie przynajmniej nic o tym nie wiadomo.

- Czy były jakieś nieprawidłowości z estrogenem czy testosteronem?

- Nigdy. Rozwój seksualny przebiegał całkowicie prawidłowo, żadnej przewagi cech kobiecych.

- Dziękuję. - Wielkie nic. Ciemny tunel. - Teraz doktor David Dellacorte, chirurg transplantolog z Memorial Hospital chciałby zadać kilka pytań doktorowi Diodonisowi.

Joanna przekazała mikrofon Davidowi. Z przymkniętymi oczyma słuchała, jak się przedstawia i zaczyna wypytywać greckiego chirurga. Rozmawiali o kształcie, rozmiarach,

kolorze i tkance wątroby, bardzo szczegółowo opisując okolice wspólnego przewodu żółciowego. To tutaj wykryto największe torbiele.

- Wielkości kulki?

Diodonis uniósł z niedowierzaniem brwi.

- Niektóre bardzo duże.

- Z całą pewnością musiałbym je zauważyć, zwłaszcza w tej okolicy. Przecież to tam mamy najwięcej pracy przy usuwaniu wątroby.

- Musiały tam być. - Pokręcił głową Dellacorte.

- Ale w takim razie były zupełnie mikroskopijne.

Dellacorte spojrzał sceptycznie na ekran.

- I co, nagle zaczęły rosnać po transplantacji?

Diodonis wzruszył ramieniem.

- Trzeba rozważyć różne możliwości.

Joanna wyjęła Davidowi mikrofon z dłoni.

- A spotkał się pan już może z czymś takim?

- Nie z takim gwałtownym wzrostem, ale podobne procesy zdarzają się przy torbielowatości. Torbiele mają najpierw mikroskopijne rozmiary, ale z biegiem czasu stają się większe od normalnych tkanek.

- A co może powodować ich wzrost? - zapytała Joanna, bardzo zainteresowana wątkiem, który się teraz pojawił.

- Kto wie, może lekarstwa immunosupresyjne?

- Miał pan do czynienia z takim przypadkiem?

- Nie, w tej chwili tylko teoretyzuję.

„Cholera jasna”, zaklęła w duchu Joanna i zwróciła mikrofon Davidowi. Tylko tego było im potrzeba: bujania w niebiosach teorii.

- Raz jednak widziałem, jak w przeszczepionej wątrobie pojawiły się torbiele - uzupełnił Diodonis.

Joanna ponownie sięgnęła po mikrofon.

- Kiedy?

- Chyba ze dwa lata temu. - Grek milczał przez chwilę, najwyraźniej przypominając sobie. - Pacjent był po sześćdziesiątce, ale miał nadzieję, że nowa wątroba odmłodzi go zupełnie, także erotycznie. Pozostał jednak impotentem jak wcześniej, zaczął więc opychać się chińskimi ziołami, które istotnie przywróciły mu potencję, ale spowodowały też torbielowatość wątroby.

Myśli przelatwały Joannie przez głowę jak błyskawice. Testosteron! To musiał być testosteron!

- Co może pan jeszcze powiedzieć o tych chińskich ziołach?

- Były bardzo popularne w całej Europie ze względu na skuteczność. Można je było dostać bez recepty, nie tylko w aptekach, ale i w drogeriach. Ostatecznie jednak zakazano ich sprzedaży, zawierały bowiem bardzo dużo testosteronu, a także jakichś innych, trudnych do identyfikacji substancji.

- Teraz zatem nie można ich dostać w Europie? - upewniła się Joanna.

- Legalnie, nie. Ale chodzą słuchy, że ci, którzy mają pieniądze, dalej chętnie z nich korzystają. Podobno dostawy z Chin odbywają się prywatnymi samolotami. Dla starszych mężczyzn to prawdziwy skarb, rozumie pani.

- Tak, rozumiem - odparła Joanna, myśląc o Williamie Arthurze Warrenie i Rudolphie Ettingerze, dla których sprowadzanie swoich zachcianek samolotami nie było żadnym problemem. Zastanawiała się, czy i ich trapiła impotencja. - A jaka jest handlowa nazwa tych ziół?

Diodonis uśmiechnął się powściągliwie.

- Z tego, co wiem, w większości krajów sprzedawano je pod nazwą „Superman”.

- Czy mógłby pan się dla nas wystarać o ich próbkę?

- Nie mogę obiecać na pewno, ale się rozejrzę.

- Bardzo dziękuję, panie doktorze.

Joanna oparła się na fotelu, a ekran zgasł. Ciekawe, czy wyjaśnienie torbieli w wątrobach mogło być takie proste. Chciała o to spytać Ettingera, ale z góry musiała być przygotowana na to, że nie będzie chciał się przyznać do używania środków na impotencję. Mężczyźni pod tym względem byli bardzo zabawni. Nie mogła o to spytać, niestety, Williama Arthura Warrena, mogła jednak porozmawiać z jego żoną. Pamela Warren będzie wiedziała.

- Impotencja często towarzyszy poważnym schorzeniom wątroby - zauważył Dellacorte. - Dwaj moi pacjenci z przeszczepami kazali sobie zrobić implanty prącia.

- I testosteron mógłby być tak szkodliwy dla wątroby? - spytał Adler.

- Bez wątplenia - odrzekła Joanna. - Widzieliśmy wątroby kompletnie zrujnowane przez anaboliczne sterydy.

Adler przebiegał palcami po blacie. Nie miałby nic przeciw temu, gdyby okazało się, że Ettinger i Warren faszerowali się chińskimi ziołami pełnymi testosteronu. Byłoby to znakomite rozwiązanie, które pozwalałoby nareszcie uwolnić się od natrętnych prawników Ettingera.

- Karen - zwrócił się do koordynatorki - możesz ustalić, czy któryś z pacjentów, dostających od nas wątroby, brał te chińskie zioła?

- Oczywiście.

Ekran pociemniał i zaczęły przelatywać przez niego kolumny cyfr i skrótów, potem zniknęły, a ich miejsce zajął napis „Czekaj”. Kilka chwil i pojawił się napis:

BRAK DANYCH O ZIOŁOWYCH TERAPIACH

- Cholera - jęknął Dellacorte.

- Z tego wcale jeszcze nie wynika, że istotnie nikt z nich nie brał tych ziół. Po prostu nie poinformował o tym, ale wielu ludzi nie uważa ziół za lekarstwa. Karen, każ przejrzeć wszystkie dane Warrena i Ettingera, czy nie ma tam żadnych wzmianek o kuracjach.

- Albo impotencji - dorzucił Dellacorte.

Koordynatorka wstała, żeby przekazać polecenie swym podwładnym, Joanna zaś wpatrywała się w ekran. „Ziołowe terapie”. Tak wiele było zagrożeń dla wątroby: narkotyki, lekarstwa, zioła, toksyny, wirusy. I bywały zakłócenia tak poważne, że wątroba przestawała funkcjonować. Jak u Kate. Biedna Kate! Zgodnie z programem prac wchodzi do jakiejś przekłętej jaskini w Gwatemali, mija niewiele czasu - i umiera z powodu niewydolności wątroby. Joannie bardzo trudno było pogodzić się z faktem, że jej siostra umiera, ale taka była prawda, a jedynym ratunkiem był przeszczep.

Popatrzyła na Adlera.

- Chciałam się zwrócić do pana z pewną prywatną sprawą - powiedziała.

- Oczywiście - bąknął zbity z tropu i zerknął na Dellacorte'a, nie wiedząc, czy mają się oddalić z Blalock, czy też obecność chirurga nie przeszkodzi w rozmowie.

- Moja młodsza siostra - ciągnęła Joanna - cierpi na poważną chorobę wątroby i nie można wykluczyć, że w najbliższej przyszłości nieodzowny będzie przeszczep.

- Współczuję pani. Proszę, niech mi pani naszkicuje kliniczną historię.

- Moja siostra jest archeologiem i prowadziła badania w Gwatemali. Jej grupa penetrowała pewną jaskinię, w której natknęli się na wirusa zachowującego się podobnie do wirusa eboli. Większość uczestników tej grupy zmarła w cierpieniach, Kate przeżyła, ale z bardzo poważnymi uszkodzeniami wątroby.

- Jakie są szanse, że organizm sam da sobie z tym radę?

- Bardzo niewielkie.

- Służę wszelką pomocą. - Adler przysunął fotel bliżej. - Rozumiem, że operację

wykonałby doktor Dellacorte?

- Tak.

- Znakomity wybór. Natomiast nasza firma postara się znaleźć wątrobę o możliwie największej zgodności immunologicznej. Wyjaśnię pani, na czym polega procedura. Najpierw poddamy pani siostrę odpowiednim badaniom, a ich wyniki umieścimy w naszej sieci komputerowej. Informacje o dawcach są porównywane z parametrami tkankowymi pani siostry. W przypadku odpowiednio dużej zgodności, informujemy lekarzy pacjentki, a kiedy ci decydują się na przeszczep, organizujemy dostarczenie wątroby do Memorial Hospital. Zwykle pobieramy cenę dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, ale w przypadku lekarzy i ich rodzin obniżamy cenę do dwustu tysięcy.

- A jeśli nie będzie odpowiedniej wątroby?

Adler zrobił nieokreślony ruch ręką.

- Po co się martwić na zapas; może do tego nie dojdzie.

- Ale gdyby? - nastawała Joanna.

- Wtedy można rozważyć transplantację płatu wątroby od kogoś z najbliższej rodziny.

- Czego?

- Płatu - powtórzył Adler i dodał: - To zupełnie nowe rozwiązanie.

- Do tego niezwykle ryzykowne - wtrącił Dellacorte. - I dla dawcy, i dla biorcy.

- Powiedz mi coś więcej o tym - zwróciła się do niego Joanna.

Dellacorte odetchnął głęboko, żałując, że Adler podjął tę kwestię.

- Od członka najbliższej rodziny pobiera się płat wątroby i wszczepia pacjentowi, przy czym podaje się leki obniżające barierę immunologiczną, aby nie nastąpiło odrzucenie. Chorą wątrobę pozostawia się w nadziei, że sama się odrodzi. Jeśli do tego dochodzi, stopniowo zmniejsza się dawki leków immunosupresyjnych, a przeszczepiony płat obumiera, co organizmowi nie szkodzi, gdyż swoje funkcje podejmuje wyleczona wątroba.

- Dawca płatu musi być blisko spokrewniony? - upewniła się Joanna.

Adler przytaknął.

- Najlepiej ktoś z rodzeństwa.

Joanna pokiwała głową.

- Jeśli pojawi się taka potrzeba, ja będę dawczynią.

- Ta procedura ciągle jest jeszcze w fazie bardzo eksperymentalnej - ostrzegł Dellacorte.

- Ile takich operacji już przeprowadzono?

- Słyszałem o trzech.

- Z jakimi rezultatami.

- Dwie operacje się nie powiodły, jeden pacjent żyje.

Nie brzmiało to zachęcająco. Z pewnością najlepszy byłby przeszczep całej wątroby, ale w tym celu musiał się znaleźć odpowiedni dawca.

- Ja odradzałbym takie rozwiązanie - powiedział Dellacorte. - Wynik jest niepewny, a ty pozbawiasz się płatu wątroby, który jest naturalnym zabezpieczeniem organizmu na wypadek niedomagań organu.

Joanna pokiwała głową w milczeniu.

- Jeśli chce pani, abyśmy uruchomili procedurę, musi pani wpłacić zaliczkę dwudziestu pięciu tysięcy. Reszta zostaje wniesiona w momencie znalezienia odpowiedniego dawcy.

Joanna wpatrywała się w okno, myśląc, skąd weźmie dwieście tysięcy. Mogła pożyczyć pięćdziesiąt tysięcy pod zastaw funduszu emerytalnego, następne dwadzieścia pięć tysięcy na hipotekę mieszkania, ale jak zdobyć pozostałe sto dwadzieścia pięć tysięcy? Mocno zacisnęła szczęki; to jak jakaś upiorna akcja: zdrowa, piękna wątroba dla kogoś, kto zaoferuje dwieście tysięcy dolarów.

Joanna wiedziała, że to nie w porządku. Tysiące pacjentów czekało na swoją kolej na listach biorców, gdyby jednak jej udało się zorganizować odpowiednie fundusze, znajdzie się na samym przedzie. Nie miała też wątpliwości, że część tych pieniędzy sekretnie zostanie przekazana rodzinie dawcy, aby organ na pewno trafił do Donors International. Czowała odrazę do siebie; z którejkolwiek strony na to spojrzeć, chciała kupić wątrobę dla swej siostry, co było wstrętne, okropne, ale w przeciwnym wypadku Kate umrze.

- To zrozumiałe, że musi się pani namyślić - łagodnie powiedział Adler.

- Chcę, żebyście natychmiast uruchomili procedurę. Rano otrzyma pan mój czek.

Rozdział 19

Joanna stanęła przed wejściem do pokoju Rudolpha Ettingera i kilka razy odetchnęła głęboko, szykując się do wejścia. W odpowiedzi właśnie miała sięgnąć do klamki, gdy drzwi gwałtownie się otworzyły i ze środka wypadł David Dellacorte z purpurową twarzą i nabrzmiałymi na szyi żyłami. Mruczał pod nosem jakieś przekleństwa.

Joanna odskoczyła i chwyciła chirurga za ramię.

- Davidzie, co się stało?

- A to skurwysyn - syknął Dellacorte.

- Co się stało? - powtórzyła.

Zapytany otwierał i zamykał dłonie, usiłując nad sobą zapanować.

- Wyciągasz pomocną dłoń, a ten kasa. Jak grzechotnik.

Joanna patrzyła na niego w zdumieniu.

- Rozumiałam, że całą sprawę przejął ordynator chirurgii.

- Tak, przejął - powiedział Dellacorte, odrobinę już spokojniejszy. - Wydaje się jednak, że u Ettingera rozwinęły się dwie wielkie torbiele, które utrudniają działalność zdrowej reszty wątroby. Normalna operacja, powodująca zmniejszenie nacisku torbieli, jest w tym przypadku ryzykowna i szef się waha, dlatego poprosił mnie, żebym zastosował opracowaną przeze mnie metodę wziernikową, o wiele łatwiejszą i mniej dolegliwą dla pacjenta, chociaż w takich przypadkach jak Ettingera i tu istnieje pewne ryzyko.

- I co, zgodził się?

- Pewnie. - Dellacorte zamilkł, czekając, aż oddali się przechodząca korytarzem pielęgniarka. - Nie jest idiotą, dowiedział się, że ja się najlepiej posługuję tą techniką.

- Więc raczej oczekiwałabym, że będzie ci wdzięczny...

Dellacorte prychnął ironicznie.

- Daj spokój! To nie z nim. Dalej chce skarżyć Memorial i niezależnie od tego zabiegu, gdzie, jak widać, musi mi zawierzyć, i tak nie może się doczekać, kiedy zniszczy moją reputację, nagłaśniając całą sprawę w swojej prasie i telewizji.

Joanna pokiwała głową.

- Zdaje się, że istotnie jesteś w sytuacji bez wyjścia.

- A gdyby jakimś przypadkiem się zdarzyło, że jego stan zacznie się poprawiać, i tak

wszystkie zasługi zgarnie szef. Wiesz: bystra diagnoza, kapitan sterujący wielkim statkiem. - Dellacorte westchnął zrezygnowany. - Usiłuję mu tylko pomóc, a on robi wszystko, żeby tylko mi dopiec.

- Mówiąc szczerze, dziwię się, że w tej sytuacji nie zostawisz jego przypadku.

- I ja się nad tym zastanawiałem.

- No i co?

- Nic. Po prostu chyba jestem głupi.

Dellacorte machnął ręką i oddalił się, a Joanna znowu stanęła przed drzwiami pokoju pacjenta, który tak skutecznie zrażał osoby mogące mu pomóc. A może przywiązanie do łóżka szpitalnego tak na niego działało, myślała Joanna. Ettinger to człowiek władzy, nawykły do rozkazywania, ale w Memorial stawał się zupełnie zależny od innych. Nawet mocz musiał oddawać do buteleczki, aby lekarze mogli przeprowadzać analizy. Tak czy owak, i tak nie usprawiedliwiało to arogancji.

Zastukała krótko i weszła, nie czekając na odpowiedź. Rudolph Ettinger rozparty na poduszkach czytał „Wall Street Journal”. Spojrzał na nią znad okularów.

- Czego znowu? - warknął.

- Chciałam panu zadać kilka pytań.

- No to szybko.

Joanna zbliżyła się do łóżka. Od ostatniego razu, kiedy go widziała, Ettinger schudł, a skóra mu poszarzała.

- Panie Ettinger, czy kiedykolwiek zażywał pan jakieś chińskie zioła?

- Nie, do cholery!

- Proszę się zastanowić - nie ustępowała Joanna. - Przede wszystkim interesują mnie zioła mające podwyższać męską potencję.

Ettinger cisnął na bok gazetę i poprawił się na poduszkach.

- Co pani tutaj wygaduje?

- Chodzi mi o leki lub zioła, które mają poprawić sprawność seksualną. Zażywał pan kiedyś coś takiego?

Ettinger przyglądał się jej zmrużonymi oczyma.

- To jakiś kretyński dowcip?

- Nie, nie żartuję. Dowiedzieliśmy się, że inny pacjent, u którego w przeszczepionej wątrobie pojawiły się torbiele, brał zestaw ziół leczących ponoć z impotencji.

Twarcz Ettingera odrobinę złagodniała.

- I u niego się zrobiło to samo?

- Bardzo podobne torbiele.

Bogacz wzruszył ramieniem.

- Brałem chyba jakieś witaminy czy minerały. Chyba także aminokwasy na poprawienie mięśni.

- A chińskie zioła? - napierała Joanna, która czuła, że Ettinger nie mówi wszystkiego.

Chwilę milczał, a potem rzekł:

- Niczego takiego nie pamiętam.

- Ale możliwe, że pan ich używał?

- Wszystko jest możliwe.

Nawet jeśli brał, nie zamierzał się przyznać. Joanna spróbowała ataku frontalnego.

- A czy pozwoli mi pan przejrzeć zawartość apteczki w pańskim domu?

- Mowy nie ma! - Twarz magnata znowu stężała. - Nie pamiętam żadnych cholernych ziół i to powinno wystarczyć.

- A jakieś środki na wzmocnienie popędu?

- Już mówiłem. I chyba lepiej, żeby się pani stąd wyniosła.

Zawahała się. Może brał, a teraz tylko nie pamiętał. Przy schorzeniach wątroby występowały kłopoty z pamięcią.

- To może ktoś z pańskiej rodziny czy któryś ze współpracowników dostarczyłby do nas używane przez pana leki, żebyśmy mogli się rozejrzeć?

- To chyba da się załatwić - powiedział Ettinger i opadł na poduszki. - Ja naprawdę chciałbym, żeby się pani dowiedziała, co poszło nie tak z moją wątrobą, naprawiła to, i żebym mógł w dobrym stanie wrócić do domu.

- Mówiąc szczerze, nie bardzo nam pan w tym pomaga.

Ettinger słabo zakaszłał, w gardle zabulgotała flegma. Przez chwilę leżał bez ruchu, zupełnie jak nieżywy, ale potem odezwał się:

- Chce pani szczerości? Proszę bardzo, będę szczery. Moja wątroba odmówiła współpracy; ani pani, ani nikt inny nie potrafi tego naprawić i dlatego muszę umrzeć. Proszę więc nie oczekiwać, że będę z ochotą pomagał w czymś, co wcale nie poprawia mojego stanu.

- Znowu zakaszłał, nie osłaniając ust. - Szpital mnie w to wpakował, niech mnie szpital wyciąga.

- Bardzo mi przykro z powodu pana stanu zdrowia i oczywiście ma pan prawo obwiniać Memorial, ale brak jakichkolwiek dowodów naszej winy.

- Moi prawnicy mówią co innego.

- Odłóżmy na bok sprawy prawne. Sugerowałabym, aby traktował pan nasz personel z

takim samym szacunkiem, z jakim my odnosimy się do pana.

Przez wargi Ettingera przemknął cień uśmiechu.

- Widzę, że doktor Pelligrini zdążył się już pani poskarżyć.

- Nazywa się Dellacorte, a ja na pańskim miejscu byłabym dla niego szczególnie grzeczna.

- Dlaczego?

- Bo to jedyny człowiek, który w tej chwili może odrobinę przedłużyć pańskie dni -
odparła Joanna i wyszła.

Rozdział 20

- Boże! Mam nadzieję, że nigdy nie będą mi musieli wstawiać tego by-passu - powiedział Lou Farelli.

Jake pokiwał głową.

- Podobno rozcinają ci piłą klatkę piersiową, a potem montują na powrót.

Farelli skrzywił się na samą myśl.

- Cholera, to musi niezłe boleć!

- Ale podobno skutkuje. Tak jakby ci wstawili nowe naczynia wieńcowe.

- Na razie stare mi wystarczają.

Stali w hallu Wydziału Kardiologicznego Memorial Hospital i czekali na lekarza, który badał Maury'ego Glazera. Właściciel lombardu dostał ataku serca i w stanie krytycznym został przewieziony do szpitala. Do naczyń wieńcowych wprowadzono środki rozpuszczające skrzeplinę, stan Glazera jednak się nie poprawił i teraz trwały przygotowania do operacji, która miała stworzyć oboczny obieg krwi.

Otworzyły się wahadłowe drzwi i obaj cofnęli się przed wózkiem, na którym sanitariusz wiozł starszego mężczyznę z wprowadzoną do nosa rurką i siną skórą. Zanim drzwi się zamknęły, Jake usiłował dojrzeć Glazera, ale udało mu się spostrzec tylko lekarzy i pielęgniarki.

- Mam nadzieję, że pozwolą nam zamienić z nim kilka słów. - Z trzymane pod pachą koperty Jake wyjął dwie duże fotografie Tony'ego Boyette'a. Przyjrzał im się raz jeszcze. - Całkiem niezłe, co?

- Mhm - przytaknął Farelli. - Facet się przyłożył, żeby je wyostrzyć.

- Sprawdziłeś, czy żaden z tego kółka nie jest notowany?

- Wszyscy są czyści. Sprawdziłem także, czy są w okolicy zakłady ślusarskie. Nie ma żadnego w promieniu mili. Najbliższy znajduje się w North Flollywood.

- Pokazałeś im zdjęcia?

- Nikt go tam nie zna.

Drzwi znowu się otworzyły i przed detektywami stanął doktor Alex Berman: wysoki, szczupły czterdziestolatek ze szpakowatymi włosami i okularami w metalowej oprawce.

- Porucznik Sinclair?

Jake pokazał swoją odznakę.

- Dziękuję, że znalazł pan dla nas czas.

- Nie ma za co, współpraca z policją to obywatelski obowiązek. - Zdjął okulary i przetarł oczy. - Czym mogę służyć?

- Chcielibyśmy porozmawiać z Maurym Glazerem.

- Przepraszam, ale nie w takim stanie, w jakim jest w tej chwili.

- Chodzi o morderstwo, panie doktorze.

- Rozumiem, panie poruczniku, ale nie mogę narażać pacjenta na dodatkowe stresy.

- A morderca chodzi na wolności - wtrącił Farelli.

Berman wyraźnie zainteresował się.

- Ten, co strzela do kierowców na autostradzie?

Jake zignorował pytanie i rzekł:

- Wystarczy nam dziesięć sekund. Pokażemy fotografie, a on powie tylko „tak” lub „nie”.

- Trzeba być obłąkanym, żeby bez żadnego powodu strzelać do niewinnych ludzi.

Berman najwyraźniej skupił się na swoim temacie. „Przejeżdż się, bracie, nocą po East Los Angeles”, pomyślał Jake. „Każdego dnia strzelają tam dla zabawy”. Głośno powiedział:

- Dziesięć sekund. To wszystko.

Berman zaczynał się wahać. Nerwowo potarł kark.

- Dziesięć sekund. Jedno pytanie. Nic więcej - stęknął w końcu.

- Dobrze - skwapliwie zgodził się Jake.

- Ale jeśli środki nasenne zaczynają już działać, trudno, nie będziemy go budzić.

- Jasne.

Poszli za Bermanem. Oddział okazał się znacznie większy, niż Jake się spodziewał. Nie było oddzielnych pomieszczeń, rzędy łóżek pod oboma ścianami, wszyscy pacjenci z podłączonymi kroplówkami i monitorami, niektórzy respiratorami. Pacjenci byli cisi, maszyny pomrukiwały. Jake złapał się na tym, że z jakiegoś powodu stąpa na palcach.

Maury Glazer był na drugim końcu. Leżał wysoko na poduszkach, pierś miał już ogoloną i pomalowaną pomarańczowym środkiem antyseptycznym. Oczy miał zamknięte; siedząca przy łóżku drobniutka kobiecina trzymała go za rękę.

- Pani Glazer - łagodnie powiedział Berman. - Ci panowie są z policji, potrzebna im jest pomoc pani męża.

- Ale on nie zrobił nic złego, prawda? - zaniepokoiła się Annie Glazer.

- Oczywiście, że nie, proszę pani - zapewnił Jake. - Chcielibyśmy tylko, żeby zidentyfikował pewną osobę.

Pani Glazer spojrzała na Bermana, jakby milcząco pytała, czy odpowiedź nie zaszkodzi jej mężowi. Lekarz uspokajająco poklepał ją po ramieniu.

- Człowiek, o którego nam chodzi, może być mordercą. Inaczej nie niepokoiłobyśmy pani męża w takiej sytuacji.

Maury Glazer otworzył oczy.

- Macie zdjęcie?

- Tak, tak - powiedział Jake, zachwycony, że tamtego nie zmorzył jeszcze sen. - Jak się pan czuje?

- Do kitu. Gdzie to zdjęcie?

Jake podsunął Glazerowi błyszczącą, czarno-białą fotografię.

- Na takich fotografiach zawsze wygląda się lepiej niż w rzeczywistości.

Annie Glazer spiesznie otworzyła etui i nałożyła mężowi okulary w rogowej oprawce. Uśmiechnął się do niej serdecznie, potem sięgnął po zdjęcie i wpatrzył się w nie uważnie.

- No i jak? - niecierpliwiał się Jake.

- Myślę, że to on.

- Jest pan pewien?

Maury Glazer ustawiał zdjęcie pod różnymi kątami, aż nagle twarz wykrzywił mu grymas.

- Boli? - syknął.

- Niech pan weźmie tabletkę nitrogliceryny - polecił Berman.

Właściciel lombardu włożył pastylkę pod język i czekał, aż się rozpuści. Po kilku sekundach ból ustąpił. Uśmiechnął się do żony.

- Nie przejmuj się, Annie, wszystko będzie dobrze. - Poprawił okulary na nosie, jeszcze moment przyglądał się, a następnie rzekł: - Czy jest pewien? Absolutnie to nie, bo jakiś tutaj młodszy i skóra gładsza, ale raczej obstawiałbym, że to on.

- Rozpoznałby go pan pomiędzy innymi osobami? - spytał Jake.

- Z pewnością.

- Jak się panu polepszy, zorganizujemy okazanie.

- Długo to nie potrwa. - Glazer zerknął na Bermana. - Ile, panie doktorze? Dwa, trzy tygodnie?

Lekarz był ostrożny.

- Może odrobinę dłużej.

- Starczą trzy tygodnie - upierał się Glazer. - Na mnie wszystko przysycha jak na psie.

- Czas już kończyć, panie poruczniku - upomniął Berman.

Kiedy zbliżali się do drzwi, Jake przypomniał sobie, że chciał zapytać o jeszcze jedną rzecz: czy Boyette podpisywał jakiś kwit, zastawiając zegarek? Jeśli tak, to bez żadnego zachodu będą mieli próbkę pisma, a pewnie także i odciski palców. Odwrócił się. Pielęgniarka podwoziła właśnie ruchome łóżko, Berman cofnął się, żona Glazera płakała. Jake zanotował sobie, aby wyjaśnić tę rzecz z synem lombardzisty.

Na zewnątrz Farelli zatrzymał się przy umywalce i przetarł wodą czoło.

- Ja przed taką operacją byłbym spietrany jak cholera, a ten tymczasem spokojny jak gdyby nigdy nic.

- Na pewno boi się jak każdy z nas - powiedział Jake. - Tylko nie pokazuje tego po sobie.

- Chciał się przed nami pokazać?

- Nie przed nami. Nie chciał straszyć żony.

- Masz rację - przyznał Farelli, myśląc, że i on postąpiłby tak z Angelą. - Co mam zrobić z Boyette'em?

- Bierz go za dupę.

*

- Gdzie są do jasnej cholery moje jajeczka?! - wydarła się Pamela.

- Pani Warren - powiedział uspokajającym tonem Jason Adler. - Minęło już dziesięć lat i...

- Guzik mnie to obchodzi, kiedy to było. Moje jajeczka należą do mnie. Podobnie zresztą jak nasienie mego męża.

Adler zerknął na drugiego mężczyznę obecnego w gabinecie.

- Może doktor Dunn, kierujący programem zapłodnienia in vitro w Donors International, dokładniej naświetli pani sytuację.

- Widzi pani, problem polega na tym - zaczął Dunn - że technika stosowana przez nas dziesięć lat temu była bardzo niedoskonała. Okazało się, że po kilku latach jajeczka ulegały dezintegracji podczas rozmrażania, dlatego też zrezygnowaliśmy z przechowywania ich przez dłuższy okres.

Pamela patrzyła na niego rozognionymi oczyma.

- Chce pan powiedzieć, że moje jajeczka zostały zniszczone?

- Chcę powiedzieć tylko tyle, iż nie można tego wykluczyć. Musimy zbadać dokładnie zawartość naszych zamrażarek.

- Ja bym radziła, żebyście je znaleźli, i to szybko.

Dunn spojrział badawczo na Pamelę i jej adwokata.

- A jeśli nam się nie uda, to co wtedy?

- Spotkamy się na sali sądowej - odpowiedziała bez namysłu.

- Specjalnie się tego nie boję, pani Warren - chłodno odrzekł Dunn - albowiem każdy obiektywny sędzia musi docenić nasze argumenty, że dawny sposób przechowywania komórek jajecznych prowadził do ich uszkodzenia, a my za wszelką cenę chcielibyśmy uniknąć poczynania kalekich płodów.

Pamela skrzyżowała z nim spojrzenia. Nie wiedziała, czy blefuje czy nie, w każdym razie nienawidziła go równie mocno jak dziesięć lat temu. Nie dość że gbur, to jeszcze skrajnie nieatrakcyjny z tym swoim szerokim czołem i wąziutkimi ustkami.

- Nie mieliście prawa niszczyć moich jajek.

- Wcale nie powiedziałem, że zrobiliśmy to - upomniał ją Dunn. - Powiedziałem, że mogło się tak zdarzyć.

Pamela czuła, że lekarze z Donors International są w lepszej sytuacji. Zawsze mogli przedstawić jakąś niby to naukową historyjkę, w którą sędzia uwierzy.

- Jeśli się nie znajdą, puszczę was z torbami.

- Nigdy to się pani nie uda - spokojnie oznajmił Dunn.

Pamela nie dawała się zbić z pantałyku.

- Jeszcze zobaczymy. Zadbam już o to, żeby o wszystkim dowiedziały się media, a uda mi się to tym łatwiej, że chodzić będzie o Williama Arthura Warrena. Skompromituję was i zrujnuję.

Dunn machnął lekceważąco ręką.

- Pani Warren, pani nieżyjący mąż nie stanowi już żadnej sensacji, podobnie jak i pani sama.

- Nie byłabym taka pewna - syknęła Pamela. - Młoda wdowa chce począć dziecko, wykorzystując nasienie zamordowanego męża: moim zdaniem to interesująca historia. I bardzo jestem ciekawa, czy sędzia nie nakaże przeszukać waszych zamrażarek i archiwów, aby ustalić, co stało się nie tylko z moimi jajkami, ale także innych kobiet.

Do akcji wkroczył Adler.

- Po co ta irytacja?! Potrzeba nam po prostu trochę czasu na dokładne sprawdzenie. A mogę panią zapewnić, że oddamy się temu z najwyższą pilnością i starannością!

- Daję wam trzy dni, a potem kieruję sprawę do sądu - zagroziła Pamela. Spojrzała na prawnika. - Pan Diamond pouczył mnie, że jajka są moją własnością, a nie waszą, i dlatego nie wolno wam robić z nimi niczego bez mojego zezwolenia. Czy mam rację, panie mecenasie?

- Całkowitą - zapewnił Diamond. - Jajka i plemniki są wspólną własnością pary ewentualnych rodziców. Kiedy umiera mąż, własność tę dziedziczy żona.

- Nie zamierzam z panem polemizować - powiedział Adler - ale chyba rozumie pan, że muszę w tej sprawie zasięgnąć opinii naszych prawników. Podobnie jak w kwestiach dziedziczenia, gdzie musimy się skontaktować z wykonawcami testamentu pana Warrena.

- Niech pan sobie zasięga opinii, gdzie chce - warknęła Pamela - ale ja muszę zobaczyć moje jajka.

Zapaliła papierosa z filtrem i wydmuchnęła dym pod sufit. Podejrzewała, że Dunn i Adler ją okłamują, dobrze bowiem wiedzą, gdzie znajdują się komórki. Tylko po co mieliby je ukrywać? Jaki mogli mieć w tym interes? I jeszcze ten cholerny Adler chciał się kontaktować z Coxem. Kiedy bracia Warrenowie dowiedzą się od niego o całej sprawie, zrobią wszystko, żeby nie pozwolić jej na odzyskanie plemników i jajek. A niech sobie robią. To jej własność, a poczęte dziecko będzie legalnym współdziedzicem jej męża.

Zapatrzyła się w okno, za którym widać było zbocze i ścieżki prowadzące do japońskich ogrodów, które pokazano im - jej i mężowi - podczas pierwszej wizyty w Donors International: Dziesięć lat temu, a wydawało się jak przed wiekami.

- Pani Warren, nie chciałbym być wścibski - odezwał się Adler - ale czy mógłbym spytać, co zamierza pani zrobić z tymi jajeczkami? Wiem, rzecz jasna, że pani mąż niedawno zginął, więc zastanawiam się...

- Chcę je zapłodnić plemnikami mego męża i zająć w ciążę - bez chwili wahania odparła Pamela. Wzięła głęboki oddech i postanowiła odegrać to na smutno, byle tylko nie przedobrzyć. Wyjęła z torebki chusteczkę, dotknęła kąciki oczu i powiedziała ściszone głosem: - Mój mąż bardzo chciał, żebyśmy mieli dziecko; obiecałam mu, że nie zrezygnuję ze starań. Teraz już go nie ma, ale obietnica dalej trwa.

Nieźle, pomyślała. Jak przysięga przy łożu umierającego.

- Rozumiem - grzecznie rzekł Adler, skądinąd przekonany, że kobieta kłamie.

- I dlatego to dla mnie takie ważne - dorzuciła Pamela.

- Oczywiście. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Twarz Pameli spoważniała.

- Macie na to jeszcze siedemdziesiąt dwie godziny.

- To nam powinno wystarczyć - zapewnił Adler. - Ale raz jeszcze ostrzegam: ponieważ komórki były przechowywane przy wykorzystaniu starej metody, jajeczka bardzo często ulegają uszkodzeniu przy rozmrażaniu.

- A co z nasieniem?

- Plemniki można przechowywać bez ograniczeń - rzekł Adler i w zamyśleniu postukał długopisem w blat biurka. - Jeśli odnajdziemy spermę pani męża, to może lepszym rozwiązaniem byłoby pobudzenie pani do superowulacji i zapłodnienie świeżych jajek.

Pamela ponuro pokręciła głową.

- Nie mogę znowu brać tych zastrzyków. Nie pamięta pan, jakie były komplikacje ostatnim razem?

- Tak, tak. - Adler przypomniał sobie reakcję o charakterze alergicznym. - Rzeczywiście, ponowna próba mogłaby być niebezpieczna. Przykro mi.

- Mnie także - powiedziała Pamela i wstała z fotela.

Rozdział 21

Kate wyglądała znacznie gorzej. Znowu zapadła w półśpiączkę i mamrotała coś bezsensownie. Joanna delikatnie ścisnęła jej dłoń, ale nie było odpowiedzi. Spojrzała na pielęgniarkę.

- Kiedy to się znowu zaczęło?

- W nocy. Przed snem mówiła jeszcze całkiem rozsądnie.

- Czy widział ją neurolog?

Pielęgniarka przytaknęła.

- Dzisiaj rano. - Podała Joannie plik kart. - Mam jeszcze inne sprawy. W razie potrzeby proszę mnie alarmować dzwonkiem.

Joanna odszukała notatkę neurologa. Podejrzewał encefalopatię wątrobową, śpiączkę spowodowaną przez schorzenie wątroby. Przypuszczano, że powodują ją zakłócenia metaboliczne, a przede wszystkim odkładanie się amonu we krwi. Czasami udawało się zatrzymać i odwrócić ten proces, czasami nie. Przejrzała też najnowsze analizy laboratoryjne. Funkcje wątroby jeszcze bardziej się pogorszyły, poziom amonu we krwi był podwyższony. Ostatnie stadium choroby, myślała Joanna, śpiączka wątrobowa.

Raz jeszcze uściśnęła rękę Kate i znowu nie było reakcji. Siostra oczy miała zapadnięte i tak wychudła, że wydawało się, iż pozostały z niej już tylko skóra i kości. Przez cały czas nawet nie drgnęła. Nagle przed oczyma Joanny przemknął okropny widok: Kate w trumnie. O Boże!!!

Przycisnęła dłoń siostry do piersi.

- Nie umieraj mi, Kate, błagam! Nie zostawiaj mnie samej!!!

Chora cicho zakasłała, a Joanna nachyliła się w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak świadomości. Powieki nadal były zamknięte, utrzymywał się lekki kaszel.

- Kate - szepnęła jej do ucha - Kate, słyszysz mnie?

Nie było odpowiedzi.

Odruch kaszlowy, pomyślała ponuro, żadna świadoma reakcja.

Do sali wszedł Mack Brown. Za nim szła pielęgniarka z pojemnikiem z plazmą.

- Kate rano zapadła w śpiączkę wątrobową - oznajmił, sięgnął do twarzy chorej i odchylił powieki. Poruszyła głową, uciekając od światła. - Ale nie głęboką.

- Czy da się ją cofnąć?

- Może. - Mack sprawdził temperaturę na wykresie zawieszonym w nogach łóżka. - Posłyszałem szmery oddechowe, co może oznaczać początek zapalenia płuc. Przy chorobach wątroby zdarza się, że pacjentów w śpiączkę wpychają infekcje.

- Rozumiem, że dostaje antybiotyki.

- W dużych dawkach. I znowu podam jej plazmę.

Mack wziął z rąk pielęgniarki pojemnik, sprawdził dokładnie etykietkę i zwrócił.

- Nasi przyjaciele w Gwatemali znaleźli następną osobę, która przeżyła zarażenie, i przysłali nam jej plazmę. Bardzo liczne przeciwciała. Spróbujemy. Nie sądzę, by to mogło coś jeszcze pogorszyć.

Joanna ciężko westchnęła.

- Jest już w takim stanie, że szuka się nawet rozpaczliwych rozwiązań, prawda?

- Cóż robić. - Mack ponurym gestem rozłożył ręce.

- Wątroba nie zacznie funkcjonować i bez przeszczepu Kate umrze. Zrobiono badania tkankowe i umieściłem ją na liście oczekujących.

- Myślisz, że uda się znaleźć wątrobę w narodowej sieci przeszczepów?

Joanna spojrzała na zegar ścienny. Za dwie godziny miała wyznaczone spotkanie w banku, aby ustalić zasady pożyczki pod zastaw mieszkania.

- W ogóle, to na pewno, problem tylko w tym: kiedy? - Mack cofnął się, a pielęgniarka mocowała pojemnik z plazmą na stojaku, z którego miała być podawana dożylnie. - Mówiąc ściślej, problemem jest czas, ale także liczba czekających osób. Ponad cztery tysiące, niektóre równie chore jak Kate. A co gorsza, ma rzadko spotykany typ tkanki. Nie będzie łatwo znaleźć dobrego dawcę.

- Wczoraj rozmawiałam z Donors International. Teraz jest także na ich liście.

- No, oni mogą to zrobić znacznie łatwiej - powiedział Mack, patrząc, jak plazma zaczyna spływać do żyły - ale z tego, co słyszałem, każą sobie za to słono płacić.

Joanna wzruszyła ramieniem.

- Są sytuacje, kiedy rachunki przestają się liczyć.

- No cóż, w takim razie musimy utrzymać ją w znośnym stanie do czasu, aż znajdzie się dawca.

Joanna kiwnęła głową, myśląc jednocześnie o transplantacji płatu wątroby, o czym dyskutowała z Dellacorte. Płat jej wątroby mógł utrzymać Kate przy życiu aż do momentu, gdy będzie można zrobić transplantację. Musi się poddać potrzebnym badaniom, a potem raz jeszcze porozmawia z Dellacorte'em o przeszczepie między siostrami. Może nawet dzisiaj.

- Jesteś pewien, że wirus został już usunięty z organizmu Kate?

- W znacznym stopniu. Czemu pytasz?

- Bo to byłoby okropne, gdyby dostała nową wątrobę, a ta znowu zostałaby zaatakowana.

- Tym bym się tak bardzo nie przejmował - powiedział Mack z udanym spokojem, ale sam przed sobą musiał przyznać, że niebezpieczeństwo istniało. Wystarczyło, by wirus przyczaił się w jakimś zakątku organizmu, a potem zaczął rozmnażać się, aż do zniszczenia wszystkich komórek nowej wątroby. Mogło się tak zdarzyć, ale nie zamierzał roztrząsać tej możliwości z Joanną Blalock. I tak miała już dość zmartwień.

*

- O kurczę! - To było wszystko, co Jake zdołał wykrztusić. Szkielet, który wykopali w Santa Monica Mountains, był teraz powiązany drutem i zwisał z haka w ścianie. Tyle że teraz miał już twarz i ciało odziane w panterkę, ciężkie buty i kaptur przeciwdeszczowy. - A gdzie oczy i włosy?

- Niestety, tymi informacjami nie dysponujemy - odrzekła Joanna.

Jake spojrzał na nią zdziwiony.

- Przecież w jego wojskowych papierach musi być zdjęcie. Co, pewnie niedobre?

- Nie wiemy jeszcze, jak się nazywał - powiedziała Joanna, która siedziała na stoliku w rogu laboratorium, niedaleko od szkieletu. - Mamy do wyboru cztery nazwiska i nie wiemy, które jest właściwe.

- Poczekaj, zacznij od początku. Za dużo w tym wszystkim dla mnie niejasności.

- To, co widzisz na ścianie, to materializacja wszystkich świadectw, jakie udało się wykopać z ziemi. Szkielet bezpośrednio poinformował nas o wzroście i długości stóp, wagę wydedukowaliśmy z wielkości kości i rozmiaru ubrania.

- Skąd wiesz, że był w panterce?

- Do kości przywarły strzępy materiału.

Jake dotknął głowy manekina. Była wykonana z gładkiego, plastycznego materiału.

- A twarz?

- Z komputera. Wprowadziliśmy dane o wielkości, kształcie i gęstości każdej z kości twarzowych i dostaliśmy obraz twarzy. Ale bez oczu i włosów.

- Niesamowite! - pokręcił głową Jake. - A co to za cztery nazwiska?

Joanna miała już odpowiedzieć, kiedy nagle przyszło jej do głowy jeszcze jedno źródło pieniędzy na sfinansowanie operacji Kate. Towarzystwo ubezpieczeniowe siostry! Może się dołożą; nie było to zbyt prawdopodobne, ale warto przynajmniej zaryzykować.

- Te nazwiska! - ponaglił Jake.

- Lori poda ci wszystkie szczegóły - powiedziała Joanna i gestem wskazała McKay.

Jake natychmiast wyczuł, że Joannę coś trapi. Była jakaś rozkojarzona, zachowywała się nie tak, jak to zwykle bywało, gdy wpadła na jakiś trop. Może źle się czuje, a może jego towarzystwo źle na nią wpływa. Nigdy, wiedział to na pewno, nie wybaczy mu tego, iż ją zawiódł.

- To proszę mi powiedzieć o tych czterech nazwiskach - zwrócił się do Lori.

- W Walter Reed Hospital podali nam dane czterech pacjentów o inicjałach J.R., którym w roku 1974 wszczepiono płytki nadkłykciowe. - Lori wzięła z blatu kartkę i odczytała: James Robert Anderson, James Robert Butler, Jerome Robinson i Jimmy Rogers. Wszyscy dwudziestokilkuletni, wszyscy rasy kaukaskiej, wszyscy dobrze znieśli operację.

- Cholera! - zaklął Jake, a Lori lekko się skrzywiła. - To może trwać w nieskończoność, zanim ich namierzemy.

- Dlaczego? - spytała McKay.

- To było dwadzieścia lat temu, a ludzie przenoszą się, wędrują, giną, umierają. To będzie straszna harówa.

- Może i nie - odezwała się Joanna między jednym a drugim łykiem kawy. - Zleciłam bardzo specjalistyczne zdjęcia rentgenowskie naszego szkieletu. Być może zawężą zakres poszukiwań.

- W jaki sposób?

- Zobaczymy. Zdjęcia powinny być zaraz.

Znowu rzuciła okiem na ścienny zegar. Pierwsza trzydzieści. Za godzinę ma umówione spotkanie w spółdzielni kredytowej, gdzie spróbuje pożyczyć pięćdziesiąt tysięcy, gwarantowanych jej funduszem emerytalnym. Razem z pożyczką na hipotekę mieszkania, dawało to siedemdziesiąt pięć tysięcy, a więc zostawało jeszcze sto dwadzieścia pięć. Może udałoby się uzyskać jakiś długoletni kredyt w Donors International.

- Próbowaliśmy zatrzymać Tony'ego Boyette'a - usłyszała głos Jake'a.

- Kogo, kogo? - zapytała wyrwana z zamyślenia.

- Tony'ego Boyette'a. Tego, który zastawił zegarek Warrena.

- Ktoś zastawił zegarek ofiary? - włączyła się Lori. - Nic o tym nie wiedziałam, nikt mi nie powiedział.

- Dopiero co się o tym dowiedzieliśmy.

- To proszę mnie wprowadzić w sprawę.

Lori usiadła bliżej Jake'a, który jęknął w duchu, żałując, że nie poczekał ze swoją

informacją. W skrócie opowiedział o wizycie w lombardzie, niedługo po której właściciel dostał zawału, nic nie wspominając o tym, że spotkał już Tony'ego podczas odwiedzin Pameli w szpitalu. Lori nie musiała o tym wiedzieć.

- Właściciel nie był pewien na sto procent, ale sądził, że bardzo prawdopodobne, że to Boyette był u niego z zegarkiem.

- Powiedział pan, że próbowaliście go zatrzymać. Uciekł wam?

Jake pokręcił głową.

- Gdzieś na pustyni Mojave kręci reklamówkę. Ma wrócić jutro.

- A jak właściciel lombardu zniósł operację?

- Znakomicie. Już niedługo będziemy mu mogli okazać Boyette'a w grupie innych osób. Ten dureń na dodatek podpisał kwit fałszywym nazwiskiem, mamy więc próbkę jego pisma. Przyskrzynimy go jak dwa razy dwa jest cztery.

- Świetnie! - zawołała zafascynowana Lori.

Wszyscy spojrzeli na drzwi, do których ktoś zapukał. Lori szybkim ruchem poprawiła włosy.

- Proszę! - zawołała Joanna.

Wszedł szpitalny goniec z rulonem zdjęć rentgenowskich. Lori poczuła się rozczarowana; miała nadzieję, że będzie to David Dellacorte. Zostawiła mu informację na oddziale, że między pierwszą a trzecią będzie w laboratorium patologii. Pewnie się nie pokaże, podobnie jak nie zadzwonił po ich randce, chociaż przyrzekał coś innego.

A randka była całkiem fajna, myślała Lori. Miło rozmawiali, potem całowali się i zaczęli pieścić, ale właśnie wtedy odezwał się ten przekłety pager. Pocałował ją jeszcze raz i obiecał, że zadzwoni. Tymczasem wcale się nie odezwał; niech go cholera, jego i tych wszystkich innych, którzy obiecują, że zadzwonią i wcale tego nie robią.

Joanna zaczęła mocować zdjęcia na podświetlaczach.

- Oto zdjęcia zrobione po operacji każdemu z naszych czterech pacjentów w Walter Reed Hospital. Zwróćcie uwagę na te drobinki metalu w kościach udowych. Z braku lepszych określeń, nazwę je liniami papilarnymi szrapneli. A teraz porównajmy ze zdjęciem naszego szkieletu.

Trzymając zdjęcie w ręku, Joanna przechodziła od jednej z rozwieszonych klisz do drugiej, potem wróciła do jednej z nich i raz jeszcze dokładnie porównała. Okruchy metalu były umiejscowione dokładnie tak samo.

- Zgadza się. Zatem nasz człowiek nazywał się James Robert Butler.

- No, no, no - pokiwał głową Jake, a potem spojrział na kościotrupa. - To, co pan robił,

panie Jamesie Robinie Butlerze, w tych górach i czemu musieli pana za to zabić?

Rozdział 22

Pokój motelowy budził w Pameli Warren obrzydzenie: mały, zapuszczony, ze zniszczonymi sprzętami i rysami na ścianach. Słysząc było, jak za ścianą prostytutka wrzeszczy na swego klienta, domagając się zapłaty. Przez chwilę obrzucali się wyzwiskami, potem trzasnęły drzwi.

Pamela zapaliła papierosa i wpatrzyła się w cieniutkie jak papier zasłony na oknie. Czując obrzydzenie do tego pokoju i do siebie za to, że tutaj jest. To już ostatni raz, przyrzekła sobie w duchu.

W łazience rozległ się dźwięk prysznica, a także głos Tony'ego Boyette'a, który podśpiewywał włoską frazę, jakiej musiał się nauczyć do reklamówki. Pamela poczuła dreszcz na skórze: nie znosiła jego głosu, manier i w ogóle wszystkiego. Musi się go pozbyć ze swego życia. Ale jak? Wczepi się w nią jak kleszcz, myśląc o tych milionach dolarów, które mu przyrzekła, a których przenigdy nie dostanie. Teraz był już tylko zawadą. Przez jakiś czas zastanawiała się nad tym, aby go spłacić, ale szybko uznała, że to żadne rozwiązanie. Niezależnie od tego, ile by mu dała, i tak się od niego nie uwolni. Ciągle nie miała żadnego dobrego planu. Prysznic ucichł i ustał śpiew.

- Bomba! - oznajmił Tony, który wszedł do pokoju, ociekając wodą. Wytarł się ręcznikiem, lekko rozstawiając nogi, kiedy doszedł do krocza. Za oknem słysząc było gwar Sunset Boulevard. Tony lekko podniósł głos.

- Już niedługo będziemy w znacznie lepszych miejscach, co? Na przykład Mirage w Las Vegas?

- Pewnie - powiedziała Pamela z udawanym entuzjazmem. Przyjrzała się Tony'emu krytycznie. Koło oczu pojawiały się już zmarszczki, na biodrach odkładały się wałeczki tłuszczu. Jedno jest pewne: nie będzie się ładnie starzał.

- Spójrz tylko na ten ręcznik! - powiedział Tony i uniósł rękę z flanelowym materiałem. - Pełno w nim piasku! I jak ja mam się tym wytrzeć?! - Cisnął ręcznik na podłogę koło łóżka.

- Ale nie mogę się uskarżać na kasę za tę reklamówkę. Patol za dwa dni, ho, ho. Całkiem nieźle, co?

- Nieźle?

- Ale i tak tysiąc to my będziemy dawać napiwku, co?

Pamela zdusiła papierosa w popielniczce.

- Jak obsługa będzie dobra...

- Ha, ha, ha - zaśmiał się Tony i rozmachem skoczył na łóżko. - Zaraz już ja cię dobrze obsłużę.

Pamela otworzyła ramiona i objęła Tony'ego, ale nie czuła zupełnie nic. Z wysiłkiem zaczęła sobie wyobrażać, iż jest w łóżku z Tomem Cruise'em. Tony poczuł, że Pamela zaczyna odrobinę reagować, gdy przesunął opuszkami palców wzdłuż kręgosłupa. Oddech lekko się przyspieszył i mocniej do niego przyłgnęła.

- Och, kochanie - stęknął cicho. - Tak nam będzie dobrze razem. A gliniarzami nie ma się co przejmować. Dam sobie z nimi radę.

Gwałtownie odepchnęła go od siebie.

- Z jakimi gliniarzami?

- Wypytywali o mnie, jak byłem na zdjęciach. Zostawili u gospodarza domu wiadomość, że zjawią się później.

- Coś się stało!

Pamela była wyraźnie zaalarmowana.

- O rany, postawią mi parę pytań i po krzyku.

- Widzieli nas razem w szpitalu, a teraz chcą wypytać ciebie, ale mnie nie. Musieli coś odkryć w związku z tobą. Co to może być takiego?

- Na mnie nic nie mogą znaleźć. Mowy nie ma - zapewnił Tony.

Pamela usilnie myślała, jaki błąd mogli popełnić. Może ktoś zobaczył Tony'ego, jak ten skradał się pod domem. Może Tony zostawił gdzieś jakiś odcisk palca. Spojrzała na niego zimno.

- Nie wydawałeś czasem tej forszy z sejfu? Nie popisywałeś się pieniędzmi przed kolegami?

- Nie, przysięgam.

- A co z portfelem i kartami kredytowymi?

- Na dnie oceanu.

- Cholera jasna - mruknęła pod nosem. Musieli popełnić jakiś błąd; tylko jaki?

- Daj spokój - rzekł lekceważąco Tony. - Z igły robisz widły. Gliniarze szukają po omacku, chwytają się byle czego, żeby pokazać się przed szefami, jacy są pilni. Nie mają na mnie żadnego haka.

Guzik prawda, myślała Pamela. Znaleźli coś, co łączy tego durnia z Williamem Arthurem.

Tony przytulił się do niej, szepcząc:

- Nie przejmuj się, dam sobie z nimi radę. Przecież nic nas nie łączy poza tym, że byliśmy na jednym kursie.

Pamela nagle się rozpogodziła. A niech się policjanci czepiają tego głupka, niech on sobie gada, co chce, ona będzie się przyznawać do powierzchownej z nim znajomości. Nie było żadnego śladu, że razem uknuli morderstwo jej męża. A nawet gdyby odkryli, że sypiała z Tonym, to co? Zdrada to jeszcze nie zbrodnia. Nawet jeśli udowodnią, że to on zabił, ona się wszystkiego wyprze, może nawet odegrać rozpacz niewiernej żony, której lekkomyślność została wykorzystana przez zabójcę. A w razie czego stać ją będzie na dobrego adwokata; nawet na tego, który bronił O.J. Simpsona. Także ją wybroni, a Tony pójdzie do więzienia, a może nawet do komory gazowej. Co może nawet byłoby najlepszym rozwiązaniem, gdyż miałyby z nim nareszcie spokój.

Tony wciskał się właśnie między jej nogi, znowu więc zaczęła sobie wyobrażać Toma Cruise'a.

Ktoś mocno zapukał do drzwi.

- Przepraszam, że państwu przeszkadzam, ale w łazience nad wami pękła rura i muszę tu sprawdzić - zawołał głos z korytarza.

- Jasna cholera! - warknął Tony, wyskoczył z łóżka i owinał ręcznik wokół bioder. Począł, aż Pamela przykryje się prześcieradłem i dopiero wtedy otworzył drzwi.

- N-nnie! - wyjąkał i potykając się, cofnął się w głąb pokoju z wybałuszonymi oczyma. Patrzył w otwór lufy. Broń trzymał mężczyzna od butów po kapelusz odziany na czarno. Ruchem rewolweru kazał się Tony'emu odwrócić, a gdy ten posłuchał, błyskawicznym ciosem karate uderzył w kark. Tony zobaczył raptowny błysk, a potem ciężko zwałił się na ziemię.

Pamela rzuciła się do telefonu umieszczonego na stoliku koło łóżka, ale napastnik był szybszy. Wyrwał jej słuchawkę z ręki i przystawił lufę do ust.

- Piśnij choćby słówko, a już nie żyjesz! - warknął.

- Nie, proszę mi nie robić krzywdy! - zakwiliła błagalnie Pamela.

- Rób, co ci każe - syknął mężczyzna, cofnął się i zamknął za sobą drzwi. Aby się upewnić, że Tony jest nieprzytomny, kopnął go w zębra, ale nie było żadnej reakcji. Spojrzał na Pamelę.

- Połóż się na brzuchu!

- Błagam...

- Tylko już!

Bandyta boleśnie dźgnął ją lufą rewolweru.

Porażona strachem Pamela wykonała polecenie. Rozpaczliwie myślała, co robić. Mogłaby próbować uciec do łazienki, ale to nic nie da. Było tam tylko niewielkie okienko, a i to wysoko pod sufitem. Nie wydostanie się tamtędy. Obok siebie widziała telefon. Może gdyby...

- Ręce na plecy! - rozległo się następne polecenie.

Zrobiła, jak jej kazano. Nie próbowała się opierać, kiedy napastnik krępował jej przeguby i kostki. Potem odchylił jej głowę i wpakował do ust zwiniętą w kłębek chusteczkę.

- W porządku - mruknął sam do siebie.

Kątem oka widziała, jak mężczyzna otwiera małą walizeczkę i wyjmuje z niej długi sznur i parę strzykawek. Potem uniósł bezwładne ciało Tony'ego z podłogi i usadził na krześle koło łazienki. Teraz wrócił do Pameli.

Odwrócił ją na plecy, nachylił się i ugryzł w brzuch, zostawiając ślad, ale nie powodując krwawienia. Powtórzył to kilkakrotnie.

- Przyjemnie, co? - mruknął, patrząc jej w oczy. - Chcesz jeszcze?

Kiwnęła głową, w nadziei, że to tylko jakiś seksualny maniak i że uda się jakoś ująć z tego z życiem, ale tej nadziei przeczyły jego oczy: zimne i bezwzględne. Rozpaczliwie zaczęła się rzucać i wić, aby uwolnić się z więzów.

Napastnik uśmiechnął się krzywo i sięgnął po strzykawkę.

*

Lori czekała, aż David Dellacorte zrobi następny ruch. Całowali się i przytulali, ale ubrania ciągle mieli na sobie. Może to ona robiła coś nie tak...

- Co się dzieje, Davidzie? - szepnęła.

Westchnął głęboko i powoli wypuścił powietrze.

- Nie wiem, czy powinienem się poważniej angażować w tej chwili.

- Jest ktoś inny?

- Był.

- I ciągle o niej myślisz?

- Niekiedy.

Siedzieli na sofie w jej mieszkanku w Santa Monica. Za nimi ogień trzaskał na wielkim kominku, który sięgał od sufitu do podłogi. Tuliła głowę Davida do piersi.

- Byliście małżeństwem?

- Myśleliśmy o tym.

- No i co?
- Nie układało się.
- Dlaczego?
- Po prostu się nie układało - mruknął niechętnie David.

Ach, ci mężczyźni! Dlaczego tak bardzo boją się opowiadać o swoich uczuciach, myślała Lori. To taki idiotyzm, kisić w sobie emocje, które cię tylko zżerają od środka. Wydobyć wyznania od mężczyzny podobne było do ekstrakcji zęba.

- Dalej nie jesteś pewien?
 - Nie wiem.
 - A jak zamierzasz się przekonać?
 - Hm, a gdybym tak zaczął od zdjęcia tej jedwabnej bluzeczki, którą masz na sobie?
- Z uśmiechem ułożyła go na plecach, usiadła na brzuchu i nachyliła się nad jego twarzą.
- Dasz sobie radę z guzikami?
 - Nie wiem, nie mam w tym żadnego doświadczenia - mruknął, muskając wargami jej

usta i brodę.

- No to ci trochę pomogę - powiedziała i rozpięła kilka górnych guzików, a David pocałunkiem witał kolejną odsłaniającą się część dekoltu.

Bluzka była do połowy rozpięta, kiedy zadzwonił telefon.

- Nie! - jęknęła. - Tylko nie teraz!

Oderwała się od Davida i sięgnęła po słuchawkę. Chwilę słuchała i odłożyła telefon.

- Muszę jechać - oznajmiła i zaczęła zapinać guziki. - Pamelę Warren znaleziono nieżywą w motelu.

- Chryste Panie! - wykrzyknął David. - Samobójstwo?
- Nie powiedzieli.

Rozdział 23

Policja zostawiła ciała tak, jak je znaleziono. Pamela Warren leżała na wznak, zwieszając się z łóżka; w rękę miała wbitą igłę ze strzykawką. Tony Boyette z twarzą purpurową i obrzmiałą siedział na krześle koło drzwi łazienkowych. Szyję oplatał mu gruby sznur, którego drugi koniec przerzucony nad drzwiami przytwierdzony był do klamki po drugiej stronie. Najwyraźniej się powiesił.

- Jakby się jakoś dziwnie bawili - zauważyła chłodno Lori.

- Można to tak ująć.

Jake Sinclair wpatrywał się w leżącą na podłodze łyżeczkę, do której przywarła jakaś ciemna substancja. Tajaska heroina pomyślał, przykucnął i dotknął narkotyk końcem ołówka. Tajaska heroina była dziesięć razy mocniejsza od tej, którą można było kupić na ulicy. Ludzie uzależnieni trzymali się od niej z daleka, bardzo łatwo było bowiem przedawkować.

Jake wyprostował się i strzepnął z nogawki jakąś nitkę.

- Myśli pani, że pani Warren dała zastrzyk im obydwójgu?

- Raczej tak - powiedziała Lori. - Była pielęgniarką, wiedziała, jak to robić.

Jake potarł czoło i usiłował wszystko poskładać w jedną całość.

- Powiem pani, panno McKay, co mnie w tym niepokoi. Dwoje ludzi wstrzykuje sobie tę samą truciznę, ale jedno umiera od zastrzyku, a drugie się wiesza.

- Nie wiem, czy za panem nadążam.

- Czarna heroina to bardzo mocny środek - wyjaśnił Jake.

- Zabija zaraz po wprowadzeniu jej do żyły, delikwent najczęściej nie zdąży nawet usunąć igły. Jak Pamela Warren. Tymczasem Tony Boyette dostał ten sam zastrzyk, a jednak znalazł jeszcze czas, żeby się powiesić.

- Mogę znaleźć kilka wyjaśnień - oznajmiła beztrąsko Lori McKay i zaczęła wyliczać, zginając kolejne palce dłoni. - Po pierwsze, mogli mieć różną tolerancję na narkotyk. Niektórzy mogą przyjąć bardzo dużą dawkę, inni mniejszą. Po drugie, może jemu dała mniejszą porcję. Po trzecie, może zrobiła mu zastrzyk, kiedy już zaczynał się dusić, a drgawki usztywniły sznur. Mówiąc inaczej, powiesił się, kiedy i tak już umierał. A mogę wynaleźć jeszcze wiele innych wytłumaczeń, wszystkie równie prawdopodobne.

- Może.

Jake wzruszył ramionami, ale ciągle był nieprzekonany. Wpatrywał się w ciało Boyette'a i zastanawiał się, co może się dzieć w głowach ludzi, którzy odcinają sobie dopływ powietrza, aby wzmocnić seksualne doświadczenia. Orgazm miał być silniejszy z powodu chwilowego niedotlenienia mózgu. Ale niektórzy robią o krok za daleko i kończą tak jak Tony. Pokręcił z niedowierzaniem głową. Co też ludzie potrafią wymyślić, żeby tylko wzmocnić przyjemność. Spojrzał w kierunku łóżka. Lori właśnie odczytywała temperaturę na termometrze wyjętym z odbytnicy Pameli Warren.

- Od jak dawna nie żyje?

- Od kilku godzin. Dziewięćdziesiąt osiem stopni.

Jake ostrożnie obszedł telefon ze słuchawką leżącą na dywanie. Usiłował sobie wyobrazić, jak Pamela Warren zaczyna rozumieć, że przedawkowała, i rozpaczliwie sięga po telefon, gdyż wie, że umiera. Niebezpiecznie jest igrać z ogniem.

Zajrzał do łazienki, zlew brudny, kran ciekący, deska na toalecie pęknięta i przekrzywiona. Co Pamela Warren robiła w takim zakazanym miejscu? Może łatwo tu było o narkotyki, a może takie nędzne otoczenie dawało jej jakiegoś kopa?

Otworzył drzwi i wyjrzał na werandę. Ciekawscy goście skupili się przy balustradzie na drugim końcu i wyciągając szyje, patrzyli w jego kierunku. Popijali drinki, żartowali, atmosfera jak na imprezie.

Lou Farelli wbiegł po schodach i szybko podszedł do Jake'a.

- Kierownik nic nie wie. Tony zarezerwował pokój i zapłacił z góry. W przelocie zobaczył panią Warren. Mówi, że była tu już kilka razy.

- Co z narkotykami?

- Mówi, że nie interesuje go, co goście robią w opłaconych pokojach.

- Może jak go w to umoczymy, zacznie się interesować.

- Facet nie wygląda mi na dealera, jeśli o to ci chodzi.

- Jak znalazł ciała?

- Słuchawka była zdjęta, światelko pulsowało, więc poszedł zobaczyć, czy coś się nie stało.

Po drugiej stronie komuś wypadła z ręki butelka piwa i z trzaskiem rozbiła się o asfalt parkingu. Goście zachichotali.

- Zapędź ich z powrotem do pokoi - polecił Jake - a potem kolejno przepytaj. Może ktoś coś zauważył.

- A ty coś tu znalazłeś? - spytał Farelli.

- Parę rzeczy, które jakby do siebie nie pasowały.

Farelli chciał już odejść, ale zawrócił.

- No to dorzuć jeszcze jedno do tego, co nie pasuje.

- Co takiego?

- Przepytalem paru okolicznych dealerów. Przysięgają, że od miesiący nie było na ulicy tego czarnego gówna z Tajlandii. Ludzie się go boją.

Znowu się odwrócił i omal nie wpadł na Joannę Blalock w dzinsach i skórzanej kurtce lotniczej. Dla mnie bomba, pomyślał Farelli, który uważał, że Jake Sinclair był największym na świecie szczęściarzem, że związał się z taką kobietą, a największym na świecie głupcem, że ją utracił.

- Witam panią doktor.

- Witam, sierzancie - odpowiedziała z sympatią. Jake'owi tylko kiwnęła głową i weszła do pokoju.

Lori nie mogła uwierzyć własnym oczom. Nie, tylko nie to! Znowu? Wściekła spojrzała na Sinclaira, oburzona, że znowu ściągnął tę cholerną Blalock, jej nie pytając o zdanie.

Jake zauważył wyraz twarzy Lori i nachylił się ku niej.

- Myślała pani, że sprawa Williama Arthura Warrena to naprawdę sensacja? Powiem pani: to nic w porównaniu z tym przypadkiem. Wdowa po multimilionerze umiera w podręcznym motelu od przedawkowania narkotyku, którym szprycuje się z podręcznym aktorem, który, żeby zrobić sobie lepiej, zakłada pętlę na szyję! Wielka forsa, zwyrodniały seks i najprawdopodobniej niewierność. Tą historią będą się nieustannie zajmowały wszystkie najważniejsze gazety i stacje telewizyjne w Ameryce. Dlatego musimy za wszelką cenę wystrzegać się jakichkolwiek pomyłek.

- Ja nigdy nie robię pomyłek - hardo stwierdziła Lori.

- Doprawdy? - niewinnym głosem spytał Jake i spojrzał na dziewczynę przeciągle.

Lori spłoszyła i bąknęła:

- Mógł mnie pan przynajmniej uprzedzić.

- Powinienem był tak zrobić. Przepraszam - powiedział Jake.

Joanna, która nakładała rękawiczki, słyszała tę wymianę zdań. Było jej szkoda Lori; dobrze wiedziała, jak to jest, kiedy odsuwają cię na bok, bo uważają, że sobie nie dasz rady. Ale Jake miał rację. Dwie śmierci w majątnej rodzinie: jedna to morderstwo, druga - przypuszczalnie samobójstwo. Już samo to zasługiwało na wielkie nagłówki, a gdy dołączyć do tego seksualny podtekst... Dwa zgony w tak krótkim czasie, raczej bez związku - ale kto wie? Tyle było możliwych powiązań, tyle szczegółów banalnych na pozór, a mimo to potencjalnie ważnych; rozsądniej było nie zostawiać młodej lekarki samej sobie, nawet jeśli

czuła się z tego powodu pokrzywdzona. A Jake, jak to Jake: słusznie, że wezwał kogoś z większą praktyką, ale o niczych uczuciach nawet nie pomyślał.

Obejrzała ciało Tony'ego, sznur i wyciśniętą w szyi głęboką bruzdę. Twarz była purpurowa od niemającej odpływu krwi. Odgięła dolne powieki i zobaczyła krwiste wybroczyny, które zawsze towarzyszyły uduszeniu przez powieszenie. Na przedramieniu dwa świeże nakłucia po zastrzykach dożylnych.

Zbadała genitalia. Nie było nasienia, najpewniej więc nie doszło też do orgazmu. Żadnych śladów długiego czy energicznego współżycia. Na plecach nie znalazła żadnych śladów po uderzeniu ani zadrapań. Na koniec uniosła długie czarne włosy i odsłoniła kark. Zbadała wgłębienie w skórze, a nad nim wyraźną wybroczynę na wysokości drugiego kręgu szyjnego. Zmierzyła wielkość wylewu.

- Kto to jest? - spytała wreszcie.

Jake zrobił ceremonialny gest.

- Doktor Joanno Blalock, zechce pani poznać Tony'ego Boyette'a.

Patrzyła na niego w osłupieniu, aż wreszcie wykrztusiła:

- Człowiek, który zastawił zegarek Williama Arthura Warrena?

- Właśnie on.

- A więc ten sukinsyn... - zaczęła Lori, na chwilę urwała i dokończyła: - Czyżby zatem Warrena zabił kochanek jego żony?

- Na to wygląda - odparł Jake, a po jego wargach błąkał się lekki uśmiech.

Lori zerknęła na niego podejrzliwie, a potem spytała:

- A pan sądzi, że ona też była w to wplątana?

- A jak się pani wydaje?

Lori wolno kiwnęła głową.

- Tak, musiała być.

- Wyrzwał ją w głowę, żeby nas zmylić - odezwała się Joanna.

- No i w pierwszej chwili mu się udało - zauważył cierpko Jake.

- Co więcej, teraz staje się jasne, dlaczego tak łatwo się dostał do środka - kontynuowała Joanna. - Na pewno wyłączyła alarm i zostawiła drzwi otwarte.

- A naszyjnika nie zabrał - dodał Jake - bo tak naprawdę wcale nie był to napad rabunkowy. Portfel i forszę wziął ze schowka dla zmyłki. Chodziło przede wszystkim o morderstwo.

Teraz Joanna przeszła do Pameli. Przyjrzała się strzykawce i igle.

- Wiadomo, co było w środku? - spytała.

Jake zrobił gest w kierunku łyżeczki na podłodze.

- Podejrzewamy czarną heroinę.

- Bardzo mocna substancja - mruknęła Joanna i obejrzała dywan. Ukłękła i zajrzała pod łóżko. Jake nie mógł oderwać oczu od jej kształtnych pośladków opiętych przez dzinsy.

- Czego szukasz? - spytał.

Nie odpowiedziała, natomiast zajrzała dalej pod prześcieradło i poduszkę, a nawet pod poszewkę. Nic. Ostrożnie przekręciła ciało Pameli na bok i sprawdziła pod spodem. Także nic.

- Miała wszystko - powiedziała w zamyśleniu Lori - i w takiej ruderze wszystko sama sobie odebrała.

- Wcale nie jestem pewna, że sama się zabiła. Ktoś mógł jej pomóc.

Jake zmrużył oczy.

- Dlaczego tak przypuszczasz?

- Gdyż czegoś brakuje.

- Czego.

- Opaski. Nigdzie nie widzę opaski.

Jake zmarszczył brwi, gdyż nic nie rozumiał.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- O opasce uciskowej, najczęściej gumowej, którą nakłada się przed zastrzykiem dożylnym, żeby nabrzmiały żyły. Bez tego trudno jest trafić.

- Niekoniecznie. - Lori chciała podkreślić swą obecność.

- Niektórzy mężczyźni mają bardzo widoczne żyły, zresztą mogła do ucisku użyć własnej dłoni. Wie pani, po prostu mocno ucisnęła ramię.

- To możliwe - przyznała Joanna - ale tylko przy zastrzyku dla niego. A co z samą Pamelą? Przyjeliśmy, że zrobiła sobie zastrzyk, ale nie mogła tego zrobić bez opaski. A skoro umarła zaraz po zastrzyku, to opaska powinna być gdzieś na łóżku lub w jego pobliżu. Jeśli jej nie ma, to Pamela Warren nie mogła sama sobie wstrzyknąć narkotyku.

Jake potarł kark.

- Myślisz, że ktoś jej to zrobił?

- Tak - powiedziała z przekonaniem. - A na dodatek, ten ktoś popełnił błąd, zabierając ze sobą opaskę.

Jake nadal miał wątpliwości.

- Musimy mieć jakieś solidniejsze dowody, żeby uznać, że zostali zamordowani.

- Znajdą się. - Joanna podeszła do ciała Tony'ego i znowu uniosła włosy, odsłaniając

kark. - Ma dużą wybroczynę na wysokości karku szyjnego, tuż poniżej czaszki. Moim zdaniem to od ciosu karate.

- A nie od szarpnięcia pętli? - spytał Jake.

- Przy powieszeniu wszystkie wylewy i uszkodzenia miękkich tkanek są z przodu szyi. Zresztą sam zobacz. - Poluzowała pętlę, a Jake dokładnie obejrzał przód szyi Boyette'a.

- Sugerujesz więc, że morderca wszedł, uderzył Tony'ego w kark, a potem wstrzyknął obydwojemu czarną heroinę?

- Wszystko na to wskazuje.

- To dlaczego bawił się w inscenizowanie erotycznego podduszania się? Sama tajska heroina wystarczyła do zabicia obydwojga, a i tak wyglądałoby to na nieszczęśliwy wypadek - spytała Lori.

- Taka dekoracja dla zmylenia nas - mruknął Jake. - I prawie się udała.

Lori nachyliła się nad ciałem Pameli i obejrzała jej ręce.

- Nie ma siniaków, żadnych złamanych paznokci, więc chyba się nie bronila.

Wypuściła przegub zabitej, ale lateksowa rękawiczka na chwilę jakby przywarła do skóry. Lori szybko zdjęła rękawiczkę i obmacała nadgarstek.

- Na skórze jest jakaś lepka substancja.

Joanna szybko zbadała skórę od ramion po palce. Tylko okolice przegubów były lepkie. Przyjrzała się im przez powiększające szkło; do skóry przywarły mikroskopijne włókna. Teraz zajęła się nogami; lepkość i włókna wykryła tylko w okolicach kostek.

- Ręce i nogi skrepowano jej taśmą klejącą. To całkowicie pewne. - Odwróciła się do Lori i powiedziała z uznaniem: - Świetnie. Sama bym na to nie wpadła.

Uszczęśliwiona Lori poczuła, że się czerwieni, zakryła więc twarz dłonią, symulując kaszel.

Wszyscy starannie raz jeszcze zbadali dywan, potem Joanna zajrzała do koszy w rogu pokoju i łazienki.

- Nie ma taśmy, więc morderca musiał ją wziąć ze sobą.

Lori sprawdziła nadgarstki i kostki Tony'ego.

- On nie był skrepowany.

- Najwidoczniej nie było potrzeby. Cios karate go obezwładnił.

Jake spróbował odtworzyć przebieg zdarzeń.

- Facet wchodzi, uderza Tony'ego, taśmą unieruchamia ręce i nogi Pameli, wstrzykuje im heroinę, wiesza Tony'ego, potem rozwiązuje Pamelę, zabiera taśmę i znika. - Popatrzył na sznur na szyi Tony'ego i strzykawkę w ręce Pameli. Ten ktoś zadał sobie bardzo wiele trudu.

- To musiał być prawdziwy zawodowiec, żaden amator.

- Kto wynajął profesjonalnego mordercę, aby uśmiercić Tony'ego Boyette'a i Pamelę Warren?

Jake uśmiechnął się krzywo.

- A kto na tym skorzysta?

Joanna myślała chwilę.

- Na śmierci Tony'ego chyba nikt.

- A na śmierci pani Warren?

Joanna pokiwała wolno głową.

- Trzeba obejrzeć jej testament.

- A także testament Williama Arthura Warrena.

Lori obdarzyła Jake'a zdziwionym spojrzeniem.

- A co on może mieć z tym wspólnego?

- Pamela powinna była odziedziczyć kupę forsy po zmarłym mężu, zgoda?

- Tak - przytaknęła Lori.

- Teraz już nie odziedziczy i niewykluczone, że tę forszę dostanie ktoś, kto już miał jej nie otrzymać.

Teraz i Lori z chęcią poznałaby testament zabitego milionera.

Rozdział 24

- Proszę otworzyć sejf - Jake polecił Richardowi Warrenowi.

- Należał do mojego ojca, a nie do Pameli - zaproponował tamten.

- Mało mnie obchodzi, do kogo kiedyś należał - powiedział ostro Jake. - Mam nakaz przeszukania całego domu, a sejf stanowi jego część. Proszę otworzyć.

- Powinno to chyba pana zainteresować, że nasz prawnik złożył właśnie w sądzie...

- Tak, to bez wątpienia pasjonujące, ale niechże pan zechce otworzyć sejf.

Warren podszedł do ściany i zaczął kręcić tarczą, kilka razy nieufnie spojrzawszy przez ramię, jak gdyby się spodziewał, że detektyw podgląda go, aby odczytać szyfr. Pierwsze podejście się nie udało. Zaklął pod nosem i spróbował jeszcze raz.

Jake obrzucił wzrokiem bibliotekę Warrenów. Nic się tutaj nie zmieniło od jego ostatniej wizyty, z wyjątkiem tego, że znikły ślady krwi ze ściany i podłogi. Spojrzał na fotel, na którym miała siedzieć Pamela, w chwili gdy wszedł włamywacz, potem na miejsce, gdzie poleciał jej kieliszek z brandy, gdy skoczyła na pomoc rannemu mężowi. Jedno wielkie kłamstwo. Z zimną krwią zamordowali podstarzałego mężczyznę dla jego pieniędzy. Spust pewnie nacisnął ten dureń Tony, któremu marzyły się te wszystkie miliony. Tak czy owak, dla niego skończyły się już wszystkie marzenia.

Richard, najstarszy obecnie z Warrenów, otworzył drzwiczki i cofnął się.

- Ma pan.

- Nie, proszę wyjąć zawartość i wyłożyć na stół - rozkazał Jake i jednocześnie skinął na umundurowanego policjanta, żeby był świadkiem. Z takimi sukinsynami lepiej mieć się na baczności bo jeszcze potem cię oskarżą, że coś zniknęło. W szafie panczernej była tylko polisa ubezpieczeniowa na dom i jego sprzęty. Nic więcej. Żadnych pieniędzy ani biżuterii.

- Chciałbym zapoznać się z tekstem testamentu pana ojca.

- Po co?

- Chcę się dowiedzieć, ile odziedziczyła pańska macocha.

- Nic nie dostała - z radością oświadczył Warren. - Została wykluczona z grona spadkobierców.

Jake przyglądał mu się z niedowierzaniem.

- Jest pan pewien?

- Całkowicie. Ja i brat jesteśmy jedynymi dziedzicami majątku. Sumę jej należną określała umowa przedślubna.

- Jaka to suma?

Richard poruszył się niespokojnie. Gdzież się podziewał ten Cox? Bez niego czuł się niezręcznie.

- Niezbyt wielka.

- Jaka?

- Dwa miliony dolarów.

Dla niej wystarczająco dużo, żeby zabić, pomyślał Jake, wielkie bogactwo dla większości ludzi. Ale nie dla braci Richarda i T.J. Dwa miliony nie popchnęłyby ich do morderstwa. Dla nich to istotnie kieszonkowe.

- Ma pan jakieś podejrzenia, kto mógł chcieć śmierci Pameli?

- Żadnych.

- A komu mogła przynieść korzyść?

Richard wzruszył ramieniem.

- Może ta klinika rozplodowa, którą chciała skarżyć.

- Jaka znowu klinika?

- Nie znam jej dokładnej nazwy, ale jest związana z Donors International.

Jake wyciągnął notatnik.

- O co chciała ich skarżyć?

Warren był wściekły, że znowu musi się zanurzać w tę koszmarną historię! Jak tylko dowiedzą się o tym media, znowu nastaną sądne dni, z nazwiskiem Warrenów na pierwszych stronach. Wiedział jednak dobrze, że w żaden sposób nie uda się temu zapobiec. I tak musiał podać temu detektywowi nazwisko prawnika Pameli, a ten, skoro nie mógł już liczyć na żadne honorarium od niej, przynajmniej rozdmucha całą sprawę.

- Po ślubie ojciec i macocha chcieli mieć dziecko. Nic im nie wychodziło, zgłosili się więc do tej kliniki, żeby spróbować zapłodnienia in vitro. Ale i to nie poskutkowało. Zamrozili jej komórki jajowe i nasienie mojego ojca do przyszłego wykorzystania. - Twarz Warrena stwardniała. - Kiedy ojciec zginął, ta suka uznała, że nie wystarczy jej to, co przewidywała umowa, udała się więc do kliniki, aby ją teraz zapłodnili. Jej potomek stałby się w ten sposób legalnym współdziedzicem całego majątku. Tymczasem oni nie mogli odszukać tych jajek, więc chciała ich pozwać do sądu.

- O cholera! - wykrztusił Jake, a w duchu pomyślał: „Co też ci ludzie gotowi są zrobić dla pieniędzy!”

- Sam więc pan rozumie - ciągnął Richard - że informacją o śmierci Pameli specjalnie się nie przejąłem.

„Jasne, myślał Jake, znacznie mniej uprawnionych do podziału”. Wpatrzył się badawczo w Richarda, a potem spytał:

- A kiedy się pan dowiedział, że chciała skarżyć klinikę?

- Wczoraj. To ja jestem opiekunem majątku. Kiedy tamci znaleźli w końcu jajka i spermę, ich prawnik skontaktował się z moim, a ten poinformował mnie. Rozumie pan, problem polegał na tym, czy te komórki zarodkowe należą do Pameli czy stanowią część dobytku ojca.

- Czy Pamela wiedziała, że je odnaleziono?

- Trudno mi powiedzieć.

Jake przypalił papierosa, ale ani na chwilę nie spuszczał oczu z Warrena. Gdyby zatem Pamela zaszła w ciążę, mogłaby liczyć na znacznie więcej niż tylko dwa miliony, a tę nadwyżkę najpewniej wyjęłaby z kieszeni braci Warrenów. To już były pieniądze, za które można zabić. Albo zlecić morderstwo.

- Ej, Jake! - usłyszał głos Lou z kąta biblioteki. - Rzuć no na to okiem.

Zgasił papierosa i podszedł do Farellego, który nachylał się nad otwartą szufladą biurka.

- Co tu znalazłeś?

- Sam zobacz.

Na wierzchu szuflady leżała dyskietka komputerowa z naklejką: „Potencjalne żony - historia kliniczna (1985)”.

Jake przyjrzał się dyskietce, a potem zwrócił się do Warrena:

- Ile razy był żonaty pański ojciec?

- Dwa. Z moją matką i Pamelą.

- Czy pańska matka jeszcze żyje?

Richard pokręcił głową.

- Umarła w 1976.

Jake podał dyskietkę Lou i spytał, wskazując komputer na biurku:

- Umiesz to obsługiwać?

- Jasne.

Farelli włączył komputer, wyjął dyskietkę z pudełka, włożył do stacji i wystukał na klawiaturze ciąg poleceń. Na ekranie pojawiły się dane:

POTENCJALNA ŻONA NR I

NAZWISKO: PAMELA JORDAN

PŁEĆ: KOBIETA WIEK: 32

NARODOWOŚĆ: USA

RASA: KAUKASKA

HISTORIA MEDYCZNA: ZNAKOMITE ZDROWIE, TYPOWE CHOROBY WIEKU DZIECIĘCEGO, W WIEKU 10 LAT USUNIĘCIE MIGDAŁKÓW

LEKI: PIGUŁKI ANTYKONCEPCYJNE

ALERGIE: ŻADNYCH

HISTORIA RODZINNA: DZIADEK ZE STRONY OJCA - ZGINĄŁ W WYPADKU SAMOCHODOWYM, 80 LAT; BABKA ZE STRONY OJCA - ZGINEŁA W WYPADKU SAMOCHODOWYM, 78 LAT; DZIADEK ZE STRONY MATKI - ATAK SERCA, 76 LAT; BABKA ZE STRONY MATKI - ŻYJE, W DOBRYM STANIE, 72 LATA

DANE LABORATORYJNE: GRUPA KRWI: B+; TYP TKANKI A1, A2, A9, A11, A28, B5, B7, B8, B12, B16, DR2, DR4, DRS, DR7

CA: 12-58-47

DOA: 1996

Farelli nacisnął klawisz i ukazały się dane kolejnej „potencjalnej żony”. W sumie było ich cztery.

- Ten to ci dopiero przebierał - gwizdnął sierżant.

- Może był perfekcjonistą? - mruknął Jake.

Zza jego pleców odezwał się Richard Warren.

- Nie, poruczniku, nie chodziło o perfekcjonizm. Moja matka zmarła na raka okrężnicy, co było dziedziczne w jej rodzinie. Myślę, że ojciec nie chciał przeżywać czegoś takiego po raz drugi.

- Rozumiem - powiedział Jake, wcale jednak nie rozumiał, po co stary Warren trzymał te informacje w swojej bibliotece jeszcze dziesięć lat po ślubie z Pamelą. I dlaczego utrwalił informacje o czterech zdrowych kobietach?

Farelli wskazał na dwie ostatnie linijki:

- CA: 12-58-47 i DOA: 1996? Co to znaczy?

Jake także już się nad tym zastanawiał.

- Nie wiem, co może znaczyć CA, ale DOA zwykle znaczy: *dead on arrival*: „nieżywy w chwili przybycia”.

- A skąd Warren w roku 1985 wiedział, że jego żona umrze jedenaście lat później?

„Może tak to zaplanował”, pomyślał, a głośno powiedział:

- Daj mi tę dyskietkę.

- Masz jakiś pomysł?
- Mam nawet kilka, ale wszystkie bez sensu.

*

Joanna powoli odłożyła słuchawkę. Dobra wiadomość i zła wiadomość. Dobra brzmiała, że Kate powoli wychodziła ze śpiączki, chociaż kontakt z nią był ciągle utrudniony. Zła brzmiała, że funkcje wątroby się nie poprawiły, pomimo kolejnej dawki gwatemalskiej plazmy. Jeden z parametrów nawet się pogorszył. Przeszczep był w tej sytuacji nieodzowny, ale najpierw trzeba było znaleźć dawcę, czy to w sieci narodowej czy za pośrednictwem Donors International.

Ona zaś nie wiedziała, skąd miałyby wytrzasnąć pieniądze, gdyby trzeba było się zwrócić do Donors. Brakowało jej w tej chwili stu tysięcy, a nic już więcej nie miała do zastawienia. Zastanawiała się, czy w Donors istniał jakiś system kredytowy. Najpewniej nie, ale musi spytać, chociażby nawet miało to być upokarzające.

Od drzwi doleciał głos Jake'a.

- Masz chwilę czasu?
- Tak. O co chodzi?

- Niewiarygodna historia. - Od tych słów Jake rozpoczął opowieść o zamrożonych jajkach, plemnikach i Pameli Warren zaciekle usiłującej zająć w ciążę z mężczyzną, który już nie żył. - No a dziecko byłoby, rzecz jasna, współspadkobiercą Williama Arthura - zakończył.

- Pamela zaś miałyby tę fortunę pod kontrolą.
- Otóż to.

Joanna także pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Tyle razy mi się wydawało, że już nic więcej nie zdziwi mnie na świecie, a tymczasem nieustannie pojawiają się jakieś niespodzianki.

- Trzeba powiedzieć, że Richarda Warrena nie mogło spotkać bardziej fortunne zdarzenie niż śmierć Pameli.

- Oczywiście. Ta śmierć oznaczała dla niego wiele milionów dolarów.
- Mhm.

Na ustach Jake'a pojawił się dziwny grymas. Joanna przypuszczała, że wie, co może on znaczyć.

- Podejrzewasz, że Richard jest zamieszany w to podwójne morderstwo?
- Może tylko pośrednio. Na przykład najął kogoś.
- Całkiem prawdopodobne.

- Dla pieniędzy ludzie są gotowi na niezwykle rzeczy.

- To prawda - przytaknęła Joanna z roztargnieniem, gdyż w żaden sposób nie mogła się uwolnić od myśli o potrzebnych - jej stu tysiącach. Do czego ona sama mogłaby się posunąć, aby zdobyć taką sumę? Była pewna, że prawie do wszystkiego. W myśli raz jeszcze przebiegła wszystko, co było w jej dyspozycji. Nie, nic już więcej do zastawienia.

Jake wpatrywał się w nią uważnie.

- Już od jakiegoś czasu mam wrażenie, że trapi cię coś poważnego.

Joanna machnęła ręką i mruknęła:

- To nic.

- Nie, wiem, że coś. Jeśli jakoś jestem za to odpowiedzialny, to tylko powiedz, żebym wiedział, co znowu zrobiłem nie tak.

Joanna westchnęła ze znużeniem.

- Kate jest bardzo poważnie chora i potrzebny jest przeszczep wątroby. To bardzo droga operacja; brakuje mi stu tysięcy dolarów.

- Nie ma sprawy - bez chwili namysłu powiedział Jake.

- Ja to załatwię.

- Przecież nie masz tylu pieniędzy.

- Mam dom, który mogę zastawić.

- Na to nie mogę się zgodzić.

- W ogóle nie ma o czym dyskutować. Na kiedy potrzebne ci są pieniądze? - Wpatrywała się w niego, zagryzając wargi. - Na kiedy? - nastawał.

- Wkrótce.

- Jutro rano załatwię wszystkie formalności.

- Zwrócę ci wszystko z procentami.

- Rachunki bankowe będę przedadresowywał na ciebie. Zgoda?

- Świetnie!

- To załatwione. - Jake sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej dyskietkę. - A teraz...

Joanna zerwała się, podbiegła i mocno ucałowała Jake'a w usta.

- Fajne - powiedział - ale za sto tysięcy mogłoby chyba trwać odrobinę dłużej.

- Ach, gdybyś nie był tak strasznie gruboskórny...

- Dobrze, już dobrze, wiem. - Położył jej palce na ustach.

- Potrzebna mi twoja pomoc.

- Coś równie niezwykłego jak Pamela Warren i jej ciąża z nieżyjącym małżonkiem?

- Ciepło, ciepło - powiedział, podając jej dyskietkę. - Znaleźliśmy to w biurku Williama

Arthura Warrena.

Joanna przeczytała naklejkę.

- „Potencjalne żony - historia kliniczna (1985)”. Co to znaczy?
- Dane o zdrowiu czterech kobiet, z których jedną była Pamela.

Joanna włożyła dyskietkę do komputera i wyświetliła zawartość pliku na ekranie. Przejrzała wszystkie cztery komplety, potem wróciła do Pameli.

- Masz jakiś pomysł, do czego mu to było? - spytała.
- Jego syn twierdzi, że ponieważ pierwsza żona zmarła na dziedzicznego raka okrężnicy, wolał się zabezpieczyć przed czymś takim.
- Niewykluczone. Pewne formy raka okrężnicy istotnie bywają dziedziczne.
- Ale czy nie dziwi cię przechowywanie tych wszystkich danych? Czy one raczej nie powinny się znajdować w gabinecie lekarskim?

Joanna wzruszyła ramieniem.

- Z pewnością stamtąd pochodzą. Może po prostu chciał mieć kopię.
- Powiększyła na ekranie dane odnoszące się do typu tkanki.
- Czemu chciał mieć takie informacje o przyszłej żonie?
 - Pewne typy tkanek łączą się z pewnymi chorobami. Na przykład z B27 bardzo często wiąże się zeszywniające zapalenie stawów kręgosłupa. Ludzie z B27 plus pięćdziesiąt razy częściej zapadają na tę chorobę niż ci z B27 minus.

Jake wskazał dwie ostatnie linijki.

- A to?

Chwilę się namyślała, a potem powiedziała:

- Nie jestem pewna. CA to najczęściej skrót od *cancer* albo *carcinoma*, zatem rak, ale przychodzące dalej cyfry są bez sensu. IDOA to skrót od *dead on arrival*, ale tutaj to nie pasuje.

- Dlaczego?
- Bo jest umieszczone pod danymi o krwi i tkankach.
- Czy może chodzić o jakieś specjalne testy laboratoryjne?
- Niewykluczone. Tyle jest teraz nowych, że niepodobna...
- Urwała i tak ustawiła powiększenie, żeby na ekranie pojawiły się wszystkie dane Pameli. - Ja już widziałam taki układ danych medycznych.

- Gdzie?
- W Donors International.
- Przeprowadzają na miejscu badania?

- Och, tak.

Jake potarł w zamyśleniu policzek.

- Gdziekolwiek się obrócić, wszędzie się pojawia ta firma. Dziwne, prawda?

Rozdział 25

Rudolph Ettinger drgnął gwałtownie. Przez chwilę dręczyła go mara, teraz się od niej wyzwolił, ale nie przebudził się jeszcze do reszty. W ciemności żarzyły się świetliste plamki. Oczy bestii! Bestii czających się w mroku, żeby się na niego rzucić. W panice podciągnął prześcieradło pod brodę i usiłował wołać o pomoc. Nagle poczuł przeszywający ból brzucha i przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Pokój w Memorial Hospital. Serce mu waliło, cały był zlany potem.

Głęboko odetchnął, żeby się uspokoić, i spojrzał dookoła. To co uznał za zwierzęce ślepią, to światelka na urządzeniach, którymi obstawione było łóżko. Kiedy wzrok przyzwyczał się do ciemności, zobaczył, że przez lekko uchylone drzwi wpada smuga światła z korytarza. Pamiętał: przewieziono go tutaj z intensywnej terapii na chirurgii, gdzie operacyjnie zmniejszono nacisk torbieli na wątrobę. Nie znosił tej intensywnej terapii: szeregi łóżek z umierającymi pacjentami, każdy podłączony do kroplówki, monitora i machin leczniczych. Kiedy sąsiad z prawej zmarł, Ettinger kazał się przenieść do swojego pokoju.

Usiłował poprawić się na łóżku, ale kolejny atak bólu był jeszcze silniejszy. Przez chwilę chciał wezwać siostrę, ale zrezygnował z tego. To chyba ostatni zastrzyk przeciwbólowy wywołał nocną zmoreń i zmaćił umysł, a jemu zależało na jasności myśli. Sam upora się z bólem, to nie takie straszne.

Co się ze mną działo? Och tak, byłem na intensywnej terapii, a wszyscy tam poukładani jak owce czekające na rzeź. Ale to nie ze mną. O, nie! Znaleźli dla mnie jedną wątrobę, mogą znaleźć drugą. A jak nie oni, to moi ludzie!

Zapatrzył się w ciemność, myśląc o rozkazie, który wydał swemu zastępcy. „Przeczescie cały świat, używając pieniędzy i władzy, i znajdźcie mi drugą wątrobę. Ma mieć jak najlepszą zgodność, a rodzinie dawcy zaoferujcie tyle, ile będą chcieli”.

Ettinger pochodził ze środkowej Europy: ojciec był Węgrem, a matka Czeską, i to pewnie tam najprędzej znajdzie się wątroba. Pracujący dla Ettingera agenci rozpytywali teraz we wszystkich szpitalach i klinikach na Węgrzech i w Republice Czech, ale także i w Europie, Ameryce i Kanadzie, gdzie były duże zbiorowiska emigrantów z tych krajów. I znajdują, tego Ettinger był pewien. W końcu oferował milion dolarów dawcy i milion temu, kto go wynajdzie, jeśli tylko zgodność immunologiczna będzie wysoka.

Drzwi otworzyły się szerzej i światło oślepiło Ettingera, który zasłonił ręką oczy.

- O co chodzi? - warknął.

- Sprawdzam tylko - usłyszał głos pielęgniarki. - Chce pan znowu coś przeciwbólowego?

- Nie.

Siostra podeszła do łóżka, zapaliła małą lampkę i upewniła się, że wszystko jest w porządku z kroplówką.

- No i jak, OK? - spytał szorstko.

- Tak.

- To czemu przeszkadzacie mi spać?

- Staramy się niczego nie zaniedbać, jeśli chodzi o pański stan.

Drzwi zamknęły się i Ettinger powrócił do swoich myśli. Jak mantrę powtarzał uparcie słowa: znajdą mi wątrobę. A kiedy ją znajdą, umieszczą dane w sieci Donors International, żeby było pewne, iż to Ettinger ją dostanie, a nie kto inny. Operacji z całą pewnością nie przeprowadzi już Memorial Hospital. Raz spieprzyli sprawę, nie dostaną drugiej szansy, natomiast będą musieli zapłacić olbrzymie odszkodowanie.

Nowa wątroba, a wraz z nią on zdrowy i dziarski. Tak będzie!

Przymknął oczy i zdrzemnął się, z lekka pochrapując. Trwało to kilka minut, bo zbudził go odgłos grzmotu. Nocne niebo było zaciągnięte chmurami. Przekręcił się pod kołdrą, tak żeby nie spowodować nowego ataku bólu.

Drzwi znowu się uchyliły, ktoś wśliznął się do środka i zostawił je lekko uchylone. W półmroku majaczyła jakaś postać.

- Kto to? - mruknął Ettinger, wyężając wzrok.

- Muszę udrożnić kroplówkę.

- Dość już tego! Co kilka minut będziecie sprawdzać kroplówkę, żeby tylko nie dać mi zasnąć?!

- Już więcej tej nocy nie będziemy się panu naprzykrzać.

Ettingera zdziwiło, że pielęgniarka ma na twarzy maskę.

- Lekarka?

Nie było odpowiedzi; postać poprawiała coś przy przewodach, a w jej ręce coś błysnęło, - jak plastik czy szkło. Ettinger wpatrzył się uważnie i nagle oczy mu się rozszerzyły. Strzykawka!

- Co to takiego?

- Nic, tylko poprawiam.

Ettinger czuł, że coś jest nie w porządku. Ale co? Dlaczego? Aha, pielęgniarka nie

zapaliła światła. Jak mogła cokolwiek dokładnie zobaczyć w ciemności?

Rozpaczliwym kopnięciem zrzucił z siebie kołdrę i usiłował się poderwać, silna ręka przytrzymała go jednak, podczas gdy igła wbijała się w przewód kroplówki.

Gwałtownie usiłował się wyrwać, ale siły były zbyt nierówne. Chciał krzyknąć, ale z gardła dobyło się tylko skrzeczenie.

„To sen, sen!”, uspokajał siebie w myślach. „Zaraz się zbudzę i...”

Poczuł straszliwe pieczenie w ramieniu, a potem serce okropnie zamigotało. Pokój zaczął się kręcić, słyszał, jak jego usta gwałtownie chwytają powietrze.

„Zbudź się, zbudź! Błagam!!!”

Rozdział 26

- Za tymi drzewami jest piękny, japoński ogród - powiedziała Joanna, a Jake usiłował coś dojrzeć poprzez gąszcz liści.

- Tam?

Wzięła go pod rękę.

- Tak. Chodź, to ci pokażę.

Z drogi prowadzącej do głównego budynku Donors International zeszli na żwirowaną, okoloną gęstymi krzakami ścieżkę. Słońce tu nie docierało, blokowane przez splecione wierzchołki drzew. Głośno zaskrzeczał jakiś ptak i przefrunął nad nimi z trzepotem skrzydeł.

Jake odruchowo przyspieszył kroku. Nie lubił miejsc o ograniczonej widoczności, szczególnie gdy były zaciemnione. Ścieżka wspinała się w górę, okrążając wielki głaz. Wreszcie wyszli na otwartą przestrzeń i zobaczyli piękny ogród.

- Urzekający, prawda? - spytała Joanna, w zachwycie patrząc na wielką rybę leniwie płynącą w czystym stawiku.

- Jeśli klienci płacą ci po ćwierć miliona dolarów za jedną transakcję, możesz sobie pozwolić na kilka ładnych drobiazgów.

- Tak Jake, ale pamiętaj, że oni wyszukują i dostarczają rzeczy, które decydują o czymś życiu.

- Wszystko ma swoją cenę - powiedział Jake i popatrzył na budynek za płotem. - A tam co jest?

- Ośrodek dla dzieci mających kłopoty z nauką - wyjaśniła Joanna. - To eksperyment, chcę sprawdzić skuteczność programu.

- Skuteczność to znaczy zyskowność, tak?

- Zapewne.

Jake przypatrywał się chwilę dziedzińcowi, zaciekawił go bowiem brak huśtawek i innych urządzeń służących dzieciom do zabawy. Podszedł bliżej do płotu; w jednym z okien zobaczył twarz. Dziecięcą twarz, która zaraz zniknęła. Usłyszał nad sobą lekki szmer, a kiedy podniósł głowę, ujrzał obracającą się kamerę.

- No, no, starannie pilnują tych dzieci, nie ma co.

- To dzieci z bogatych rodzin. Łakomy kasek dla porywacza.

„Albo dla pedofila”, pomyślał Jake. Świat tak zdziczał, że bezbronne dzieci trzeba było chronić płotami i kamerami.

- Czas na nas - odezwała się Joanna.

- A gdzie centrala?

Joanna wskazała na północ, w kierunku kępy drzew.

- Tam, ale trzeba wrócić do głównej drogi.

- Spróbujmy na skróty.

Poszli ścieżką gdzieniegdzie błotnistą po wczorajszym deszczu. Na niebie wisiały ciężkie, burzowe chmury. Minęli sosnowy zagajnik i znaleźli się między łagodnymi pagórkami; ścieżka schodziła w dół tak ostro, że musieli ostrożnie stawiać kroki, aby się nie pośliznąć. Na dole dróżka łagodnym łukiem poprowadziła ich do drewnianych schodów, które szły już w kierunku głównego kompleksu budynków.

- Rany! - powiedział Jake. - Nawet sobie nie wyobrażałem, że to takie wielkie. I wszystko należy do Donors International?

- Tak. - Joanna wyciągnęła rękę i zaczęła objaśniać. - Pierwszy budynek to klinika reprodukcyjna, w drugim przechowują organy, w trzecim prowadzone są badania w związku z przeszczepami.

- A ten czwarty?

Spojrzała za ręką Jake'a. Czwartego budynku, wznoszącego się za laboratorium badawczym, nie zauważyła podczas poprzedniej wizyty i z całą pewnością nie pokazywał jej Jason Adler. Niewielka konstrukcja, o połowę mniejsza od laboratorium, miała wysoko ulokowane wąskie okna, a na dachu system klimatyzacyjny lub wentylacyjny. Kiedy podeszli, zobaczyła, że budynek łączy z głównym kompleksem powietrzne przejście.

- Halo! - Z patio obok laboratorium wołał do nich Jason Adler. - Witam doktor Blalock, chociaż wołałbym, aby co innego panią do nas sprowadzało.

Joanna przedstawiła obu panów, po czym Adler poprowadził ich ku drewnianemu stołowi pod drzewem.

- Mam nadzieję, że nie będą państwo mieli nic przeciwko rozmowie tutaj. Nie domknąłem okna, w nocy wichura je otworzyła i deszcz zalał mój gabinet.

- Oczywiście, że nie. - Jake sprawdził, czy ławka nie jest mokra i usiadł obok Joanny, twarzą do Adlera. - Prowadzimy śledztwo w związku ze śmiercią Pameli Warren i chcielibyśmy, żeby pan nam w czymś pomógł.

- Słucham.

- Po pierwsze, chciałem pana ostrzec, że to śledztwo w sprawie morderstwa.

- Ale gazety...

- Dajmy spokój gazetom - przerwał Adlerowi Jake, obserwując wyraz zdziwienia na jego twarzy. - Pani Warren została zamordowana, podobnie jak mężczyzna, z którym znaleziono ją w pokoju motelowym.

Adler pokręcił z niedowierzaniem głową.

- I po co ktoś miałby to robić?

- To właśnie usiłujemy ustalić - powiedział Jake i spojrzął do notatnika. - Kiedy ostatni raz widział pan Pamelę Warren, czy też miał od niej jakąś informację?

Adler przypominał sobie chwilę.

- Kilka dni temu. Przyjechała ze swoim adwokatem.

- Domagając się swoich komórek jajowych i nasienia męża?

- Otóż to.

- A pan nie mógł spełnić jej życzenia?

- Mieliśmy pewne problemy. Widzi pan, poruczniku, przechowujemy tutaj tysiące zamrożonych jajek i sperm. A komórki pochodzące od Warrenów zostały pobrane dziesięć lat temu.

- Groziła procesem?

- Jeśli nie odzyskamy. Dała nam na to trzy doby.

- Rozumiem więc, że z ulgą dowiedział się pan, że jajka i plemniki odnaleziono.

- Ulga to delikatnie powiedziane. - Adler westchnął ciężko. - Ostatnia rzecz, jakiej możemy pragnąć, to proces z multimilionerską rodziną.

Jake zajrzał do swoich notatek.

- Czy natychmiast powiadomił pan panią Warren?

- Skontaktowałem się najpierw z naszymi prawnikami, pojawiła się bowiem pewna wątpliwość, czy komórki stanowią część majątku pani Warren czy pana Warrena. Doradzono mi, abym poinformował i panią Warren, i jej pasierbów, na razie jednak nikomu nie wydawał znalezionych materiałów genetycznych.

- Kiedy przekazał pan wiadomość pani Warren?

- Wczesnym popołudniem. Nagrałem się na jej sekretarce.

- Nie jest pan zatem pewien, czy informacja do niej dotarła?

Adler rozłożył ręce.

- Zrobiłem, co do mnie należało. Pani Warren nie oddzwoniła.

- Ile jajek pani Warren zamroziła?

- Cztery.

- Więc to była już jej ostatnia szansa?

Adler przytaknął.

- Mówiąc szczerze, i tak niezbyt wielka. Technika, jaką stosowaliśmy dziesięć lat temu, była dość prymitywna. Należało się spodziewać, że komórki się rozpadną podczas rozmrażania.

- Co teraz dzieje się z jajkami i nasieniem? - spytała Joanna.

- Trzymamy je w oczekiwaniu na opinię prawników. Sądzę jednak, że teraz już bez żadnej wątpliwości stanowią część majątku Warrenów.

Joanna zastanawiała się, czy Pamela istotnie myślała o sztucznym zapłodnieniu.

- Czy pani Warren zdawała sobie sprawę, że prawidłowa ciąża jest mało prawdopodobna?

- Oczywiście - zapewnił Adler. - Podkreśliłem to bardzo wyraźnie, ona jednak obstawała przy swoim. Domagała się swojego materiału genetycznego.

Pewnie, myślał Jake, nawet jeśli nie zamierzała użyć tych jajek, mogła je wykorzystać do szantażu: Richard i T.J. bez specjalnych ceregieli zgodziliby się zapłacić, żeby tylko nie pojawił się nowy spadkobierca. Wszystko tutaj kręciło się wokół pieniędzy. Wszystko.

Na zboczu zawarczała koparka na wielkich kołach. Wolno sunąc przed siebie, ryła rów w poprzek stoku, a robotnicy układali w nim kolejne odcinki rur.

- Deszcze podmyły zbocze - wyjaśnił Adler. - Mamy nadzieję, że nowy system odwadniania coś w tym pomoże.

Jake z odległości oceniał, że rury miały najmniej trzy stopy średnicy. Czemu takie wielkie do odwadniania? Chciał zadać Adlerowi nowe pytanie, ale notatnik spadł na ziemię. Kiedy schylił się po niego, zobaczył, że do sąsiedniego stołu bezszelestnie dosiadł się mężczyzna w lekarskim kombinezonie. Odwrócony był do nich plecami, a przed sobą rozłożył gazetę, ale jak na czytającego siedział dziwnie prosto. Usłyszawszy szmer, zerknął przez ramię, a potem gwałtownie pochylił się nad gazetą, jakby bez reszty nią pochłonięty. Jake lekko zmrużył oczy. Tak, sukinsyn ich podsłuchiwał, a teraz starał się to ukryć. Ciekawe, od jak dawna tu siedział.

- Kto tam jest za nami? - spytał.

Adler wyciągnął szyję.

- Ach, to Matthew Dunn, dyrektor kliniki kobiecej. Czemu pan pyta?

Odpowiedź: „Bo nas podsłuchuje”, Jake zachował dla siebie, a głośno spytał:

- Czy będzie coś wiedział na temat jajek Pameli Warren?

- Oczywiście.

- W takim razie chciałbym z nim porozmawiać.

- Jasne. Matthew - Adler odrobinę podniósł głos - pozwól tu do nas na chwilę, dobrze?

Dunn obejrzał się i odłożył gazetę z wyraźnym ociąganiem. Podeszedł i usiadł obok Adlera.

- Mam tylko kilka minut do dyspozycji przed kolejnym zabiegiem.

- Pamiętasz chyba doktor Blalock - powiedział Adler - a to jest porucznik Sinclair.

Prowadzi śledztwo w sprawie śmierci pani Warren.

Dunn krótko kiwnął głową.

- W czym mogę pomóc?

- Proszę nam powiedzieć o jajkach pani Warren.

- Niewiele tu jest do powiedzenia. Zamroziliśmy je i były pewne kłopoty z ich odszukaniem. Groziła, że nas pozwie do sądu, ale szczęśliwie się znalazły. I tyle.

- A gdzie je pan znalazł?

- W zamrażarce.

- Tak po prostu, otworzył pan zamrażarkę i je znalazł?

Twarz Dunna spochmurniała.

- To znacznie bardziej skomplikowane. Zajęło nam wiele godzin.

- Jest pan pewien, że to jej komórki?

- Jak najbardziej.

- Czy pełnomocnik Warrenów nie kazał zbadać, czy to istotnie jajka Pameli Warren.

Dunn zmrużył wyraźnie oczy.

- To tylko czysta formalność.

- Aby się upewnić, że nie zostały podmienione? - spytał Jake, a po jego wargach błąkał się dziwny uśmiech.

Dunnowi nabrzmiały żyły na skroniach.

- Czyżby mnie pan oskarżał o...

- Nikogo o nic nie oskarżam.

Znowu zawarczała maszyna, tym razem jeszcze głośniejsze niż poprzednio. Jake rzucił na nią okiem, zastanawiając się jednocześnie, czy jajka istotnie pochodziły od Pameli Warren. Jeśli tak, Donors International nic nie groziło: pani Warren miałyby swoje jajeczka - czy to po to, aby zająć w ciążę, czy to po to, aby ich użyć do szantażu. Raczej to drugie. Pamela była sprytną osobą. Po co ryzykować zniszczenie komórek podczas rozmrażania? Stratni byliby zatem bracia Warrenowie, czy jednak z tego powodu posunęliby się do morderstwa? No cóż, w grę wchodziły wielkie pieniądze, więc raczej tak.

Jeśli jednak jajka nie pochodziły od Pameli? Wtedy górą byliby Warrenowie, a Pamela

przegrałaby. Nie! Wcale by nie przegrała: swoje miliony dostałaby nie od Warrenów, lecz od kliniki stanowiącej część Donors International. Wtedy to byłby największy przegrany.

Jake musiał się zatem dowiedzieć, od kogo pochodziły te jajka. Wprawdzie nadal pozostanie tajemnicą, kto zabił Pamelę Warren, dowie się jednak, kto skorzysta na jej śmierci.

Odczekał, aż ucichnie mechaniczny hałas i zwrócił się do Joanny:

- Jak najłatwiej ustalić, czy to były komórki jajowe Pameli Warren?

- Wystarczy porównać DNA - odpowiedziała natychmiast.

Jake spojrzał Dunnowi w oczy.

- Musimy zbadać te jajka.

- Nikt nie ma prawa ich dotknąć bez wyroku sądu - kategorycznie oświadczył tamten.

- Z tym nie powinno być problemu - powiedział Jake.

Głośnik ukryty w drzewach ożył, przez chwilę słychać było tylko ciche buczenie, a potem odezwał się głos:

- Doktor Dunn wzywany jest do sali operacyjnej numer cztery.

Ten poderwał się natychmiast ze słowami:

- Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, musi pan z nimi poczekać.

- Och, wiele pytań. Bardzo wiele.

- Matthew - wtrącił się Adler - może więc zaproponowałbyś panu porucznikowi, kiedy...

Ale lekarz biegł już w kierunku budynku i tylko krzyknął przez ramię:

- Muszę się zorientować, jak z zabiegami.

Adler popatrzył za nim i rozłożył ręce.

- Niech pan nas zrozumie, panie poruczniku. Pan ma swoje zajęcia, my mamy swoje.

Bardzo napięty plan badań i zabiegów.

- Jasne - rzekł Jake i coś zapisał u siebie, a potem spojrzał na Joannę: - To co, może doktor Adler pomoże nam coś z tą dyskietką?

- Tak, tak - powiedziała. - Panie doktorze, chcielibyśmy spytać jeszcze o jedno.

- Proszę, jeśli tylko będę potrafił pomóc.

- W gabinecie zamordowanego pana Warrena znaleziono to.

Joanna wyjęła dyskietkę i wręczyła Adlerowi, który nałożył okulary do czytania i przyjrzał się etykietce.

- „Potencjalne żony - historia kliniczna”. Co to takiego?

- Pan Warren najwyraźniej zbierał i przechowywał dane medyczne osób, które mogłyby stać się jego małżonkami. Są tam informacje o zdrowiu tych kobiet, ich rodzin, także parametry krwi i tkanek.

Adler zwrócił dyskietkę ze słowami:

- Trochę to dziwne, nieprawdaż?

- Jego pierwsza żona zmarła na dziedzicznego raka okrężnicy i być może chciał się przed czymś takim zabezpieczyć na przyszłość.

Adler potarł w zamyśleniu ręce i kiwnął głową.

- To można zrozumieć. Czy przeprowadził badania DNA na okoliczność jakichś anomalii genetycznych?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparła Joanna - ale wszystkie dane były uporządkowane w taki sposób jak na waszych informacjach o możliwych dawcach.

Adler nagle się skupił, widać było, że ma się na baczności.

- My z pewnością nie mamy z tym nic wspólnego. Proszę pamiętać, że większość informacji o potencjalnych dawcach pochodzi od zewnętrznych lekarzy. My je tylko zestawiamy.

- Jedną z potencjalnych żon była Pamela Warren - beznamyślnie stwierdziła Joanna, ale bacznie śledziła reakcję Adlera, na którego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

- Ach, teraz wszystko jasne. Kiedy jakaś para zgłasza się do naszego programu zapłodnienia in vitro, poddajemy oboje bardzo dokładnym badaniom, obejmującym i historię chorób - i typ tkanek. Robimy to dla własnego bezpieczeństwa i dla bezpieczeństwa rodziców. Ważna jest na przykład wiedza, czy po stronie matki bądź ojca nie występują jakieś dziedziczne schorzenia. Albo czy nie ma jakichś wrodzonych ułomności. Pan Warren najwyraźniej zestawiał te informacje wedle szablonu, który my stosujemy dla ewentualnych dawców.

- Po co typy tkanek? - pytała Joanna, chociaż знаła odpowiedź.

- Pewne choroby wiążą się z pewnymi typami tkanek.

- A grupa krwi?

- To chyba oczywiste. Żeby uniknąć niezgodności między matką i noworodkiem.

Joanna w duchu mu przytaknęła. Wręcz podręcznikowe odpowiedzi.

- Ma pan jakieś podejrzenia, dlaczego zachował dane czterech ewentualnych żon?

- Nie mam najmniejszego wyobrażenia.

Joanna wyciągnęła z kieszeni karteczkę z wypisanymi na niej CA 12-58-47 i DOA 1996.

- Potrafi pan może rozszyfrować te skróty?

Adler przyglądał się papierowi, przechylając głowę to na lewo, to na prawo, aż w końcu lakonicznie odrzekł:

- Nie.

- Czy to mogą być oznaczenia jakichś bardzo specjalistycznych testów?

Adler znowu się zastanowił, na chwilę w oku pojawił się błysk, ale zaraz zniknął.

- Nie, to nie to.

- A o czym pan pomyślał?

- Że to może skrót od *carcinoembryonic antigen* - „antygen raka zarodkowego”. Taki antygen pojawia się czasami we krwi osób chorych na raka okrężnicy.

Joanna zmrużyła oczy.

- Powszechnie używany skrót to CEA.

- Właśnie. A te liczby dalej są zupełnie bez sensu.

Zadzwonił pager Joanny. Szybko go wyłączyła, poczuła mróz w krzyżu: oby tylko nie Kate!

- Gdzie najbliższy telefon? - spytała.

- Tutaj - odparł Adler i z kieszeni fartucha wyjął aparat komórkowy. Joanna wystukała numer, chwilę słuchała w milczeniu, a potem z wyrazem zdumienia na twarzy opuściła telefon na blat stołu.

- Co się stało? - spytał Jake.

- Rudolpha Ettingera znaleziono martwego w łóżku w Memorial.

Rozdział 27

- Byłoby znacznie lepiej dla wszystkich, gdyby Ettinger zmarł z przyczyn naturalnych - złowróźnie warknął Simon Murdock. - Powtarzam: dla wszystkich - podkreślił z naciskiem.

Murdock krążył wokół stołu sekcyjnego, na którym spoczywało ciało Rudolpha Ettingera. Wszystkie inne stoły były puste, w sali prosektoryjnej byli jeszcze Joanna Blalock, David Dellacorte i Harry Crowe.

Dyrektor nagle wymierzył palec w pierś Dellacorte'a.

- A gdyby przypadkiem okazało się, że to z powodu tych twoich nowych metod, twoje dni w moim szpitalu są policzone!

Dellacorte starał się ukryć we wzroku nienawiść, jaką darzyło Murdocka wielu pracowników Memorial.

- Stan pacjenta po zabiegu był bardziej niż zadowolający, a to raptowne...

- Stan bardziej niż zadowolający, tyle że nagle umiera - przerwał swojemu podwładnemu Murdock.

Joanna poprawiła lateksowe rękawice i ironicznie przyjrzała się chodzącemu w kółko Murdockowi. Dawno już nie widziała go tak wytrąconego z równowagi, ale powód nietrudno było zgadnąć. Ettinger był postacią bardzo znaną i potężną; gdyby za jego śmiercią stał błąd lekarski, byłoby to fatalne dla reputacji Memorial. Media nie przepuściłyby takiej gratki, szczególnie gdyby dowiedziały się, że Ettinger chciał się prawować ze szpitalem o torbiele w przeszczepionej wątrobie.

- Czemu, cholera jasna, nie umarł u siebie w domu? - mruknął pod nosem Murdock.

Czekała, aż gniew dyrektora odrobinę osłabnie. Nie chciała, by jego humory rozpraszały ją podczas autopsji. Najchętniej by go ofuknęła, żeby wreszcie usiadł spokojnie i przestał marnować czas. Tak czy owak, dobrze przynajmniej, że niczego nie pozwolił ruszać w pokoju zmarłego, a jego ciało zostało dostarczone na patologię na szpitalnym łóżku.

Wpatrywała się w zwłoki. Rudolph Ettinger nie był wysokim mężczyzną, ale śmierć uczyniła go jeszcze niższym. Zawsze tak było, ale z jakiejś przyczyny bardziej rzucało się to w oczy w przypadku mężczyzn. Zerknęła na genitalia; tak się skurczyły, że wyglądały wręcz jak fałd skóry.

Murdock przestał wreszcie chodzić i tylko jeszcze mamrotał coś pod nosem.

- Dobrze, zaczynamy - powiedziała Joanna.

Podeszła do stołu i sprawdziła ułożenie zamontowanego nad nim mikrofonu. Pierś i podbrzusze Ettingera były już otwarte, puszka czaszki przecięta.

- Pacjent sześćdziesiąt osiem lat, rasa kaukaska, obwisły brzuch, wyraźny ubytek tkanki mięśniowej w kończynach. Na nogach niewielkie wybroczyny, na ramionach świeże ślady po nakłuciach. Podłączona kroplówka, kontrolowana przez dozownik.

Przyjrzała się plastikowemu zaworowi, który regulował przepływ płynu.

- Kto wyłączył kroplówkę?

Dellacorte namyślał się chwilę, a potem wzruszył ramieniem.

- Któraś z pielęgniarek. Rutynowa czynność, kiedy pacjent umiera.

Spojrzała na Murdocka.

- Kogo zastał pan w pokoju?

- Pielęgniarkę, która znalazła go martwego, i doktora Channinga, ordynatora chirurgii.

- Nikogo więcej? - upewniła się Joanna.

- Tak mi się przynajmniej zdaje.

- Kto ostatni widział Ettingera żywego?

- Ta sama pielęgniarka. Zajrzała do niego przed północą, wszystko było w porządku.

- Mógłby pan zadzwonić do doktora Channinga i spytać, kto odłączył kroplówkę, on czy pielęgniarka?

- A dlaczego to takie ważne? - spytał dyrektor.

- Trzeba sprawdzić wszystko - powiedziała rzeczowym głosem Joanna. - Niech pan, proszę, zadzwoni.

Murdock podszedł do wiszącego na ścianie aparatu i wykręcił numer. Kiedy wrócił Joanna starannie przypatrywała się płucom.

- Co to? - spytał, wskazując spory włóknisty obszar.

- Zbliznowacona opłucna. Nic niepokojącego. Co powiedział doktor Channing?

- On nie odłączał. Szuka pielęgniarki, żeby u niej sprawdzić.

Szczególnie dokładnie zbadała okolice tętnic płucnych, by na koniec stwierdzić:

- Płuca wydają się w porządku, brak śladu skrzepów.

- Kurwa - zaklął pod nosem Murdock. Miał nadzieję na jakiś duży skrzep w którejś z tętnic, co szybko i gładko kończyłoby całą sprawę.

- Simonie - zimno odezwała się Joanna - byłbyś łaskaw nie kłać przy stole? Mikrofon reaguje na głos, a potem stenografka nie będzie wiedziała, co zapisywać, a co nie.

- Powinno starczyć jej pomysłu - prychnął Murdock, który nie znoślił, kiedy go ktoś

strofował. - Jesteś pewna tych skrzepów?

- Jak najbardziej.

Odsunęła trochę mikrofon; postanowiła przyspieszyć sekcję, szukając jak najbardziej oczywistego powodu śmierci. To na pewno spodoba się Murdockowi. A kiedy ten już sobie pójdzie, będzie mogła przeprowadzić dokładne badanie, z którego sporządzi szczegółowy raport.

Odcięła płuca i serce i wydobyla je z klatki piersiowej. Obejrzała serce z zewnątrz, potem zbadała grubość ścian przedsionków. Potem delikatnie nadcięła tętniczki karmiące serce.

- Naczynia wieńcowe czyste.

- Kur... Cholera jasna, przecież musiał na coś umrzeć - prychnął Murdock.

„A jakże, na coś pewnikiem umarł”, pomyślał Harry Crowe. Ale taka dupa wołowa jak Najjaśniejszy Pan Murdock nie wie, że w przypadku jednej trzeciej gwałtownych śmierci nie udaje się wykryć przyczyny. Ludzie po prostu umierają i tyle. Harry był zdania, że o śmierci decyduje Bóg, a kiedy On już tak postanowi - nie ma odwrotu. A jeśli głupi patolog nie potrafił ustalić przyczyny - to jego zmartwienie; Bóg się tym nie przejmuje. Popatrzył niecierpliwie na wybebeszone ciało Rudolpha Ettingera. Ta Blalock powinna się pospieszyć, czekało ich dzisiaj jeszcze kilka sekcji.

Teraz przyszła pora na jamę brzuszną. Wszystko w niej wyglądało normalnie, z wyjątkiem wątroby.

- Torbielowatość wątroby - powiedziała i wskazała nacięcie w dolnym płacie. - Tędy wprowadzono wziernik.

Murdock nachylił się tak, że niemal dotknął wątroby nosem.

- Jakież ślady krwotoku?

- Żadnych.

Murdock spojrział przez ramię na Davida Dellacorte'a.

- Masz szczęście. Bo inaczej za godzinę bym cię zwolnił i na dodatek zadbałbym o to, żebyś dostał wilczy bilet.

Dellacorte przygryzł wargi, a na czole wystąpiły mu żyły.

- Wziernikowa chirurgia jamy brzusznej nie powoduje krwotoków i właśnie dlatego ją stosujemy.

- I nie powoduje też infekcji, tak? - odpalił Murdock, robiąc aluzję do pacjentki w średnim wieku, u której przeprowadzono wziernikowy zabieg na woreczku żółciowym, doprowadzając do śmiertelnego zainfekowania odpornym na antybiotyki gronkowcem. Po śmierci rodzina wytoczyła szpitalowi proces, który właśnie się rozpoczął. - A wstrząs

septyczny? Czy Ettinger nie został czasem śmiertelnie zarażony podczas wziernikowania?

- Zараżenie jest zawsze możliwe - odrzekła Joanna - ale we wnętrzu ciała nic na to nie wskazuje.

- Panu Ettingerowi podano zresztą zwiększone dawki antybiotyków.

- Czasami i to nie wystarcza - zauważył zgryźliwie Murdock.

- Najpierw trzeba wyhodować bakterie, a dopiero potem możemy mówić o zakażeniu.

Murdock spojrzał na Crowe'a.

- Próbkę krwi do kultury bakteryjnej pobrane? - spytał surowo.

- Także moczu - spokojnie odpowiedział zapytany.

- To dobrze.

Murdock kiwnął z aprobatą głową. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby wykazać winę Dellacorte'a. Lepiej jest zwalić wszystko na jednego lekarza, niż żeby odium spadło na szpital.

- Teraz mózg - oznajmiła Joanna, która wolałaby, żeby nie wybuchła tutaj kłótnia.

Włożyła palce pod nacięte ciemie i spróbowała je zdjąć, ale nie mogła. Ponowiła próbę, tym razem mocniej - znowu bez efektu.

- Harry, musisz mi pomóc

Harry podszedł do stołu, włożył końce palców w otwór po pile i szarpnął. Wierzch czaszki odskoczył, a w ślad za nim wyleciał na stół mały skrzep krwi.

- Co to takiego? - zawołał Murdock.

- Mały skrzep tuż za oponą twardą - spokojnie oświeciła go Joanna, jednocześnie oglądając jamę czaszki i zwoje tkanki mózgowej.

Twarz Murdocka rozjaśniła się.

- Krwiał podtwardówkowy? - zawołał.

- Krwiał nadtwardówkowy - poprawiła Joanna - ale niewielki. To nie on jest winny. - Ostrożnie odchyliła mózg od czaszki; nigdzie nie było widać śladów krwotoku ani zakrzepicy żadnej z dużych tętnic. - I tutaj nic.

Zadzwonił telefon na ścianie. Murdock słuchał chwilę, potem odwiesił słuchawkę i powiedział, wracając:

- Ani Channing ani pielęgniarka nie odłączali kroplówki.

- Ktoś to jednak zrobił.

- Ale chyba nie sugerujesz, że Ettinger umarł, bo ktoś zamknął kroplówkę? - spytał Dellacorte.

- To na pewno nie mogło go zabić - zgodził się Murdock.

- Nie o to chodzi - powiedziała Joanna.

- To o co? - prychnął dyrektor. - Co to ma za znaczenie, kto odłączył kroplówkę?

Joanna milczała chwilę ze zmarszczonym czołem i przygryzionymi wargami.

- Kroplówka działała, kiedy Ettinger żył, prawda?

- Tak - potwierdził Murdock.

- Potem ktoś ją odłączył, kiedy jeszcze żył.

- No i co z tego?

- Ktokolwiek to zrobił, chciał to ukryć.

- Skąd taki wniosek?

- Ponieważ nie rozległ się alarm przy dozowniku. Ten, kto zamknął kroplówkę, wiedział też, jak odłączyć alarm.

Murdock musiał przyznać jej rację.

- Musiał być to ktoś, kto zna się na aparaturze dożylniej. Lekarz lub pielęgniarka, tak?

- Tak.

- Ale po co?

Joanna wyciągnęła igłę z ramienia Ettingera i natychmiast ją zablokowała, żeby płyn nie wyciekał.

- Niech pan sam odpowie na takie pytanie: Kiedy zamykamy kroplówkę podłączoną do żyły pacjenta? W jakich sytuacjach?

- Po pierwsze, wtedy kiedy chcemy wyjąć igłę, aby nie tracić na darmo płynu.

- Ale w tym przypadku igła pozostała w ramieniu.

- No to jest jeszcze druga możliwość. Kiedy chcemy podać dożylnie jakiś środek, jakiś... - Murdock szybko chwycił za kartę pacjenta i zaczął ją przeglądać, aż dotarł do listy leków. Szybko przebiegł ją oczyma. - Wczoraj w nocy Ettinger nie dostawał żadnych środków dożylnie.

- Czy raczej nie dostał niczego, co przepisałby mu lekarz - skorygowała Joanna.

- Ale co innego... - zaczął Murdock i nagle zamilkł z szeroko otwartymi ustami, by na koniec wyszeptać: - O mój Boże!

Rozdział 28

Joanna weszła do laboratorium patologicznego dokładnie w chwili, gdy automat wyłączył wielką centryfugę. Silnik z gwizdem ucichł, w sali zapanowała cisza. Na ściennym telefonie migало światelko; wszystkie rozmowy były kierowane do szpitalnej centrali. Joanna zmęczona oparła się o drzwi; plecy i nogi bolały ją od długiego wystawiania przy stole sekcyjnym, a przecież niezależnie od ilości poświęconego czasu nie wiedziała, dlaczego zmarł Rudolph Ettinger.

Z wysiłkiem odepchnęła się od drzwi i podeszła do zamrażarki, w której starannie umieściła próbki krwi i tkanek Ettingera, by potem na tablicy wypisać długą listę analiz, jakim chciała je poddać. Próbki wątroby trzeba było zbadać na obecność wirusów, toksyn i wszelkich czynników, które mogłyby być odpowiedzialne za torbielowatość.

Skończywszy pisać, cofnęła się kilka kroków i sprawdziła, czy niczego nie przeoczyła. Nagle przypomniała sobie o chińskich ziołach na impotencję. Jeden z asystentów Ettingera miał jej dostarczyć wszystkie używane przez niego specyfiki.

Włączyła komputer; ikona na ekranie informowała, że w poczcie elektronicznej czeka na nią list. Mógł poczekać. Otworzyła plik z informacjami o Rudolphie Ettingerze. Leków nie dostarczono, a teraz trudno będzie cokolwiek uzyskać od rodziny. Zamyśliła się zapatrzona w sufit. Coraz bardziej była przekonana, że także Ettinger został zamordowany, ale trzeba najpierw wykryć, czego w tym celu użyto.

Wyprostowała się i weszła do poczty. Na ekranie pojawił się napis:

Musimy porozmawiać. Będę w gabinecie do 19. 00. Potem w Alamo.

Mack

Zalała ją fala strachu, że stan Kate się pogorszył. Tak była zajęta pracą, że od samego rana nie zasięgała informacji. Na zegarze była już ósma. Chwyciła płaszcz oraz parasolkę i wybiegła.

Pogoda była wstrętna. Silny deszcz walił o chodniki i jezdnię; wiatr o mało nie wyrwał jej parasolki z ręki. Zastanowiła się, czy nie wrócić po samochód, ale machnęła na to ręką i ruszyła przed siebie. Obok niej przemknął samochód, a chociaż odskoczyła w ostatniej chwili,

woda spod kół zmoczyła jej nogi. Rzuciła przekleństwo pod adresem kierowcy, ale zarazem przypomniała sobie, że gdy ongiś w San Francisco coś podobnego przydarzyło się jej i Kate, zaśmiewały się w głos. Teraz wcale nie było jej do śmiechu; wszystko przedstawiało się w ponurych barwach.

W Alamo było tłoczno i hałaśliwie. Wszystkie stoliki były zajęte, bar oplatał podwójny łańcuszek klientów. Rozejrzała się za Mackiem.

- Hej - przywitała ją Chrissy, kelnerka. - Jakby trochę padało, nie?
- Tak - mruknęła Joanna i spojrzała na przemoczone buty.
- Jest gdzieś Mack?

Chrissy ruchem głowy wskazała małą estradę w dalszym rogu. Mack siedział na stołku obok, zwykle występującej solo, Patsy Willis i razem stroili gitary.

- Zna się na tym choć trochę? - spytała zdumiona.
- Więcej niż trochę.

Poprowadziła Joannę do stolika Macka i odsunęła krzesło.

- On już jest dwa drinki do przodu. Chcesz nadrobić?
- Nie, nie - powiedziała niepewnie Joanna, ale Chrissy nachyliła się nad nią i powiedziała:
- Weź podwójnego, radzę ci. Dobre na pogodę i inne zmartwienia.

Patrzyła za odchodzącą kelnerką, myśląc, że ta ma z kolei przygłuchego syna, który mozolnie uczy się mówić. Każdy ma swoje smutki, myślała.

Mikrofon zachrypiał, spojrzała na estradkę. Mack i Patsy zaśmiewali się, ciągle strojąc gitary. Joanna zastanawiała się, ile jest jeszcze oblicz Macka Browna, których nie zna. Był świetnym lekarzem, nonszalanckim kowbojem, a z jednej postawy przechodził do drugiej bez najmniejszego wysiłku. Ale miał jeszcze jedną ogromnie ważną cechę: potrafił przykuć uwagę i to na dobre.

Zaczęli śpiewać. Dobry głos Macka harmonizował z głosem Patsy. Joanna z zamkniętymi oczyma przysłuchiwała się balladzie. „Jeśli jutro nie nadejdzie, czy domyśli się, jak ją kochałem?”, zastanawiali się obydwój. Piosenka opowiadała o kowboju, który leży obok śpiącej kochanki i myśli, czy będzie wiedziała, jak ją kochał, gdyby rano się nie zbudził. Joanna bardzo by chciała mieć takie związki i po raz nie wiadomo który pytała samą siebie, dlaczego ich nie miała.

- Proszę - powiedziała Chrissy, stawiając przed Joanną dwie szklaneczki tequili i butelkę piwa.
- Najpierw sól? - upewniła się Joanna.
- Bezwzględnie.

Polizała sól, wychyliła tequilę i zapłała ją piwem.

- Fajnie - powiedziała. - Nic nie piecze.

- Jasne - zgodziła się Chrissy. - Dobre rzeczy nie są przykre. Jesteście blisko z Mackiem?

Joanna zawahała się z odpowiedzią.

- Nie bardzo.

Chrissy zauważyła jej rumieniec i uśmiechnęła się.

- Ale nie miałabyś nic przeciw temu?

- Tego nie powiedziałam.

Chrissy roześmiała się i puściła do niej oko.

- Co cię tak bawi?

- Ludzie.

Ballada skończyła się. Mack ucałował Patsy w policzek i podziękował, że pozwoliła sobie towarzyszyć, potem skłonił się publiczności, dostał burzę oklasków i wrócił do stolika.

- Masz dobry głos.

- Pewnie powtarzasz to wszystkim facetom - uśmiechnął się Mack i skinął na Chrissy, żeby podała następną kolejkę.

W jego towarzystwie Joanna od razu poczuła się lepiej, nawet jakby odrobinę rozpogodziła, ale w tym momencie przypomniała sobie elektroniczną wiadomość.

- Czy z Kate coś niedobrze?

- Nie, stan stabilny. Ale chciałem ci powiedzieć o nowym środku antywirusowym, który w tej chwili badają w Narodowym Instytucie Zdrowia. Mam tam kolegę, który do mnie zatelefonował.

Joanna czujnie nadstawiła uszu.

- Powiedz mi coś więcej.

- Tylko się nie zapalaj przedwcześnie. To nie jest czarodziejski napój.

- Dobrze, dalej - pospieszała go Joanna.

- Ma nazwę długą na milę i są podstawy, by przypuszczać, że w pewnych sytuacjach pomaga przy ostrej infekcji wirusowej.

- Na ilu pacjentach już wypróbowano?

- Na sześciu. Dwóm się polepszyło.

- A pozostała czwórka?

- Zmarli. W dwóch przypadkach anomalie serca, które mogą być powodowane przez lek.

- To znaczy, że tyle samo osób zabił, co wyleczył.

- Przestrzegalem, żeby się nie zapalać. To istotnie bardzo ryzykowne rozwiązanie.

- A ty sam byś go doradzał? - spytała po długiej chwili.

Mack pokręcił głową.

- Nie, przeszczep jest bezpieczniejszy. Ale uważałem, że powinnaś znać wszystkie opcje.

- W takim razie decydujemy się na przeszczep - oznajmiła stanowczo Joanna.

Pojawiła się Chrissy z nową kolejką i zapowiedziała:

- To Jose Cuervo Tysiąc Osiemset. Najlepsza tequila pod słońcem.

- Z jakiej okazji?

- Barmanowi podobało się, jak śpiewasz.

Na zewnątrz rozległ się grzmot i cały bar zatrzęsł się w posadach. Wszyscy krzyknęli z entuzjazmem, ktoś zanucił jakąś kowbojską przyśpiewkę. Wychyli zgodnie tequilę i popili ją zimnym piwem.

- Chyba zaczyna mi szumieć w głowie - powiedziała Joanna.

- Chcesz kawy?

Joanna uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Wcale nie mówię, że to nieprzyjemne uczucie.

Patsy podjęła następną melancholijną balladę, a Joanna zaczęła wspominać piękne chwile spędzone z Jakiem, zaraz jednak skarciła siebie: koniec to koniec. Nawet nie zauważyła, kiedy wsłuchana w melodię oparła głowę na ramieniu Macka, popijając tequilę i piwo. Zaczęła podrzemywać.

- Chyba lepiej odwiozę cię do domu - rzekł Mack.

- Chyba będziesz musiał mnie zanieść - powiedziała sennie.

- A ile ważysz?

- Jakieś sto dwadzieścia.

- Powiniennem dać sobie radę.

Ledwie znaleźli się na zewnątrz, deszcz smagnał im w twarze. Joanna usiłowała ochronić ich oboje parasolką, ale niewiele to dawało. Deszcz nadchodził falami i niekiedy zaciął niemal poziomo. Taksówki ani widu, ani słyhu. Wtuleni w siebie przedzierali się przez wiatr. Na skrzyżowaniu studzienki ściekowe zapchały się i stała woda głęboka na stopę.

- Cholera - mruknął Mack. - Musimy iść dłuższą drogą do Memorial.

- Jak to daleko?

- Sześć albo siedem przecznic.

Zawrócili. Z trudem dotarli do pierwszej przecznicy, z drugą poszło jeszcze gorzej, gdyż trzeba było iść pod górę, a na dodatek Joanna miała czółenka na wysokich obcasach, które co chwilę spadały jej z nóg.

Oparła się o latarnię.

- Nigdzie dalej nie pójde. Nawet cala.

- Wtedy najpewniej utoniesz - powiedział Mack. W przemoczonych ciuchach była jeszcze bardziej atrakcyjna niż zwykle.

- To niedobrze - oświadczyła Joanna i wystawiła twarz na deszcz. - Strasznie, kurwa, niedobrze.

Mack wziął ją pod ramię i znowu zaczęli maszerować; Joanna zwieszała się na nim coraz bardziej i coraz częściej gubiła buty, wziął ją więc w końcu na ręce, ale wtedy natychmiast poczuł efekt zbyt wielu tequili i się zatoczył. Niestropiony odzyskał równowagę, zaśmiewając się wniebogłosy, pogoda bowiem przypominała mu chłopięce lata w Teksasie. Uszedł kilkadziesiąt kroków i zobaczył przed sobą neony Holiday Inn.

- Jesteśmy uratowani - powiedział triumfalnie.

- Świetnie - mruknęła Joanna przekonana, że są już w Memorial. - Teraz wsadź mnie do mojego samochodu.

- Noc spędzimy w Holiday Inn.

- A zrobiłeś rezerwację? - zachichotała.

Kiedy weszli do hotelowego hallu, ociekali wodą, zaśmiewali się i lekko zataczali.

Podczas gdy Mack rejestrował się, recepcjonista spojrzał na boscie nogi Joanny.

- Nie macie państwo żadnych bagaży? - spytał.

- Zgubiły się na lotnisku, mają je dostarczyć - spieszenie wyjaśnił Mack.

Pokój był duży, z ogromnym łóżkiem i rozsuwanymi drzwiami na balkon, z którego widać było basen. W szafie nie było szlafroków. Mack podał Joannie duży ręcznik i delikatnie popchnął ją w kierunku łazienki.

- Lepiej zrzuć z siebie te ciuchy.

Przyjrzała się sobie w łazienkowym lustrze. Włosy zwisały w mokrych strąkach, makijaż zniknął. Wyglądała okropnie. W głowie uparcie się jej kręciło, musiała się przytrzymywać zlewu, kiedy ściągała z siebie mokre ubranie.

Kiedy otulona ręcznikiem wyszła z łazienki, Mack, też już tylko w ręczniku, stał przy balkonie i spoglądał na basen.

Joanna podeszła do niego i oparła brodę na ramieniu.

- O czym myślisz?

- Czy uda mi się trzymać ręce przy sobie.

- To taka piosenka?

- Nie, fakt.

- To dobrze - powiedziała i pozwoliła rękownikowi opaść.

Rozdział 29

- Tutaj przynajmniej sprawa jasna jak słońce - powiedział Jake. - To Tony Boyette zamordował Williama Arthura Warrena.

- Mhm - mruknął Lou Farelli. - Dowodów starczyłoby na to, żeby go oskarżyć dwadzieścia razy.

Znajdowali się w małym pomieszczeniu na tyłach komendy, a przed nimi na stole leżały wszystkie materiały świadczące przeciw Boyette'owi: zabłocona para butów, dziesięć tysięcy dolarów w nowiutkich banknotach, plastikowa koperta z odgryzionym końcem cygara.

- Cóż za głupiec! - Jake uniósł na długopisie jeden z butów i raz jeszcze przyjrzał mu się z bliska. - Trzymać w szafie parę znoszonych butów, w których był na miejscu morderstwa! Nie pytaj mnie tylko dlaczego. W każdym razie świetnie pasują do śladów pod domem i na dywanie. A jakby tego jeszcze brakowało, na pożegnanie wdepnął w kałużę krwi Warrena. No i zastawił w lombardzie zrabowany zegarek.

Odłożył but i popatrzył na reszkę cygara; ślady po odgryzieniu idealnie pasowały do zębów Tony'ego.

- Był za tępy na to, żeby zaplanować morderstwo. To musiało być dzieło Pamelii.

- Wszystko dla pieniędzy - powiedział w zamyśleniu Farelli. - Strasznie jej musiało na nich zależeć.

- I może wszystko by się powiodło, gdyby na wykonawcę nie wybrała takiego głąba jak Tony.

Sierżant podrapał się po głowie.

- Czemu się na niego zdecydowała?

- Łatwo go było namówić. - Jake zapalił papierosa i wypluł żdźbło tytoniu. - Przypuszczam, że to musiało być jakoś tak. Już wcześniej zastanawiała się, jak zabić męża. Na kursie aktorskim wpada jej w oko Tony, zaczyna się o niego ocierać i szeptać mu do ucha czule słówka. Łądują w motelu, gdzie odchodzi pieprzenie na całego. Tony zakochuje się w niej, a kiedy się dowiaduje, jaka z niej bogaczka, zakochuje się jeszcze bardziej. Ona przekonuje go, że jak usuną starego, czeka ich cudowna przyszłość. Tony wyobraża sobie życie upływające na bara-bara i szastaniu na lewo i prawo pieniędzmi.

- Może i ona się w nim zakochała. Kobiety czasami lubią takich posłusznych - dodał

Farelli.

- Może, ale raczej sędzę, iż Tony miał tylko służyć za narzędzie. Bez Pameli był nikim.

Farelli pokiwał głową.

- Jeśli na zimno potrafiła obmyślić zamordowanie męża, to znalazłaby też sposób na pozbycie się Tony'ego.

- I teraz nikt z nich już nie żyje. - Jake zaczął krążyć po niewielkim pokoiku. - A wszystkie te morderstwa wiążą się ze sobą.

Farelli zmrużył pytająco oczy.

- Jak sobie to wyobrażasz?

- Daj mi dwa morderstwa, które w ciągu miesiąca dotyczą tę samą rodzinę, a ja znajdę ci dwóch związanych ze sobą morderców. Jeśli nie jednego.

Farelli zatrzymał w ustach odrobinę dymu z papierosa Jake'a. Od sześciu lat nie zapalił ani jednego papierosa, ale nie było dnia, żeby o tym nie myślał. Odegnął od siebie myśl o tytoniu i skupił się na zagadkowych morderstwach. Pamiętał, co Jake powiedział mu o zamrożonych jajkach i pomyśle Pameli, żeby po śmierci męża zająć w ciążę i dzięki temu uczestniczyć w spadku.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby bracia Warrenowie mieli zabić Pamelę z powodu tych jajek. Przecież sami lekarze mówią, że po rozmrożeniu one nie powinny działać. To był ryzykowny ruch z jej strony.

- Zgoda, ale teraz sobie wyobraź, że ona mimo wszystko zachodzi w ciążę. Dziecko byłoby uprawnione do jednej trzeciej majątku Warrena, a więc do pięćdziesięciu milionów dolarów. To bardzo dużo forsy.

- Masz rację - przyznał Farelli. - Ale po co załatwiać Tony'ego?

- I to jest problem, bo to zero nikomu nie zagrażało.

- Może po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Jake skrzywił się sceptycznie.

- Nie pasuje do faktów. Morderca przyszedł przygotowany na zabicie dwóch osób. Miał sznur, taśmę, strzykawkę, heroinę. Wszystko dokładnie zaplanowane. Dobrze wiedział, kogo zastanie w tym motelu.

- Ale po co go załatwiać? - powtórzył swoje pytanie Lou.

- Myślę, że to była część kamuflażu, który miał sugerować wyszukany seks i przedawkowanie. - Jake uśmiechnął się kwaśno. - Tony jak zwykle dostał rolę statysty.

- Ale główne pytanie pozostaje: kto i dlaczego zamordował Pamelę Warren?

Jake zgniół niedopałek.

- Zobaczmy, może ta panienska nam pomoże.

Poszli długim korytarzem, mijając ociekające deszczem okna. Na zewnątrz było ciemno i zimno; deszczowa pogoda nie chciała opuścić Kalifornii Południowej. Ominęli kałużę na podłodze, która utworzyła się pod przeciekającym dachem.

- Jak wygląda?

- Jak wszystkie młode kurewki. Ładna, zgrabna, na pozór twarda, a w środku cała trzęsie się ze strachu.

- Jest coś na nią?

- Nie.

Weszli do jasno oświetlonego pokoju przesłuchań. Za długim stołem, twarzą do drzwi, siedziała młoda kobieta, a za nią stała policjantka.

Jake usiadł naprzeciw prostytutki i podsunął jej pudełko z papierosami.

- Nie palę - odpowiedziała.

- A czy ja mogę? - spytał grzecznie.

Wzruszyła ramionami i mruknęła:

- Chcę mieć adwokata.

- Dlaczego? Zrobiłaś coś złego?

Milczała. Wpatrywała się w Jake'a i nawet jeśli się bała, nie widać tego było w jej oczach.

- Odpowiedz mi na kilka pytań, a każę cię wypuścić. Jeśli skłamiesz, dopilnuję, żeby za każdym razem, gdy staniesz na chodniku, zaraz stawała przy nim suka.

Przełknęła ślinę.

- Co pan chce wiedzieć?

- Jak masz na imię?

- Cherrie.

- Pracujesz głównie koło Paradise Motel?

Obejrzała swe paznokcie i kiwnęła głową.

- Ile razy w tygodniu?

- Ja wiem, chyba co dzień.

- Ile razy w ciągu dnia korzystasz z pokoju?

- Dwa albo trzy.

Miała ładną twarz, odrobinę kocią, ale bardzo smutne oczy.

- Byłaś w pokoju wtedy, kiedy znaleźli tę parę?

- Tak.

- Opowiedz mi, co widziałaś?

- No więc, po cichutku otworzyłam drzwi...

- A dlaczego po cichutku?

- Bo facet zapłacił za całą noc, ale zasnął, no to co, miałam leżeć beczynn timer i słuchać, jak chrapie?

- OK, otworzyłaś po cichutku drzwi i...?

- Przy tamtych drzwiach stał taki facet cały na czarno. Zapukał do drzwi, że musi coś sprawdzić, bo na górze zalało łazienkę. Ja znam tu kierownika i obsługę, i to żaden z nich.

- I co zrobiłaś?

- Dałam dyla - odpowiedziała Cherrie z takim oburzeniem, jak gdyby tylko dureń mógł zadać takie pytanie. - Pomyślałam, że ten facet to pewnie zazdrosny mąż albo coś takiego.

Jake przysunął się odrobinę.

- Facet miał broń?

- Tak, zobaczyłam, jak tamten otworzył mu drzwi.

- Skoro było tak blisko, że mogłaś zobaczyć broń, to na pewno widziałaś też twarz.

Nie odpowiedziała, tylko wargi lekko jej zadrżały. W końcu po głębokim oddechu bąknęła:

- Było naprawdę ciemno, a on cały na czarno. Nawet kapelusz miał czarny.

- A jaki kapelusz?

- Taki jak nosił Humphrey Bogart.

- Młody czy stary?

- Raczej stary - odrzekła z wahaniem. - Miał tak ze czterdzieści.

Jake skrzywił się wewnętrznie, gdyż niebawem kończył pięćdziesiąt sześć lat.

- Wysoki, niski?

- Mojego wzrostu. Pięć stóp, osiem cali, barczysty.

- A twarz?

- Mówiłam, było ciemno.

- Na pewno nie widziałaś? - napierał Jake. - Przy mnie lepiej nie kłam.

- Cholera! - zdenerwowała się Cherrie. - Jak mówię ciemno, to ciemno. I jak mogłam coś zobaczyć, jak wykręcił żarówkę.

Jake gwałtownie podniósł wzrok.

- Jaką żarówkę?

- Przy drzwiach. Zanim zapukał, sięgnął i wykręcił żarówkę.

Jake przypomniał sobie motelową werandę. Na wysokości lewego rogu drzwi były

żarówki wkręcane w plastikowe oprawki. Obejrzał się na Farellego.

- Na żarówce będą odciski palców.

- Mógł być w rękawiczkach.

- Nie - powiedziała Cherrie. - Dotknął żarówki i cofnął rękę. Jakby się oparzył.

Jasne - powiedział Farelli z lekkim uśmiechem. - Bez rękawiczek.

Jake sięgnął po telefon.

Rozdział 30

- Od tego zaczęliśmy.

Jake umieścił slajd w projektorze i na ekranie pojawiło się zdjęcie mogiły. Z błota sterczały ludzka czaszka i kości.

Jake zmienił slajd.

- Tutaj nasz szkielet na laboratoryjnym stole, wyraźnie widać płytkę na kości. A to... - następny slajd - ...komputerowa rekonstrukcja twarzy.

Na ekranie pokazała się twarz o wystających kościach policzkowych i kwadratowej szczęce. Miejsca na oczy, nos i usta zaznaczono pogrubionymi kreskami.

- A oto nasz bohater w pełnej krasie. James Robert Butler.

Joanna uważnie przyglądała się rysom Butlera. Bardzo podobne do komputerowej rekonstrukcji. Wystające kości policzkowe, wyraźnie zarysowana szczęka. Nawet wąskie oczy i wargi były podobne do użytych kresek. Może zmrzył powieki, kiedy robiono zdjęcie, pomyślała Joanna. Nachyliła się w kierunku monitora.

- Czy to blizny? - spytała, wskazując brwi.

- Tak - potwierdził Jake. - O wiele lepiej to widać w powiększeniu.

- Hm, zabijaka, tak?

Jake pokiwał głową.

- Krótki lont.

Lori McKay musiała się dopiero przyjrzeć fotografii, żeby dostrzec blizny wychwycone przez Joannę, ale wreszcie i ona zobaczyła. A kiedy raz już się je dostrzegło, stawały się wyraźne.

- Nie najlepiej zszyte - powiedziała.

- Wątpię, żeby ktoś je zszywał - odparła Joanna. - Tacy macho nie lecą do ambulatorium. Zakleją ranę Band-Aid i czekają, aż się zagoi.

- Wielki, twardy facet, ale boi się igły? - rzuciła z ironicznym uśmiechem Lori.

- Niekoniecznie. Raczej lubią, kiedy blizny są widoczne. To robi wrażenie - odezwał się Jake.

Joanna widziała w twarzy Butlera bezwzględność i emocjonalny chłód.

- Co wiemy o tym facecie?

- Całkiem sporo. - Jake wyłączył projektor, zapalił górne światła i poczekał, aż Joanna zajmie miejsce za stołem. Zaczął czytać z notatek: - James Robert Butler, urodzony w 1951 w San Diego. Przeciętna rodzina z klasy średniej, ale ciągle miał jakieś kłopoty. Jako nastolatek zatrzymany trzy razy za zakłócanie porządku po pijanemu, dwa razy za udział w bójkach. Raz bez żadnego kłopotu omal nie zabił rówieśnika; pęknięcie czaszki.

- Siedział?

- Chyba żartujesz? - Jake spojrzał na Joannę z ironicznym zdziwieniem. - Przy naszym systemie prawnym? Wyroki w zawieszeniu i kuratela, cokolwiek ma to znaczyć. - Jake odwrócił stronę. - Po skończeniu szkoły idzie na jakieś kursy przyuczenia do zawodu, ale zewsząd wylewają go za bójki. Stopnie dostawał niezłe, więc nie był to zupełny dureń. Przez rok pracował jako bramkarz w klubie, aż wreszcie zdecydował się wstąpić do wojska. Został rangerem.

- Kto to taki? - spytała Lori.

- Członek elitarnych oddziałów w piechocie. Oddziały specjalne.

- A on sam miał jakąś specjalność?

- Snajper. Niebywała celność. Trafiał precyzyjnie z tysiąca metrów.

- O-o! To dobrze ponad pół mili - zauważyła Joanna.

- Prawie dwie trzecie. Prawdziwy talent - powiedział Jake.

- Najwyraźniej bardzo mu odpowiadała dyscyplina wojskowa. Znakomite wyniki szkoleniowe, wysłany do Wietnamu, tam awansuje na sierżanta, ale zostaje ranny w nogę odłamkiem granatu. Odesłany na operację do Walter Reed Hospital, gdzie zakładają mu znaną nam płytkę. Zwolniony ze służby trochę się wałęsa, ostatecznie osiedla się w San Diego w 1982, Ożenił się, pracował jako mechanik samochodowy, wiódł normalne życie.

- Żadnych już bójek? - spytała Joanna.

- Żadnych. - Jake znowu przewrócił stronę. - Miał siostrę, z którą utrzymywał bliskie kontakty. Bezpłodna para wynajęła ją na zastępczą matkę, za co obiecano jej chyba dziesięć tysięcy. Tak czy siak, będąc w ciąży, zamieszkała u swego brata i wszystko było dobrze do chwili, gdy tuż przed porodem postanowiła, że nie odda dziecka.

Co za koszmar, pomyślała Joanna. Nosić w sobie dziecko dziewięć miesięcy, żeby je potem oddać.

- A do poczęcia użyto jej jajka czy kobiety z tej pary?

Jake wzruszył ramieniem.

- Nie wiem, ale czy to takie ważne?

Dla siostry Butlera z pewnością, pomyślała Joanna, ale mruknęła tylko:

- Warto wiedzieć.

- Dobrze, sprawdzę. Nie chciała więc oddać dziecka, ale kiedy tamta para zaczęła grozić sądem, poddała się, urodziła dziecko, ale kiedy je odebrano, popadła w depresję i popełniła samobójstwo.

- Jest pan pewien, że to było samobójstwo? - spytała pobladła Lori.

- Tak. Zostawiła bratu list, a potem otworzyła sobie żyły w wannie z ciepłą wodą.

Lori natychmiast przypomniało się Baltimore i jej własny dramat. Była od dwóch tygodni w ciąży i musiała się zdecydować: przerwie czy donosi. Wahania skończyły się wraz z poronieniem, ale wpadła w taką depresję, że nawiedzały ją samobójcze myśli.

Odzyskała równowagę dzięki prozakowi, ale nie było dnia, by nie myślała o utraconym dziecku.

Jake przyjrzał się jej uważnie.

- Dobrze pani się czuje?

- Tak, tak. Proszę dalej.

- Jak powiedziałem, Butler był z siostrą bardzo blisko i głęboko przeżył jej śmierć. Przestał chodzić do pracy i całymi dniami przesiadywał w domu. Nie oglądał telewizji, nic nie czytał, tylko siedział, niekiedy całymi dniami nie odzywając się do nikogo. Żona miała nadzieję, że w końcu się otrząśnie, ale niestety. Pewnego dnia weszła do ich sypialni i zobaczyła najokropniejszą rzecz w swoim życiu. Jej mąż stał przed lustrem w pełnym ekwipunku bojowym: panterka, wojskowe buty, kapelusz rangersów, a w ręku karabin z teleskopem. No i jeszcze twarz pomalowana na czarno. Żona wpadła w przerażenie, a on wyszedł bez słowa i nigdy już nie wrócił. Był rok 1986.

- Co zrobiła jego żona?

- Najpierw czekała, potem dała spokój i ponownie wyszła za mąż. Uznała, że gdzieś na uboczu popełnił samobójstwo.

Lori kiwnęła głową; ona też doszłaby do takiego wniosku.

- Czy żona miała jakieś sugestie, dlaczego udał się tam, gdzie go znaleziono?

- Żadnych.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Młody technik podszedł spieszenie do Joanny, nachylił się nad nią i powiedział półgłosem:

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale kazała się pani natychmiast informować o wynikach Rudolpha Ettingera.

- Tak, dobrze, co się stało?

Młodzieniec podał jej kartkę z wynikami, które Joanna uważnie przestudiowała.

- Nie ma możliwości pomyłki? - spytała.

- Nie - odparł technik. - Badanie przeprowadziliśmy trzykrotnie, za każdym razem z tymi samymi wynikami.

Joanna odczekała, aż technik wyjdzie, a potem zwróciła się do Jake'a i Lori:

- Rudolph Ettinger nie zmarł śmiercią naturalną.

Jake zmrużył oczy.

- A co spowodowało jego śmierć?

- Potas. Ogromna dawka potasu. - Z uniesioną brodą myślała przez chwilę, a potem powiedziała na poły do siebie: - To dlatego wyłączono kroplówkę powyżej dozownika.

Jake spojrzał na nią nierozumiejącym wzrokiem.

- O jakim dozowniku mówisz?

Joanna podeszła do tablicy i szybko nakreśliła szkic: przewód plastikowej torby dochodził do kwadratu oznaczonego jako dozownik, a stamtąd dalej podążał do ludzkiej ręki.

- Podawany dożylnie płyn ścieka z pojemnika węższym przewodem do urządzenia, które reguluje dawkę i tempo przepływu, a potem dochodzi do wprowadzonej w naczynie krwionośne igły. Jasne?

- Jasne.

- Otóż ktoś wyłącznikiem zablokował dopływ płynu do dozownika. Tak w każdym razie sprawa się przedstawiała, gdy znaleźliśmy Ettingera martwego. Dlatego zbadaliśmy płyn w pojemniku i poniżej dozownika. Między nim a ramieniem Ettingera stężenie potasu było tysiąc razy większe niż w pojemniku. - Joanna odłożyła kredę i wskazała na swoje przedramię. - Ktoś Rudolphowi Ettingerowi podał dożylnie chlorek potasu.

- Z jakim skutkiem?

- Natychmiastowe zatrzymanie pracy serca.

Jake zwilżył usta.

- Zatem morderstwo?

- Bez dwóch zdań.

Rozdział 31

Kate Blalock słyszała, że ktoś ją woła; daleki, kobiecy głos.

- Kate! Kate!

Chciała unieść powieki, ale były zbyt ciężkie. Poczowała zimny dreszcz i spróbowała lepiej się okryć. Powietrze było zimne, jak zawsze w Gwatemali po zachodzie słońca. Dni były nieznośnie upalne, za to noce niespodziewanie przyjemne. Musi więc być noc, uznała.

Albo jest dalej w jaskini, wilgotnej i spokojnej. Tak, na pewno. Nie! Niemożliwe! W jaskini wszyscy zachorowali! Tommy i Dan, i Marcia, i Kim. Wszyscy mieli gorączkę, dreszcze, tak osłabli, że nie mogli nawet unieść wiadra z wodą. To malaria, tak powiedział przewodnik. Ale przecież wszyscy szczepili się na malarię, więc jak...

- Kate, słyszysz mnie?

Uniosła do połowy powieki i zobaczyła jakąś postać w masce chirurgicznej i okularach. Zamknęła oczy i znowu je otworzyła. Pielęgniarka w dżungli?

- Wiesz, gdzie jesteś? - spytał męski głos.

- W Gwatemali - wyszeptała.

- Nie, w Los Angeles.

- W Gwatemali. Spytaj Tommy'ego, Marcie albo Kim. Powiedzą ci.

- A w jakiej części Gwatemali?

- Dżungla na północy.

- Jesteś pewna?

- Tak. Spytajcie Kim.

- Wiesz, jaka jest data?

Kate usłyszała: „Wiesz, jaka jest wata?” i odrzekła:

- Biała.

Joanna nachyliła się nad łóżkiem, uściśnęła rękę siostry i powiedziała:

- Kate, to ja, Joanna.

- Wanna? Nie moja.

Przymknęła oczy i znowu zapadła w sen.

Joanna z niepokojem spojrzała na Macka Browna.

- Od dawna jest w takim stanie?

- Od rana. Przy śniadaniu była bardzo senna, ale kontaktowa. Potem zaczęło się pogarszać z każdą chwilą.

- Co mogło to spowodować?

- Niewykluczone jest zapalenie przewodu moczowego, który mógł wywołać nawrót encefalopatii wątrobowej. Na razie to tylko przypuszczenia, właśnie sprawdzamy.

Kate zaczęła mamrotać bezsensownie, trochę po angielsku, trochę po hiszpańsku:

- Tutaj! Jeszcze nie! *Qué pasa, hombre? Qué?* Ta jest dobra, naprawdę dobra.

Kilka razy głośno przełknęła ślinę i umilkła.

- Kate! - rozpaczliwie szepnęła Joanna, ale nie było reakcji. - Kate! - powtórzyła z takim samym skutkiem.

- Chodź! - Mack ujął ją pod rękę i lekko pociągnął w kierunku wyjścia. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie, zdjęli maski i spojrzeli przez szybę. Kate zaczęła się tak miotać na łóżku, że musiała ją przytrzymać pielęgniarka.

Joanna westchnęła z rozpaczą.

- Znacznie z nią gorzej, prawda?

- Obawiam się, że tak. Ataki encefalopatii pojawiają się coraz częściej.

Pokiwała głową; nieubłaganie nadchodził czas decyzji.

- Jesteś pewien, że spróbowaliśmy już wszystkiego, z wyjątkiem transplantacji?

Mack zawahał się, a potem odpowiedział, starannie dobierając słowa, żeby nie budzić próżnych nadziei.

- Jest jeszcze jedna forma terapii, ale - zastrzegł się - nigdy jej nie próbowano przeciw wirusowi tego typu.

- Jaka?

- Podaje się skoncentrowaną gamma-globulinę, zawierającą przeciwciała.

- Poczekaj. - Joannie wydawało się, że czegoś nie rozumie.

- Przecież podaliśmy Kate plazmę od tego Gwatemalczyka, który przeżył zakażenie. Były tam przeciwciała, ale nie poskutkowały.

- Ale to nie był koncentrat - wyjaśnił Mack. - W tym przypadku z czterech, pięciu jednostek plazmy wydzieliliby się gamma-globulinę, co dałoby nam czystą i stężoną dawkę antyciał, którą podalibyśmy Kate dożylnie.

- Kto zajęłby się przygotowaniem preparatu?

- Nasz oddział immunologiczny. Są w tym bardzo dobrzy.

Joanna nerwowo zwichrzyła sobie włosy.

- Z jakim ryzykiem to się wiąże?

- Owszem, jest ryzyko, ale niewielkie.
- Kiedy możemy dostać nowy transport plazmy?
- Powinna już być na lotnisku.

Joanna uśmiechnęła się z uznaniem.

- Bardzo nam pomagają ci z Gwatemali.
- Tak, ale mają też w tym własny interes. Obawiają się, że może dojść do nawrotu epidemii, a wtedy chcieliby wiedzieć, jak z nią walczyć.

- Ile to może potrwać?
- Cztery, pięć dni.
- A czy Kate tyle wytrzyma?
- Tego nie mogę gwarantować.

Kate znowu zaczęła się rzucać w łóżku, szarpiąc za poręcz.

- Jeszcze jedno. Rano miałem telefon z Donors International. Być może mają wątrobę dla twojej siostry. Zgodność nie jest absolutna, ale całkiem niezła. Jeszcze raz sprawdzają parametry tkanek ewentualnego dawcy.

- Czy możemy najpierw spróbować tej metody z gamma-globuliną?
- Możemy, ale w tym czasie wątroba może już trafić do innej czekającej osoby. Tak czy owak, coś trzeba zaryzykować.

Joanna szybko zestawiała szanse.

- Zawsze możemy Kate przez jakiś czas podtrzymać, wszczepiając jej płat mojej wątroby.
- To jeszcze pomnaża ryzyko. I przeszczep płatu i gamma-globulina to nie są terapie jednoznacznie potwierdzone.

Joanna przebierała palcami po blacie.

- Będąc na moim miejscu, co byś wybrał? Gamma-globulinę czy przeszczep?
- Przeszczep - bez namysłu odpowiedział Mack. - Tutaj mamy znacznie więcej doświadczeń.

- Chyba masz rację - szepnęła Joanna i odwróciła się do wyjścia.

Mack dotknął jej ramienia.

- Joanno, jeśli chodzi o tamtą noc... Czuję się wstrętnie.
- Dlaczego?
- Bo, wiesz, formalnie jestem żonaty, poza tym byliśmy pijani i...

Bezradnie rozłożył ręce.

- Nie przejmuj się tak.
- Czuję się winny i... - Przygnębiony Mack spuścił głowę i najwyraźniej poczerwieniał. -

Stan Kate tak na ciebie wpłynął, ja dolewałem tequilę, a potem... potem zorientowałem się, jak już byliśmy w łóżku.

- No i?
- Wykorzystałem cię.
- Daj spokój. Korzyść była chyba obopólna.

*

Jake natychmiast się zorientował, że coś jest nie w porządku. Joanna siedziała w kącie laboratorium i zapatrzona w dal w roztargnieniu paliła papierosa. Nie spojrzała nawet w jego kierunku.

- Dobrze się czujesz? - spytał.
- Z Kate jest bardzo niedobrze.
- Mówiłaś, że jej stan się ustabilizował.

Pokręciła głową.

- Pogorszyło się jej. Jake, boję się, że umiera.

Jake chwycił krzesło i usiadł tuż koło Joanny.

- I naprawdę nic już nie można zrobić?
- Lekarze robią wszystko, co potrafią.

Popiół z papierosa spadł jej na bluzkę, ale zupełnie to zignorowała.

- A co z przeszczepem?
- Szukają dawcy.
- Na pewno znajdą. A z nową wątrobą Kate znowu będzie jak burza.

Chciał w ten sposób pokręcić trochę Joannę, ale ona niemal go nie słyszała. Nieustannie rozważała opcje terapeutyczne. Terapia gamma-globulinowa i transplantacja płatu wątroby były jeszcze na etapie eksperymentalnym, a wyniki - delikatnie mówiąc - niejednoznaczne. Także przeszczep całej wątroby nie gwarantował sukcesu. Zgodność tkanek była tylko częściowa; mogło się okazać, że wątroba szybko zacznie szwankować. „I tak sobie siedzisz, roztrząsając różne »za«, czy bardziej różne »przeciw«, a twoja siostra umiera”, ofuknęła siebie w duchu Joanna.

Jake sięgnął do kieszeni i położył na stole wystawiony na Joannę czek na sto tysięcy dolarów.

- Będziesz mogła opłacić wątrobę dla Kate.
- Dzięki, dzięki, Jake - powiedziała miękko. - Spłacę wszystko co do centa, obiecuję.
- Mnie bardziej by zależało na czymś innym.

- Na czym?

- Żebyś posłuchała, dlaczego się nie odzywałem, gdy bałaś się, że masz raka piersi.

- Jake, za nic nie musisz przeproszać - powiedziała z przekonaniem Joanna. - Byliśmy już wtedy osobno i nie miałam żadnego prawa oczekiwać, że...

- Uciekłem - przyznał Jake. - Tak, uciekłem jak tchórz, ale strasznie się bałem.

- Czego?

- Że cię utracę. - Wstał i zaczął krążyć po laboratorium.

- Ojciec zginął, kiedy byłem małym chłopcem. Był policjantem, zastrzelili go, gdy usiłował nie dopuścić do napadu. Zostałem tylko z matką, nie mieliśmy żadnych krewnych, a przynajmniej ja żadnych nie znałem. Było nam bardzo ciężko; policyjna emerytura na niewiele pozwalała. Musiała ciężko tyrać, żeby nas utrzymać.

- Jake, nie musisz...

- Była najcudowniejszą osobą na świecie - ciągnął cicho Jake. - Zawsze mnie stawiała na pierwszym miejscu. Wszystkiego sobie odmawiała, żebym tylko miał to, co mają inne dzieci, zresztą same najważniejsze rzeczy. Byłem w ostatniej klasie, kiedy odkryła stwardnienie w piersi. Zlekceważyła je. Lekarze to straszne pieniądze, a ona próbowała oszczędzać, żeby posłać mnie do college'u. Przekonywała sama siebie, że to nic, zaraz zniknie i po strachu. Ale nie znikło i rak rozsiał się po całym ciele. Umarła dzień po tym, jak skończyłem szkołę. - Zatrzymał się, wyjął paczkę papierosów, potem zrezygnował i schował z powrotem. Znowu podjął marsz. - Kiedy powiedziałaś mi o tym stwardnieniu, nie mogłem myśleć o niczym innym tylko o tym, że zaraz stracę następną ukochaną osobę. Nie mogłem sobie z tym poradzić, bałem się, że jeszcze raz będę musiał przez to przechodzić. Ten ból... Nie starczyło mi odwagi i... uciekłem.

- Och, Jake - szepnęła Joanna.

Staął przed nią i dotknął palcem czubka nosa.

- Tak, spieprzyłem, ale wiem, że już nigdy tego nie zrobię. Przysięgam.

Poczekala, aż zamkną się za nim drzwi, a potem z głową na blacie stołu rozplakała się w głos.

Rozdział 32

- Czy to naprawdę konieczne? - spytał Simon Murdock.

- Tak, naprawdę - lakonicznie potwierdził Jake.

- Proszę pamiętać, że to szpital.

Jake spojrzał mu twardo w oczy.

- Proszę pamiętać, że w tym szpitalu dokonano morderstwa.

Murdock skrzywił się na dźwięk słowa „morderstwo”. Za godzinę miała się zacząć konferencja prasowa, a on ciągle nie wiedział, jak odpowiadać na pytania dziennikarzy.

- Chodzi mi tylko o to, że na tym oddziale mamy bardzo chorych pacjentów, a zdenerwowanie może tylko pogorszyć ich stan.

- To niech pan każe im zostać w pokojach, a pielęgniarkom nie pozwoli bąknąć nawet słówka o tym, co robimy. - Zerknął w kierunku stanowiska pielęgniarki dyżurnej, żeby sprawdzić, że teren odgrodzono żółtą taśmą policyjną. - Dobrze chodźmy.

Ruszył korytarzem, mając u boku Joannę. Za nimi szli Murdock, David Dellacorte i Nancy Fine, główna pielęgniarka. W powietrzu unosił się słodkawy zapach odświeżacza powietrza. Ciekawe, jaki odór usiłują w ten sposób ukryć, pomyślał Jake. Pod sufitem wirowały wentylatory, ale powietrze było niemal bez ruchu.

Doszli do wyjścia przeciwpożarowego i Jake spytał:

- Czy te drzwi zamyka się na noc

- Nie - odparł Dellacorte - ale otworzyć je można tylko od wewnątrz.

- Zatem ze schodów przeciwpożarowych nikt nie dostanie się na oddział?

- Nikt.

Figa, pomyślał Jake. Specjalista nałoży taśmę na zatrask i ma swobodny dostęp, kiedy chce.

- Ile osób personelu było na oddziale tej nocy, kiedy zginął Ettinger?

Dellacorte potarł podbródek.

- Sporo. Piętnaście, dwadzieścia, może więcej.

- A w okolicach północy.

- Jakies piętnaście.

- Po co aż tyle? - mruknął Jake.

- Na intensywnej terapii było istne piekło. Mały samolot rozbił się w Santa Monica, pasażerowie zmasakrowani, tylko jeden przeżył.

- No i jeszcze ten karambol na Golden State Freeway - przypomniała Nancy Fine.

- Właśnie. Musieliśmy przenosić tutaj pacjentów z intensywnej terapii, żeby zrobić miejsce dla tych w poważniejszym stanie.

- Więc pan był na miejscu całą noc? - upewnił się Jake.

- Raz tu, raz tam. Pomiędzy dwunastą a drugą byłem na nagłych wypadkach, potem na chwilę wpadłem tutaj, znowu sala operacyjna, z rana na powrót tutaj.

- Rozumiem, zatem kręciło się tutaj wielu ludzi.

- Bardzo dużo.

- Zauważył pan kogoś nieznanego?

Dellacorte zastanowił się krótko, a potem wzruszył ramieniem.

- Wszystkich lekarzy i pielęgniarki znałem, ale na przykład technicy rentgenowscy czy sanitariusze... Czy ja wiem... Trudno powiedzieć.

Jake spojrzał pytająco na Nancy Fine.

- A pani?

- Nie zauważyłam nikogo nieznanego.

Weszli do pokoju, w którym zmarł Rudolph Ettinger. Nikogo w nim nie umieszczono, a Joanna zadbała też o to, aby wszystko ustawiono jak wtedy. Koło łóżka postawiono stojak, na nim pojemnik z mieszaniną pięcioprocentowego roztworu glukozy i soli fizjologicznej. Cienki przewód prowadził do dozownika, a stamtąd do igły wbitej w zrolowany ręcznik, który imitował przedramię Ettingera.

Jake dokładnie przyjrzał się scenografii.

- A zatem morderca wchodzi zaraz po północy - rzekł - zbliża się do łóżka i wprowadza Ettingerowi dożylnie stężony chlorek potasu, tak?

- Tak - potwierdziła Joanna.

- Ile mogło mu to zabrać?

- Albo jej - poprawiła odruchowo Joanna. - Minutę, najwyżej dwie.

- Zakładając, że potrafił czy potrafiła obchodzić się z kroplówką i dozownikiem.

Joanna kiwnęła głową.

- To założenie bardzo prawdopodobne, by nie rzec pewne, skoro morderca wiedział, jak unieruchomić alarm w dozowniku, a także, że musi najpierw wyłączyć kroplówkę, inaczej mogłoby się bowiem zdarzyć, że chlorek popłynie nie do żyły, lecz w przeciwnym kierunku. Pełna premedytacja i kompetencja.

- Zatem powinien być to lekarz, pielęgniarka albo technik medyczny - konkludował Jake.

- Protestuję! - sprzeciwił się Murdock. - Dziesięcioletka można nauczyć, jak wyłączać kroplówkę i wstrzyknąć się do przewodu. Do tego nie trzeba być kosmonautą.

Jake pokręcił głową.

- To nie był amator. Umiał nie tylko posługiwać się sprzętem, ale także poruszać się po szpitalu.

- Tego nie może być pan pewien.

- Mogę! - stanowczo powiedział Jake, którego arogancja Murdocka denerwowała dziś bardziej niż zwykle. Najwyraźniej trząśnięty ze strachu na myśl o skandalu, jaki wybuchnie, kiedy okaże się, iż w jego szpitalu popełniono morderstwo. - Morderstwo zaplanował i wykonał ktoś, kto świetnie zna szpital. Zaczniemy od tego, że Ettinger znajdował się w normalnej sali.

- A to niby o czym ma świadczyć? - obruszył się Murdock.

- Umieszczono go na intensywnej terapii, a do normalnej sali przeniesiono sześć godzin przed śmiercią, i to na jego wyraźne życzenie. Kto z zewnątrz mógł o tym wiedzieć?

- Morderca mógł udąć, że przychodzi w odwiedziny...

Jake przerwał dyrektorowi lekceważącym gestem.

- Szkoda, że nie zapoznał się pan z dokumentami. Odwiedziny były zabronione, a zgodnie z zapisami pielęgniarek nikt też go nie odwiedził. Powtarzam zatem raz jeszcze, kto mógł wiedzieć, że Ettingera nie ma na intensywnej terapii?

- Ktoś z personelu - musiał przyznać Murdock.

- Kto mógł wiedzieć, że ma założoną dożylną kroplówkę kontrolowaną przez dozownika?

Poblądły Murdock słabo przytaknął.

- Chyba istotnie ma pan rację.

- Co więcej, morderca wybrał bardzo dobrą porę - dorzuciła Joanna. - Odczekał do chwili, gdy na oddziale zaczęła się bieganka, tak że mógł się swobodnie poruszać bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi.

- A jeśli wszyscy są zajęci ofiarami wypadku - podchwycił wątek Jake - są duże szanse, że nikt z personelu nie zainteresuje się Ettingerem aż do rana. I okazało się, że morderca miał rację. A także mnóstwo czasu, by zatrzeć ślady.

Murdock pokręcił głową.

- Ja nadal nie mogę uwierzyć w to, że ktoś z tego szpitala mógłby się posunąć do tak strasznego czynku.

- Ktoś jednak musiał to zrobić.

Jake rozejrzał się po pokoju, który analitycy przetrząsnęli cal po calu i nie znaleźli najmniejszej poszlaki. Tego jednak można się było spodziewać. Po uznanej zrazu za naturalną śmierci Ettingera salę rutynowo starannie wyszorowano i zdezynfekowano. Nawet więc, gdyby morderca zostawił jakiś ślad, został on bardzo starannie zlikwidowany. W końcu zatrzymał wzrok na łóżku.

- Czy Ettinger wiedział, że umiera?

- Mógł wiedzieć. Podany dożylnie koncentrat chlorku potasu straszliwie piecze - odpowiedziała Joanna. - Czemu pytasz?

- Jeśli był przytomny i czuł, że coś dzieje się nie tak, czemu nie nacisnął alarmu?

- Kto wie, czy nie próbował. Ale tak kompetentny morderca i o to by zadbał.

- Tak - powiedział z goryczą Jake. - Obstawił wszystkie wyjścia, prawda?

Kiedy wychodzili, zobaczył, że uchylone drzwi pokoju naprzeciwko delikatnie się zamykają.

- Kto zajmuje salę po przeciwnej stronie korytarza? - spytał.

Dellacorte sprawdził w dokumentach.

- Pani Ethel Ryan.

- Chciałbym z nią zamienić kilka słów.

- Chwileczkę, panie poruczniku - sprzeciwił się Murdock.

- Nie pozwolę na straszenie innych pacjentów.

Jake popatrzył na niego przeciągle, a potem zwrócił się do Dellacorte'a:

- Poważnie Chora?

- Guz na przewodzie żółciowym. Czeka dopiero na operację, sama się porusza.

- Czy może chwilę z nami porozmawiać?

- Nie widzę medycznych przeciwwskazań. - Zapukał do drzwi, odczekał moment i spytał:

- Pani Ryan, czy można?

- Tak, proszę - rozległo się ze środka.

Kiedy weszli, przyjrzała się całej grupce.

- A co to, konsylium jakieś?

Dellacorte uśmiechnął się, podszedł do staruszki i delikatnie poklepał ją po ramieniu.

- Policja przeprowadza dochodzenie w związku z pewną sprawą i chcieliby pani zadać kilka pytań, jeśli pani pozwoli.

- Ktoś ukradł coś z pokoju tego pana z przeciwka, co umarł? - spytała natychmiast, jak gdyby znała z góry odpowiedź na pytanie.

Jake wyszedł przed innych i przedstawił się.

- Porucznik Sinclair. Chciałem zadać kilka pytań na temat pokoju vis-à-vis; można?

- A więc miałam rację - powiedziała pani Ryan do siebie.

- Coś ukradli.

- Znała pani tego pacjenta?

- Osobiście? Nie. - Uśmiechnęła się do detektywa, który spodobał jej się od pierwszego wejrzenia. Przystojny, ale widać, że nie da sobie wcisnąć żadnego kitu. Bezwiednie zaczęła go kokietować, zwilżając wargi i odgarniając lok ufarbowanych na pomarańczowo włosów. - Ale pamiętam ten dzień, kiedy umarł.

- Ten poranek?

- I noc. Stale do niego zaglądali, znacznie częściej niż zwykle.

- A pani skąd o tym wie? - spytał zaskoczony Jake.

- Bo na noc zostawiam drzwi otwarte, żeby krzyczeć, jakby coś było ze mną nie w porządku. Na alarm to im się nie spieszy, ale jak się wydrzeć, to na pewno przylecą.

Murdock chrząknął.

- Czy zdarzyło się, że personel się nie zjawił na pani wezwanie?

- Nie, ale po co ryzykować? - uśmiechnęła się Ryan i poprawiła poduszki. Miała na sobie jedwabną nocną koszulę i szlafrok.

- Wróćmy do tamtej nocy, jeśli pani pozwoli - rzekł Jake.

- Pamięta pani może, co działo się koło północy? Nie spała pani jeszcze?

- Pewnie, że nie - odparła z ożywieniem Ryan. - Zawsze oglądam *Tonight Show*, więc kładę się dopiero koło pierwszej, drugiej.

- I co...

Twarz pani Ryan nagle pociemniała z bólu. Przycisnęła rękę do boku i ból stopniowo ustąpił. - Kiedy mi usuniecie tego przeklętego guza? - spytała Dellacorte'a.

- Kiedy tylko unormuje się u pani czas protrombinowy - uspokoił ją Dellacorte. - Przy niedostatecznej krzepliwości krwi, mogłaby pani umrzeć na krwotok pooperacyjny. A tego nie chcemy przecież ryzykować, prawda?

- Prawda, ale chcemy też pozbyć się tego guza, czyż nie?

- Oczywiście.

- Przepraszam, panie poruczniku - Ryan zwróciła się do Jake'a - o co pan pytał?

- Czy zauważyła pani, by ktoś wchodził do pokoju naprzeciwko koło północy?

Ryan namyślała się w skupieniu.

- Zaraz. To było w samym środku *Tonight Show*, więc... Tak, pamiętam, że do drzwi zapukała siostra i weszła.

- Jak długo tam była?

- E, niedługo. Z minutę i tyle.

- Widziała pani jej twarz?

Ryan wskazała palcem Nancy Fine.

- To była ona.

Jake kiwnął głową. To się zgadzało z zapisami w karcie Ettingera. Nancy Fine była u niego o godzinie 00.02.

- Czy ktoś potem jeszcze do niego wchodził?

- Tak, raz.

- Kiedy?

- Pięć albo dziesięć minut później. Ale teraz był to mężczyzna w tym ich zielonym mundurku.

- Lekarz?

Ryan wzruszyła ramieniem.

- Może. Ale także mógł to być stażysta albo student. Ja ich nie rozróżniam, wszyscy są podobni.

Jake zrobił krok bliżej.

- Widziała pani jego twarz.

- Nie. Ale słyszałam głos.

- Co powiedział?

- Zdaje się: „Przyszedłem udrożnić kroplówkę”.

Jake odwrócił się do Nancy Fine.

- Po co miałby ktoś przychodzić udrożnić kroplówkę Ettingera?

- To bez sensu. Działała bez zarzutu.

Jake znowu patrzył na Ethel Ryan.

- Na pewno nie dostrzegła pani twarzy?

- Na pewno.

- A rozpoznałaby pani głos?

- Chyba nie. Specjalnie nie zwracałam uwagi. Szłam właśnie do ubikacji.

- A kiedy pani wróciła, on dalej był tam w pokoju?

- Nie zauważyłam. Zmieniłam kanał, bo szedł stary film Freda Astaire'a. - Pani Ryan zamknęła oczy i westchnęła. - Ach, Fred Astaire i Ginger Rogers. Jacy oni byli wspaniali!

- Tak - zgodził się Jake. - Po prostu wspaniali! Bardzo dziękuję, pani Ryan.

Cała grupa opuściła pokój i znowu ruszyła korytarzem. Koło stanowiska pielęgniarskiego

tłoczyli się lekarze i pielęgniarki; wiadomość jak pożar rozeszła się po szpitalnych korytarzach.

- Wcale jeszcze z tego nie wynika, że to jeden z naszych pracowników - upierał się Murdock.

- A ja myślę, że wynika. Zrobić to mógł tylko ktoś, kto ma świetne rozeznanie w szpitalnych sprawach.

- Dobrze, ale Memorial to nie jedyne miejsce na świecie, gdzie można te sprawy poznać.

- Simonie, przecież wszystko na to wskazuje - z lekkim wyrzutem w głosie powiedziała Joanna. - Morderca znał drogę, odczekał do najodpowiedniejszego momentu, a wtedy wszedł ze strzykawką napełnioną chlorkiem potasu... - Urwała w pół zdania i poszukała wzrokiem naczelniej pielęgniarki. - Czy chlorek potasu jest inwentaryzowany?

- Tak. Dzięki temu wiemy, kiedy zaczyna go brakować.

- Proszę natychmiast sprawdzić, czy liczba fiolek zgadza się ze stanem inwentarzowym.

- Jedną chwilę.

Nancy Fine opuściła ich pospiesznym krokiem.

Jake patrzył z podziwem na Joannę. Taka opanowana, konsekwentna, dociekliwa. A na dodatek wiedziała coś, czego on nie wiedział: że chlorek potasu występuje we fiolkach. Prosta, a jakże istotna informacja.

Jake wyprostował barki i spojrzał na Murdocka i Dellacorte'a. Na pierwszy rzut oka, to oni najwięcej zyskiwali na śmierci Rudolpha Ettingera, magnat prasowy chciał bowiem zniszczyć szpital i reputację obu lekarzy. Czy jednak posunęliby się do morderstwa w tej chwili? Pozwy przeciw Memorial i lekarzom zostały już skierowane do sądu, a śmierć Ettingera nie mogła powstrzymać działań procesowych, a nawet mogła znacznie pogorszyć sytuację pozwanych. Nie, uznał Jake, to nie mogli być oni; usunięcie Ettingera nie dawało im żadnych korzyści.

Wróciła zadyszana Nancy Fine.

- Brakuje czterech fiolek z chlorkiem potasu.

- Morderca znał więc także rozkład stanowiska pielęgniarskiego - stwierdziła Joanna.

- Co więcej, może się tam dostać i wydostać stamtąd bez wzbudzania podejrzeń. Mówiąc inaczej: krąży po korytarzach Memorial Hospital.

Rozdział 33

- Mamy chyba wątrobę dla pani siostry - oznajmił Jason Adler. - Dwukrotnie sprawdziliśmy zgodność immunologiczną.

- Kto jest dawcą? - spytała Joanna.

- Nastolatek ze Szkocji. Przypadkowo postrzelony na polowaniu.

Weszli do sali kontrolnej Donors International. Panował tu półmrok, większość światła pochodziła z monitorów na ścianach. Karen Kessler, koordynatorka przeszczepów, siedziała przy konsolce, wystukując komendy na klawiaturze, a jednocześnie mówiąc do przymocowanego do słuchawek mikrofonu.

- Ile czasu zabierze dostarczenie wątroby tutaj? - spytała Joanna.

Adler dokonał szybkich wyliczeń.

- Jakież dwanaście godzin, jeśli nie będzie opóźnień w przylotach.

- Jaka szkoda, że concorde nie lata do Los Angeles!

- Może kiedyś, ale w tej chwili to i tak bez znaczenia. - Adler nachylił się nad Kessler.

- Karen, pokaż doktor Blalock dane potencjalnego dawcy. Wystarczyło kilka ruchów palców i ożył centralny ekran, a na nim ukazały się napisy:

POTENCJALNY DAWCA

NAZWISKO: ROY MCGREGOR

PŁEĆ: MĘSKA WIEK: 16 LAT

NARODOWOŚĆ: BRYTYJSKA

RASA: KAUKASKA

HISTORIA KLINICZNA: PRZYPADKOWY POSTRZAŁ GŁOWY. ŚMIERĆ KLINICZNA. 2 EEG KOSTNICY W EDYNBURGU. BRAK AKTYWNOŚCI MÓZGU

DOTYCHCZASOWE CHOROBY: ZNAKOMITE ZDROWIE. TYPOWE CHOROBY WIEKU DZIECIĘCEGO

PODAWANE LEKI: BRAK

ALERGIE: BRAK

HISTORIA RODZINNA:

RODZICE ZDROWI. BRAK RODZEŃSTWA

DZIADEK - DNA

BABKA - ZWŁÓKNIENIE PŁUC

OCENA LABORATORYJNA:

BILIRUBINA	0,8
SGOT	24
SGPT	40
FOSFATAZA ALKALICZNA	100
GGTP	52
ALBUMINY	4,4
GRUPA KRWI	B+

Joannie przede wszystkim rzucił się w oczy wiek dawcy: szesnaście lat, taki młody! Jedyne dziecko - co za tragedia dla rodziny! Nigdy dotąd nie zastanawiała się nad tym aspektem przeszczepów.

- Znaleźliśmy też potencjalnych biorców serca i nerek - usłyszała głos Adlera.

- Taki młody! - powtórzyła na głos Joanna.

- Tak, to tragedia, ale jego śmierć dla kogoś oznacza życie. Jedna rodzina rozpacza, myślała Joanna, podczas gdy trzy inne czują przyływ nadziei. Czuli się okropnie, zupełnie jakby własnymi rękami wrywała wątrobę z ciała chłopaka. Z drugiej strony jego śmierć otwierała przed Kate szansę na życie, a w imię tego Joanna była gotowa poruszyć niebo i ziemię. Znowu spojrzała na ekran.

- A typ tkanek?

Karen Kessler uruchomiła sąsiedni monitor.

KRYTYCZNE ANTYGENY

DAWCA	Kate Blalock
A- 2,10	A- 2,10
B- 8,16	B- 8,16
DR- ??	DR- 4,6

- Przebadaliśmy jego tkankę na dwa antygeny z grupy A i dwa z grupy B, tutaj zgodność jest bardzo dobra. Jedyne problem mamy z grupą DR. Z jakiegoś powodu nie możemy tego ustalić. Przesłaliśmy próbkę do znanego w całym świecie laboratorium londyńskiego i oni teraz nad tym pracują.

- Jeśli zatem u chłopca dwa antygeny z grupy DR będą odpowiadały antygenom Kate, zgodność jest całkowita.

- Bardzo dobra, ale nie całkowita - poprawił ją Adler. - Nawet jeśli zgadza się sześć antygenów z grup A, B i DR, nadal istnieje dwudziestoprocentowe prawdopodobieństwo odrzucenia wątroby przez biorcę.

- A jeśli jeden antygen się nie zgadza?

- Szansa odrzucenia podwaja się.

- A przy dwóch niezgodnościach?

- Jeśli nie zgadzają się dwa antygeny, w ogóle nie próbujemy przeszczepu, albowiem zostaje odrzucony w stu przypadkach na sto. Badana przez nas szóstka to nie są wszystkie antygeny, ale z całą pewnością są one krytyczne.

Joanna zmarszczyła brwi.

- I tak się je powszechnie nazywa? Krytyczne antygeny?

- Najczęściej. Czemu pani pyta?

Joanna usilnie wpatrywała się w napis krytyczne antygeny i przeszukiwała niedawne wspomnienia.

- Spotkałam się już z tym terminem, ale w innym kontekście.

Adler wzruszył ramieniem.

- Wiele jest krytycznych antygenów w ludzkiej biologii. Na przykład A, B i Rh określające grupę krwi.

- Nie, nie - zaprotestowała Joanna, której wydawało się, że odpowiedź ma na końcu języka. - To jakoś wiązało się z komputerem.

Adler chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i tylko rozłożył bezradnie ręce:

- Musiałaby pani powiedzieć coś konkretniejszego.

Konsoleta rozbrzmiała cichym buczeniem, a na ścianie zamigotało czerwone światelko. Joanna natychmiast wyczuła, że w sali zapanowało napięcie. Karen nacisnęła jakiś guzik i powoli cedziła słowa do mikrofonu. Joanna nic nie mogła dosłyszeć, ale twarz koordynatorki była bardzo poważna.

- To linia specjalna, wykorzystywana tylko w alarmowych sytuacjach - poinformował Adler.

Karen robiła jakieś notatki. Joannie teraz udało się wyłapać kilka kwestii. „Została przyjęta?” „Przyślemy naszych specjalistów”. „Tak, tak, bardzo dziękuję”. Adler przez cały czas nie spuszczał z niej oczu, a kiedy odłożyła słuchawkę, spytał:

- Jakies złe wiadomości?

Karen Kessler ciężko westchnęła.

- Jedna z naszych zastępczych matek miała wypadek na Ventura Freeway.

- Która?

- Sara Smith.

- Ranna?

- Nic nie złamane. - Karen nerwowo zapaliła papierosa.

- Ale w pokoju zabiegowym Memorial zaczęła lekko krwawić.

- Cholera - zaklął Adler. - Nawet pół roku nie jest jeszcze w ciąży. Czy podejrzewają poronienie?

- Nie są pewni, ale nie wykluczają. Przyjęli ją na położnictwo.

- Dopilnuj, żeby natychmiast ją obejrzel nasi położnicy.

- Może będzie miała szczęście i jednak nie poroni - powiedziała Kessler i wystukała numer doktora Roberta Goodalla.

Adler z irytacją postukał długopisem o stół, potem zerwał się i zaczął chodzić w kółko.

- Co ona, do cholery, robiła na autostradzie przy takiej pogodzie? Leje tak, że trudno dojrzeć czubek swojego nosa! Powiedz Goodallowi, że chcę natychmiast dostać raport z oględzin.

Kessler uniosła palec i pokiwała głową. Szukała lekarza pod jakimś kolejnym numerem.

- Czy dużo macie zastępczych matek w Donors International? - zainteresowała się Joanna.

- Na samym początku całkiem sporo. W większości jednak, co oczywiste, były to młode kobiety sprawiające wiele kłopotów.

- Jakich na przykład?

- Przede wszystkim niedojrzałość i chciwość. Większość robiła to, oczywiście, dla pieniędzy. Płaciliśmy im dziesięć tysięcy za donoszenie dziecka, co z początku im odpowiadało, ale byłyby pani zdumiona, ile z nich pod koniec ciąży domagało się dopłaty. No i jeszcze były takie, które pomimo podpisanej umowy chciały zachować dziecko. W kilku przypadkach musieliśmy zagrozić sądem.

- Zatem dziesięć lat temu zatrudnialiście wiele zastępczych matek?

Adler zastanowił się i powiedział:

- Sądzę, że jedna na pięć naszych ciąży była noszona przez zastępczą matkę.

- Czy zdarzało się, że komórka jajowa pochodziła od zastępczej matki, a plemniki od mężczyzny z bezpłodnej pary?

- Nigdy - stanowczo powiedział Adler. - Materiału genetycznego zawsze dostarczała bezpłodna para.

Joanna pomyślała o siostrze człowieka, którego szkielet znaleziono o milę od Donors

International.

- A czy interesowaliście się dalszym losem tych zastępczych matek?

- Nie. Rodziły dziecko, dostawały pieniądze zgodnie z umową i na tym nasze kontakty się kończyły. Czemu pani pyta?

- Jeden z przypadków, które badamy w Memorial, wiąże się z zastępczym macierzyństwem.

- I z Donors International?

- Nie wiem na pewno. To było dobre kilka lat temu. Ta kobieta nazywała się Diane Butler. Czy to nazwisko coś panu mówi?

Zadając pytanie, uważnie wpatrywała się w twarz Adlera, ale ta pozostała zupełnie obojętna. Odpowiedział ze wzruszeniem ramion:

- Tak natychmiast to nie. Ale mogę sprawdzić w naszej dokumentacji.

- Byłabym wdzięczna.

- Dobrze, zatelefonuję do nich.

Podszedł do telefonu wiszącego na ścianie, wystukał numer, powiedział coś, przez moment słuchał odpowiedzi, potem odwiesił słuchawkę i wrócił.

- Zapomniałem, że już po ósmej, więc jest tylko dyżurny personel. Trzeba z tymi poszukiwaniami poczekać do jutra rana. Dam pani znać, jak tylko czegoś się dowiem.

- Z góry dziękuję.

Karen Kessler zdjęła z głowy słuchawkę i rozmasowała mięśnie karku.

- Doktor Goodall kończy cesarskie cięcie w Santa Monica Hospital i w ciągu godziny powinien dotrzeć do naszej pacjentki.

- Wie, że ma bezzwłocznie informować?

- Wie.

Na konsolce rozbłysło zielone światelko. Karen nachyliła się, odczytała wiadomość z drukarki i powiedziała:

- Nadchodzą dane z Londynu.

Na ekranie jedna po drugiej pojawiły się linijki:

TYP TKANKI

(LONDYN)

KATE BLALOCK

A- 2,10

B- 8,16

DAWCA

A- 2,10

B- 8,16

DR- 4,6

DR- PROSZĘ CZEKAĆ

Serca waliło Joannie jak młotem. „Niech chociaż jeden antygen będzie zgodny”, błagała w myśli. „Chociaż jeden!” Pięć na sześć będzie zgodnych, a to oznacza możliwość przeszczepu.

„Jeden, wystarczy jeden”.

Ekran na chwilę opustoszał, a potem od nowa wyświetlił kolejno linijki.

TYP TKANKI

(LONDYN)

KATE BLALOCK

DAWCA

A- 2,10

A- 2,10

B- 8,16

B- 8,16

DR- 4,6

DR- 3,7

- Przykro mi - odezwał się Adler. - Antygeny DR się nie zgadzają. Chłopiec nie jest odpowiednim dawcą.

Joanna nawet nie starała się ukryć rozgoryczenia. Tak blisko, tak blisko, tylko dwa antygeny na sześć nie pasowały. Blisko, ale nie całkiem.

- Będziecie dalej poszukiwać dawcy?

- Oczywiście - z pasją zapewnił Adler. - I w końcu znajdziemy. Tylko musi dotrzeć do tej chwili.

- Nie jestem pewna, ile jeszcze wytrzyma - na pół wyszeptała Joanna. - Spróbuj ją leczyć skoncentrowaną gamma-globuliną, ale nie wiadomo, jakie są rokowania przy tej terapii.

- Może jednak przynajmniej zyskamy trochę czasu.

Joanna odetchnęła głęboko i powiedziała wolno:

- Być może jedynym ratunkiem dla mojej siostry będzie przeszczepienie jej płatu mojej wątroby. Nasze parametry wykazują odpowiednią zgodność, prawda?

Adler przytaknął i dał znak Karen Kessler. Joanna kazała się przebadać w Memorial i Donors International, gdyż chciała, aby analizy przeprowadziły te same laboratoria co w przypadku Kate. Na ekranie pojawiły się dane

KATE BLALOCK

JOANNA BLALOCK

A- 2,10

A- 2,10

B- 8,16

B- 8,16

- Tylko jedna niezgodność - powiedział Adler. - Może być pani dawczynią dla swej siostry.

- Muszę zacząć przygotowywać się do operacji - mruknęła na poły do siebie Joanna.

- Może wcześniej uda nam się znaleźć dawcę - rzekł pocieszającym tonem Adler. - Badamy właśnie typ tkanek dwóch innych ofiar wypadków. Może jeden z nich mógłby być dawcą dla pani siostry.

- Może - zgodziła się Joanna, chociaż w głębi duszy czuła, że przeszczep płuca wątroby okaże się nieunikniony. Ponownie spojrzała na ekran i uwagę jej przykuł napis na samej górze.

CRITICAL ANTIGENS

Oczy nagle się jej rozszerzyły. Pierwsze litery to C i A. CA! Przypomniała sobie plik z dyskietki znalezionej w biurku Warrena. W danych każdej z potencjalnych żon znajdowała się linijka zatytułowana CA, a potem sześć cyfr. Sześć antygenów, sześć krytycznych antygenów! Gwałtownie odwróciła się do Adlera.

- Co się stało? - spytał tamten zaskoczony.

- Potrzebny mi typ tkanki Williama Arthura Warrena. Muszę znać jego sześć krytycznych antygenów.

Adler patrzył na nią w osłupieniu.

- A można wiedzieć, po co?

- Błagam, proszę mi zrobić wydruk komputerowy.

Adler dał znak Kessler i po chwili z drukarki wysunęła się kartka, którą Joanna porwała i pędem wybiegła z sali kontrolnej.

Rozdział 34

Joanna nie mogła uwierzyć, że auta mogą tak szybko mknąć San Diego Freeway; deszcz walił tak, iż wycieraczki nie mogły nadążyć, tymczasem samochody przelatowały obok niej z szybkością sześćdziesięciu i więcej mil na godzinę. Ona trzymała się wolnego pasa, ale w lusterku widziała, że ktoś jechał wprost na jej zderzaku, zatem i ona musiała przyspieszyć.

- Cholera! I czemu tak się trzyma?! - warczała. Jechał za nią jakiś duży wóz, może ciężarówka, może cysterna, w każdym razie jego światła padały wprost na lusterko. Dodała gazu i dystans odrobinę się zwiększył. Jeszcze trzy odejścia, potem zjeżdża z autostrady, jeszcze dziesięć minut do Memorial i będzie znała odpowiedź.

Znowu w oczach stanęła jej dyskietka Warrena z potencjalnymi żonami; tajemnicze dane musiały dotyczyć krytycznych antygenów, na pewno, nie było innego rozwiązania. Łatwo można tego dowieść: wystarczyło porównać dane Warrena z tymi utrwalonymi na dyskietce. Jeśli występowała tu zgodność co najmniej pięć na sześć, to William Arthur Warren wybrał żonę, kierując się typem tkanki. Zależało mu na jej organach.

Sama musiała siebie przestrzec przed zbyt szybkimi wnioskami. Powoli, spokojnie, najpierw porównajmy. Intuicyjnie czuła jednak, że ma rację. Co za sukinyś...

Przeleciała obok niej wielka cysterna paliwowa, wyrzucając spod kół wielką fontannę wody, która zalała przednią szybę Joanny i oślepiła ją na chwilę. Nosem prawie przywarła do szyby, pod kołami poczuła znaki oddzielające pasy drogi. Z lewej rozległ się przeraźliwy klakson, odruchowo ruszyła kierownicą w lewo i znowu jakiś samochód ją prześcignął.

- Chryste Panie! - mruknęła przez zęby, ręce zaciskając na kierownicy i wpatrując się w szosę. Wielkie bydlę znowu siedziało jej na zderzaku, świecąc wprost w lusterko. Czemu tak blisko, irytowała się Joanna, jakiś wariat albo marny dowcipniś. Znowu przyspieszyła.

Deszcz nieco osłabł, przed sobą zobaczyła morze czerwonych świateł. Kierowcy zwalniali przy Sepulveda Pass, odcinku autostrady, który przed Brentwood nieco się wznosił. Jeszcze dwa zjazdy i przyjdzie na nią kolej. Także wóz za nią zwolnił i nie trzymał się już tak blisko.

Deszcz zamienił się w mżawkę, do połowy spuściła więc szybę, żeby wpuścić trochę powietrza. Jeszcze kwadrans i będzie w Memorial Hospital. Przynajmniej jedna zagadka zostanie rozwiązana, chociaż nadal wiele pytań pozostanie bez odpowiedzi. Na przykład,

dlaczego w przeszczepionych wątrobach pojawiały się torbiele? W tej kwestii nie miała nawet najmniejszych podejrzeń.

Samochód z tyłu nagle znalazł się obok niej. Wóz do transportu sprzętu sportowego, sądząc z napisów na burcie. Szyby miał opuszczone, na chwilę splotły się spojrzenia jej i kierowcy. Popatrzyła na szosę, potem znowu na natrętnego kierowcę. Był cały odziany na czarno, w marnym świetle nie mogła rozpoznać jego twarzy.

Dodała gazu, ale to samo zrobił jej sąsiad, tak że dalej jechali obok siebie. Teraz była już pewna, że to jakiś idiota, którego rajcują zabawy na szosie. Popatrzyła w bok i zobaczyła, że kierowca wyciąga w jej kierunku rękę zakończoną czymś błyszczącym. Dopiero w następnej chwili zrozumiała, że to pistolet. Błysnęło i szyba rozleciała się, zasypując jej twarz i szyję odpryskami. Nieświadomie poderwała ręce do oczu, samochód zatoczył się. Słyszała pisk opon, szcęk metalu; jeszcze jeden wystrzał, a potem cisza i ciemność.

Rozdział 35

- Czemu federalni są tacy tajemniczy w związku z tym gościem? - zastanawiał się na głos Lou.

- Tego nie powiedzieli - rzekł Jake - w każdym razie nie chcieli rozmawiać o nim przez telefon.

- W każdym razie dostali ładny komplet odcisków, tych z żarówki, nie?

- Bardzo ładny, Jake zapalił w roztargnieniu greckiego papierosa, myśląc jednocześnie o żarówce w motelu, gdzie zamordowano Pamelę Warren i Tony'ego Boyette'a. Morderca chciał wykręcić żarówkę, żeby było jak najmniej światła. Jako zawodowiec był z pewnością w rękawiczkach, ale metalowa obudowa była tak ciasna, że nawet gołej dłoni było ciasno, co Jake własnoręcznie sprawdził. Tamten odruchowo zdjął więc rękawiczkę - i zostawił ślady. Poważny błąd.

Za oknami błysnęło i rozległ się huk grzmotu. Światła w sali konferencyjnej centrali FBI w West Los Angeles przygasły na moment i znowu się rozjarzyły. Spojrzał na zalane wodą szyby, za którymi ciemniała noc.

- Czy ten deszcz kiedykolwiek się skończy?

- Za rok, za dwa - kwaśno odparł Farelli. - Przynajmniej mamy spokój z tym pieprzonym snajperem. Nie lubi wilgoci.

- Albo zamoczonego celownika.

- Tak, myślisz, że ma optyczny celownik?

- I to niezłej klasy. To nie jest jakiś tam sobie amator pukaniny.

Drzwi otworzyły się, wszedł agent Robert Henry, rosły, krótko ostrzyżony mężczyzna w średnim wieku i usiadł naprzeciw obu detektywów. Na stole położył dwie cienkie teczki.

- Człowiek, którego szukacie nazywa się Luis Vega i jest kawałem niezłego skurwiela. - Podsunął jedną z teczek Jake'owi. - Urodził się w Hawanie, a do USA dostał się w trakcie Wycieczki z Mariel.

- Co to takiego? - spytał zdziwiony Farelli.

- Koszmar - mruknął Henry. - Za czasów Cartera z wielką pasją krytykowano Castro za ograniczenia praw obywatelskich, na przykład niepozwalanie Kubańczykom na wyjazd z kraju. Fidel postanowił więc nas zadowolić i wypuścić z więzień najgorszych kryminalistów,

ale pod warunkiem, że udadzą się do USA. A byli to najgorsi z najgorszych: mordercy, gwałciciele, zbrodniarze. Docierali na Florydę wszystkim, co mogło się trzymać na wodzie. Nazwano to Wycieczką z Mariel od nazwy najgorszego na Kubie więzienia.

- Chryste Panie! - krzyknął Farelli. - I my na to pozwoliliśmy?

- Sami się prosiliśmy, pokazał, że nie trzyma na siłę swych rodaków na wyspie. Pamiętacie *Człowieka z blizną* z Alem Pacino? To oparte na faktach, a ci psychopatyczni mordercy, to właśnie część Wycieczki z Mariel.

Jake przejrzał obie znajdujące się w teczce strony i powiedział:

- Dziwna sprawa. Przez kilka lat czyściutki jak ministrant, a potem się rozpętuje piekło.

- Tylko tyle oficjalnie wiadomo - zauważył Henry.

- A nieoficjalnie?

Henry mówił powoli, starannie dobierając słowa.

- To, co zaraz powiem, zostało uzyskane od innej agencji wywiadowczej. Nie ma na to żadnych potwierżeń, żadnych dowodów, w tym sensie ta informacja nie istnieje.

- Chodzi panu o to, że akta zostały wyczyszczone - ni to spytał, ni to stwierdził Jake.

- Tak. A tym, którzy to zrobili, zależy, aby tak już zostało. Wyrażam się dostatecznie jasno?

- Mhm.

- Poczuję się papierosem. - Henry sięgnął po leżącą na stole paczkę. Zapalił i zaciągnął się głęboko. - Ograniczam się do trzech dziennie i każdy to prawdziwa rozkosz.

Farelli także poczuł pokusę, ale dobrze wiedział, że jeśli on zapali jednego, już za chwilę będzie zużywał paczkę dziennie.

- Wróćmy do naszego Luisa Vegi. Ledwie wysiadł z łódki, natychmiast zabrał się do narkotyków i szło mu bardzo, bardzo dobrze. Nie trzeba było długo czekać, żeby jego gang kontrolował połowę handlu na Miami. Potem jednak zrobiło się już trudniej, gdyż inne grupy ani myślały się temu beczynnie przyglądać, no i zaczęły się wojny narkotkowe. Ginęli ludzie, pojawiły się kłopoty z dostawcami, wreszcie jeden z jego podkomendnych, który siedział w narkotykach po uszy, wpadł i poszedł z DEA na ugodę: puszczą go wolno, a on da im takie materiały na Luisa Vegę, że będą go mogli posadzić na tysiąc lat.

- No i co? - spytał najwyraźniej zaintrygowany Farelli.

- Nic. Vega jest kuty na cztery nogi, a kapusie giną często w zupełnie nieoczekiwanych okolicznościach.

Henry znowu zaciągnął się dymem, ale czuł wyrzuty sumienia. Tak naprawdę nie był to jego trzeci, ale szósty papieros tego dnia. A miał jeszcze jednego zamelinowanego w

samochodzie i dobrze wiedział, że wypali go w drodze powrotnej do domu. Cholera jasna! Żeby tak nie móc nad sobą zapanować!

- Wierzcie mi, to nie jest prymitywny brutal. Skończył college, mówi tak biegle po hiszpańsku, angielsku i włosku, że może sobie przypisywać każdą z tych narodowości.

Teraz Henry podsunął Jake'owi drugą teczkę. W tej znajdowała się czarno-biała fotografia dwanaście na dwanaście cali. Inteligentna twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi i wąskimi ustami. Ciemne włosy bez śladu siwizny, na oko jakieś czterdzieści lat.

- Kiedy zrobiono to zdjęcie? - spytał.

- Chyba ze cztery lata temu. W każdym razie ludzie z DEA uznali, że skoro Vega jest taki sprytny, to można będzie dzięki niemu infiltrować latynoamerykański handel narkotykami. Zaproponowali mu, że wyczyszczą akta w zamian za szpiegowanie południowoamerykańskiego kartelu. Zgodził się, wykonywał mokrą robotę dla Kolumbijczyków. - Jake i Lou spojrzeli na siebie spod oka; dobrze wiedzieli, co znaczy „mokra robota”. - Zupełnie się zbiesił w połowie lat osiemdziesiątych, zaczął bowiem przyjmować zamówienia na wyroki tutaj, w Stanach. Na to DEA pójść już nie mogła. Morderstwo w Bogocie to nie to samo co morderstwo w Nowym Jorku. Oznajmili, że zrywają z nim kontakty i teraz działa już tylko na własną rękę, a jednocześnie usunęli wszelkie ślady tego, że mieli z nim jakiegokolwiek związek.

- Rozumiem - pokiwał głową Jake. - I stąd ta nagła erupcja przestępczej aktywności. Zbrojny napad, posiadanie śmiertelnych narzędzi, wymuszenie, próba morderstwa. Dwanaście zatrzymań i żadnych dowodów.

- Niczego, co utrzymałoby się w najbardziej nawet niechętnym dla niego sądzie - powiedział z żalem w głosie Henry. - Jak mówiłem, to facet kuty na cztery nogi.

- Tak czy owak: morderca do wynajęcia.

- Wszystko na to wskazuje. Specjalizuje się w przypadkowych śmierciach.

- To by się zgadzało. - Jake opowiedział Henry'emu o śmierci Pameli Wearren i Tony'ego Boyette'a w motelu. - Vega bez żadnego trudu mógłby też dostać tajską heroinę.

- Wystarczyłby jeden telefon, żeby miał do dyspozycji tonę - z przekonaniem w głosie oświadczył Henry. Przez chwilę zastanawiał się, odtwarzając przed oczyma scenę opisaną przez Sinclaira. - I po co zostawił jej w żyłę igłę ze strzykawką? Chytrze.

- Tak, to spryciarz, ale tym razem zostawił kilka śladów.

- Hm, coś podobnego zdarzyło się w Nowym Jorku - powiedział Henry. - Pewien sędzia dostał forszę za wyświadczenie przysługi jednej z mafijnych rodzin. Wziął, ale o przysłudze

zapomniał. Vedze zlecono załatwienie sędziego. Znalaziono go w łazience, wanna pełna wody, podłoga zalana. W pierwszej chwili wyglądało na to, że pośliznął się i uderzył potylicą o kant wanny. Śledztwo wykazało jednak, że sędzia nie mógł brać kąpieli ani nawet pryszniców z powodu choroby skórnej. Mógł się tylko obmywać gąbką nasączoną specjalnymi substancjami oleistymi, które nie powodowały stanów zapalnych. Vega najpierw go uśmiercił ciosem w kark, potem zainscenizował całą sytuację w łazience.

- Czy ktoś go zauważył na miejscu zbrodni?

- Tak. Znalaziono świadka, który widział, jak Vega opuszcza dom sędziego. Został wydany nakaz aresztowania, ale dowiedzenie mu morderstwa nie będzie już takie proste.

Jake podrapał się za uchem.

- Mówi pan, że Vega pracuje dla nowojorskiej rodziny?

Henry przytaknął.

- Skądinąd mającej wielkie znajomości. Z tego co nam wiadomo, teraz pracuje tylko dla nich, nie przyjmuje żadnych zamówień na boku.

Jake bacznie przyjrzał się Henry'emu.

- Czy to znaczy, że Pamela Warren i Tony Boyette mieli jakieś związki z mafią?

- Raczej powiedziałbym tak: jeśli zabił ich Luis Vega, to mafii zależało na ich śmierci.

Rozdział 36

Jake Sinclair wpadł z rozpędem do pokoju szpitalnego. Lekarz w długim białym fartuchu nachylał się nad Joanną i oftalmoskopem badał jej oczy. Miała wprowadzoną do żyły kroplówkę, za łóżkiem stały migające monitory.

Doktor spojrział pytająco na Jake'a.

- Kim pan jest?

- Rodzina. Jaki jest jej stan?

- Niezły, jeśli zważyć na to, co pacjentka przeszła. - Tabliczka na fartuchu informowała, ze informacji udziela dr Robert Wills, z Oddziału Neurologii. Spojrział na Joannę. - Obrażenia, o dziwo, niewielkie, aczkolwiek nie można wykluczyć bólów głowy przez jakiś czas.

- Mam zamglony obraz w oczach i kłopoty z koncentracją - poskarżyła się Joanna.

- To normalne po wstrząsie mózgu. Dolegliwości powinny z czasem ustąpić, w każdym razie proszę mnie na bieżąco informować o wszystkich zmianach, jak na przykład zasłabnięcia czy odrętwienie.

- Obiecuję.

Doktor Wills wyszedł, a Jake ze ściśniętym sercem przypatrywał się Joannie. Na czole miała purpurowego guza wielkości jajka, na policzku i szyi szramy i blizny.

- Wyglądasz, jakbyś wróciła z wojny - powiedział.

Joanna skrzywiła się, gdy drzwi zamknęły się z lekkim trzaskiem. Każdy dźwięk pogłębiał ból głowy. Jake przysunął krzesło do łóżka i usiadł; dotknął palcem końca nosa Joanny.

- Wszystko mnie boli - powiedziała cicho. - Zupełnie jakby mnie bili deską.

- Sądząc z raportu drogówki i opisu samochodu, masz szczęście, że w ogóle żyjesz.

Joanna ostrożnie kiwnęła głową. Pamiętała pisk opon, zgrzyt metalu, wszystko zaczyna się obracać.

- Co się tam stało na szosie? - spytał Jake.

- Ktoś do mnie strzelał.

- Co takiego? - zawołał Jake i zerwał się na równe nogi.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie. Widziałam wyciągniętą dłoń, a w niej broń.

Szpila bólu przeszła skroń; Joanna zagryzła zęby, z wolna dochodziła do siebie.

- Możesz mówić?

- Tak, tylko czasami ból przeszkadza.

- To zacznijmy od początku. Skąd jechałaś?

Joanna sięgnęła po bryłkę lodu i zwilżyła wargi. Myśli ciągle jej się plątały.

- Zaraz... Pamiętam, że byłam w Donors International - powiedziała niepewnie - bo... bo przypuszczali, że mogą mieć dawcę dla Kate, ale okazało się ostatecznie, że nie ma zgodności immunologicznej.

Zamknęła oczy z uczuciem rozpacz, tylko dwie różnice, a jednak wszystko na nic!

- Co dalej? - Delikatnie ponaglił ją Jake.

Czegoś jeszcze dowiedziała się w Donors, ale czego...

- Potem pamiętam, że jadę autostradą, za mną uparcie się trzyma jakiś samochód, potem zrównuje się, facet strzela i szyba rozpryskuje mi się przed oczyma.

Jake mocno zacisnął szczęki.

- Niewykluczone, że to ten sam, który przedtem strzelał z boku drogi. W samochodzie nie musi się martwić o pogodę.

- Chyba nie - słabym głosem zaoponowała Joanna. - Facet jechał za mną przez dobrą milę, potem nagle znalazł się na sąsiednim pasie i wtedy zobaczyłam broń.

Zanotował sobie, żeby sprawdzić w drogówce, czy były inne wypadki strzałów na szosie.

- Widziałaś twarz?

- Było za ciemno, ale na pewno ubrany był na czarno.

Jake zmrużył oczy.

- Czarny kapelusz?

Joanna usiłowała sobie przypomnieć.

- Nie, nie wiem.

- Skup się. Czarny kapelusz w rodzaju tych, które nosił Humphrey Bogart.

Ale Joanna miała w oczach tylko błysk rewolweru.

- Nie mogę powiedzieć na pewno. Dlaczego to takie ważne?

- Bo morderca Pameli Warren i Tony'ego Boyette'a był ubrany cały na czarno i miał także czarny kapelusz.

Joanna patrzyła na Jake'a, mrugając powiekami.

- Dlaczego... dlaczego ten sam chciałby zabić mnie?

- Wcale nie jestem pewien, że to ten sam człowiek.

- Ale to przecież możliwe.

Jake gwałtownie pokręcił głową.

- Strzelanie na autostradzie nie pasuje do tamtego. On stara się to załatwić w inny, mniej jawny sposób.

- Więc wiesz już, kto to?

Jake przytaknął i pokrótce opowiedział Joannie o Luisie Vedze, śladach, jakie zostawił na żarówce, a także inscenizowanych śmierciach.

- Jest teraz na usługach mafii.

Joanna aż podniosła się na łokciu.

- Mafii? Mafia miałyby mordować kogoś takiego jak Tony Boyette?

- Usiłujemy to rozgryźć - mruknął Jake.

- Mafia? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Tak przypuszczam, ale ciągle nie znamy powodu.

Joanna znowu opadła na poduszkę.

- Tyle w tym wszystkim fragmentów, które do siebie nie pasują. Jedna zagadka goni drugą.

Zamknęła oczy; w obecności Jake'a galopada myśli trochę się uspokajała. Była w Donors International, wraz z Adlerem i Kessler czekała na wyniki badania z Londynu. Potem Kessler rozmawia przez telefon, ale o czym? Jakiś wypadek, ktoś poszkodowany. Nie, nie ktoś. Ciężarna kobieta. Zastępcza matka. Otworzyła oczy.

- Donors International wynajmowało dla bezpłodnych par zastępcze matki.

- Skąd wiesz?

- Powiedział mi Jason Adler.

Tego była pewna.

- Spytałaś go może o Dianę Butler, tę siostrę naszego człowieka od szkieletu?

Leciutko kiwnęła głową.

- Nie pamiętała jej nazwiska i nie widziałam żadnej reakcji na jego twarzy.

- Nam też niewiele udało się ustalić w związku z nią - powiedział Jake. - Tylko nazwę szpitala, gdzie urodziła dziecko.

- Dostałaś dokumenty?

- Utajnione na mocy wyroku sądowego.

- To je odtajnij na mocy wyroku sądowego.

Ten błysk dawnej Joanny sprawił, że Jake uśmiechnął się promiennie.

- Już podjęliśmy starania - poinformował.

Mgła niepamięci się rozwiewała.

- Jeszcze jedno - powiedziała Joanna. - Pamiętasz tę dyskietkę znaną w domu Warrena?

- Tak.

- W plikach były linijki rozpoczynające się od CA, a potem następowało sześć cyfr. CA to skrót od krytycznych antygenów. - W możliwie najprostszy sposób opisała znaczenie antygenów dla ustalenia zgodności immunologicznej dawcy i biorcy przeszczepu. - Mówiąc inaczej, zastanawiając się nad przyszłą żoną, Warren traktował ją jako możliwego dawcę organów.

Jake nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Wybierał kobietę, żeby móc w razie potrzeby wykorzystać jej organy?

- I dlatego musiała między nimi zachodzić zgodność tkanek.

Jake zerwał się i zaczął krążyć, kręcąc głową i mrucząc coś pod nosem. Odruchowo sięgnął po papierosa, ale przypomniał sobie, że jest w szpitalu.

- Można tego dowieść?

- Jasne - zapewniła Joanna. - Trzeba tylko porównać jego typ tkanki z tymi, które występują u kobiet uznanych za potencjalne żony. Jeśli jest całkowita zgodność - mamy odpowiedź.

Tak to już jest, myślał Jake, wydaje ci się, że poznałeś już granice ludzkiej podłości i bezwzględności, a tu okazuje się, że facet poślubia kobietę, aby w razie potrzeby mieć pod ręką...

Nagle znieruchomiał i podniósł wyciągnięty palec.

- Zaraz, poczekaj, przecież Warrenowi rok temu przeszczepiono wątrobę, ale wcale nie od Pameli, jego żony!

Joanna skrzywiła się posępnie.

- Była jego asem w rękawie, dawczynią rezerwową.

- Albo ty jesteś zdeprawowana, albo świat już zupełnie zszedł na psy - oznajmił Jake. - W każdym razie wątrobę do transplantacji dostał trybem przyjętym w Donors International.

- Nie byłabym tego taka pewna - powiedziała Joanna.

- No to jak ją dostał?

- Może pochodziła od jednej z tych potencjalnych żon, których nie wybrał.

- To zaczyna być coraz bardziej szalone. Przecież można ustalić, skąd Warren dostał wątrobę. Trzeba się tylko zwrócić do Donors International, a oni muszą dostarczyć nam informacji.

- Więcej, już mi dostarczyli. Wątroba miała pochodzić od młodego Węgra.

Jake szeroko rozłożył ręce.

- No i masz odpowiedź!

- Ale przecież mogło być tak, że Warren jednej z tych swoich potencjalnych żon pokrył wycieczkę na Węgry, wiesz, wszystko opłacone, podróż, hotele i tak dalej. Ona na Węgrzech ma wypadek - zainscenizowany, rzecz jasna - w którym doznaje poważnych obrażeń głowy. Zostaje rozpoznana śmierć mózgową, a jej wątroba jako wątroba chłopca leci do USA.

- Nie, nie - zaprotestował Jake. - Nie da się zrobić takiej podmiany.

Joanna znowu przycisnęła palce do skroni i milczała jakiś czas, a potem rzekła:

- Jake, tutaj niczego nie trzeba podmieniać. Zgodność immunologiczną bada się na podstawie próbek krwi. Dawcy nigdy nie widzą biorców, ani biorcy dawców. Nawet lekarze się nie znają. Wystarczą same próbki krwi. Niedoświadczona żona znajduje się w Budapeszcie, analiza krwi wykazuje ten sam typ tkanki co u Williama Arthura Warrena. Wątroba usunięta leci wysłana do Ameryki, a lekarz dostaje łapówkę, żeby poświadczyć, że dawcą był kilkunastoletni chłopak. Taka wiadomość dociera do Donors International i staje się częścią ich elektronicznej dokumentacji. W ten sposób znika jakakolwiek bezpośrednia więź między Warrenem a dawcą.

- Myślisz, że Donors International to część tego spisku?

- Może tak, może nie. Mogli zupełnie bez swojej wiedzy zostać wykorzystani przez Warrena. Byli mu potrzebni, aby miał pewność, że nikt inny nie dostanie wątroby.

Jake pospiesznie coś notował.

- Musimy sprawdzić, czy pozostałe osoby wymienione na tej dyskietce żyją.

- Ale najpierw ustal, czy typ tkanki Warrena zgodny jest z ich typem.

- A skąd będę wiedział, jaki to typ?

- Mam w torebce. Przed wyjściem z Donors International poprosiłam o wydruk. - Wyciągnęła rękę w kierunku stolika, ale natychmiast sobie przypomniała, że wszystkie wartościowe rzeczy znalazły się w szpitalnym sejfie. - Zgłoś się do dyżurnej pielęgniarki, ona pokaże ci moją torebkę. Aha, zgodność nie musi być całkowita. Wystarczy, żeby pięć parametrów z sześciu było identyczne.

- Pięć z sześciu - powtórzył Jake.

Joanna nagle pobladła, poczuła falę mdłości. Z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- Znowu kręci mi się w głowie.

- Wezwać siostrę?

- Tak, proszę.

Z twarzą bladą jak prześcieradło sięgnęła po lód i zaczęła go - ssać, ale raptownie porwała z podłogi plastikową torbę i zaczęła do niej wymiotować.

Jake pobiegł po pomoc, a przez głowę przemknęła mu myśl, że takie zorganizowanie przeszczepu byłoby bardzo, ale to bardzo skomplikowane, a potem, że dla ludzi odpowiednio bogatych i potężnych nie istnieją niemal żadne przeszkody.

Rozdział 37

Dyżurna pielęgniarka wyszła jej naprzeciw.

- Dzień dobry, doktor Blalock. Co panią sprowadza na położnictwo?

- Pozwolono mi trochę się ruszać. To pomoże w rekonwalescencji.

- Słyszałam o pani wypadku - powiedziała siostra, która starała się zbyt uważnie nie przypatrywać siniakom i bliznom. - Da pani wiarę, że tej samej nocy miała wypadek także jedna z naszych pacjentek?

- Tak, ktoś mi o tym mówił. I jak z nią? Wszystko w porządku?

- Tak, teraz już zupełnie dobrze. Miała niewielkie krwawienie, ale szybko ustało i wydaje się, że płód nie ucierpiał. - Pielęgniarka ściszyła głos. - Wie pani, że to jedna z tych zastępczych matek?

Intonacja i zachowanie sugerowały, że mówiąca nie akceptuje takich rozwiązań.

- Słyszałam, a co więcej, nie wykluczam, że mamy wspólnych znajomych.

Pielęgniarka wyraźnie spoważniała. Powiedziała ni w pięć, ni w dziewięć:

- Sara jest bardzo miłą osobą.

- Z chęcią zamienię z nią kilka słów. Gdzie leży?

- W sali 810.

Joanna poszła korytarzem, trzymając się blisko ściany, na wypadek nagłego zawrotu głowy, ciągle bowiem nawiedzały ją znienacka. Za nią postępował sanitariusz, którego wysłano razem z nią, gdyby nagle potrzebna okazała się pomoc.

Kiedy dotarli do pokoju 810, Joanna odwróciła się do niego:

- Niech pan sobie gdzieś usiądzie.

- Kazali mi mieć na panią oko.

- Ja tutaj chciałam porozmawiać ze znajomą, nudne takie babskie gadanie. Niech pan napije się tu kawy u pielęgniarek, a gdybym czegoś potrzebowała, naciśnie alarm.

- W porządku - mruknął i niemal natychmiast się zdematerializował.

Joanna delikatnie zapukała do drzwi i weszła. Sara siedziała oparta o dwie poduszki. Miała jakieś dwadzieścia lat, ładną piegowatą twarz i długie kasztanowe włosy.

- Dzień dobry - niepewnie powitała Joannę.

- Dzień dobry. Nazywam się Joanna Blalock.

- A ja Sara Smith.
- Można trochę pogawędzić?
- Jasne.

Widać było, że Sara chciałaby zapytać o obrażenia na twarzy Joanny, ale nie ma śmiałości.

- Miałam wczoraj mały wypadek samochodowy - powiedziała Joanna i zaraz dodała: - Pielęgniarka powiedziała, że jesteś zastępczą matką.

- Tak - odrzekła Sara, która pomyślała, że może ta kobieta też chciałaby skorzystać z takiej pomocy. - Interesuje to panią?

- Trochę - ogólnikowo odpowiedziała Joanna. - Jak do tego doszło?

- Większość z nas dowiaduje się o takiej możliwości od znajomych, chociaż podobno są gdzieś jakieś ogłoszenia.

- A pani jak znalazła swoją instytucję?

- Donors International?

- Tak - odpowiedziała Joanna rzeczowym, nie zdradzającym żadnego szczególnego zainteresowania głosem.

- Powiedziała mi taka koleżanka z Santa Barbara, która już była w to zaangażowana. No więc zadzwoniłam do nich, wtedy kazali mi wypełnić taki formularz i po pewnym czasie zgłosili się do mnie.

- To jest też filia Donors International w Santa Barbara?

- Nie, nie, zadzwoniłam do nich z Santa Barbara, bo tam mieszkam. A jak już się zdecydowali, to przysłali po mnie samochód, który mnie zawiózł do tej kliniki pod Los Angeles.

- Takiej w górach?

- Tak. Piękne miejsce, prawda? Zupełnie nie wygląda jak szpital.

- I co było dalej?

- Najpierw wypytuja, potem trzeba przejść sama już nie wiem ile badań, a wszystko zanim jeszcze skierują cię do ginekologa. No ale dopiero jak on powie, że wszystko w porządku, to cię naprawdę przyjmują.

- Tak dużo było tych badań?

- Całe mnóstwo. Badają dokładnie wszystko i wystarczy, że cokolwiek jest nie tak, to mówią nie, i po wszystkim. Może pani być pewna, że jak już wybiorą dziewczynę, żeby urodziła pani dziecko, będzie zdrowa że hej!

- To dobra wiadomość - powiedziała Joanna, ani myśląc wyprowadzać Sarę z błędu co do

jej intencji. Tak było łatwiej, pytania wydawały się bardziej naturalne. - Jak już umieszczą w tobie płód, musisz się z nimi kontaktować?

- Co trzy miesiące. Ale trzeba co miesiąc iść do specjalisty, a ten wysyła do nich raport.

- To w programie uczestniczą dziewczęta z całej Kalifornii?

- Caluteńkiej, od San Diego do San Francisco. - Joanna miała już na końcu języka pytanie, czy Sara знаła Diane Butler, ale w porę przypomniała sobie, że tamta popełniła samobójstwo przed dziesięcioma laty. - I znasz je?

- Niektóre. Te, które w tym samym czasie przyjeżdżają na kontrolę.

- A jak już urodzisz, będziesz mogła widywać dziecko?

- O, nie. To powiedzieli wyraźnie. Żadnych później kontaktów. To jest wredne, nie, bo jak ponosisz tego dzieciaka w sobie dziewięć miesięcy, to trudno żebyś potem do niego nie czuła. Mam rację?

- Jasne - całkiem szczerze zgodziła się Joanna.

- Powiedzieli, że nawet po urodzeniu nie można go obejrzyć. Nawet jedniutkiego razu.

- Ja bym pozwoliła.

- No ale tak jest w umowie. Zostajesz kupiona ty i twoje usługi, a po zapłacie nic ci już więcej do tego; - Sara pokręciła głową. - I nigdy już tego dzieciaka nie obejrzę.

- A gdyby udało ci się dowiedzieć, kim są biologiczni rodzice?

- Oj, tego lepiej nawet nie próbować.

- Dlaczego?

Sara spojrzała lękliwie na wszystkie strony i zniżyła głos.

- Jedna taka moja znajoma z Santa Paula strasznie chciała zobaczyć dziecko, więc wynajęła detektywa, żeby wyniuchał, co to za rodzice i gdzie mieszkają.

- I co?

- Mówił, że jest już całkiem blisko, że zaraz, zaraz, aż tu nagle zniknął. Wypłynął łódką na Lake Piru, żeby połowić, i nie wrócił. Łódkę znaleźli, ale jego już nie.

- I co? Szukała dalej?

- Gdzie tam! A pani by szukała?

Rozległo się lekkie pukanie do drzwi i pokazała się w nich głowa młodego sanitariusza.

- Chyba czas już wracać, doktor Blalock.

Joanna przytaknęła, wstała i nagle zakręciło się jej w głowie. Chwyciła się oparcia krzesła, żeby nie stracić równowagi.

Sanitariusz podskoczył do niej.

- Dobrze się pani czuje?

- Tak, tak - odparła Joanna, bo zawrót już ustępował, chłopak jednak powiedział:

- Tak czy owak, lepiej niech się pani na mnie oprze.

Joanna uśmiechnęła się do Sary.

- Mogę wpaść jeszcze jutro, to dokończymy rozmowę?

- Tak, tak, bardzo proszę.

Pojechali windą na chirurgię, a potem wolno poszli do pokoju Joanny, która z każdym krokiem czuła się coraz słabsza. Nie wiedziała, jak długo jeszcze zawroty będą się utrzymywały, chociaż neurologowie obiecywali, że to tylko kwestia kilku, góra kilkunastu dni. Po drodze rozmyślała nad tym, co usłyszała.

A zatem detektyw przypadkowo utonął, łowiąc ryby, i to w chwili kiedy ponoć zbliżał się do rozwiązania zagadki rodziców. Jaki dziwny zbieg okoliczności! Oczywiście, z tego wcale jeszcze nie wynikało, że jego śmierć na pewno była związana z Donors International. Prywatni detektywi mają wielu klientów, wsadzają nosy w różne sprawy, mogą mieć licznych wrogów. Tak czy owak... Joanna zamierzała złożyć Sarze Smith jeszcze jedną wizytę i wydobyć od niej kilka nazwisk, które sprawdzi Jake.

Koło drzwi jej pokoju stali David Dellacorte i Lori McKay, ale widząc, jak powoli stąpa, wyszli jej naprzeciw.

- Jak pani się czuje? - spytała Lori.

- Coraz lepiej - odpowiedziała Joanna, chociaż nogi miała jak z waty i musiała oprzeć się o ścianę. - Po prostu tylko trochę się zmęczyłam.

- Chyba lepiej, żeby się pani położyła - powiedział sanitariusz, który mocno podtrzymywał Joannę.

David widząc bladeść Joanny, chwycił ją pod drugie ramię.

- Nie możesz przesadzać. Trochę czasu upłynie, zanim organizm wróci do normy.

Z pomocą obu mężczyzn dotarła do łóżka, kiedy jednak na nim się położyła, znowu poczuła wirowanie.

- Kilka minut temu wpadł tutaj porucznik Sinclair - oznajmiła Lori - i kazał panią pozdrowić.

Joanna uśmiechnęła się słabo, walcząc z opadającymi powiekami.

- Zostawił też wiadomość, że zawartość torebki była rozrzucona po całej szosie. Do szpitala dostarczono tylko portfel i jakieś klucze.

- Mam do ciebie prośbę, Davidzie - na pół sennie powiedziała Joanna.

- Słucham.

- Zdobądź dla mnie typ tkanki Williama Arthura Warrena.

- Żaden problem. A do czego ci to potrzebne?

- Wtedy będę chyba wiedzieć, skąd pochodziła jego wątroba - wymamrotała Joanna i zapadła w głęboki sen.

Rozdział 38

Udręczona snem Joanna przewracała się z boku na bok. Znowu była na szosie, nie panowała nad wozem, słyszała rozpaczliwy pisk opon. Samochód zaczął koziółkować, a ona krzyczała. Potem zawisła na pasach głową do dołu. Odgłos klaksonu, przeraźliwy. Sunie na nią wielka cysterna z benzyną, ona zaś rozpaczliwie usiłuje się wydostać. Drzwiczki są zablokowane. Napiera na nie ze wszystkich sił. Kierowca cysterny wciska hamulce. Za późno! Cysterna wpada na samochód Joanny, ciągnie po szosie, sypią się iskry, zaczyna się pożar. Płomienie buchają ze wszystkich stron, ona szamocze się z drzwiami...

Przebudziła się w ciemności, niepewna tego, gdzie się znajduje. Za oknem błyskawica na chwilę rozświetliła niebo, a także wnętrze pokoju szpitalnego. Tylko sen. Taki sen miała wczoraj, ale dzisiejszy był znacznie groźniejszy, bardziej rzeczywisty. Serce ciągle jej łomotało, czuła pot na całym ciele. A na domiar wszystkiego, ból głowy i wirowanie... Kiedy to się skończy? Chciała pomóc napuchniętemu gardłu i possać lód, ale kiedy sięgnęła do miseczki, okazało się, iż dawno już się roztopił i teraz była tam tylko letnia woda. Oblizwała wilgotne palce i zastanowiła się, która może być godzina. Za oknem ciemno, do świtu jeszcze trochę.

Nagle znieruchomiała zaalarmowana, gdyż wydało jej się, że w pokoju ktoś się poruszył. Spojrzała w tamtym kierunku, ale nic nie dojrzała; teraz słyszała tylko własny oddech. Nadal jednak trwała w bezruchu. W pokoju znowu na moment zajaśniało od błyskawicy; z ciemności wyskoczyły kształty i cienie, by zaraz znowu w niej się rozmyć. Jeden z tych kształtów przywodził na myśl mężczyznę z wyrzuconymi w górę rękami. Już chciała krzyknąć na cały głos, gdy następny piorun ujawnił, że to tylko telewizor zwieszający się z sufitu na dwóch ramionach.

Zamknęła oczy, gdyż poczuła, że nadciąga kolejna fala mdłości, której próbowała się opierać ze wszystkich sił. Wczesnym wieczorem chwyciły ją tak silne wymioty, że podano compazine, a także założono kroplówkę, chroniąc przed odwodnieniem. Za wiele wysiłku zafundowała sobie, ledwie tylko wstała z łóżka, i w efekcie jej stan się pogorszył. „Jaka jestem głupia”, myślała z niesmakiem, teraz już przekonana, że musi poddać się powolnej rekonwalescencji.

Grzmoty nadal przetaczały się po niebie, a szyby dygotały pod naporem deszczu. Z głową

do połowy skrytą pod kołdrą, do wtóru odgłosom pogody zaczęła zapadać w sen. Ale nie trwało to dłużej niż minutę, gdy znowu się poderwała. Znowu usłyszała dźwięk, tym razem głośniejszy i dochodzący od strony drzwi.

- Kto... kto tam? - wykrztusiła.

Drzwi uchyliły się i w smudze światła z korytarza stanął mężczyzna odziany na biało.

- Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku z kroplówką - oznajmił.

To tylko pielęgniarz, pomyślała, i uspokojona opadła na poduszkę.

- Chyba tak.

- Ale sprawdzę, jak już jestem.

Zerknęła na przedramię; igła tkwiła w żyłę solidnie, całe to jej rzucanie i szamotanie się w niczym jej nie zaszkodziło. To bardzo dobrze, bo przy jej cienkich żyłach pielęgniarki musiały się czasami kilka razy wkłuwać, zanim trafiły.

Pielęgniarz sprawdził ilość soli fizjologicznej w umieszczonej na stojaku torbie.

- W porządku?

- W zupełnym - odrzekł i sięgając do kieszeni, odwrócił się do niej plecami.

- Roztworu starczy na całą noc, prawda?

- Starczy.

Joanna znowu poczuła mdlenie.

- Mógłby mi pan przy okazji podrzucić trochę kostek lodu?

- Oczywiście.

- Dzięki:

Przypatrywała się, jak odrywa długi pas taśmy klejącej. Miał na sobie białe spodnie, białą koszulę z krótkimi rękawami i czarne buty. Oparła głowę na poduszce, ale zaraz ją poderwała, bo nagle sobie uświadomiła, że coś jest nie w porządku. Wszystkie pielęgniarki na oddziale zawsze miały na sobie zielone komplety. Wszystkie. Zawsze. Wpatrzona w mężczyznę Joanna sięgnęła do przycisku.

- Kim pan jest, do cholery?!

- Co takiego?

- Przecież nie...

Tamten odrzucił przycisk i zakrył jej usta ręką. Szarpiąc się z nim, usiłowała wyskoczyć z łóżka, ale zwałił się na nią i całym swoim ciężarem przygniótł do materaca. Udało jej się ugryźć go w dłoń.

Cofnął gwałtownie rękę i krzyknęła, ale jej głos utonął w huku pioruna. Zanim zdążyła krzyknąć raz jeszcze, uderzył ją na odlew w twarz. Blizny pękły i popłynęła krew.

- Dziwka! - syknął mężczyzna i zakleił jej usta taśmą.

W oczach jej migotało, czuła straszliwy ból, ale mimo to zorientowała się, że nie schodząc z niej, wy dobył skądś strzykawkę i sięga nią do przewodu kroplówki.

„O Boże, o Boże, zabije mnie!”, rozpaczliwie zahuczało jej w głowie. Jeszcze raz zebrała w sobie wszystkie siły, ale nic nie mogła poradzić i musiała się przypatrywać, jak zawartość strzykawki przedostaje się do przewodu. Poczowała pieczenie w ramieniu; pokój pociemniał i zaczął wirować. Jej ostatnia myśl wiązała się z Kate. I kto się teraz nią zaopiekuje?

Rozdział 39

- Jak to wyszła? - Jake wściekłym wzrokiem objął Simona Murdocka, Davida Dellacorte'a i pielęgniarkę naczelną. - Z tego szpitala chorzy, ot tak sobie wychodzą po nocy?

- Pacjenci z urazami głowy czasami zachowują się w sposób trudny do przewidzenia - niepewnie bąknął Dellacorte.

- Co to ma znaczyć? Tracą pocztytalność?

- Czasami zdarza się i tak.

- Zaraz, zaraz. - Jake usiłował mimo wszystko panować nad sobą. - Dwa dni po wypadku pacjentka wstaje i zaczyna chodzić. Zachowuje się normalnie, mówi normalnie, tylko że ciągle jest bardzo słaba. I nagle w środku nocy postanawia wyjść podczas burzy. I to panu nie wydaje się podejrzane?

- Mogła wypaść z łóżka - zasugerował Dellacorte - doznać nowego urazu głowy, a w efekcie zapomnieć, kim jest i co tutaj robi.

- Najpewniej tak właśnie się zdarzyło - ochoczo podchwycił Murdock. - To by tłumaczyło, skąd krew na poduszce i pościeli.

- Rozumiem - powiedział Jake, aczkolwiek nie rozumiał niczego. - Doktor Blalock wypada z łóżka, rozbija sobie głowę, krwawiąca wpelza z powrotem do łóżka, traci pamięć, wstaje z łóżka, nakłada szlafrok i pantofle i wychodzi z Memorial tak, że nikt na to nie zwraca uwagi. Tak pan to sobie wyobraża?

- To całkiem możliwe - rzekł Dellacorte. - Na nocnej zmianie jest bardzo niewiele personelu. Bardzo łatwo mogła wyjść z oddziału, nie widziana przez nikogo. Szczególnie, gdyby jej na tym zależało. Proszę pamiętać, że doktor Blalock zna tu każdy zakamarek.

Jake patrzył na niego wzrokiem pełnym niedowierzania.

- To znaczy, nie wie kim jest, ale doskonale pamięta wszystkie szpitalne szczegóły?

Dellacorte wzruszył ramieniem.

- Próbuję różnych odpowiedzi.

- Ta jest raczej marna.

Jake znowu obszedł pokój, przyglądając się szafie z rzeczami Joanny, a potem śladom krwi na pościeli. Zbyt wiele rzeczy tu nie pasowało, a szczególnie ta krew na łóżku, a nie na podłodze. Gdyby istotnie rozbiła sobie głowę, pozostałaby po tym wyraźna plama. Zatrzymał

wzrok na plastikowej misce, ustawionej na nocnym stoliku, aby była pod ręką w razie wymiotów.

- Wczoraj doktor Blalock nie czuła się dobrze.

- Miała tak silne mdłości - powiedziała pielęgniarka - że musieliśmy podłączyć jej kroplówkę.

- Wymiotowała w łóżku czy w łazience?

- W łóżku. Miała takie zawroty głowy, że chyba nie dałaby rady dojść do łazienki.

- Mamy więc kobietę z silnymi dolegliwościami - zwrócił się Jake do Dellacorte'a - a pan mi sugeruje, że jak gdyby nigdy nic wstała z łóżka i wyszła nie wiadomo gdzie?

- Nie potrafię znaleźć żadnego innego wyjaśnienia - odrzekł ponuro lekarz.

„A ja potrafię”, pomyślał Jake. Stał teraz przy stojaku, z którego zwieszał się do połowy opróżniony pojemnik z solami ustrojowymi; przewód od niego szedł do dozownika, a po jego drugiej stronie kończył się zawieszoną w powietrzu igłą. Jake spojrzał po obecnych.

- Dlaczego płyn nie wycieka?

Dellacorte wzruszył ramieniem.

- Dopływ jest wyłączony.

- A kto go wyłączył?

Chirurg spojrzał na pielęgniarkę, która nerwowo powiedziała:

- Był już wyłączony, kiedy weszliśmy tu rano.

- Kto to zrobił? - powtórzył ostrzejszym tonem Jake, ale nie było odpowiedzi. Czuł, że ogarnia go desperacja. - To co, mamy jeszcze uwierzyć w to, że pacjentka po rozbiciu sobie głowy wstaje, wyjmuje igłę z żyły, a na dodatek jeszcze pamięta, żeby zamknąć dopływ płynu?

W pokoju zapadła ciężka cisza. Spojrzenia wszystkich ze stojaka przesunęły się na zakrwawioną pościel.

Ciszę przerwał Murdock:

- Ale jeśli nie zrobiła tego Joanna, to kto?

Jake przypomniał sobie, co Joanna powiedziała w związku ze śmiercią Ettingera: trzeba zamknąć kroplówkę, jeśli chce się do przewodu wprowadzić jakąś nową treść, inaczej bowiem może ona popłynąć nie do żyły chorego, lecz w przeciwnym kierunku.

- A jeśli zrobił to ten sam człowiek, który zamordował Ettingera?

Murdockowi krew odpłynęła z twarzy.

- Pan sugeruje, poruczniku, że ktoś próbował zabić doktor Blalock?

- Może nie tylko próbował, ale nawet mu się udało - rzekł złowieszczym tonem Jake.

Dellacorte nerwowo zamachał rękami.

- To czyste spekulacje, poruczniku. Nie ma pan na to żadnych dowodów, żadnych sugerujących coś takiego poszlak.

- Z tymi dowodami nie byłbym taki pewien - cierpko powiedział Jake. Wskazał na do połowy opróżniony pojemnik i zwrócił się do pielęgniarki:

- Kiedy ostatni raz sprawdzano kroplówkę doktor Blalock?

Zapytana sprawdziła w karcie:

- O dwudziestej trzeciej trzydzieści.

- Czy wie pani, ile wtedy było roztworu w pojemniku?

- Oczywiście.

- Zna pani także tempo dozowania?

- Tak.

- Świetnie. To teraz proszę spojrzeć na pojemnik; widać, ile roztworu przepłynęło do organizmu doktor Blalock od godziny wpół do dwunastej do chwili, gdy zamknięto dopływ, mam rację?

- Tak.

- Więc na tej podstawie może pani oszacować, o której wyłączono kroplówkę.

Obliczanie zabrało naczelnej pielęgniarce niecałą minutę.

- Jakieś za piętnaście pierwsza.

Jake znowu podjął marsz po pokoju.

- Mniej więcej za piętnaście pierwsza ktoś wchodzi do pokoju. Doktor Blalock wymęczona nudnościami leży w łóżku, być może śpi. Mężczyzna zaczyna manipulować przy kroplówce, co budzi chorą, która zorientowawszy się, że coś jest nie w porządku, chce krzyknąć, może chce zerwać się z łóżka. Tamten uderza ją w twarz, otwierają się rany, doktor Blalock zaczyna krwawić, może ma rozciętą wargę. Krew plami pościel, napadnięta próbuje walczyć, ale nie ma szans, chociażby z powodu wycieńczenia. Napastnik bez trudu unieruchamia kroplówkę i wprowadza do przewodu jakąś inną substancję.

Dellacorte powoli kiwnął głową.

- I dlatego wyłącza dopływ, aby mieć pewność, że to, co wstrzykuje, pójdzie do żyły Joanny.

- Tak. I dlatego przypuszczam, że to ten sam łajdak, który zamordował pana Ettingera.

- Może to jakiś świr, maniak? - zawołał Dellacorte.

Jake skrzywił się, pamiętając o strzałach na szosie. Dwa następujące po sobie ataki na życie tej samej osoby nie mogą być przypadkowe. Ktoś bardzo zdecydowanie chciał jej

śmierci.

- Ten szpital zamienia się w dom wariatów! - sapnął Murdock. - Dom wariatów, w którym grasuje jakiś zбочony maniak. Jak prasa cokolwiek zwęszy, jesteśmy wykończeni! Już sobie wyobrażam tytuły: „Znowu morderstwo w Memorial Hospital!!!”

Dellacorte potarł podbródek.

- Ale jeśli Joanna nie żyje, to gdzie jej ciało?

Jake aż cały się skręcał na tę myśl, ale wiedział, że niepodobna przed nią uciekać. Dlaczego morderca zabrał ciało? W jakim celu? Nic nie przychodziło mu do głowy. A przenoszenie zwłok nie było taką prostą sprawą. Nie można ich było po prostu zarzucić na ramię i pójść sobie jak gdyby nigdy nic. Była maciupenka możliwość, że Joanna nadal żyje. Ale to możliwość znikoma, bardziej wyrastająca z nadziei niż jakichkolwiek przesłanek.

- Może ekipa techniczna coś tutaj znajdzie. A teraz - zrobił szeroki ruch ręki - wszyscy stąd wyjdą i aż do chwili, gdy odwołam ten zakaz, nikt, powtarzam nikt, tutaj nie ma wstępu.

Wyszli na korytarz i Jake zobaczył spieszącego w ich kierunku Lou Farellego. Odeszli na bok.

- Czego się dowiedziałeś?

- Niczego, kompletnie niczego. Nikt nic nie widział.

- Próbuj dalej - polecił Jake ściszym głosem. - Spisz listę wszystkich osób, które były na oddziale pomiędzy wpół do pierwszej a pierwszą. W tym czasie Joanna zniknęła.

Lou zrobił kilka notatek, a potem spojrzał Jake'owi prosto w oczy.

- Z tobą wszystko w porządku?

- Nie - padła szczerą odpowiedź.

- Współczuję ci, naprawdę. Ale zrobimy, co tylko w naszej mocy.

Z tymi słowami Farelli się oddalił.

Jake wrócił do grupy, z którą był przedtem w pokoju Joanny, i spojrzał na pielęgniarkę.

- Ile osób personelu mogło być tutaj koło wpół do pierwszej?

- Sześć, góra siedem. Jak to na nocnej zmianie.

- Czy wszyscy pacjenci spali?

- Najpewniej.

Jake westchnął ciężko i ruszył do wyjścia, ale zwolnił koło drzwi, za którymi uśmiercono Rudolpha Ettingera. Dwa morderstwa tak blisko siebie. Ta sama technika. To musiał być ten sam człowiek. Już chciał pójść dalej, gdy zobaczył, jak szybko domykają się drzwi po przeciwnej stronie korytarza.

- Czy dalej tam leży pani Ethel Ryan? - spytał.

- Tak. Musieliśmy znowu przełożyć operację, gdyż przyplątało się jakieś zakażenie.

- Jak się czuje?

- Wychodzi już z tego. Operacja zaplanowana na jutro.

Jake zapukał, poczekał na zaproszenie i wszedł.

Ethel Ryan siedziała na łóżku; zalotnym gestem odgarnęła włosy na bok. Była podłączona do kroplówki.

- Dzień dobry, panie poruczniku. Ciągłe pan tutaj tropi, prawda?

- No cóż, taka praca - odparł Jake, który czuł sympatię do starszej pani. - Czuje się pani na tyle dobrze, aby odpowiedzieć znowu na kilka pytań?

- Pewnie.

- Czy jeszcze pani nie spała dzisiaj koło wpół do pierwszej w nocy?

- Nie.

- Jest pani pewna?

- Jak najbardziej. - Pani Ryan stanowczo potaknęła. - Najpierw oglądałam *Tonight Show*, a potem stary film z Loretą Young. Ona jest cudowna, prawda?

Jake kiwnął głową, z rozbawieniem myśląc, że na podstawie ulubionych aktorów łatwo było określić wiek danej osoby.

- Przez cały czas pani leżała?

- Gdzie tam. Przy tym, co mi tutaj dają - ruchem brody wskazała igłę w przedramieniu - siusiam co pięć minut.

- A więc dużo pani wstawiała?

- Oj, tak.

- I drzwi miała pani otwarte?

- Jak zawsze.

- Zauważyła pani coś niezwykłego?

Pani Ryan zastanawiała się chwilę.

- Nie. Nic.

- Jakiś dziwny dźwięk?

- Nie, ale grzmiało tak, że nawet telewizję zagłuszało.

- Rozumiem - powiedział rozczarowany Jake. - Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co, bardzo chciałabym pomóc.

Jake odwrócił się już w progu.

- A czy po wpół do pierwszej widziała pani kogoś z personelu?

- Nie. Był tylko ten człowiek z praniem.

Miał się już odwrócić, zmylony niefrasobliwym głosem pani Ryan, ale coś go zaalarmowało.

- Z praniem?

- No z takim wielkim wózkiem, wie pan.

Pani Ryan szeroko rozłożyła ręce. Jake spojrzał pytająco na pielęgniarkę.

- Zbieracie rzeczy do prania o północy?

- Skądże - obruszyła się tamta. - Zbiera się wieczorem, a przywozi rano, ale nie w nocy.

- A to skurwysyn! - syknął pod nosem Murdock.

Ethel Ryan musiała to dosłyszeć, spojrzała bowiem na dyrektora z ożywieniem.

- A co? A co się stało takiego?

Nie doczekała się jednak odpowiedzi, gdyż wszyscy wyszli na korytarz, a Jake zamknął za sobą drzwi.

- Tak to się stało. Facet ułożył jej ciało na wózku, przykrył brudną pościelą i wywiózł z budynku.

- Trzeba sprawdzić w pralni! - zawołał Murdock.

- Oczywiście, że to zrobimy, ale nie liczyłbym na wiele. Doktor Blalock przepadła.

- Ale po co zabierać ciało? Przecież to bez sensu! - wykrzyknął zdesperowany Murdock.

Dla mordercy ma to wiele sensu, inaczej bowiem nie zadawałby sobie tyle trudu i nie ryzykowałby tak wiele. Ale co to za sens, myślał z rozpaczą Jake. Dlaczego? Po co?

Zobaczył, że od stanowiska dyżurnej pielęgniarki kiwa do niego Farelli ze słuchawką przy uchu.

Jake był przy nim w jednej chwili.

- Co takiego?

- Sędzia pozwolił na wgląd w papiery Diane Butler. Już do nas wysłali.

- Dokumentację medyczną?

- To i dokumenty procesowe.

- Procesowe?

- Okazuje się, że wkrótce po rozwiązaniu Diane Butler wynajęła prawnika, który opracował wniosek do sądu, aby pozwolił jej poznać personalia i miejsce pobytu dziecka.

- No i?

- Dwie strony stanowczo przeciw temu zaprotestowały.

- Jedna to jak zgaduję Donors International?

- Racja.

- A druga?

- Biologiczny ojciec dziecka.
- Masz jego nazwisko?
- Mam, ale trudno będzie ci uwierzyć.
- Spróbujmy.

Oddzielając każde słowo, Farelli oznajmił:

- William... Arthur... Warren!

Rozdział 40

Joanna zbudziła się całkowicie zdezorientowana, nie miała najmniejszego pomysłu, gdzie jest i co się z nią stało. Wydawało jej się, że oczy ma sprawne, ale dookoła była tylko ciemność. Słuch bez wątpienia funkcjonował, ale jedynym odgłosem był jej oddech. W bolącej głowie wirowało, a kiedy spróbowała usiąść, coś ją powstrzymało. Wytężyła siły, ale opór nie ustępował. Odetchnęła głęboko, jednocześnie myśląc, co się właściwie z nią dzieje. Powoli wracała pamięć. Miała wypadek na szosie, wstrząs mózgu, wylądowała w szpitalu. Szpital, tak szpital! I wtedy w jednym błysku przypomniała sobie rozpaczliwą walkę z fałszywym pielęgniarzem. Czego on chciał?

Na moment rozpalila się nadzieja, że nadal leży w szpitalnym łóżku, ale palcami dłoni wymacała, że leży na czymś twardym i gładkim, na jakimś plastiku czy skórze. Żadnej pościeli, pod głową nie było poduszki. Tylko dlaczego nie mogła usiąść? Dlaczego? Było ciągle bardzo cicho, miała wrażenie, iż cisza wręcz cieleśnie na nią napiera. Znienacka przyszło jej do głowy, że została żywcem pochowana. Przeróżliwy strach ścisnął ją za gardło.

Za wszelką cenę starała się nie poddawać panice, ale myśl o pogrzebaniu żywcem była taka okropna!!! Zaczęła się rozglądać za jakąkolwiek odrobiną światła, ale nie, także żadnego dźwięku. Zamknięta w trumnie i zakopana w ziemi!

Racjonalne Ja z najwyższym trudem stawiało czoło rozpaczliwym uczuciom. „Myśl, myśl”, nakazywała sobie. „Nie możesz być w trumnie. Z jakiej racji? W jaki sposób? Myśl!” Spróbowała przełknąć ślinę, ale gardło miała wyschnięte i się rozkaszała, a dźwięk najwyraźniej się rozchodził. Natychmiast podchwyciła to jej racjonalna część. Jeśli dźwięk się rozchodzi, to znaczy, że nie jest ściśnięta w bardzo wąskiej przestrzeni. Zebrała ślinę w ustach, splunęła i policzyła. Sekunda... dwie... Ślina spadła na podłogę z cichym plaskiem.

Westchnęła z ulgą, Znajdowała się na łóżku czy stole w jakimś pomieszczeniu. Ale jakim? Raz jeszcze spróbowała usiąść i znowu napotkała opór, ale tym razem go umiejscowiła: coś nie pozwalało się unieść pierśmiom. Ręce miała wolne; pod dotykiem rozpoznała taśmę Velcro. Zaczęła się tak zsuwać, żeby mieć ją na wysokości dłoni.

Nagle znieruchomiała: usłyszała zduszone głosy. Co najmniej dwóch mężczyzn. Głosy zbliżały się. Klucz przekręcił się w zamku, a przez otwarte drzwi wpadło światło. Nad sobą zobaczyła lampy o charakterystycznym kształcie. Była na sali operacyjnej!

- Ciągłe bez przytomności? - spytał jeden głos.

- Sprawdziałem dwadzieścia minut temu, doktorze Adler, i była omdlała jak kłoda.

Adler! Jason Adler! Co on robił w Memorial? Ale zaraz, drzwi były zamknięte na klucz, a w Memorial drzwi do wszystkich sal operacyjnych były wahadłowe, do żadnych nie trzeba było klucza. „Muszę być w Donors International”. Ale dlaczego? Przygniatający ją mężczyzna, który wbija strzykawkę w przewód... „O mój Boże! Zostałam porwana!”

- No to zaraz znowu sprawdzimy - powiedział Adler.

Pokój zalało światło tak jaskrawe, że Joanna musiała zamknąć oczy. Postanowiła udawać nieprzytomną. Kroki zbliżyły się i ucichły.

- Tak, jak mówiłem.

- Żeby wszystko poszło zgodnie z planem, musi być świadoma - zauważył Adler.

- To może dać jej coś na rozbudzenie?

- Nie będzie potrzeby, jeśli dałeś jej przygotowaną dawkę valium. Zaraz powinna się ocknąć.

- Kto wie, może w tym stanie podziałało na nią za mocno.

- Jest sposób, żeby się przekonać.

Joanna przygotowała się na to, co jak wiedziała, musiało nastąpić: jakiś dotkliwy bodziec. Ludzie głęboko uśpieni nie reagują na ból, natomiast przy płytszej nieświadomości, próbują uciekać przed bólem i jęczą. Adler chwycił ją za skórę na ramieniu i uszczypnął. Ból był tak ostry, że z największym trudem udało jej się powstrzymać od drgnięcia i grymasu. Kiedy jednak paznokcie Adlera wpiły się w skórę, Joanna nie mogła już wytrzymać i lekko stęknęła, jednocześnie cofając ramię.

- Jeszcze dość głęboko uśpiona, ale niedługo się przebudzi.

- Za ile sprawdzić?

- Za następne dwadzieścia minut.

Słyszała, jak wychodzą, najpierw zgasło światło, potem szcęknął klucz w zamku. Znowu znalazła się w całkowitej ciemności.

Oczekała, aby się upewnić, że nie wracają. Wpatrzona w kierunku drzwi policzyła do pięćdziesięciu. Ponownie tak zsunęła się, żeby ręce mogły odpiąć taśmę, po czym usiadła. Ból i zawroty wprawdzie nie ustąpiły, ale teraz były mniejsze.

Zwiesiła nogi i kilka razy głęboko odetchnęła. Dlaczego ją porwali? Czemu znalazła się w Donors International? Czy wiedziała o czymś ważnym dla Adlera?

Przypomniała sobie wieczorną wizytę poprzedzającą wypadek. Dowiedziała się, że w danych dotyczących potencjalnych żon Warrena występowała też informacja o sześciu

krytycznych antygenach. Poprosiła Adlera, by podał jej typ tkanki Warrena, aby mogła porównać jego antygeny z tymi, które utrwalono na dyskiecie.

I o to musiało chodzić. Antygeny się zgadzały, co znaczyło, że kobiety typowane na żony dla Warrena miały być dawcami organów. Poddawali je tak wielu badaniom, aby się upewnić, że organy są w nienagannym stanie. A ten sukinsyn najpewniej kazał jedną z tych kobiet zabić na Węgrzech, potem zaś jej wątrobę dostarczono...

Nie! Wcale nie musiał nikogo zabijać za granicą. Kazał ją uśmiercić w Donors International, a na tej sali usunięto jej wątrobę. Cóż za perfidna, a zarazem precyzyjna konstrukcja! Gości informowano, że w sali dokonuje się eksperymentalnych operacji na zwierzętach. Zresztą może istotnie do tego ją wykorzystywano, ale służyła też do zabiegów na ludziach. Adler i Donors International stanowili bardzo ważną część całego spisku. A teraz postanowili zabić ją - tego Joanna była niemal zupełnie pewna. Jeśli nie znajdzie jakiejś drogi wyjścia, mogła już się uznać za trupa.

Zsunęła się na podłogę; zimna posadzka uświadomiła jej, że nie ma na nogach pantofli, co mogło stać się problemem, gdyby udało jej się jakoś wydostać na zewnątrz. Teren wokół Donors International był pagórkowaty i kamienisty, na pewno więc porani sobie stopy. „Do diabła ze stopami, byłabym się tylko stąd wydostała!”

Ostrożnie zaczęła się przesuwać w ciemności, wymachując przed sobą rękami. Ależ było ciemno! Ostatnią rzeczą, jakiej mogła pragnąć, było wpadnięcie na coś i przewrócenie z hukiem.

Krok po kroku doszła do gładkiej i zimnej ściany. Szkło. „Okno”, krzyknęło coś w środku z entuzjazmem. Wymacała metalową klamkę, otworzyła - szafka wbudowana w ścianę. Nogi miała bardzo niepewne, znowu zaczynało się jej kręcić w głowie. Oparła się plecami o ścianę i powoli osunęła na posadzkę.

„Musisz, musisz się podnieść, bo inaczej z całą pewnością zginiesz. Za dużo wiesz i na pewno dobrowolnie nie wypuszczą cię ze swych rąk”.

Podniosła rękę w górę i wymacała jakąś krawędź. Podciągnęła się, stanęła i obmacała kształt. Zlew! Nie mogła znaleźć kurków i dopiero po chwili przypomniała sobie, że w sali operacyjnej dopływ wody reguluje się pedałem w podłodze. Wyczuła pedał stopą, nacisnęła i woda chlusnęła tak, że obryzgała jej twarz. Natychmiast zmniejszyła napór, mając nadzieję, że nikt na zewnątrz jej nie usłyszał. Uruchomiła malutki strumyczek, najpierw napiła się wody, potem zwilżyła twarz i szyję.

Teraz poczuła się lepiej, ale potrzebne jej było światło. Bez tego nie uda się uciec. Sunąc ręką po ścianie, dotarła wreszcie do drzwi. Ostrożnie nacisnęła klamkę, ale ta nie puściła.

Przyłożyła ucho, ale nie usłyszała nic. Zaczęła szukać kontaktu, nie mogła jednak wymacać. „Do diabła, powinien być gdzieś tutaj!” Chyba że znajdował się na zewnątrz. Raz jeszcze przesunęła dłońmi, ale wszędzie trafiała na gładką ścianę.

Nogi znowu zaczynały jej odmawiać posłuszeństwa, najchętniej usiadłaby i z najwyższym trudem przekonała samą siebie, że nie może. Zaczęła na przemian podnosić nogi zgięte w kolanach i opuszczać, aby rozruszać mięśnie i pobudzić obieg krwi, potem zrobiła parę skłonów do ziemi i wymachów. Musi znaleźć okno, metalowym stołkiem wybić szybę i mieć nadzieję, że nikt tego nie usłyszy.

Tak, zabiją ją, a potem zakopią gdzieś, gdzie nikt nie znajdzie jej ciała, chyba że deszcze odłonią kości, jak stało się z Jamesem Robertem Butlerem. O Boże! Jego też pewnie zabili!!! Ale dlaczego? Jeśli szpiegował, dlaczego po prostu go nie odpędzili?

„Nie przejmuj się teraz nim, tylko sobą”, ofuknęła się w duchu. „Musisz się stąd wydostać, zanim zabiorą się do ciebie”. Ciekawe, dlaczego w ogóle jeszcze żyje. Przecież mogli jej w szpitalu podać chlorek potasu, jak Ettingerowi. Albo zabić natychmiast po dostarczeniu tutaj. Jeden pocisk, głęboki dół i doktor Blalock znika bez śladu. To, że zostawili ją przy życiu, musiało mieć jakiś powód.

Nogi poczuły się odrobinę lepiej, z jedną ręką na ścianie, a drugą wymachującą z przodu, ruszyła na dalsze poszukiwania. „Muszę znaleźć okno! Muszę!”

Doleciały do niej pomruk głosów i szuranie stóp. Kilku stóp. Usiłowała jak najszybciej wrócić na stół operacyjny. Najpierw drzwi, potem zlew, potem skręt w prawo... Zaraz, czy stoły w sali operacyjnej stoją prosto czy pod kątem? Chyba pod kątem.

Kiedy znalazła się przy drzwiach, głosy rozbrzmiewały już zaraz za nimi. Niemal pobiegła do zlewu i stamtąd na oślep... Klamka obróciła się. Joanna rozpaczliwie wymachiwała rękami w poszukiwaniu stołu.

Drzwi otworzyły się i salę zalało światło. Oślepią Joanna zatoczyła się.

- Mówiłeś, że jest nieprzytomna.

- I była. Przysięgam - powiedział Adler.

Joanna zamknęła oczy i otworzyła znowu, nie wierząc w to, co widzi. Z otwartymi ustami wpatrywała się w Davida Dellacorte.

- Co tutaj robisz?

- Połóż ją znowu na stole - polecił Dellacorte Luisowi Vedze.

- Davidzie, co się tutaj dzieje? - spytała, bezwolnie dając się prowadzić do stołu.

- Dzieje się to, że pakujesz nos w sprawy, które kompletnie nie powinny cię obchodzić!

Joannie znowu kręciło się w głowie i nie mogła pozbierać myśli.

- Ale przecież te torbiele na wątrobach...

- Jak zaczęłaś się dopytywać o typ tkanki Warrena, zorientowałem się, że musiałaś odkryć, skąd pochodziła wątroba do przeszczepu.

- Od jednej z potencjalnych żon - powiedziała Joanna. - To dlatego ustalał typ ich tkanek, zanim zdecydował się na ślub.

- No cóż, nie jesteś taka błyskotliwa, jak ci się wydaje - powiedział ironicznie - ale w końcu i ty byś się domyśliła.

- Czego?

- Że szukał kobiety najbardziej z nim zgodnej immunologicznie, a kiedy wreszcie ją znalazł, wziął ją za żonę.

- Aby dostać jej wątrobę - powiedziała Joanna, która mimo wszystko ciągle nie mogła wierzyć w ten kontrast.

- Aby dostać jej komórkę jajową - sprostował Dellacorte.

- Sztucznie zapładnialiśmy ją jego nasieniem, a płód umieszczaliśmy w macicy zastępczej matki, która rodziła dziecko o tkankach niemal identycznych z tkankami ojcowskimi. I to dziecko było dawcą organu.

- Och! - wykrzyknęła Joanna i zakryła usta rękami. - Więc te dzieci, które tutaj widziałam, są hodowane jak zwierzęta, aby z nich korzystać w razie potrzeby?

- A jeśli konieczność przeszczepu pojawia się, zanim dziecko osiągnie odpowiedni wiek, wtedy zawsze jeszcze mamy w zapasie matkę. Oczywiście, matka to trochę gorsze rozwiązanie. Jej krytyczne antygeny pasują do Warrena, ale są przecież jeszcze inne, a tu sporo było odstępstw. Dziecko natomiast pasowało znakomicie, kilka naprawdę drobnych niezgodności.

- Piękna robota! - W oczach Joanny płonął ogień. - Naziści by się tego nie powstydzili.

- To przyszłość medycyny.

- Co? Morderstwo?

Dellacorte lekceważąco machnął ręką.

- Mordujemy codziennie jak Ameryka, długa i szeroka i nikt się tym tak naprawdę nie przejmuje. W trakcie aborcji wrywamy z łona żywe płody, a te umierają. Potem z niektórych z tych płodów pobieramy tkankę mózgową, wszczepiamy pacjentom z chorobą Parkinsona, a ich stan polepsza się. Zabijamy te płody, a ich tkanki transplantujemy.

- Ale aborcja to jednak nie morderstwo!

- Doprawdy, co też ty powiesz? - rzucił drwiąco Dellacorte. - A co robimy z płodami bezmózgowymi, które mogłyby żyć tygodniami, ale które zabijamy, jak tylko znajdzie się

dziecko, które potrzebuje ich organu? Tak, zabijamy! Pozwalamy im umrzeć i wtedy wycinamy, co trzeba. A czy inaczej jest z pacjentami po ciężkich wypadkach, którzy żyją tylko dzięki aparatom? Potrzebny jest organ, robi się EEG, rodzina podpisuje zgodę, wyciągamy wtyczkę i do roboty. Jak chcesz, możesz to nazwać morderstwem. Dla mnie to wybór mniejszego zła.

- A jak nazwiesz zabijanie dzieci, które tutaj zostały wychowane?

- Jedne istoty pomagają innym istotom.

- Za ćwierć miliona dolarów.

- Zgoda, w grę wchodzi też pieniądze i to niemałe - zgodził się Dellacorte. - Ale sporą ich część przeznaczamy tutaj na bardzo pożyteczne badania. Może nie całkiem zgodnie z zasadami, ale robimy tutaj pożyteczne rzeczy. - Dellacorte spojrział na zegarek i popatrzył na Vegę. - Ma się znaleźć na tyłach Memorial dokładnie o szóstej rano. Pamiętaj, żeby mogła chodzić. Musi być sprawna, kiedy dojdzie do wypadku.

Joanna wytrzeszczyła oczy z przerażenia.

- Jakiego wypadku?

- Wpadniesz pod samochód. Zostaniesz dostarczona do Memorial w stanie krytycznym i podłączymy się do systemu podtrzymywania funkcji życiowych. Ja będę akurat na nagłych wypadkach i przypomnę sobie, że twoja siostra czeka na przeszczep wątroby, a macie dobrą zgodność immunologiczną. Zanim umrzesz, pobierzemy od ciebie wątrobę i przeszczepimy twojej siostrze.

- Pięknie! - wykrzyknął zachwycony Vega. - Telewizja i gazety wprost uwielbiają takie gówna.

- Twoja śmierć będzie, rzecz jasna, zupełnie przypadkowa. Po urazie głowy wyszłaś z Memorial, no i najechał na ciebie samochód. Wszystko ładnie do siebie pasuje.

- Pięknie - powtórzył Vega.

Dellacorte chciał już odejść, ale przypomniał sobie jeszcze o czymś.

- Torbiele na wątrobach Warrena i Ettingera były spowodowane hormonami, jakie podaliśmy dzieciom. Chcieliśmy, żeby szybciej się rozwijały, dostawały więc hormony wzrostu i hormony płciowe. To chyba testosteron tutaj szkodził, nie uważasz?

- Cały świat wirował Joannie w oczach, błysnęła jej w głowie myśl, że to tylko straszliwy sen. - Chyba tak - odpowiedział sam sobie. - No cóż, z hormonów płciowych trzeba będzie zrezygnować. Okazuje się, że nie przyspieszają dojrzewania organów.

- Ty sukinsynu! - prychnęła Joanna i chciała się poderwać ze stołu, ale przytrzymała ją ręka Vegi.

- Weź ją uspokój na jakieś cztery, pięć godzin - polecił Vedze Dellacorte.
- Ile dać jej valium?
- Pół centymetra. I sprawdzaj co piętnaście minut, jasne - już od drzwi rzucił chirurg.
- Jasne, co piętnaście minut.

Vega napełnił valium strzykawkę do pół centymetra. Brutalnie chwycił Joannę za ramię i obrócił na bok. Szarpała się, jak mogła. „Uspokój się, ty suko!”, syknął i przez szlafrok wbił Joannie igłę w pośladek. Raz jeszcze się szarpnęła, gdy ostrze pogrążyło się w mięśniu. Vega nacisnął tłok i poczuł opór. Przycisnął mocniej i trochę płynu trysnęło w miejscu, gdzie strzykawka łączyła się z igłą. Zastanowił się, czy nie powinien zrobić jeszcze jednego zastrzyku, ale bał się, że przesadzi. I tak dosyć środka nasennego dostało się do organizmu.

Rozdział 41

Jake Sinclair i Lou Farelli wyszli z windy i szybkim krokiem skierowali się do wielkiej sali balowej hotelu Beverly Hilton. Przed zamkniętymi drzwiami stali kierownik i dwóch ochroniarzy.

Kierownik zrobił krok do przodu, krytycznym wzrokiem obdarzając sportową kurtkę Jake'a.

- Czym mogę służyć, panowie?

Jake pokazał odznakę i spytał:

- Czy wie pan, jak są rozmieszczeni poszczególni goście?

- Tak, wiem.

- Musimy rozmawiać z Richardem Warrenem i Alexandrem Coxem. Będę wdzięczny, jeśli wywoła ich pan do nas.

- Czy to coś pilnego? Zaraz na nich kolej.

- Bardzo pilnego. Nie możemy czekać ani chwili.

Kierownik śmiało spojrzał Jake'owi w oczy.

- Może zainteresuje pana wiadomość, że na sali obecny jest burmistrz Los Angeles.

- Ślicznie, ale to nie z nim chcemy rozmawiać, lecz z panami Coxem i Warrenem. Albo ich pan wywoła, albo my tam wejdziemy. Niech pan wybiera.

- Proszę tutaj poczekać.

Ochroniarz otworzył przed kierownikiem drzwi, a Jake zrobił krok do przodu, aby nie dać im się zamknąć. Sala balowa była na tyle ogromna, że mogła pomieścić tysiąc osób usadzonych przy okrągłych stolikach. Na froncie znajdowało się podwyższenie dla szczególnie ważnych gości. Nad głowami lśniły kandelabry, orkiestra, której Jake nie mógł dostrzec, grała taneczną muzykę.

- Wielka heca z okazji otwarcia nowego centrum muzycznego, tak? - spytał Lou.

- Mhm.

- Ciekawe, ile kosztowało zaproszenie.

- Tysiąc i więcej, w zależności od miejsca.

Farelli gwizdnął lekko.

- Co oni tutaj podają, że warto zapłacić tysiąc za miejsce za talerzem?

- Wpływy - odparł Jake i sięgnął po papierosa. Gardło miał już tak podrażnione po dzisiejszych dwóch paczkach, że rozkaszał się, ledwie tylko się zaciągnął. „Muszę rzucić”, pomyślał, przypominając sobie, że ponad rok temu złożył Joannie przyrzeczenie, że skończy z paleniem. Westchnął ciężko. Trudno wprawdzie przychodziło mu składania obietnic, ale jeszcze trudniej ich dotrzymywanie.

Przez cały czas dręczyła go myśl o Joannie i jej zniknięciu. Może jeszcze żyła, ale szansa była niewielka. Sprawdzili, rzecz jasna, pralnię szpitalną; nikt nie wydawał polecenia pół godziny po północy, aby zebrać brudy. Wózek, na którym przewożono rzeczy do prania, znaleziono przy rampie na zapleczu, gdzie nie powinien był się znaleźć. Widoczne na nim ślady krwi zgadzały się ze śladami na łóżku. Była zatem na wózku i krwawiła, co mogło znaczyć, iż żyła, wszystko jednak zależało od celu, w jakim ją porwano.

- Tutaj nie wolno palić, panie poruczniku. Zechce pan mi oddać? - powiedział kierownik hotelu.

Jake głęboko się zaciągnął, zanim wręczył papierosa. Przyczyna porwania nie mogła być błaha, skoro porywacz zdecydował się na spore ryzyko: nie tak łatwo wywieźć pacjentkę ze szpitala, nie zwracając na siebie uwagi. Co to jednak za przyczyna?

W drzwiach stanął Richard Warren, mocno zaciskając usta.

- Oby coś naprawdę ważnego usprawiedliwiało pańską natarczywość.

- Na początek powiedzmy: morderstwo.

Te słowa zrobiły na Warrenie wyraźne wrażenie.

- Jakie morderstwo?

- Dokonano go wiele lat temu. Ale najpierw kilka pytań. Czy wie pan, że pańskiemu ojcu dziesięć lat temu urodziło się dziecko?

Warren patrzył na niego w osłupieniu.

- Proszę nie żartować!

- Ani mi się śni. Mamy na to wiele dowodów.

- To jakiś idiotyzm - oburzył się Warren. - T.J. i ja jesteśmy jedynymi żyjącymi potomkami Williama Arthura Warrena. I guzik mnie obchodzą wszystkie pańskie świstki.

- Czy mam to rozumieć w ten sposób, że nigdy pan nie widział tego swego brata?

- Absolutnie nigdy. Ja... - W tym momencie na korytarzu pojawił Cox, do którego natychmiast zwrócił się Richard Warren: - Alexandrze, nie dasz wiary, co za bzdury opowiada ten tutaj detektyw. Twierdzi, że mój ojciec miał jeszcze jakiegoś syna. Wygaduje takie banialuki, a...

Cox uniósł rękę w ostrzegawczym geście.

- Chwileczkę. Zaczniemy od początku. Co to za historia z synem i dlaczego policja się tym interesuje?

- Policja prowadzi sprawę domniemanego morderstwa - spokojnie oznajmił Jake. - W trakcie poszukiwań ustaliliśmy, że Williamowi Arthurowi Warrenowi dziesięć lat temu urodził się syn. Tymczasem wydaje się, że nikt o nim nie słyszał, i poza świadectwem urodzenia nie ma żadnych innych dowodów jego istnienia. Zupełnie jakby się dziecko rozplynęło.

- Czy na pewno było to dziecko Williama Arthura Warrena?

- Z całkowitą pewnością. Urodziła je zastępcza matka, ale pan Warren natychmiast po tym sędownie zastrzegł, iż matka nie może się dowiedzieć, jakie nazwisko nosi jej syn ani gdzie przebywa.

Cox uniósł brwi.

- Powiedział pan: „zastępcza matka”?

- Tak. Natomiast biologicznym ojcem był William Arthur Warren.

- Co za idiotyzm! - wykrzyknął Richard i znowu Cox uciszył go ruchem ręki.

- Czy chce pan zatem powiedzieć, że William Arthur i Pamela Warrenowie uzyskali potomka dzięki zastępczej matce.

- Otóż to.

- Nigdy nie miałem na ten temat żadnych informacji.

- Jest pan pewien?

Cox zawahał się odrobinę.

- Na ile wiem.

- Ciekawe - zimno powiedział Jake - gdyż na podaniu skierowanym do sądu to pan występuje jako adwokat pana Warrena.

Coxowi nawet nie drgnęła powieka.

- To jakaś pomyłka, gdyż musiałbym to pamiętać.

- Pańskie nazwisko występuje na dokumentach sądowych.

Cox namyślał się chwilę.

- Siedzibą sądu było Los Angeles?

- Nie. San Diego.

- Teraz wszystko jasne. Lata temu otworzyliśmy biuro naszej firmy w San Diego. Prowadził je mój syn, także o imieniu Alexander.

- Jak się z nim skontaktować?

- To niestety nie będzie możliwe. - W głosie Coxa pojawił się ton smutku. - Zmarł na

leukemię pięć lat temu i zaraz potem zamknęliśmy filię w San Diego.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia - mruknął Jake, a jednocześnie zapisał w sobie pamięci, żeby sprawdzić, czy prawnik powiedział prawdę. - W każdym razie panu William Arthur Warren nigdy nie wspomniał o tym fakcie?

- Nigdy, ale to akurat nie byłoby u niego czymś niezwykłym. Był bardzo skrytym człowiekiem i wiele rzeczy zachowywał tylko dla siebie.

- Protestuję - nie wytrzymał Richard. - Nie wyobrażam sobie, żeby ojciec zgodził się mieć potomka urodzonego w ten sposób.

- Zechciał - zapewnił go Jake. - Dokumenty mówią jednoznacznie, że biologicznymi rodzicami byli William Arthur i Pamela.

- To ta suka - syknął Richard. - To ona go do tego namówiła. Przed niczym by się nie cofnęła, byle tylko położyć łapę na jego pieniądzech.

- Panie Cox - powiedział Jake - muszę się zapoznać z dokumentami prawnymi Williama Arthura Warrena, które powstały w kancelarii pańskiego syna. Może coś nam zasugerują, dlaczego potem zniknął po tym chłopcu wszelki ślad.

- A czy można wiedzieć, dlaczego tak bardzo pana interesują wydarzenia sprzed dziesięciu lat?

- Ponieważ mogą pomóc w wyjaśnieniu morderstwa dokonanego bardzo niedawno. Może nawet nie jednego. - Jake czuł intuicyjnie, że wszystko tu łączy się ze sobą: śmierć Pameli Warren i Rudolpha Ettingera, zniknięcie dziecka, porwanie Joanny, szkielet Jamesa Butlera. Tylko że nie wiedział, co i jak wiąże te wypadki. - Tak, te dokumenty mogą być bardzo pomocne.

- Rozumiem - rzekł w zamyśleniu Cox. - I te sprawy miałyby dotyczyć Williama Arthura Warrena.

- Przynajmniej pośrednio - wolał się zastrzec Jake.

- Musi pan pamiętać, że chociaż pan Warren już nie żyje, mnie dalej obowiązuje tajemnica zawodowa, nie pozwalająca szkodzić jego interesom i imieniu.

- Właśnie! - natychmiast zareagował Richard - Nawet jeśli ojciec zrobił coś nie tak, jak należy, my na pewno panu nie pomożemy węszyć!

Jake za nic nie mógł sobie pozwolić na mozolne kroki prawne, w wyniku których uzyskałby dostęp do dokumentów. Liczył się czas.

- To pójdźmy na umowę - zwrócił się do Coxa. - Pan przejrzy papiery swojego syna. Jeśli znajdzie pan w nich materiały stawiające Williama Arthura Warrena w niekorzystnym świetle, nie pokaże mi ich pan. Jeśli natomiast są neutralne, pozwoli mi pan do nich zajrzeć.

Cox rozważył propozycję, a potem kiwnął głową.

- Dobrze, jutro zajrzę do akt...

- Nie, nie jutro, dzisiaj! - stanowczo przerwał mu Jake.

- To niemożliwe - zaprotestował Cox. - Niektóre dokumenty z San Diego są na mikrofilmach, niektóre nie rozpakowane spoczywają w naszym archiwum. To potrwa dobre kilka godzin, zanim dotrzemy do papierów pana Warrena.

- Czy jest jakaś osoba wyznaczona specjalnie do opieki nad dokumentami?

- Tak. Nasz archiwista.

- Niech jak najszybciej spotka się z nami w pańskim biurze. Proszę go ostrzec, że będzie może musiał pracować przez całą noc..

- Skąd taki pośpiech, panie poruczniku?

- Od tego może zależeć czyjeś życie.

- Zaraz spróbuję się z nim skontaktować.

- Ja także chcę być przy tym obecny - oświadczył Richard, który z nienawiścią myślał o ponownie otwierającej się perspektywie utraty jednej trzeciej bogactwa. - Jako zarządzający majątkiem ojca, mam prawo być obecny przy lustracji tych dokumentów.

- Czy ma pan jakieś zastrzeżenia do tego, panie poruczniku? - spytał Cox.

- Nie.

- Telefon jest przy męskiej toalecie, chodźmy - powiedział Richard i wziął adwokata pod rękę.

Jake popatrzył za nimi i polecił Farellemu:

- Niech natychmiast dwóch policjantów zacznie pilnować wejścia do biura Coxa. Nikt nie może wejść do środka, zanim się tam nie zjawimy.

Lou wyjął telefon komórkowy.

- Boisz się, że mogą próbować coś ukryć?

- Z pewnością to zrobią, jeśli tylko będą mieli okazję.

- Wydawało mi się, że są zaskoczeni, jakby naprawdę o niczym nie wiedzieli.

- Tutaj w ogóle nikt nic nie wie. Ludzie giną, ludzie znikają, a tymczasem nikt nic nie wie.

- Tyle przynajmniej jest pewne, że nasza doktor jeszcze żyje - mruknął Farelli, wystukując numer. - Wiesz, te ślady krwi na wózku.

Jake kiwnął głową bez przekonania. Krew mogła wyciekać z martwego już ciała. Farelli po krótkiej rozmowie wyłączył aparat.

- Za dziesięć minut będą na miejscu.

- Zadzwoń też, żeby zwrócić się do sądu o pozwolenie na dostęp do akt Williama Arthura Warrena.

- Ale przecież Cox obiecał, że da nam je do wglądu.

- Tak, ale tylko to, co nie kompromituje jego mocodawcy.

Farelli podrapał się po głowie.

- Naprawdę sądzisz, że tam będzie coś bardzo ważnego?

- Oby było, bo inaczej jesteśmy w kropce.

Rozdział 42

Joannę zbudził odgłos drzwi, które się otworzyły, zamknęły i znowu otworzyły.

- Ciągle zapominam, że ten cholerny kontakt jest na zewnątrz - usłyszała głos Jasona Adlera.

- Widzisz, ciągle śpi.

- Nie poruszyła się?

- Ani odrobinę.

- Dobrze. Następnym razem posadź ją i każ jej się poruszać.

Drzwi się zamknęły i światło zgasło. Joanna odczekała chwilę, a potem otworzyła oczy. Oczekiwała ciemności, tymczasem zobaczyła szarość; powoli rozpoznawała kształty: nad nią lampy, po bokach lśniące kafle sali operacyjnej

Taśma na piersiach nie pozwalała jej usiąść. Powtórzyła dawny manewr i uwolniła się od niej. Gdy usiadła, sala się zakołysała, do gardła popłynęła fala mdłości, ale zaraz wszystko ustąpiło. Zaczerpnęła kilka oddechów i zebrała się w sobie, a przed oczyma ciągle miała to, co ujrzała przed ostatnim zastrzykiem. Pewna siebie twarz Davida Dellacorte'a, najwyraźniej dumnego z tego, co robi. To nie do wiary! Poczynać dzieci i hodować je tylko po to, aby były dostarczycielami organów? Mordowali je dla przeszczepów, a Joanna była następna w kolejce.

Targnęły nią torsje, ale nic nie pocięło z ust. Mdłości ustały.

Pamiętała, jaki plan dla niej obmyślił Dellacorte. Wczesnym rankiem dostarczą ją na drogę biegnącą za Memorial i tam będzie miała wypadek, po którym dostarczą ją do szpitala. Wczesnym rankiem - a która jest teraz? Ile jeszcze miała czasu?

Zsunęła się ze stołu i zrobiła kilka ruchów w półmroku. Wyraźniej zobaczyła teraz zlew i kafle, w których odbijało się światło. Światło! Skąd się brało? Na przeciwnej ścianie znajdowały się pod sufitem podłużne okna z szybami z matowego szkła.

Bezszelestnie przeniosła przez salę metalowy taboret, stanęła na nim i z bliska obejrzała okna. Grube szkło, wysokie na dwie stopy. „Może uda mi się precisnąć. Może. Ale najpierw musiałbym zbić szybę”.

Nagle rozległo się głuche dudnienie, szkło zadygotało i zaczęły po nim spływać wielkie krople. Zeszła ze stołka i zaczęła się rozglądać za czymś, czego mogłaby użyć do zbitcia

szyby. Najlepszy byłby młotek albo jakieś podobne, ciężkie, tępe narzędzie. Klucz francuski na przykład, ale najlepiej młotek. A jeśli uderzenie zbiegnie się z hukiem pioruna, nikt się nie zorientuje.

Znowu rozległ się grzmot i Joanna popatrzyła na okna, za którymi wyraźnie pojaśniało. Zbliżał się świt, serce skurczyło jej się na myśl, jak niewiele ma czasu. Jak często sprawdzają? Co kwadrans, rozkazał Dellacorte. A teraz mieli już ją posadzić i zmusić do ruchu. Ile czasu już minęło? Co najmniej pięć minut, może więcej. I znowu fala paniki.

Spokój, spokój, nakazywała samej sobie. Gdzie mógł być młotek albo klucz? Może w sprzęcie anestetycznym? Tam czasami coś się zacinało i trzeba było odkręcać. Wróciła do stołu operacyjnego i kucnęła pod nim przy butlach z tlenem. Przez chwilę niewiele mogła zobaczyć, ale nagle zrobiło się jaśniej, może przepłynęła jakaś chmura blokująca światło brzasku. Otworzyła metalowy pojemnik: śrubokręty, klucze nasadkowe, klucz francuski, ale mały, nie poradzi sobie z grubym szkłem. Zdesperowana wyszła spod stołu, rozejrzała się po ścianach i - zobaczyła! Mała gaśnica. Podskoczyła, zdjęła z uchwytów, zważyła w ręku. Pełna i ciężka. Nadawała się na taran.

Szybko wspięła się na taboret, wzięła z posadzki gaśnicę, umieściła ją na ramieniu i czekała na grzmot. „Szybciej, szybciej!!!” Tymczasem minęła jakaś minuta i nic. Następna. Jeszcze jedna, pomyślała, a uderzam, zagrzmi czy nie. I wtedy usłyszała stłumiony dźwięk głosów i kroków.

Szybko odstawiła gaśnicę i zeskoczyła. „Po mnie! Koniec!!!” Już miała się ułożyć na stole, kiedy wzrok padł na tacę z narzędziami chirurgicznymi. Bez chwili namysłu porwała z niej skalpel i rolkę taśmy, którą przytroczyła go do wnętrza ramienia, spuszczać potem rękaw szlafroka.

Położyła się na wznak, pamiętając o zapięciu taśmy.

Rozbłysły światła i drzwi się otworzyły.

- No dobrze, trzeba ją trochę rozruszać - odezwał się głos Adlera.

Joanna rozluźniła mięśnie, tak żeby wydawały się bezwładne. Mocne dłonie chwyciły ją i posadziły. Jęknęła, pozwalając głowie chybotać się na lewo i prawo.

- Cholera, ma chodzić, a jeszcze się dobrze nie ocknęła - powiedział drugi głos.

Ktoś ją obrócił, tak że nogi zwisały ze stołu. Zamarkowała odruch wymiotny.

- A teraz będzie rzygać. Musiałeś przedawkować.

- Gdzie tam - odparł Vega. - Nawet połowa dawki nie weszła.

Zdawało się, że nikt nie zwrócił uwagi na jego słowa.

- Trzeba ją wynieść - polecił Adler. - Może na świeżym powietrzu trochę otrzeźwieje.

Kiedy Luis Vega przerzucił ją sobie przez ramię, zwiślała z bezwładnie opuszczoną głową i kołyszącymi się ramionami, oczy jednak miała otwarte. Widziała pod sobą dół czarnego palta. Z sali operacyjnej wyszli na długi korytarz. Poczula zapach zwierząt i dzięki wcześniejszej wizycie, kiedy Jason Adler oprowadzał ją po wnętrzu, natychmiast uzmysłowiła sobie, gdzie są. Zaraz będzie wyjście.

Odpięła skalpel i mocno chwyciła, kierując ostrze w plecy Vegi. Wyszli. W mglistym i chłodnym powietrzu unosiła się mżawka.

- Pójdę po kogoś do pomocy - powiedział Adler; Joanna usłyszała oddalające się kroki.

- OK - mruknął Vega i poprawił ciało Joanny na ramieniu. Poczula, jak jego ręka wślizguje się pod szlafrok i z pośladków po odbyciu wędruje do owłosienia łonowego. Dłoń lekko się przesunęła do przodu i do tyłu, a potem zniemacka chwyciła mocno za włosy i szarpnęła.

- Au! - wykrzyknęła zaskoczona Joanna.

- No, to wcale nie jestem taka śpiąca - zaśmiał się posępnie Vega. - Spróbujmy raz jeszcze.

Poczekala, aż znowu poczuje jego palce na pośladkach, a wtedy uniosła rękę i z rozmachem wbiła mu skalpel w plecy.

Vega z wrzaskiem padł na kolana i jak opętany szukał na plecach źródła przeraźliwego bólu. Zanim odnalazł skalpel i go wyrwał, Joanna biegła już po stoku najbliższego pagórka. Pomimo bólu udało mu się wstać.

- Łapać ją! Łapać!

Kamienie kaleczyły stopy, potykała się i zataczała. Za sobą słyszała wściekłe okrzyki i przekleństwa. Obejrzała się, ale w tej samej chwili noga zawadziła o coś. Joanna padła jak długa, twarzą w mokrą glinę i liście. Szybko się poderwała, ale teraz straciła orientację. Rozglądała się w panice, pamiętając, że na szczycie będzie ścieżka prowadząca do głównej drogi wyjściowej.

Znowu się potknęła, ale tym razem udało jej się utrzymać równowagę. „Na szczyt, na szczyt”, rzęziła. „Tam będzie droga!” Znowu rozległy się głosy, tym razem bliżej niej. Podziałało to na nią jak ostroga na konia; teren był teraz bardziej błotnisty i śliski. Na chwilę rozviała się mgła, zobaczyła przed sobą szczyt pagórka, ale także stojącego na nim mężczyznę. Strażnik! Była osaczona, nie miała którędy uciekać. Strażnik zaczął schodzić wolno w jej kierunku, ostrożnie stawiając stopy w mazi. Nagle błoto ustąpiło, mężczyzna potoczył się po stoku z nienaturalnie podwiniętą nogą. Jego ciało zderzyło się z dużym kamieniem, wrzasnął z bólu. Joanna zobaczyła nagą kość sterczącą z rozdartych spodni.

Tymczasem drugi strażnik był już tuż koło niej. Udało jej się kopnąć go w krocze; kiedy się zatoczył, znowu poderwała się do biegu.

- Złapać ją, ale nie strzelać! Nie strzelać! - usłyszała z tyłu.

Dotarła na szczyt i rzuciła się w kierunku sosnowego zagajnika. Drzewa rosły gęsto, trzeba było się przedzierać między gałęziami; była tak wyczerpana, że musiała odpocząć chociażby przez chwilę. Ułożyła się za zwalonym pniem i ciężko dyszała. Było tu mroczno; wątle światło z trudem przedzierało się między szczytami drzew. „Może mnie nie znajdą”, przemknęło jej przez myśl, ale wiedziała, że to płonna nadzieja. Na nic nie mogła liczyć, kiedy nastanie już dzień.

Była obolała, ale niczego nie zламаła. Szlafrok był w strzępach, ramiona podrapane i krwawiące. Ale wszystkie kości, na szczęście, całe. Zaciągnęła się chłodnym powietrzem i próbowała ułożyć jakiś plan ucieczki. Główna droga do wyjścia będzie z pewnością dokładnie kontrolowana, więc to na nic. Zresztą w tym stanie byłaby bezsilna w górzystym terenie.

Wtedy przypomniał jej się budynek, w którym spały dzieci. Musiał tam być telefon, a jej wystarczyło jedno połączenie. I taka była jej jedyna szansa.

Mżawka zamieniła się w rześisty deszcz, widoczność jeszcze bardziej spadła. Joanna z wysiłkiem powstała i zaczęła się przedzierać przez gęstwinę. Zamarła na dźwięk kroków i wtuliła się w drzewo. Ciężkie stąpnięcia, co najmniej dwóch mężczyzn. Coraz bliżej. „Nie ruszaj się! Nie ruszaj!”, pulsowało jej w głowie.

- Nigdy jej nie znajdziemy w tych drzewach - odezwał się jeden z szukających. - Lepiej chodźmy po psa!

Poczekala, aż kroki się oddalą. Wskoczyła spomiędzy drzew i bokiem żwirowej ścieżki dotarła do japońskiego ogrodu. Rozejrzała się, a kiedy nie zobaczyła nikogo, przez wypielęgnowany trawnik i mały mostek pędem dotarła do płotu otaczającego internat. Wejście było otwarte, nigdzie ani żywej duszy. Podbiegła do schodów, zerknęła za siebie, nikogo, już w następnej chwili była w środku.

Przy niewielkim stole siedziało kilkanaścioro dzieci, spojrzały na nią oczyma bez wyrazu: bez strachu, ale też i bez żadnego zainteresowania.

- Jest tu gdzieś telefon? - spytała, ale nie doczekała się odpowiedzi.

- Telefon! - Przyłożyła rękę do ucha. - Telefon!!!

Dzieci patrzyły na nią nieruchomo.

Z tyłu otworzyły się drzwi i ukazała się w nich opiekunka. Pchała przed sobą wózek, na którym znajdowały się ryńienki z jajecznicą na bekonie. Dopiero po chwili dostrzegła Joannę, a wtedy znieruchomiła z otwartymi ustami.

- Kim pani jest? - wykrztusiła.

Dzieci poderwały się z talerzami w dłoniach i zaczęły tłoczyć wokół wózka, monotonnie powtarzając:

- Jeść! Jeść! Jeść!

- Proszę mi pomóc! Błagam! - krzyknęła Joanna, ale kobieta sięgnęła do policyjnego gwizdka, który zwiisał z szyi na tasiemce, i mocno weń dmuchnęła. Dzieci bezładnie odskoczyły, wpadając na siebie i przewracając się.

Joanna rzuciła się do wejściowych drzwi, ale na drewnianym mostku było już dwóch strażników, z których jeden prowadził na smyczy psa. Wskoczyła z powrotem za próg, zatraskując za sobą drzwi i zamykając je na klucz. Lawirując między dziećmi, pobiegła w kierunku tylnych drzwi. Opiekunka usiłowała zastawić drogę wózkiem, ale Joanna cisnęła jej w twarz jedną z rynienek, a kiedy tamta zatoczyła się z krzykiem, odepchnęła wózek, który przewrócił się, zwalając całą swoją zawartość na podłogę. Dzieci rzuciły się na klęczkach i jak zwierzaczki zaczęły zjadać jajecznicę z podłogi.

Frontowe drzwi stęknęły, a pod następnym atakiem masywnego ciała zamek puścił, obaj strażnicy wpadli do środka, ale w tej samej chwili pośliznęli się w jajecznej brei i z trzaskiem grzmotnęli na podłogę, podczas gdy pies kompletnie ignorując Joannę, zabrał się do pałaszowania.

Joanna przebiegła przez kuchnię, jakieś inne pomieszczenie ze sprzętami dla dzieci i znowu była na wolnym powietrzu. Deszcz zaczął boleśnie. Otarła twarz z wody i spojrzała na zbocze majaczące po lewej. Za wysokie, za strome. Nie da rady. Po prawej był kolejny sosnowy zagajnik, a za nim medyczny kompleks. Biegając w tamtą stronę, oddawała się w ręce wroga. Ale nie miała czasu się zastanawiać, znowu słychać było odgłosy pogoni, pośród których dominowało szczekanie psa.

Wybrała drzewa, ale krzyki mężczyzn rozlegały się dookoła, byli wszędzie. Gdyby udało jej się jakoś dostać na tyły kompleksu, może tam pojawiłaby się jakaś szansa. Tam, pamiętała, wzgórze nie było tak strome.

Wybiegła z zagajnika, pod sobą miała patio, na którym stali, patrząc wprost na nią Adler i mężczyzna, którego ugodziła skalpelem. Gorsze jednak było to, że w jej stronę kilku mężczyzn gnało pod górę, a o kilka kroków wyprzedzał ich wściekle ujadający pies. „Stokiem na ukos, może się uda!”

Rzuciła się w dół i w bok, ale prześladowcy także zmienili kierunek i mogła już nawet przewidzieć, w którym miejscu przetną jej drogę. Pewni swego nawet odrobinę zwolnili.

Ziemia nagle poruszyła się i wszyscy znieruchomieli. Trzęsienie, pomyślała, ale w

następnej chwili poczuła, że jej stopy lecą w ślad za osuwającym się pod nimi oparciem.

Mężczyźni z wrzaskiem lecieli w dół w sunącej coraz szybciej masie błota i drobnych kamieni. Joanna upadła na plecy i usiłowała wycofać się rakiem, ale porwał ją ze sobą potok brudnej wody. Leciwała, koziołkując, na chwilę straciła przytomność, a kiedy się ocknęła, kaszłała chrapliwie, leżąc do połowy zatopiona w lepkiej mazi.

Rozległ się okropny, przeciągły trzask. Oderwał się ogromny kawał stoku z japońskim ogrodem; całe tony ziemi nabierały rozpędu i sunęły na tył Donors International.

Joanna zerwała się i próbowała uciekać przed gliniastą lawiną. W tym samym kierunku koziołkowały kamienie i toczyły się drzewa. Potknęła się, przeturlała i wylądowała w jakimś zagłębieniu. Rozpaczliwym gestem otarła błoto z twarzy. Tuż koło siebie zobaczyła dużą rurę odwadniającą. Ponownie zadudniło, udało jej się schronić w rurze dokładnie w chwili, gdy ruszyła kolejna fala błota.

Z ogłuszającym hukiem masy ziemi co chwilę zwały się na jej schronienie, aż nagle w jednej chwili wszystko ucichło. W ciemności Joanna słyszała tylko swój oddech, nad sobą czuła rurę zrobioną z czegoś w rodzaju cementu. Na czworakach dobrnęła do drugiego końca, zablokowanego jakimś metalem. Zawróciła do końca, którym się dostała; także on był zatkany błotem, drewnem oraz czymś ciepłym, miękkim i - pięciopalczystym. Cofnęła się gwałtownie. Chyba wymacała ciało jednego ze strażników, porwanego przez obsuwającą się ziemię.

Przemogła wstręt i naparła na ciało, ale kiedy trochę je odchyliła, do środka rury chlusnęły woda i błoto. Puściła, ciało wróciło na swoje miejsce i potop ustał. Z przerażeniem pomyślała, że spełnia się jej zmora i jest oto żywcem pogrzebana. Waliła w ściany rury, wrzeszczała, ile tchu w płucach, błagając o pomoc, ale słyszała tylko głuche echo swego krzyku.

*

Luis Vega mozolnie wydobył się z brei i wstał. Przeraźliwy ból w plecach był nawet jeszcze silniejszy, sięgnął ręką do tyłu, by sprawdzić, czy jeszcze krwawi. Poczul mokre ciepło. Odszukał chusteczkę, która się obsunęła, i przytrzymał tak długo, aż przywarła do rany. Oceniał, jakich zniszczeń dokonała lawina: obsuwająca się ziemia zniszczyła japoński ogród i budynek dzieci. Błoto do połowy zakryło tył Donors International.

Dotarł do patio i zaczął wypatrywać, kto jeszcze ocalał. Nie było jednak żadnego ruchu, dopiero po chwili dobiegło skądś urywane szczekanie psa. Spojrzał w bok i na drugim końcu popękanego cementowego placyku zobaczył Jasona Adlera, który z wyrazem kompletnego

zaskoczenia na twarzy siedział na schodku.

- Wszystko w porządku? - spytał Vega, podchodząc do niego.

- Chyba tak - niepewnie odrzekł Adler. Krew leciała z rozciętego policzka. - Ktoś jeszcze się uratował?

- Mowy nie ma. - Vega wyjął z kabury rewolwer i sprawdził, czy lufa i mechanizm nie są zablokowane. - Leżą pod tonami ziemi.

- Może jednak...

- Daj sobie spokój. Wszyscy martwi.

Znowu odezwał się pies; tym razem było to przeciągłe, żalosne wycie.

Przy pomocy Vegi Adler podniósł się.

- A ta Blalock?

- Widziałem, jak zwała się na nią cała góra. Albo ma pogruchotane kości, albo się udusiła, albo jedno i drugie.

Adler zrobił kilka kółek, aby sprawdzić, że nic mu nie dolega. Spojrzał na częściowo tylko zmiążdżony róg ostatniego budynku.

- Ale mieliśmy szczęście.

- Mhm - mruknął Vega. - Co chcesz teraz zrobić?

- Trzeba zaalarmować odpowiednie służby, żeby zaczęły szukać, czy ktoś jednak nie przeżył w tym błocie.

Vega popatrzył na niego z bezbrzeżnym zdumieniem; nie podejrzewał dyrektora o taką głupotę.

- Chcesz, żeby jacyś ludzie z zewnątrz zaczęli tu grzebać i wykopywać martwe ciała? A jak natrafią na Blalock i te dzieci? Co im powiesz?

- Masz rację - zgodził się Adler i nerwowo zatarł dłonie.

- Nie możemy ryzykować.

Vega wiedział już, co trzeba zrobić. Był specjalistą od zacierania śladów.

- Czy w tych budynkach ktoś teraz pracuje?

- Nie. Personel zjawia się dopiero o ósmej.

- Więc nie ma nikogo prócz nas?

- Nie ma.

- Dobrze - powiedział Vega i raz jeszcze ogarnął wzrokiem zniszczenia spowodowane przez osuwającą się górę. - Powiem ci, co zrobimy.

- Może najpierw zadzwonić do Dellacorte'a.

- Nie, to później. Po pierwsze, zamknij dla wszystkich dostęp do Donors International z

powodu katastrofy naturalnej. Daj personelowi dwutygodniowy płatny urlop. Wszyscy będą zadowoleni. Potem wprowadzimy tutaj ludzi z jakiejś firmy budowlanej, która ma powody do wdzięczności wobec Donors. Przyjadą ze spychaczami i wszystko wyrównają. Jeśli nawet coś zobaczą, będą trzymać gęby na kłódkę.

Jason pokiwał głową z aprobatą.

- Po prostu wszystko wyrównamy, tak?
- Tak, a na wierzch wyleje się cement i postawi nowy budynek.
- Ile to potrwa?
- A co to ma za znaczenie?
- Chyba istotnie żadnego - wzruszył ramieniem Adler.
- Poczekaj tu, ja jeszcze się rozejrzę.

Z końca patia Vega ostrożnie zszedł na błoto, pogrążając się w nim po kostki. Z wysiłkiem zaczął brnąć w kleistej mazi. Zobaczył dachówki z dziecięcej sypialni, kawałek dalej fragmenty drewnianego mostku z japońskiego ogrodu.

Przeszedł nad zwaloną sosną, a po jej drugiej stronie zapadł się niemal po kolano. Po lewej zobaczył sterczącą dziecięcą rączkę. Dotknął, jeszcze ciepła. Wepchnął ją głębiej i zakrył fragmentem gałęzi.

Zawrócił, ale teraz szło mu się nawet jeszcze trudniej. Wszystko już w tym zostanie. Zwłoki i odpady będą się pogrążały coraz głębiej. I dobrze, pomyślał. Jeszcze tylko kilka spychaczy, żeby zwały na to resztę góry. Wszyscy i wszystko zostanie pochowane raz na zawsze.

Podniósł kawałek niebieskiej tkaniny. Poszarpany i zakrwawiony fragment szlafroka z widocznym napisem: Memorial Hospital.

Wydźwignął się na patio i poszedł do Jasona Adlera.

- Zobacz, co znalazłem!
- Adler obejrzał strzęp.
- To jej?
 - Chyba tak.
 - Widziałeś jej ciało? Widziałeś jej zwłoki.

Vega stracił cierpliwość.

- Nie, do jasnej cholery. Przecież to jak bagno. Wystarczy, że staniesz nieruchomo, a zaczynasz się zapadać po kolana. Nikt tam niczego ani nikogo nie znajdzie.

- Chcę być zupełnie pewien.
- Będziesz zupełnie pewien, jak cały ten teren zalejesz asfaltem - powiedział Vega, bo

jego samego zaniepokoiła ta stercząca ręka. W innych miejscach może być podobnie. - Muszą to zniszczyć - powiedział i machnął kawałkiem materiału.

Adler spoglądał za oddalającym się mężczyzną, niepewny, czy posłuchać jego rady. Ostatecznie to tylko morderca do wynajęcia, tępy, brutalny, myślący tylko o sobie. Nie, nie można polegać tylko na jego sugestiach. Musi się skontaktować z Dellacorte i z nim omówić plan.

Popatrzył na osuwisko, na które sączyła się teraz gęsta mżawka, ale kolor chmur zwiastował rychłą ulewę. W niej zaś maż może zacząć się przemieszczać, odsłaniając ciała. Znienacka przypomniał mu się James Butler, szaleniec, który poruszony samobójstwem siostry wysłał do Donors International listy z pogrózkami. Zainteresował się jego przeszłością i dowiedział, że to dawny żołnierz oddziałów specjalnych, strzelec wyborowy. Musieli go zabić, zanim on zabije kogoś z nich; ciało zakopano głęboko i pomimo gwałtownych deszczów rok później zwłoki pozostały zakryte. Może jednak Vega miał rację: zrównać i wylać betonem.

Drogą za patiem nadjeżdżał samochód, chevrolet z dwoma mężczyznami w środku. Wyteżył wzrok, usiłując rozpoznać, kto to. Co ich tu przyniosło o tak wczesnej porze? I czemu nie zatrzymała ich straż przy bramie? Zaniepokojony Adler podszedł do schodków, które schodziły w kierunku drogi. W tej samej chwili obaj mężczyźni wysiedli z wozu. Teraz już wiedział.

- Witam, poruczniku! - zawołał i pomachał ręką, zarazem zastanawiając się, co tu o tej porze robi policja. Serce zaczęło bić szybciej, ale na twarzy Adlera nie widać było lęku. Sinclair, z nieodstępnym Farellim z tyłu, wbiegł po schodkach i znieruchomiał na widok rumowiska.

- Chryste Panie! A co się tutaj stało?

- Ziemia się osunęła - poinformował Adler, sam zdziwiony spokojem swego głosu.

- Czy ktoś ucierpiał?

- Na szczęście nie. Zniszczony jest tylko tylny pawilon, ale tam w momencie katastrofy nikogo nie było.

- Prawdziwe szczęście - powiedział Jake i popatrzył na resztki wzgórza. - Niech pan wezwie ekspertów, żeby ocenili stabilność tego, co pozostało.

- Oczywiście. Zaraz jak tylko ustalimy, że nie brak nikogo z personelu, bo na razie to jest najważniejsze. Naszym zdaniem nikogo nie było na drodze lawiny, ale pewność przede wszystkim.

- Oczywiście - zgodził się Jake i wyciągnął notatnik. - Ja wpadłem, żeby wyjaśnić kilka

małych niejasności.

- Jakich?

- Chodzi o kilkoro zaginionych dzieci.

Adler poczuł, że serce w nim zamiera. Głos po raz pierwszy zadrżał odrobinę.

- Tak? Jakich dzieci?

- Uzyskane przez nas dane wskazują na to, że William Arthur Warren i Rudolph Ettinger byli biologicznymi ojcami dzieci donoszonych przez zastępcze matki, dzieci, po których teraz nie ma żadnego śladu. - Mówiąc to, Jake wpatrywał się uważnie w twarz Adlera, ale nie dojrzał na niej żadnej reakcji. - Ponieważ wszystkie te sprawy związane ze sztucznym zapłodnieniem i zastępczymi matkami organizowała pańska firma, więc pomyśleliśmy, że tutaj znajdziemy jakieś informacje.

Adler zastanawiał się, ile detektyw może wiedzieć, od tego bowiem zależało, ile trzeba i można mu ujawnić. Od strony osuwiska znowu doleciało wycie psa.

Farelli czuł się zmęczony całonocnym grzebaniem w dokumentach prawnych Warrena. W końcu jednak odkryli, że także Rudolph Ettinger był biologicznym ojcem syna urodzonego przez osobę wynajętą przez Donors International. I to Ettinger pierwszy wygrał w sądzie sprawę, dzięki czemu zastępczej matce odmówiono prawa do jakichkolwiek kontaktów z powitym dzieckiem. Adwokaci Warrena sprawę Ettingera wykorzystali jako precedens. Przyglądał się dyrektorowi, który jakby na przekór udawanemu spokojowi mocno zaciskał obie pięści.

- To jak, może nam pan coś pomóc w tej sprawie?

- Wątpię - powiedział Adler. - My z zasady nie zajmujemy się dalszymi losami powitych u nas dzieci, nie dysponuję więc żadnymi informacjami, które mogłyby pana interesować.

- Byłbym jednak wdzięczny, gdyby zechciał pan przejrzeć wasze dokumenty, także archiwalne, a przede wszystkim te, które wiążą się z procesami wytoczonymi Donors International przez zastępcze matki. - Jake'owi wydawało się, że twarz Adlera pociemniała, ale nie był tego do końca pewien. - To mogłoby się okazać bardzo dla nas pomocne.

- Raz jeszcze powtarzam, panie poruczniku, że nie przechowujemy dokumentacji dotyczącej dzieci, które urodziły się przy naszym współudziale. One należą nie do nas, lecz do swych rodziców.

- Nieprawda! - stanowczo zaprzeczył Jake. - Należą do stanu Kalifornia, a ich rodzice, jak w ogóle wszyscy rodzice, są tylko opiekunami. Jeśli rodzice w jakikolwiek sposób krzywdzą swoje dzieci czy im zagrażają, w obronie swych obywateli występuje stan. - Patrzył Adlerowi prosto w oczy. - A wszelkie wykroczenia przeciw prawom dzieci to przestępstwo.

- Zapewne ma pan rację - powiedział Adler, który jednocześnie zastanawiał się, jak spławić tego natręta.

- Proszę nam zatem udostępnić te dokumenty.

- Komputery znajdują się tutaj - powiedział Adler, wskazując środkowy budynek. - Ta błotna lawina naruszyła też jego konstrukcję, widać duże rysy, zanim więc ktokolwiek wejdzie do środka, najpierw eksperci muszą orzec, czy to bezpieczne.

Jake spojrzął; istotnie na ścianach widać było wyraźne pęknięcia.

- Zgoda, niech pan wezwie specjalistów, my zjawimy się tutaj jutro rano z naszym ekspertem od komputerów. I nakazem sądowym.

„Dość czasu, żeby pozmienić dane”, pomyślał Adler, a głośno powiedział:

- Oczywiście. Z największą chęcią pomogę panu w miarę swoich możliwości.

Jake obrócił się w kierunku schodów, zastanawiając się, czy jednak nie postawić straży koło budynku, aby weszli do środka tylko eksperci budowlani. Nagle gdzieś za plecami usłyszał głos:

- Cholera jasna, Adler, nie ma zasilania, w kotłowni też wygasło, nie mogę tego zniszczyć.

Z drugiego końca patia nadchodził odziany na czarno mężczyzna i machał jakąś trzymaną w rękę szmatą. Ale to jego twarz przede wszystkim przykuła uwagę Jake'a.

Luis Vega!

Kiedy Vega poniewczasie dostrzegł detektywów, natychmiast wyrwał z kabury rewolwer, jednocześnie przyjmując pozycję strzelecką.

- Nie! Nie! - wrzasnął Adler i rzucił się w kierunku Vegi.

- Nie mają żadnych do...

Vega nacisnął spust półautomatycznej beretty. Adler, trafiony w głowę i w pierś, niczym kłoda runął na ziemię, nie zasłaniając Vegę widoczności.

Jake zanurkował za schodki; kule ze świtem przeleciały obok. Jeszcze kilka strzałów i bolesny jęk Farellego. Wymierzył w wierzch stopni i czekał. Znowu jęk. Chyba Farelli, ale Jake nie był tego pewien. I jeszcze jeden, a potem cisza.

Jake zastygł absolutnie nieruchomo, czekając, aż jakiś dźwięk zdradzi, gdzie jest Vega. Przez chmury przedostał się promyk słońca i w nim Jake zobaczył jakiś rosnący cień. „Vega! Zbliża się!” Jake czekał z wycelowaną bronią. Znienacka cień zniknął.

Pewnie czołga się na skraj patia, pomyślał Jake, żeby sprawdzić, czy mnie trafił.

Znad krawędzi wysunęła się lufa. Jake cierpliwie czekał. Minęło chyba trzydzieści sekund - i nic, żadnego ruchu. Następne kilkanaście sekund. Cisza. I nagle z boku

charakterystyczny dźwięk nogi wyciąganej z opornego błota.

„A to sukinsyn!”

Jake odtoczył się od stopni w przeciwnym kierunku, Vega zaś poderwał broń, aby wycelować w poruszający się cel, ale gwałtowny ruch sprawił, iż się zachwiał, i ta chwila pozwoliła Jake'owi na oddanie dwóch strzałów. Pierwszy chybił, drugi trafił Vegę w lewe oko.

Jake powoli się wyprostował i z bronią gotową do strzału ostrożnie podszedł do mordercy. Vega leżał na plecach; pozostałe oko było szeroko otwarte. Kopniak w żebra nie spowodował żadnej reakcji. Jake nogą odwrócił ciało; z dziury w tyle głowy zwisały strzępy mózgu.

Schował broń do kabury i pospieszył na patio. Farelli stał chwiejnie na nogach, trzymając się za zraniony bark.

- Co z tobą? - spytał Jake.

- Nic poważnego, dziabnął mnie.

Jake obwiązał krawatem przedramię partnera, aby zmniejszyć upływ krwi.

- Może się nie wykrwawisz, zanim dojedziemy do szpitala.

Sięgnął po broń, której Vega użył, aby odwrócić jego uwagę, i włożył Farellemu do kabury.

- Dostałeś go?

Jake kiwnął głową.

- Tak, ma teraz o połowę mózgu mniej.

- Możesz mi powiedzieć, co tutaj robił facet pracujący dla mafii?

- To coraz bardziej śmierząca sprawa.

- Wiesz, może na chwilę się położę - powiedział Farelli i niezgrabnie usiadł na płycie patia. Jake zobaczył leżący nieopodal kawałek materiału niesiony przez Vegę i sięgnął, aby podłożyć go pod głowę Lou. Nagle zorientował się, że to fragment szlafroka szpitalnego z Memorial.

- Jasna cholera! Spójrz tylko na to!

- Co...

Farelli nie dokończył pytania. Ziemia stęknęła i także reszta wzgórze zaczęła się obsuwać. Jake poderwał partnera, przerzucił sobie jego ramię przez szyję i zaczął wraz z nim uciekać.

Rozdział 43

David Dellacorte sprawdził harmonogram. O ósmej na sali operacyjnej numer dwa miało się odbyć wżernikowanie Ethel Ryan. Spojrzał na ścienny zegar, było wpół do ósmej, a z nagłych wypadków ciągle nie było informacji, że przywieziono Joannę Blalock. Coś poszło nie tak, ale co i dlaczego?

- Pacjentka już czeka - powiedziała pielęgniarka. - Nie przygotowujemy jej jeszcze, bo czekamy na anestezjologa.

- Czemu go jeszcze nie ma?

- Pękła opona w samochodzie. - Był nawet zadowolony z tej zwłoki, dzięki temu miał bowiem trochę więcej czasu, aby się zorientować, dlaczego Joanna Blalock nie leżała jeszcze podłączona do aparatury reanimacyjnej. - Kiedy się zjawi?

Wzruszyła ramieniem.

- Powiedział, że najszybciej jak potrafi.

- Proszę mnie zawiadomić, jak tylko będzie.

Podszedł do łóżka, na którym przywieziono Ethel Ryan, i dla dodania odwagi poklepał ją po ręce.

- Dobrze się pani czuje?

- Nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Śpiąca?

- Jeszcze trochę za mało. Mam nadzieję, że mi w tym pomożecie. - Popatrzyła Dellacorte'owi poważnie w oczy. - Niech pan usunie tego guza raz na zawsze, panie doktorze!

- Zrobię, co będę mógł.

- E tam, „mógł”; niech go pan wytnie i już!

- Niech pani mi zaufa!

Dellacorte wiedział, że rak nie nadaje się do operacji i że raczej trzeba będzie założyć dodatkowe połączenie, aby nie pogarszać stanu dróg żółciowych. Dzięki temu staruszka przez jakiś czas nie będzie odczuwała dolegliwości.

- Ufam, że go pan wytnie z każdego miejsca, gdzie go pan dopadnie.

Raz jeszcze poklepał ją uspokajająco i poszedł do dyżurki. W środku nie było nikogo, ale

w toalecie rozległ się dźwięk spuszczonej wody. Chwycił gazetę ze stolika i udawał, że jest zatopiony w lekturze.

Co się mogło stać? Przecież niepodobna, żeby Blalock uciekła, kiedy miał ją pod opieką Luis Vega. Dobrze mieć kogoś, na kim można tak polegać jak na Vedze. Może więc nie uciekła, ale umarła tam na stole? Nie, niemożliwe, w takim wypadku Adler z pewnością by go poinformował. Co więc mogło się stać? Może wszystko zrobili zgodnie z planem, ale...

Drzwi od toalety otworzyły się i wyszedł, otrzepując górę kombinezonu, jeden z etatowców, kiwnął głową Dellacorte i zniknął na korytarzu.

Chwycił słuchawkę i wystukał numer Donors International. Po dwunastym dzwonku rozłączył się. Jeszcze raz. Znowu dwanaście dzwonek - nikt nie odebrał. Dellacorte był pewien, że coś się stało, ale co? Może były jakieś kłopoty z inscenizacją wypadku? A może wszystko poszło dobrze, a tylko nie zadzwonili po niego z ostrego dyżuru? Tak, tak z pewnością było. Przecież musi trochę potrwać, zanim pacjentkę podłączą do aparatów podtrzymujących funkcje życiowe, a potem trzeba jeszcze sprawdzić, jak rozległe są urazy głowy i mózgu. Tak, lada chwila dostanie wiadomość, na którą tak czekał.

Znowu sięgnął po telefon i zaczął wybierać numer, ale przestał po pierwszej liczbie i odłożył słuchawkę. Nie, lepiej poczekać. Bo i o co właściwie miał spytać? Czy dostarczono Joannę Blalock z roztrzaskaną głową? A jeśli nie?

Spojrzał na zegar. 07.45. Wstał i zaczął krążyć po pokoju.

„Zajrzę na nagłe wypadki, ot, tak sobie. Że niby wpadłem na kawę, czekając na operację”. A jeśli Blalock nie będzie, co wtedy? Może powinien podskoczyć do Donors International i na miejscu sprawdzić, co się stało, czemu nie odbierają telefonów. Na to jednak nie miał czasu. Droga w jedną stronę zabierała dwadzieścia minut i to nie przy takiej parszywej pogodzie.

A może przełożyć operację Ethel Ryan? Jeśli anestezjologa ciągle jeszcze nie ma, może zwolnić salę numer dwa dla następnego w kolejności zabiegu, Ryan przesuwać na przykład na popołudnie. Wtedy mógłby jechać do Donors.

W drzwiach ukazała się głowa stażysty.

- Doktorze Dellacorte, dzwonili z nagłych wypadków, że przed chwilą dostarczono tam Joannę Blalock.

- Co z nią? W jakim stanie?

Tamten pokręcił głową.

- W bardzo niedobrym.

Dellacorte zerwał się z fotela.

- Czy to ty masz być obecny przy operacji pani Ryan?
- Tak, panie doktorze.
- Jeśli anestezjolog przyjedzie, zanim wrócę, zacznijcie przygotowywać pacjentkę.
- Dobrze, panie doktorze.

Dellacorte niemal pobiegł korytarzem. „Znakomicie, znakomicie”, pulsowało mu w głowie. Stażysta powiedział, że Joanna jest w bardzo złym stanie, co znaczyło, że żyje, ale szanse są niewielkie. Podłączą ją do aparatów, a informacja o typie tkanki wejdzie do systemu informacji transplantacyjnej. Serce, płuca i nerki pani doktor gdzieś sobie powędrują między ludzi, ale wątroba była zarezerwowana dla jej siostry.

Przy windach niecierpliwie wcisnął guzik „W dół”, ale kiedy spojrzał na światła, zorientował się, że wszystkie kabiny jadą w górę. Skoczył w kierunku wyjścia przeciwpożarowego i zbiegł po dwa stopnie, po drodze wyliczając sobie, co musi zrobić. Po pierwsze, zadzwonić do Macka Browna i powiadomić go o tragedii, dzięki której Kate Blalock dostawała potrzebną jej wątrobę. Przeszczep można zrobić po południu albo nawet nazajutrz. Nawet lepiej nazajutrz, uznał Dellacorte. Nie ma pośpiechu, skoro funkcje organizmu będą podtrzymywały mechanizmy.

Po drugie, anonimowo poinformuje lokalną stację telewizyjną o tajemniczym zniknięciu i pojawieniu się doktor Joanny Blalock, a także o tragicznym wypadku, który zabijając jedną siostrę, ratował życie drugiej. Media uwielbiały takie historie, melodramatyczne, ale przynajmniej z połowicznie dobrym zakończeniem. A w całym tym zgiełku, kto się będzie przejmował pewnymi niejasnościami...

W drzwiach przepuścił sanitariusza niosącego ampułki z krwią. Wokół stanowiska dyżurnego kłębił się kontrolowany chaos. Dzwonki telefonów, podbiegający i odbiegający lekarze i pielęgniarki, zgiełk... Z jednej z sal wyszła pielęgniarka w zakrwawionym stroju, w rękawiczkach i masce na twarzy.

- Gdzie doktor Blalock? - spytał Dellacorte, podnosząc głos, aby przekrzyczeć gwar.
- Sala numer jeden - odpowiedziała i przemknęła obok.

Skoczył na korytarz, gdzie nad salą numer jeden paliło się czerwone światło. Przed drzwiami stało zabłocone łóżko; Dellacorte dostrzegł też ślady krwi.

Otworzył drzwi i wpadł do środka, ale zatrzymał się w pół kroku, nie wierząc własnym oczom. Joanna Blalock siedziała na kozetce, a pielęgniarka mokrą gazą obmywała jej twarz.

Określił się napięcie jak fryga, ale przed sobą zobaczył Jake'a Sinclaira, a za nim kilku umundurowanych policjantów. Nie próbując nawet najmniejszego oporu, dał się obrócić i poczuł, jak na przegubach zamykają mu się kajdanki, a następnie silne szarpnięcie wyciąga go

na korytarz.

Joanna uniosła napuchniętą twarz i coś wychrypiała. Dopiero po chwili zrozumiał, co powiedziała.

- Skurwiel!

EPILOG

Kate Blalock siedziała na łóżku i popijała przez słomkę shake mleczno-czekoladowy.

- Więc chciałaś mi dać kawałek swojej wątroby?

- Zastanawiałam się nad tym - powiedziała Joanna.

Kate głośno siorbnęła i powiedziała przekornie:

- A doktor Brown twierdzi, że bardzo już się do tego przygotowywałaś.

Joanna machnęła lekceważąco ręką.

- Nie ma o czym mówić. To tylko mały kawałek, z którego i tak mam niewielki pożytek.

- Kłamczucha!

Joanna nachyliła się nad łóżkiem i mocno przytuliła Kate.

- O Boże! Jak się cieszę, że już ci lepiej.

- Ale było marnie, prawda?

- Jeszcze nigdy nie było z tobą tak źle! - Z policzków Kate zniknęły już ślady żółtaczki, a wracała naturalna różowość.

- To chyba stężona gamma-globulina uratowała ci życie!

- Doktor Brown też tak przypuszcza, ale nie jest do końca pewien - powiedziała Kate i z powrotem ułożyła się na poduszkach. Była jeszcze bardzo wycieńczona i szybko traciła siły. - Dlatego wczoraj poleciał do Gwatemali, żeby na miejscu śledzić działanie tej terapii.

Joanna zmarszczyła brwi.

- Czyżby wirus znowu zaatakował?

- Nie. Brown chce wszystko przygotować, żeby nie dopuścić do nowej epidemii.

- Oj, nie wiem, czy powiedział ci prawdę; mógł nie chcieć cię denerwować.

- Ja bym się tego nie bała.

- Dlaczego niby?

- Powiedział mi, że zabiera ze sobą żonę i jak już załatwi sprawy w Gwatemali, to spędzą trochę czasu na plaży w Kostaryce.

Joanna kiwnęła głową z uśmiechem. Cieszyła się, że Mackowi znowu jakoś ułożyło się z żoną; miała nadzieję, iż na dobre. Czuła do niego bardzo dużo sympatii, była wdzięczna za jego gotowość do pomocy, oboje jednak uznali, że nie ma dobrych podstaw do trwałego

związku.

- Dobrze, na mnie już czas - powiedziała Joanna i wstała.

- Jestem umówiona z facetem, który stara się skrócić sobie życie jako detektyw w wydziale zabójstw.

- A jak się miewa Jake?

- Jak zwykle niemożliwy.

- Może i niemożliwy, ale jaki przystojny - zachichotała Kate. - Z chęcią bym go jeszcze kiedyś zobaczyła.

- Przyprowadzę go następnym razem. - Joanna ucałowała Kate. - A teraz wypoczywaj i pij dużo shake'ów. Wyglądasz jak skóra i kości.

Pomachała siostrze jeszcze od progu, zamknęła drzwi i poszła do windy. Wsiadła za grupką stażystów. Rozmawiali o skandalu z przeszczepami w Donors International i roli, jaką w tym odegrał David Dellacorte. Od tygodni sprawa była na pierwszych stronach gazet i zainteresowanie nie malało ani odrobinę.

- Więc jak, po prostu zabijali ludzi, żeby dostać odpowiedni organ? - z niedowierzaniem zapytał jeden z młodych mężczyzn.

- Tak mówią - odrzekła dziewczyna - a Dellacorte miał czuwać nad tym, żeby przeszczep dotarł do odpowiedniej osoby, która miała odpowiednią kasę.

- A kogo zabijali?

- To właśnie starają się ustalić.

Już ustalili, chciała się wtrącić Joanna, i to bardzo dokładnie. Powoli, strzęp po strzępie, cała okropna prawda będzie docierała do opinii publicznej. Jak dotąd media jeszcze się nie zwiedziały, że dzieci poczynano tylko po to, aby w razie potrzeby były dawcami. Władzom jak na razie udawało się to ukryć pod korcem, ale prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw, co może podziałać pozytywnie, gdyż wtedy nareszcie kliniki leczenia bezpłodności i organizacje zajmujące się przeszczepami zostaną poddane wnikliwej kontroli. Kto wie.

Winda się zatrzymała.

Jeden ze stażystów, poprawiając pasek plecaka, rzucił:

- Wyobrażasz sobie? Wywalić kupę szmalu na jakiś organ i nie wiedzieć, skąd on pochodzi? Kto by na to poszedł?

- Ktoś, kogo życie od tego zależy - powiedziała Joanna i wyszła z kabiny. Przemierzyła korytarz i znalazła się w laboratorium patologicznym. Przy stołach było pusto; technicy poszli na obiad. Wmontowane w ściany wirówki kręciły się z miękkim szumem; z chronometrami nie było już na szczęście kłopotów.

Sekretarka przypięła kartkę na tablicy informacyjnej.

„Dzwoniła dr McKay. Chciałaby się umówić na jutro wieczorem”.

Ze współczuciem myślała o biednej Lori. Była zdruzgotana, kiedy dowiedziała się o roli Davida Dellacorte w całej sprawie. Serce popękało jej naraz w stu miejscach, stała się wcieleniem nieszczęścia. Ale z czasem wszystkie rany się wygoją, a Lori miała w sobie dostatecznie wiele siły.

Drzwi w tylnym laboratorium były otwarte i zajrzała do środka. Jake stał nad szkieletem Jamesa Roberta Butlera i uważnie się w niego wpatrywał.

- Jeszcze coś cię w nim interesuje? - spytała.

Wzruszył ramieniem.

- Od tego się wszystko zaczęło. Woda deszczowa wypłukała z ziemi szkielet i chcieliśmy ustalić, kto to był.

- Człowiek, który zawziął się, że pomści swoją siostrę. I który zginął w trakcie próby.

Jake wolno pokiwał głową.

- Co zrobicie z tym szkieletem?

- Czy ja wiem? Chyba zwrócimy go do biura koronera.

- Ci pochowają go w jakimś anonimowym grobie, a zasłużył sobie na coś lepszego. To weteran, walczył za ojczyznę.

- Masz jakieś inne propozycje?

- Może skontaktuję się z Veterans Administration i zobaczę, czy nie dałoby się go pochować na ich cmentarzu.

Joanna się uśmiechnęła.

- To dobra myśl. Podoba mi się.

- Gotowa na obiad?

- Umieram z głodu.

Zrzuciła biały fartuch laboratoryjny i Jake podał jej niebieski blezer. Na rękach nadal widać było rany i skaleczenia powstałe, gdy szaleńczo grzebał w błocie i żwirze, aby się dokopać do niej.

- Jak twoje dłonie?

- Lepiej.

- Gdyby nie twoja bystrość, skończyłabym w tej rurze.

- E tam, każdy by na to wpadł.

- Wcale nie. Mając w rękę kawałek szlafroka, mojego, jak się domyśliłeś, i słysząc wycia, kazałeś przyprowadzić psa, a ten powąchawszy materiał, natychmiast pociągnął w miejsce,

gdzie leżałam uwięziona przez zwały ziemi.

- Farelli mówi, że pies tysiąc razy lepiej wyczuwa zapachy od człowieka, i chyba ma rację. Ten nie namyślał się ani chwili.

- Chyba powinnam mu się jakoś odwdziaczyć. Gdzie teraz jest?

- Pewnie w schronisku.

- W schronisku? - Jake właśnie otwierał przed Joanną drzwi klatki schodowej, ona jednak stanęła jak wryta. - Przecież jak nikt się po niego nie zgłosi, to go uśpią.

- Nie wiem, policja musi gdzieś trzymać swoje tresowane psy, więc może tam go oddali.

- Dowiedz się, gdzie on jest, i to jak najszybciej. Tak?

- Tak.

- I lepiej dla ciebie, żeby żył.

Gniew w niej aż kipiał. W jednej sprawie potrafił być wrażliwy i domyślny, ale w innej zupełnie tępy. Nie znosiła tego u niego, ale wiedziała, że tej cechy nigdy nie zmieni.

- Tak czy siak, stamtąd się wydostałaś, ale przedtem musiało być okropnie, prawda?

- Straszliwie.

- Mogę sobie wyobrazić.

- Nie, nie możesz. To trzeba przeżyć: zamknięta w betonowej rurze, pięć stóp pod ziemią i ta świadomość, że będziesz się powoli dusić. Krzyczysz o pomoc, ale słyszysz tylko własny głos, który nie ma gdzie się rozejść.

- No, ale masz to już za sobą - powiedział Jake i uścisnął jej ramię.

- Nie do końca. Mam zmyły nocne. Nie tak często jak kiedyś, ale ciągle powracają. - Zaczisnęła szczęki. - Chciałabym, aby to właśnie przeżył David Dellacorte. Żeby poczuł, jak to jest, być pochowanym za życia.

Jake otworzył drzwi na pierwszym piętrze i poszli przez wielki hall szpitalny.

- Będzie pochowany za życia: w więzieniu - i to na bardzo, bardzo długo. Oczywiście, zarzeka się, że jest niewinny, ale mamy takie dowody, na które żadne krzyki nie pomogą.

- A co z innymi osobami z Donors International?

- Przesłuchaliśmy Dunna, Rhinemanna i Kessler. Utrzymują, że nie mieli najmniejszego pojęcia, w czym uczestniczą, ale ani ja w to nie wierzę, ani nie wierzy prokurator okręgowy.

- Pokiwał z przekonaniem głową. - Siedzieli w tym po uszy.

Przez frontowe drzwi wyszli na jasne słońce. Jake zapalił papierosa i ciągnął:

- Dellacorte i Adler byli szefami; zdaje się, że Adler wszystko wymyślił, a Dellacorte zapewnił pieniądze i kontakty.

- Skąd były pieniądze?

- Doszliśmy do tego, że właścicielem Donors była nowojorska firma związana z mafią. Zorganizowaną przestępczość zawsze interesują układy, gdzie jest duży popyt i z jakiejś przyczyny ograniczona podaż: alkohol w czasach prohibicji, prostytutki, narkotyki. Teraz zwrócili uwagę na dawców organów.

- A skąd związki Dellacorte'a z mafią?

- To związki rodzinne. - Jake odczekał, aż minie ich grupa pielęgniarek. - Dziadek Dellacorte kontrolował kiedyś firmę posiadającą Donors International, wielu jego krewnych dalej bezpośrednio lub pośrednio zajmuje się nielegalną działalnością. Kiedy im opowiedział, na jakie pieniądze można tu liczyć, uznali to za gratkę.

Joanna lekko się skrzywiła.

- Jakoś nie wydaje mi się, aby był na tyle pomysłowy, aby ułożyć cały ten diabelski schemat.

- Mówię więc, że moim zdaniem głównym pomysłodawcą był Adler. Według Simona Murdocka piętnaście lat temu zwolniono Dellacorte'a za palenie marihuany. Gdzieś na Wschodzie specjalizował się przez rok w badaniach immunologicznych, a potem znowu przyjęto go na próbę. Czy muszę ci mówić, pod czyim kierownictwem prowadził te badania?

- Jasona Adlera - bez namysłu powiedziała Joanna.

- Nie wiem, kiedy to się zaczęło, ale perfidnie uknuli swą szatańską intrygę, a wszystko dla pieniędzy. Naprawdę niemałych.

- Niewykluczone, że także i dla sławy - dodała Joanna. Dellacorte był na pewno głęboko dotknięty tym, że jego błyskotliwie zapowiadająca się kariera została przerwana z tak głupiej przyczyny. Dla jego urażonej dumy byłaby to pewnie właściwa rekompensata, gdyby zaczął uchodzić za wielkiego specjalistę w dziedzinie transplantologii.

Poszli przez wielki taras z trawnikiem obrzeżonym starannie przyciętymi krzewami i ławkami. Dzień był ciepły, ludzie wygrzewali się na trawie. Joanna nałożyła ciemne okulary.

- Gdzie masz samochód?

- Tam, gdzie nie wolno parkować.

- Jak na stróża prawa przystało.

Dotarli na skraj tarasu i zaczęli schodzić po stopniach. Rozległo się głośnie szczekanie. Joanna spojrzała w tym kierunku: koło samochodu Jake'a stał Lou Farelli ze smyczą, na której szarpał się pies.

- Żeby cię cholera - prychnęła Joanna i dała Jake'owi żartobliwego kuksańca.

- Dzieci Lou chciały mieć psa. Postanowiliśmy, że nazwiemy go Czujem.

Farelli odpiął psa, a ten puścił się pędem do Joanny. Uklękła i przygarniając Czuję,

mruczała coś do niego i drapała za uszami. Zerknęła w górę na Jake'a.

- Lou mówi, że wszyscy uznali, iż nie znajdą mnie już żywej, ale ty ani na chwilę nie chciałeś przerwać. Kiedy złamała się łopata, kopałeś gołymi rękami.

- Miałem bardzo silną motywację.

- Jaką?

- Obawiałem się, że stracę to, co w moim życiu najważniejsze.

- Och, Jake - łagodnie powiedziała Joanna, podniosła się i przytuliła do niego, głowę opierając na piersi. - Ale tym razem już tego nie zepsujemy, zgoda?

OD AUTORA

W Ameryce jest ogromne zapotrzebowanie na organy do przeszczepów. Zgodnie z danymi United Network for Organ Sharing prawie 45 000 pacjentów znajduje się na listach oczekujących. Z biegiem czasu ich liczba z pewnością będzie rosła, kiedy bowiem zwiększa się liczba ludności, więcej jest też osób, które cierpią na niedomagania ważnych dla życia organów, a mogą skorzystać z dobrodziejstw przeszczepów.

Na nieszczęście, istniejący obecnie system organizujący pobieranie i dostarczanie przeszczepów nie jest dostosowany do dynamicznie rosnących potrzeb, co staje się coraz bardziej oczywiste. Pragnienie nowego organu jest czasami tak rozpaczliwe, iż sięga się po środki niegdyś w ogóle nie do pomyślenia: na przykład, coraz częściej wszczepia się ludziom organy zwierzęce, aczkolwiek jak na razie nie zakończyły się sukcesem próby transplantacji serca, wątroby i szpiku pawianów. Hoduje się genetycznie zmutowane świnie w nadziei, że ich wątroby i ewentualnie serca będzie można wykorzystać do przeszczepów.

Znamiennym zjawiskiem jest to, iż rodzi się i wychowuje dzieci, aby były dawcami organów. W znanym z prasy przypadku, pewna para w Kalifornii poczęła dziecko, aby stało się dawcą szpiku dla swego brata chorego na wrodzoną leukemię. Podkreślmy wyraźnie, że dawca szpiku nie opłaca tego życiem ani nie ponosi znacznych szkód, szpik bowiem bardzo szybko się regeneruje, ale fakt intencji, z jaką dano życie dziecku, pozostaje faktem.

dr med. Leonard Goldberg